

**FRANCISZEK FENIKOWSKI**

**ZŁOTY STRĄD**



INSTYTUT WYDAWNICZY „NASZA KSIĘGARNIA”  
WARSZAWA 1964

### O ŻŁOTYM STRĄDZIE

Raz pojawili się  
Fenicjanie,  
sławni żeglarze, lecz  
wielcy chciwcy,  
którzy na czarnym swoim  
okręcie  
wiozą z za morza różne  
błyskotki...  
(Homer: *Odyseja*,  
pieśń XV)

Niewidomy śpiewak z zamierzchłych czasów, ojciec wszystkich tych, co składają pieśni o morzu, słyszał już o bursztynie — dziwnym darze fali, złocącym brzegi dalekiego kraju. Przywoziły go na południe czarne statki fenickich żeglarzy, karawany rzymskich i arabskich kupców. Wierzono, iż cudowny ten klejnot ma duszę. Żyje, leczy, chroni od nieszczęść. Mógł też być błogosławieństwem mieszkańców Żłotego Strądu, lecz stał się ich przekleństwem, gdy władzę na wybrzeżu zagarnęli łotrzy znaczeni czarnymi krzyżami.

— Naszym jest wszystko, co Bałtyk, juczny koń Zakonu, na brzeg przyniesie — uchwała-liła kapituła w Malborku. — Do nas jeno należą bałtyckie jantary \*! Biskup Sambii, bracia rybiccy ze Szkarpawy i Elbląga, opat z Oliwy, komtur z Balgi będą odbierać go rybakom i dostarczać do Królewca Wielkiemu Szafarzowi.

Dudniły wozy na drogach wiodących ku miastu nad Pregołą.

Wielki Szafarz pieczęto-wał w zamkowej szafami beczki posortowanego złota Północy i wysyłał je paternosterdzie-jom do Lubeki i Brugii. W miastach Warmii, Pomorza, Powiśla, by nie dopuścić do pokątne-go handlu bursztynem, zabroniono jego obróbki. Co trzy lata wszyscy rybitwowie, rataje, nawet plebani z nadmorskich wiosek musieli składać przysięgę, że nie zatają ani okruszyny ze znalezionych czy złowionych jantarów.

Syn miał pilnować ojca, brat donosić na brata. Wzdłuż białego brzegu postawiono długi szereg czarnych szubienic, na których kołysali się w morskim wietrze nieszczęśnicy przy-chwyceni na gorącym uczynku przez strądownych wójtów i ich konnych pachołków. Dniem i nocą cwałowali strażnicy po zolojach. Nateżali wzrok i słuch. Baczyli, aby nikt nie przekro-czył zakazu Wielkiego Mistrza. Szła wieść po chatach, karczmach, zamkach, że sambijski wójt Anselmus, najokrutniejszy z prześladowców zbieraczy bursztynu, nie zna po śmierci spokoju. W ciemnościach sztormowych nocy tuła się po wybrzeżach i woła w poświstach bursztynowego wiatru:

— Jantar to dar morza! Wolno go brać każdemu.

Straszył po strądach cień upiornego pokutnika. Głos jego przebijał mury warownych komturii, lecz serca Krzyżaków pozostały twarde jak krzemień. Pajęczą siecią oplątywali swoje ofiary. Nawet kiedy król Kazimierz Jagiełłowic, odzyskawszy Pomorze, ogłosił jantar za wspólne dobro, kiedy ku uciesze nadmorskiego ludu zrąbano cierpiegi na polskim wybrze-żu, za granicznym Hakiem Mierzei Wiślanej czerniały dalej krzyżackie szubienice. Nadal krakały nad nimi czarne stada wron. Zakon nie przestał stosować krwawego prawa, tyle jeno, że za jantar płacił teraz poddanym... solą, którą inaczej nikomu nie dozwalał kupczyć.

— Ile oddałeś bursztynu, tyle soli ci się należy — powtarzali rybakom krzyżaccy urzę-dnicy.

Odmierzali ją nader skąpo. Nigdy się nie zdarzyło, by chociaż jedna biała grudka przeważyla szalę wagi, pełną złotych bursztynów. Przeto i ów szczęściarz, któremu udało się znaleźć jantarową bryłę wielkości ludzkiej głowy, niewiele soli przynosił za nią do domu. Troskały się gospodynie. Napominały głodne dzieci:

\* Trudniejsze słowa są objaśnione w słowniczku na końcu książki.

— Pamiętajcie, że ile zjecie za życia ziarenek soli, tyle godzin czekać będziecie po śmierci u niebieskiej furty.

I tej skąpej zapłaty pozazdrościli rycerze w mniszach płaszczach jantarowym łowcom. Było to u schyłku istnienia zakonnego państwa. Wielki Mistrz Albrecht uwikłał się w niela-twą wojnę z polskim królem i został przyciśnięty biedą tak mocno, że musiał oddać w zastaw srebrne naczynia, złote łańcuchy, klejnoty, kubki i czasze rzeźbione w bursztynie.

— Opuuszczony jest Wielki Mistrz przez wszystkich przyjaciół, nikt mu już więcej nie wierzy — głosił w tym czasie król Danii. — Skończona sprawa z Prusami i całą jego fortuną.

Paternosterdzieje w Lubece i Brugii przestali kupować bursztyn, bo z powodu wyznaniowych zamieszek mało kto się dopytywał w kramach o różańce z bałtyckiego złota. Wielki Szafarz przestał napełniać zakonną skarbnicę. Buntowali się łupieni mieszczanie i chłopci.

Niespokojnym tedy krokiem przemierzał ostatni z krzyżackich mistrzów komnaty ponurego zamczyska w Królewcu. Do żywego oburzały go nowiny przynoszone przez strądownych wójtów.

— Co, zgoła i rybacy, gmin podły głos podnosi przeciw wojnie z Rzeczpospolitą? — targał brodę i nogą tupał. — Zapłacą mi za to! Wstrzymać im wydawanie soli. Niech łzami solą nędzną swą strawę!

W kąk poszły wagi. Zamknięto solne spichrze. Bałtyk szcudrze złościł brzegi jantarem, lecz Albrecht zagarniał złote żniwo nie dając żeńcom w zamian za ich trud ni jednej słonej bryłki, a gdy ktoś zawistny doniósł mu pewnego dnia, że rybacy po kryjomu sprzedali kupcom w Tękitach znaną grudę bursztynu, rozkazał natychmiast z wściekłością niepo-hamowaną:

— Pojmać złodziei! Związać i dostawić do Królewca na sąd!

Przywieziono więźniów na gnojowym wozie, wtrącono do ciemnicy. Najmłodszy z nich, Wojciech, jako pierwszy rozciągnięty został na torturach. Daremnie wołał, że to zazdro-sny sąsiad oskarżył go fałszywie, podrzucił ukradkiem bursztyn w jego domu. Siepacze dręczyli biedaka tak długo, aż przyznał się do nie popełnionej winy. Wystarczyło sędziom to wymuszone przyznanie. Skazali Wojciecha na stryczek. Lud tłumnie przybył na plac kaźni.

— Na krew patrona mego, umęczonego pod tękickim dębem, przysięgam, iżem niewi-nien — zawołał skazaniec wstępując na

szczeble szubienicznej drabiny.

Zafalowała ciżba. Przeklinając ciemężycieli, ławą ruszyła na kata, sędziów, dworzan. Przestraszyli się służebnicy Zakonu. Uciekli spod szubienicy porywając z sobą Wojciecha. W zamku po raz wtóry wzięto go na męki. Nic już wszakże nie wyznał. Po trzech dniach zmarł z cierpień, a nim się jego usta zamknęły na zawsze, przeklął pono dar morza — przyczynę swej śmierci.

Od tej pory — jak pisze w starej kronice tolkmicczanin, brat Szymon z gdańskiego klasztoru Czarnych Mnichów — Wielki Szafarz otrzymywał od stradowych wójtów zaledwie tysiączną część dawnych połowów bursztynu. Widziano wprawdzie nieraz złociste bryły migocące w falach i zielonych wodorostach, lecz gdy rybacy usiłowali je wyłowić kaszoramami, znikwały bez śladu.

— Morze zrzuciło nasze jarzmo — szeptali komturowie patrząc z ambrazur nadbrzeżnych zamków na wzburzone grzywacze. — Zła to wróżba dla naszego Niemieckiego Domu.

Wkrótce potem Zakon runął jak spróchniały pień. Przepadli butni zakonnicy. Zmienieni pono w pająki, krzyżakami zwane, rozsnuwają szare sieci w basztach, komnatach, podziemiach zamkowych ruin. Minęli też po wiekach niby gwałtowny, niosący zagładę sztorm, godni spadkobiercy mieczowych złodziejów — wiarołomni władcy Prus, żelaznostope knechty spod znaku trupiej głowy. Łód Wiślanego Zalewu załamał się pod ich pancernymi wozami, kiedy podczas ostatniej wojennej zimy uciekali stąd w popłochu na zawsze. Rdzewieją i coraz głębiej zapadają w muł grząskiego dna cielska potworów naznaczanych czernią dobrze nam znanych krzyży.

Z radością przyjął Bałtyk pierścień rzucony mu z kołobrzeskich wydm przez dziewczynę w szarym płaszczu, w czapce rogatej, srebrnie połyskującej orłem Piastów. Złoci wolny brzeg grudkami skamieniałej żywicy sosen, których szum zapamiętały jego fale. Jeśli, wędrując po wybrzeżu, znajdziecie bryłkę bałtyckiego jantaru, podnieście ją z piasku, oczyśćcie z włókien morsztynu, ogrzejcie w dłoniach, a może ożyje światłem sprzed wieków i rozbłyśnie w słońcu najpiękniejszą z legend Złotego Strądu.



## JAROSŁAWIECKA KLECHDA

*Bije młot morza krzesząc o świcie  
mew białe iskry wśród rudej łuny.  
Siwy skald ryje północne runy  
w jarosławieckich głązów granicie;  
kamiennym młotem brodac półnagi  
wykuwa w głązach magiczne znaki,  
kołują nad nim drapieżne ptaki  
w pieśni chrapliwej, w poświstach sagi,  
prysk srebrнопłetwy wściekle się rzuca  
jak dziworyba w kaszubskim jadrze...  
— Strzeż, skandynawski się sagamadrze,  
wicher powietrza nabiera w płuca,  
wicher do ciosu podnosi włócznie,  
obca mu trwoga, obca pokora...  
O, sagamadrze, podnieś młot Thora!  
Morze o brzegi łomoce hucznie,  
z pomorskim wichrem Bałtyk się zмага,  
walczy na brzegu skald z oszczepnikiem,  
w czerwień łun ptaki wzlatują dzikie,  
jarosławiecka pieni się saga.*

Dzisiaj na tym sławińskim przylądku, którego klif niszczą porywiste wichry i gwałtowne sztormy, znajduje się wioska. Jedna z wielu rybackich wsi, tym tylko różniąc się od innych, że w pobliżu jej domów stoi morska latarnia, dobrze znana bałtyckim marynarzom. Latem przyjeżdżają tu dorośli i dzieci z całej Polski. Wygrzewają się na piasku, cieszą się słońcem, kąpią w morzu. Zaludnia się puste wybrzeże. Klaskanie stóp po twardym zoloju, gwar, śmiech wesoły zagłuszają niemal popłusk fal nieśmiało zdążających ku ziemi. Ale jesienią...

Jesienią przylądek Jarosławiec zmienia się nie do poznania. Zdaje się, że razem z odpływającą falą letnich gości i czas cofa się tutaj o

wiele stuleci. Bałtyk młotem sztormu bije w nadmorskie kamienie. Wicher oszczepami poświstów ciska ze zbocza w spienione morze. Toczy się bój siwogrzywego sagamadra Północy z pomorskim oszczepnikiem. Skandynawska saga w skwirze drapieżnego ptactwa zapamiętałe walczy ze słowiańską klechdą.

Pierwsza opiewa lotne statki wikingów, radość, jaką rodzi ujarzmianie grzywaczy szczerzących białe zęby pian, miecz szcękający o miecz, krwawy najazd na cudze, południo-we brzegi. Druga śpiewa o rybackiej sieci i pięciostrunnej gęśli, o wesołym Poświęście napędzającym dziworyby w jadra stawiane przez płowowłosych rybitwów, o nawięzach jarzębin czerwonych jak usta dziewczyny. Tamta sławi dzikie męstwo na równi z chytrym podstępem i zemstą drużynników ze skalistych zatok. Ta pochwała skarby nieprzebrane ludzkiej dobroci, miłości, przyjaźni, poświęcenia. Siłę wielbi, nie taką wszakże, która niszczy, tylko tę, co służy dobrej sprawie, broni słabych, powala mocnych a złych. Daleko na mewich skrzydłach niesie się jarosławiecka pieśń:

*W morskiego ptactwa drapieżnej wrzawie,  
w łoskocie sztormu, w pian białym dymie  
sterczy przylądek twój, Jarosławie,  
co Jarosławca dałeś mu imię,  
trwa twój przylądek, osiłku jary,  
księżniczki Sławy dobry piastunie,  
z gniewnym się morzem bierze za bary,  
gdy Bałtyk burzą na brzegi runie...*

Kim był Jarosław, którego imię przylgnęło do klifów za Lędowskimi Wydmami, za przybrzeżnym jeziorem Wicko? Ojciec jego Miedwied pochodził z białej Rany. Żeglarzem był nad żeglarze i całe niemal życie spędził na morzu. Podczas jednej z morskich pław poślubił Słowiankę z Wębry, wyspy Wagrów. Tak się w nim rozmiłowała, że nie odstępowała go na krok ani na lądzie, ani na pokładzie. Towarzyszyła mężowi w dalekich wyprawach i nawet syna urodziła mu na morzu pod gwiazdami Wielkiej Niedźwiedzicy. Ona była malcowi chrzestną matką, okręt — kołyską, fala piastunką, a wicher piastunem.

Syn Miedwieda ssął jeszcze matczyną pierś, kiedy żeglarzowi



wypadło przewieźć po-słów rańskiego Świętowita do żerców z kątyny Gostka — bałtyckiego bożyca — wieńczącej stożek Rowokołu, świętej, pogańskiej góry nad toniami Gardna. Na wysokości burzliwego przylądka, zwanego później Jarosławcem, burza zatopiła statek. Matka jednak przed śmiercią zdążyła przywiązać synaczka do wielkiej, dębowej deski. Gostkowe córki — wodnice — wyniosły go z kipieli na brzeg, położyły na złotym piasku poza zasięgiem fal. Zapłakał, a wtedy wyszła z nadmorskiego lasu czarna, złotooka niedźwiedzica. Polizała zapłakane liczka maleńkiego rozbitka, zaopiekowała się nim troskliwie.

Wychował się w niedźwiedziej gawrze, w głębi boru, wykarmiony przez mrukliwą ma-tkę razem z jej kosmatymi dziećmi. Nie wyrósł na olbrzyma, siłę wszakże miał iście nie-dźwiedzią. Przebiegał nadbałtyckie puszcze, płoszył odyńce, żerujące w dąbrowach, zubrom brodatym skakał z gałęzi na grzbiety i grzywy im targał, leśnym pszczołom podbierał miód. Aż dnia jednego zaszumiała knieja, zachwiały się chojary, buki, cisy, nowinę sobie podając od skraju lasu aż do matecznika, przestrzegając mieszkańców boru:

*Pierzchajcie, dziki, jelenie, łanie,  
rogów myśliwskich grzmi pieśń pradawna,  
w zielone lasy na polowanie  
wyrusza z grodu włodyka Sławna,  
sto łowców konno gna z sokołami,  
pan do krwi konia ostrogą pokuł,  
ogarów granie gna w ślad za wami  
od góry Chełmu aż po Rowokół.*

Cwałowali jeźdźcy przez wrzosowe polany, splątane ścieżki, gęstwiny dzikiego chmie-lu. Ostrogami przynaglali rumaki do skoku przez strugi, spróchniałe kłody, wykroty. Brzęcza-ły cięciwy łuków. Świstały belty pierzastych strzał. Z rąk sokolników podrywały się do pod-niebnej gonitwy szaropióre sokoły, ogary węszyły trop. Sławiński włodyka Sławobór pędził na czele myśliwskiego orszaku. Żona jego Radosława sadziła konno obok męża, trzymając przed sobą na łąku małą córeczkę, przetowłosą Sławkę. Wtem psy opadły w ostępie rogatego tura. Rozjuszony byk tratując krze burzą wypadł na polanę. Spłoszył się długogrzywy koń sławińskiej księżny. Radosława

upuściła dziecko na zielone mchy, na paprocie srebrne od rosy.

— Bożyce — krzyknęła — ratujcież moją Sławkę!

Zaszeleściła korona odwiecznego dębu — pana wrzosowej polany. Z czarnych konarów zsunął się jak błyskawica młody junosza, odziany w skóry, podobny do leśnego bożyca czy dziwomeża porosłego sierścią. Tura, co zniżał już łeb, aby przygwoździć księżniczkę do ziemi, porwał za rogi. Z nadludzką siłą odciągnął go pod dąb i tu najpierw powalił ryczącego zwierza na przednie nogi, a potem z trzaskiem i chrobotem łamiących się kości skrzył mu potężny kark.

— Dziw, dziw — zawołali myśliwi, którzy co koń wyskoczy przybyli na pomoc córce włodyki.

Ślepią tura bielmem zaszyły, z paszczęki bluznęła piana. Osilek, spotniały i czerwony po wielkim trudzie, podjął z ziemi Sławkę. Postawił bosą stopę na cielsku powalonego byka, wy-ciągnął muskularne ramiona ku Radosławie. Chciał oddać dziewczynkę matce, lecz księżniczka objęła go rączkami za szyję, przywarła rumianym policzkiem do jego ogorzałych lic.

— Jak się zwiesz, wybawco mej dziedziczki? — zapytał Sławobór otoczony gromadą sokolników i oszczepników.

Siłacz wydał z gardzieli niedźwiedzi pomruk. Nie znał ludzkiego języka, pomyśleli przeto łowcy, że jest niemową; księżę zaś postanowił sam nadać mu imię.

— Sławnyś stał się w całej Sławii z jarej swojej mocy — powiedział — Jarosławem tedy zwać cię będziemy.

— Jarosławem Piastunem — dodała księżna widząc, że Sławka ani myśli puścić krzepkiego opiekuna. — Pójdiesz z nami na gród, do Sławna. Pod twoją pieczę córka moja rosnać będzie.

Na grodzie przystrojono moczarsza w bogate szaty. Podczas uczt brał za stołem jedno z najwyższych miejsc, przed łowczym, podkomorzym, miecznikiem. Wszyscy podziwiali jego siłę, lubili go za łagodność, poczciwość, dobre serce. Jeden z rogów zwyciężonego tura pole-cił Sławobór przerobić na złotem okuty puchar biesiadny, drugi na myśliwski róg dla syna Miedwieda. Nosił go Jarosław na czerwonych rzemieniach u boku, gdy ku zabawie księżniczki rzucał cisowym oszczepem przez tonie jeziora Wicko. Pewnego wszakże dnia zranił przez nieuwagę czarną niedźwiedzicę, która go wychowała. Wtenczas w pień najstarszego z dębów ostępu wbił

włócznie tak głęboko, że nikt już nie zdołał jej wyciągnąć. Nigdy od tej pory nie nosił broni.

Niesłychane dziwy powiadano o piastunie Sławy. Dla niej miał wykopać jezioro Kopań, usypać Barzowicką Górę. Z daleka ściągali na gościnny dwór sławiński najtężsi siłacze, by zmierzyć się z mocarzem. Książę Sławobór, w szarej sukni, przepasanej czerwonym pasem, siadał w cieniu modrzewiowych sobót otaczających grodzki dziedziniec, krzyżował nogi oplecione krasnymi rzemykami skórzni, dawał znak słowińskim, szarym kapeluszem:

— Zaczynajcie, w imię Świętowita, ojca bożyców!

Smardowie zapalali beczki smoły i w czerwonej poświacie płomieni zapaśnicy zaczyna-li wodzić się za pasy. Nikt jednak nie potrafił przemóc Jarosława, który dwoma palcami podnosił dwóch naraz ciężkozbrojnych wojów w kaftanach ze skóry naszywanej żelaznymi blachami, w spiczastych hełmach, z wielkimi tarczami na plecach. Księżniczka, siedząc obok ojca i matki na jaworowej, szkarłatnym suknie pokrytej ławie, w dłonie klaskała z dziecięcej uciechy:

— Jarosław górą, Jarosław, Jarosław!

Pomian, psotny syn Boruty, włodyki borów, niósł po lasach Sławii echa wesołej wrza-wy:

*Dziedziczka Sławna, maleńka Sława,  
„Jarosław górą — woła — Jarosław!”  
Imię piastuna jej Jarosława  
po świecie, wicherze, szerokim rozstaw,  
od góry Chełmu aż po Rowokół  
niechaj wieść o nim z wiatrami płynie,  
niechaj go wszyscy znają naokół  
w całej słowińskich ksiąząt dziedzinie!*

Znano go też i w Sławii, i poza jej granicami. Wiedziano, że jak cień towarzyszy Sła-wce. W dzień na rękach ją nosi, nocą sypia u progu jej białej górnicy, a ona uczy go ludzkiej mowy; długie, płowe włosy mu czesze złotym grzebieniem i zaplata w mnogie warkocze.

Wszystko gotów był dla niej uczynić. Obiecywał jej udzierzgać ogromną sieć z grabo-wego łyka i złowić w nią dziworybę — jednoroga. Sadzał ją na grzbiet złotoockiej niedźwie-dzicy, opowiadał

o kniei i morzu, o Gostkowych córach, przekornym Pomianie, Świętowicie cwałującym w chmurach z błyskawicową włócznią, Poświęście, co dmucha w żagle okrętów.

— Gdzie ty, tam i ja — powtarzał Sławce przez wiele lat i zaręczał, że nie opuści jej na krok aż do dnia wesela.

Strzegł jej jak źrenicy oka podczas myśliwskich gonitw. W święto zrównania dnia z nocą, kiedy Sławobór i Radosława ruszali z dworem do kątyny na szczycie Rowokołu, wiódł za wodze rumaka ich córy. Latem, gdy przekwitały bzy i trzemchy, pod jego opieką jeździła księżniczka nad morze, na przylądek, w odwiedziny do czarnej niedźwiedzicy. Jarosław, wsparty głową na kudłach mamki, zasypiał na krawędzi jarzębinowego gaju, a Sławka plu-skała się jak ryba w falach albo tańczyła po pustym brzegu.

— Okręty — klasnęła kiedyś w dłonie z radością. — Dwa okręty tu płyną!

Wielki statek dobił do wybrzeża.

— Piękna córo Winlandu, kraju szczęścia — zawołał brodaty żeglarz. — Wstąp na łódź kupca Asmunda z Łososiowej Zatoki! Jeszcze żadna z niewiast tego nie pożałowała.

W dłoniach cudzoziemca zaszeleściła powłóczysta suknia ze szkarłatnego jedwabiu, ozdobiona złotymi guzami. Zamigotały srebrne naramienniki i łańcuchy misterne. Znęcona księżniczka weszła na pokład. Wyciągnęła ramiona.

— Odbijać — krzyknął kupiec do wioślarzy.

Zepchnęli korab, rozwinęli żagiel. Krzyknęła dziewczyna porwana. Nie usłyszał jej Jarosław pogrążony w głębokim śnie, ale niedźwiedzica łbem trąciła śpiocha, mruknęła mu do ucha w niedźwiedzim języku:

— Wstawaj, piastunie! Ratuj panią swoją!

Zerwał się osiłek. Ujrzał żagiel: jeden, drugi. Bez namysłu skoczył z przylądka w morze. Rozgarniając fale ramionami, doścignął oba statki. Zbrojni żeglarze, widząc bezbronny człeka dopływającego do ich komiegi, chwycili pływaka za długie warkocze, wyciągnęli go z toni na pokład.

— Spętać go — rozkazał Asmund. — Niech w pętach leży na dnie naszego statku obok tamtego brańca z Uznania! Ucieszy się nasz pan, kiedy troje niewolników przywieziemy mu z tej pławby.

Jarosław odgarnął z twarzy mokre warkocze. Otarł źrenice zalane

słoną wodą. Oburącz ujął gruby maszt. Złamał go jak słomkę. Machnął w prawo i połowę okrętników zmiotł z pokładu. Machnął w lewo i reszta załogi znalazła się za burzą.

— Czarownik, czarownik — wrzeszczeli wikingowie płynąc co siłą ku drugiemu z ich statków zbójceckich, ale gdy się nań dostali, natychmiast zaczęli grozić: — Wróćmy! I u nas nie brak takich mężów, co znają potężne czary! Sagamadr Osur z Kruczej Przełęczy pomści naszą klęskę.

— Wyryjemy imię króla naszego Ingwara na głazach tego przylądka — miotał się Asmund z Łososiowej Zatoki. — Przyniesiemy nasze bojowe tarcze na Złoty Strąd! Wydrze-my wam Sławę!

Syn Miedwieda nie odparł nic na te pogróżki, ujrzał bowiem, że księżniczka pochyła się nad młodym jeńcem, który w rzemiennych więzach leżał na dnie komiegi. Pomógł jej uwolnić brańca, a ten dziękując im obojgu tak rzekł:

— Zwę się Barnuta. Ojciec mój włada ostrowiem Uznam. Usłyszałem o pięknej księżniczce na Sławnie i wyprawilem się morzem, by o rękę jej poprosić. W drodze zdradą pojmał mnie ten kupiec-zbój. W mocniejsze wszakże teraz popadłem więzy, spotkałem bowiem tę, której szukało me serce! Jej niewolnikiem pragnę zostać.

To samo powtórzył stanawszy przed księciem na sławińskim grodzie. Sławobór i Radosława zgodzili się oddać mu córę. Ona jednak spojrzała na piastuna:

— Rzekłeś, Jarosławie, że opuścisz mnie w dzień wesela?

— Czuwać będę na przylądku naszym, by nikt nie naszedł niespodziewanie tej ziemi — odparł wspomniawszy pogróżki Asmunda i jego wioślarzy. — Strażować będę, aby nic nie zakłóciło twego szczęścia.

— Bądź, Jarosławie, niezłomnym strażnikiem brzegu — zgodził się włodyka. — Strzeż, Łomimaszcie, przylądka, który od twego imienia miano Jarosławca z woli mej otrzyma!

Przez rok cały wznosił piastun kamienną strażnicę na przylądku jarosławieckim, a gdy na szczycie budowli zawisł zielony wieniec, tutaj właśnie wyprawiono weselisko Sławy z Barnutą. Powiały w morskim wietrze znaki książęce, bitewne, rodowe. Rozpalono ogniska. Pieczono na rożnach woły, jelenie, dziki. Grajkowie grali na piszczalkach i kozach. Wiły się taneczne korowody. Sławobór

podnosił róg biesiadny. Ucztujący woje i niewiasty przepijali do siebie, klaskali w dłonie, śpiewali beztrasko:

*Nie naszą sprawą pochodni łuna,  
miecz, który słabych nęka i gnębi,  
lecz łagiew miodu, gęśl pięciostrunna,  
krasne nawieży szumnych jarzębin.  
Tyle już razy najeżdźcy w cwale  
na nasze strzechy żagwie rzucali,  
a my topory w dłonie i dalej  
ciosać do nowych podwalin bale.  
Darzy nas Dadźbóg gędźby weselem,  
pod wtór więc morza śpiewajmy razem:  
oj, chmielu, chmielu, dziwne ty ziele,  
ogniem nie zniszczą cię ni żelazem.*

Długo trwały śpiewy przeplatane płasami i brzękiem kruż, ale na koniec sen zmógł biesiadników. Posnęli jedni w rozbitych namiotach, inni przy ogniskach, inni jeszcze przy stołach. Tylko Jarosław, wierny swemu postanowieniu, czuwał na przyładku. Tylko on dostrzegł w księżycowej smudze czarne żagle nadpływającej floty króla Ingwara. Podniósł do ust róg Turopłoch i zagrział:

— Rata, bracia, rata... Wstawajcie! Ciągną zbóje zza morza. Drużynniki ze skalistych zatok.

Pobudzili się sławińscy woje. Hurmem pobiegli ku lasowi chorągwi i oszczepów zatkniętych w ziemię, ku koniom przywiązanych do jarzębinowych pni. Siodłać je poczęli w pośpiechu. A tymczasem wikingowie polewali wodą okrągłe tarcze opięte skórą, która wyschła w słońcu, dobywali krótkich mieczy i zaciskając dłonie na rękojeściach spowitych wielorybią skórą, wdzierali się na zbocze.

— Thor, Freja, Odyn — ryczeli w ulewie strzał i zapalonych głów, ciskanych z wyżyny przez Pomorzan. — Sprzyjajcie Ingwarowi, nieulekłemu królowi morza!

— Sława, Sława — odkrzykują obrońcy.

Furczą w powietrzu miotane topory bojowe. Świszczą groty dziurytów. Jak przewał fali kipi północny szturm. Sławobór, dzierzący stanicę Sławii, starł się na krawędzi osypiska z królem w koszuli z żelaznych ogni. Barnuta zмага się z podstępny Asmundem.

Dźwięczą tarcze. Miecz o miecz dzwoni. Sypią się iskry z żelaz. Huczy młot kamienny. To w dole, na brzegu, srebrnobrody, półnagi sagamadr Osur ryje w nadmorskim głazie runy królewskiego imienia. Wierzy, że jeśli zdąży je wykować, nikomu już nie uda się wyprzeć stąd północnej drużyny Ingwara Zdobywcy. Trwożą się krasne jarzębiny:

*Czy obcy konung, czy rzezi sprawca  
zdobędzie morski próg Jarosławca?  
Czy w gruzy runie strażnicza baszta,  
którą dźwignęła dłoń Łomimaszta?  
Czy władać będzie tu, wśród jarzębin,  
miecz, który słabych nęka i gnębi?  
Czy darmo zagrzmał róg Jarosława,  
dobrą zwycięży sprawę zła sprawa?*

Fala bije o brzeg. Omywa burty statków. Świt zapala nad morzem rudą łunę. Bije młotem sagamadr. Budzą się mewy. Pod granitową strażnicą Jarosław trzyma uzdę rumaka księżniczki. Wierna niedźwiedzica ociera się o nogi osiłka. Tarczownicy zasłaniają szczytami księżną i jej córę, lecz jedna z włóczni świszcząc złowieszczo wpada w szczelinę między tarczami. Bolesnie ryknęła złotooka mamka. Jarosław wydarł oszczep, który zagłębił się w jej kudłach. Podniósł skrwawiony grot. Jak wichur skoczył ze zbocza na brzeg. Roztrącił ciżbę zbrojną.

— Broń się! — krzyknął do Osura.

Już padł Asmund. Już cofa się Ingwar. Nie zdążył półnagi sagamadr wyryć jego imienia w złomie granitu. Młotem Thora musiał osłonić się przed ciosem oszczepnika. Na przedprożu sławińskiej ziemi, w białych iskrach mew, w krwawej łunie rannej zorzy, w srebrze prysku fal rozgorzała śmiertelna walka wiecznego piewcy podboju ze strażnikiem słusznej sprawy. I trwa.

*W mewich hejnałach, w zorzyc czerwieni,  
tam gdzie ślad wrył się statku Ingwara,  
morza i lądu kipi waśń stara,  
jarosławiecka klechda się pieni,  
kiedy dziś nocą latarnia świeci,*

*pomorski wicher — oszczepnik jary —  
z siwym się skaldem bierze za bary,  
zacięty wiodąc bój od stuleci.*

## **DZWON Z WOLIŃSKIEGO RATUSZA**

*Jest dzwon ratuszowy w porcie Wolinie,  
który na całym Pomorzu słynie,  
w mieście Wolinie jest dzwon nad dzwony;  
kiedy doń przyjdzie kto pokrzywdzony  
i sznur pochwyci i nim zatarga,  
zaraz spiż serca rozdzwonią skarga,  
zaraz się niebo nad grodem chmurzy  
nadpływającym obłokiem burzy,  
zaraz na ratusz rajcowie spieszą,  
a lud na rynku zbiera się rzeszą  
i czeka w ciszy, aż miejska rada  
wzniesioną skargę rozezna, zbada,  
krzywdę nagrodzi, ukarze zbrodnię,  
by znów z chmur słońce błysło pogodnie,  
by w jego złocie wśród wzgórz i dolin,  
jak okręt pławił się stary Wolin.*



Czy znacie opowieść o dzwonie z wolińskiego ratusza? Chyba nie, gdyż wiele minęło wieków od chwili, w której zawieszono go uroczyście na siedzibie miejskiej rady tego miasta, a dziś daremnie go szukać w zniszczonym burzą ostatniej wojny porcie nad Dziwną. I wtedy zresztą Wolin nie był już potężnym, dwunastobramnym grodem, sławionym od Nowogrodu ruskiego po hiszpańską Kordobę przez cudzoziemskich kronikarzy, wspomnianym przez śmiałych okrętników i pobożnych towarzyszy biskupa Ottona z Bambergu. Miasto bogatych kupców, rzemieślników, marynarzy, dumne ze swych złotych i srebrnych skarbów, rzeźbio-nych świątyń, przystani mieszczącej trzysta statków i pierwszej na Północy latarni morskiej, zwanej Greckim Ogniem albo też Garncem Wulkana, poszło z dymem. Duńczycy, pobiwszy przy pomocy wojowniczych Ranów w Gryfickiej Zatoce flotę księcia Bogusława, zdobyli wolińskie wały, obrócili w perzynę domy, mosty, kościoły.

— To kara za wasze grzechy — obwieścił pomorski biskup Konrad wolinianom, gdy ci wrócili po najeździe na zgliszcza i popioły zburzonego grodu. — Nie słuchaliście mnie, kiedy-dym wzywał was do poprawy. Głos mój był głosem wołającego na puszczy! Dlatego spłonęło miasto. Dlatego zmieniło się w pustkowie, na którym psy wyją pośród pogorzeli! Dlatego odejdę z gruzów tej Sodomy. Nie chcę dłużej przebywać z wami.

Na próżno wolinianie błagali, by nie opuszczał ich w ciężkiej chwili. Wstąpił na okręt i popłynął w dół Dziwny, do Kamienia, książęcej stolicy, która odtąd miała stać się również siedzibą biskupią. W Wolinie zaś przy ruinach tumu Św. Wojciecha i Wacława osadził jako proboszcza Mirka Bógdała. On to jał dźwigać z upadku świątynię ufundowaną przez Krzywoustego księcia. On służył radą, wspierał pomocą grodzian i podgrodzian, odbudowujących spalone domostwa przy uliczkach Garnarzy, Kowali, Tkaczy, Garbarzy. On też podobno rzekł bratu swojemu Cieszowi, kiedy go obrano wójtem miasta, wracającego powoli do życia:

— Musimy, bracie miły, pospołu pilnie baczyć, aby mieszkańcy Wolina nie popadli w pychę. Musimy stróżować, by służyli sprawiedliwości, a krzywdzie nie pozwalali przekroczyć bram naszego grodu. Gorąca krew płynie w wolinianach, buta zaś łatwo ich zaślepia! Ot, przecie i nasz ojciec ledwie nie ubił ongi biskupa Ottona,

gdy ów na rozkazanie polskiego władcy przybył tu, nad Dziwnę, głosić Dobrą Nowinę.

— Uznał wszakże nasz rodzic swój błąd — wtrącił wójt Ciesz. — Ochrzcił się, zawrócił ze złej drogi! Do dziś powiadają starzy, że kiedy biskup polewał mu głowę święconą wodą, niedoszły zabójca powtarzał ze skruchą: „Bóg dał, iżem cię nie zabił”.

— Stąd to ród nasz od owej pory nosi miano Bógdałów — przytaknął paroch Mirek spoglądając na krucyfiks wiszący nad klęcznikiem w kącie jego izby. — Przestroga stało się dla nas to nazwisko! Trzeba jednak, aby innych także w czas ostrzegał głos przestrogi. Ufundujmy tedy na ratuszu dzwon. Dzwon, w który będzie mógł uderzyć każdy pokrzywdzo-ny człek, by zażądać sprawiedliwości od wolińskiej rady. Zgoda?

— Dobrze radzisz, bracie — zawołał wójt. — Niechaj ni bogacz, ni wielmoża nie ośmieli się pod naszym bokiem krzywdzić biedaka i ściągać nieszczęścia na gród nasz.

Opuścił plebanię. Wieczorem w portowej miodosytni Pod Krzyżykiem omówił sprawę z ławnikami Kluczem i Sarną. Sprowadzono z Kamienia ludwisarza, lejącego dzwony dla tamtejszej, nowej katedry. Mistrz zabrał się rażno do roboty i niebawem, podczas świętowej-cieskiego odpustu, gdy z okolicy ściągnęły tłumy ludzi na doroczny jarmark, miejscy pachół-kowie zawiesili na nowo wzniesionym ratuszu spiżowy dzwon.

Działo się to przy wtórze trąb, rogów, kotłów, w obecności całej rady wolińskiej, gildy kupieckiej i żeglarskiej, cechów korabniczych, piwowarskich, tkackich. Cizba rybaków, kowali, garncarzy, chłopów, garbarzy, zatłaczająca rynek nad przystanią, w skupieniu przy-słuchiwała się słowom Mirka Bógdała, który, poświęciwszy ratuszny dzwon, tak prawił:

*Dzwonie woliński, ratuszny dzwonie,  
niech żywe serce drga w twoim łonie,  
niech żywe bije w łonie twym serce,  
broni ubogich, oskarża ździerce;  
nasłuchuj we dnie, nasłuchuj w nocy  
wdowiego płaczu, skargi sierocej,  
jak stróża czuwaj na prawa straży,  
niech nikt się słabych krzywdzić nie waży,*

*niech głos twój budzi wójta i sędzie,  
niech gród nasz grodem prawości będzie,  
niech kto przewini nad brzegiem Dziwny,  
nie ujdzie sądu, nie ujdzie grzywny...*

Wtem porwały się mewy z rej barek i statków przycumowanych do pali portu. Na długim moście, wiodącym z przedmieścia Reclawia przez koryto Dziwny ku miastu, zadudniły podkowy. Wszyscy ludzie na rynku odwrócili głowy ku rzece. Zza Wodnej Bramy wypadł na rojne targowisko jeździec okryty kurzem i błotem. Włosy miał zmierzwione, szatki podarte, zakrwawione. W rękę trzymał goły miecz.

— Bydgost Denar — poznali mieszczanie najbogatszego z kupców Wolina.

Przybysz osadził przed ratuszem długogrzywego siwka. Zeskoczył z siodła, szarpnął sznur miejskiego dzwonu, załomotał sercem spiżowym.

— Czeladź moja pobita! — krzyknął chrapliwie. — Wozy ograbione!

Otoczyli go wolinianie. Jęli niesfornym chórem dopytywać, co zaszło.

— Towary bogate wiozłem z Poznania — odpowiedział. — Całą drogę przebyłem szczęśliwie. Dopiero w Goleniowskiej Kniei zbóje nas napadli. Popodcinali drzewa. Zatrzymali karawanę wozów na trakcie, przewracając ogromne pnie, drogę nam grodząc. Sługi me wystrzelali z kusz, wysiekli toporami. Ledwie ja jeden z życiem uszedłem, gardło ocaliłem...

— Jakoś zdołał wymknąć się z zasadzki? — przerwał ławnik Sarna, stojący wraz z kamratem Kluczem obok wójta przy dźwierzach ratusza.

Bydgost odsapnął. Ramieniem otoczył szyję białego ogiera, poklepał go po grzywie.

— To on, Grzywacz, druh mój najwierniejszy, cało uniósł mnie z obieży, z deszczu strzał, którymi w biały dzień siała tam leśna gęstwina. Przesadził jednym skokiem zwalone chojary i pognął jak wichur ku Wolinowi. Jemu jeno ratunek zawdzięczam. Do śmierci zachowam dlań przyjaźń i wdzięczność.

Rozkołysany dzwon na ratuszu wciąż bił jeszcze, choć kupiec

puścił już sznur. Dźwięk jego niósł się pod chmurne niebo, wypełnione mewim trzepotem.

— Domaga się sprawiedliwości — podniósł rękę proboszcz Mirosław. — Słyszycie ?

— Nie pozostaniemy głusi na jego głos — zapewnił wójt Ciesz. — Pomścimy, Bydgo-ście, twą krzywdę. Pierwszy wezwałeś na pomoc naszego stróża ze spiżu, jako pierwszy też się przekonasz, że nikt go nie będzie wzywać daremnie.

— Prowadź nas, Denarze — zawołali garbarze, mistrzowie i czeladnicy. — Wygarbuje-my skóry tym rzezimieszkom.

— Wiatr z nimi zatańczy na Wisielczym Wzgórzu — huknęli tkacze, korabnicy, kowa-le.

— Po cóż wlec ich aż tutaj — oburzali się inni. — Mało to w puszczy suchych gałęzi?

Kto żyw siodłał konia, przypasywał kord, chwycił włócznię, kuszę, topór. Nie minęło kilka pacierzy, a zbrojna gromada pod wodzą wójta i ograbionego kupca, sadzącego na wie-rnym Grzywaczu, ruszyła za Dziwnę na gościniec ginący w mrocznym ostępie. Tej jeszcze nocy dopadli rozbójników, drzemiących przy wygasłych ogniskach na polanie wśród trzęsa-wisk, w cieniu wysokopiennych dębów, buków, chojarów.

— Wiąż łotrów grasujących na równym trakcie — rozkazał Ciesz. — Nie ujdą kary. Osądzimy ich na ratuszu. Stanie się zadość sprawiedliwości, której dzwon nasz zażądał.

Pojmano zbójców po krótkiej walce. Spętano ich i powleczono na powrozach za ogona-mi koni, za wozami z zagrabionym towarem do miasta nad Dziwną. Ponieśli zasłużoną karę. Osądzeni według prawa zawiśli na szubienicach, ciemniejących na szczycie podmiejskiego wzgórza, nad zarosłym trzciną brzegiem wielkiego zalewu. Mirek Bógdał opisał zdarzenie to w miejskiej kronice. Rozniosła się sława sprawiedliwego dzwonu po nadmorskiej ziemi. Śpiewano w miastach, wsiach, portowych karczmach, na pokładach kupieckich statków:

*Hen, za morzami, w szerokim świecie,  
cudy-niewidy, ludzie, znajdziecie:  
miasta ze złota, lodowe mury,  
piekielnym ogniem plujące góry,  
ludzi na węgiel spalonych słońcem,*

*kamienie krwawą rosą płaczące,  
stwory ogromne, dwuogoniaste...  
Wždy jaki gród się z tym równa miastem?  
Ze wszystkich rzeczy najbardziej dziwną  
obaczyć można w mieście nad Dziwną,  
jest dzwon ratuszny w porcie Wolinie,  
który na całym Pomorzu słynie,  
w mieście Wolinie jest dzwon nad dzwony...*

Wszyscy marynarze na wodach i wybrzeżach Bałtyku, wszyscy kupcy, mnisi, rycerze, chłopci znali tę piosnkę. Każdy obieżyświat ciekaw był ujrzeć na własne oczy dzwon sprawie-dliwości, który większy zyskał w świecie rozgłos niż zburzona przed wielu laty morska lata-rnia — duma najmożniejszego z północnych portów. Jeno zbóje, kostery, złodzieje, oszuści z daleka omijali Wolin i odwracali oczy od piaszczystego Wzgórza Wisielców, gdzie wiatr kołysał szkielety rabusiów z Goleniowskiej Kniei.

— Nic tam po nas — powtarzali z niechęcią. — Niechaj innym dzwoni ratuszny dzwon Wolina.

Dzwon jednak odzywał się nader rzadko. Wolinianie strzegli się skrzywdzić kogoko-lwiek, by spiżowe serce nie wezwało ich na sąd przed miejską ławę. W pokoju i zgodzie płynęły im lata. Odbudowali spalony tum, wzniesli za murami kościółek pod wezwaniem Św. Michała. Do mostów przystani przybijały zamorskie okręty. Bezpiecznymi traktami ściągaly karawany kupców. Na jarmarkach gromadzili się rybacy, kmiecie. W zasobnych kramach ku-powały dworki pomorskiego księcia wzorzyste tkaniny, klejnoty, futra. Przybywało z każdym rokiem złota w skrzyniach wolińskich mieszczan, najwięcej zaś chyba w żelaznej skarbnicy Denarowej. Sąsiedzi kręcili głowami nad rosnącym bogactwem Bydgosta, który, przejeżdża-jąc na starzejącym się, lecz wciąż jeszcze pięknym siwoszu przez ulice miasta, z zadowole-niem słuchał śpiewek dobiegających z garncami, kuźni, karczem i łaźni:

*Rzecz niesłychana, wprost nie do wiary,  
jak do Denara ciągną denary,  
ma on ich więcej w swojej komorze  
niżli nasz biskup w kamieńskim dworze,*

*niżli sam książę w zamkowej wieży;  
Denar korcami denary mierzy,  
gdyby miał jeno na to ochotę,  
mógłby wymościć srebrem i złotem  
swoich denarów, swoich dukatów  
trakt od Wolina aż po Trzebiatów...*

Posiwały proboszcz Mirosław także posłyszał kiedyś te rymy. Pełen troski zwierzył się bratu:

— Lękam się, by owo złote brzemie nie pociągnęło sławetnego Bydgosta w odmęt nieprawości. By nie stał się on podobny do bogacza, odtrącającego łazarzy od progu swego domu, skąpiącego ubogim okruszyn z biesiadnego stołu.

— Nikt się dotąd nie poskarżył, aby go imć Denar skrzywdził, wyzyskał czy oszukał — stanął wójt Bógdał w obronie możnego kupca. — Milczy ratuszny dzwon.

Duchowny podniósł oczy ku niebu.

— Najserdeczniej pragnę, by nie miał przyczyny więcej się odezwać. Oby nie znalazł się ni jeden nieprawy człek w naszym mieście, który by zbudził z uspienia spiżowego Stróżę. Wszelako widziałem onegdaj na targu, jak Bydgostowi oczy złym ogniem na widok pieniędzy płoną. Modlić się zań będę.

I znów minęło lat kilka. Nadeszła sroga zima. Mróz powlekł srebrem szybki z rogu w oknach wolińskich świątyń, domów, gospód. Porozwieszał sopte lodu na rejach statków uwięzionych krą w porcie. Przepędził mewy znad Pomorskiej Zatoki i Szczecińskiego Zalewu. Zmusił je do szukania przytułku i żeru w zacisznych uliczkach, w pobliżu dymiących komi-nów, łaźni buchających parą, piekarni i garncarskich pieców.

— Mróz aż w uszach dzwoni — narzekali okrętnicy rozgrzewając się garncami miodu w portowej karczynie Pod Krzyżykiem.

A stróże, pilnujący w noc Wigilii bram miasta, otulali się w baranie kozuchy, chuchali w zgrabiałe ręce, patrzeli z zazdrością na mieszczan, którzy przyświecając sobie latarniami i żagwiami, wracali z pasterki przez mrok i skrzypiący śnieg do domów.

Pogasły światła w oknach fary. Umilkły śpiewy. Jedyne zamieć śnieżna zawodziła co-raz to głośniej. Przy jej złowrogiej kołysance zasnęło miasto, lecz niedługo było mu dane za-żywać świątecznego

snu i wczasu. Kiedy zadymka nieco przycichła, na rynku ozwał się nie-spodziewanie dzwon. Jęknęło spiżowe serce, najpierw cicho, nieśmiało, potem gwałtowniej, boleśniej. Rozkołysało się, rozstęniło w ciszy nocy zimowej.

Ocknął się zgrzybiały proboszcz, który postanowił spędzić tę noc na modłach w dawnym tumie, przy grobie Wojciecha, pierwszego biskupa Wolina. Zbudził się w kamienicy przy ratuszu wójt Ciesz. Podnieśli się z łóżnic ławnicy Klucz i Sarna. Zdało się im, że słyszą przez ściany i rogowe szybki głos donośny, natarczywy, nieubłagany:

*Zbudźcież się! Wstańcie! Na trwogę dzwonię.  
Ożyło serce w zimnym mym łonie.  
Na sąd was wzywa jęk mego serca.  
Jest w mieście naszym chciwiec i zdzierca,  
w mieście Wolinie zły człowiek gości,  
co krzywdą spłacił swój dług wdzięczności.  
Zbudźże się, wójcie! Zbudźcie się, sędzie!  
Niech na ratuszu ława zasiędzie.  
Niech uszu waszych nie ujdzie skarga  
pokrzywdzonego, co sznur mój targa.  
Niech nim znów niebo zamieć zachmurzy  
wielkim obłokiem śniegowej burzy,  
wójt z ławnikami i cała rada  
wniesioną skargę rozezna, zbada,  
niech obudzona ratusznym dzwonem  
sługę przed panem weźmie w obronę.*

Zadęli w rogi nocni stróże. Wyroili się wolinianie z rynkowych domów, z drewnianych chat przy krętych uliczkach, z lepianek w mrocznych zaułkach. Promyki światła zamigotały w ciemnościach jak złote pszczoły. Tłum zgromadził się na zaśnieżonym rynku. Milczał. Zdumienie odebrało ludziom mowę. W czerwonej poświacie łuczyw, w migotliwym poblasku latarń i kaganków zobaczyli bowiem niezwykłego oskarżyciela. Przed ratuszem stał ślepy, wychudzony koń i trzymając w pysku zwisający spod okapu sznur, targał dzwonem sprawie-dliwości.

— To wierzchowiec Bydgosza — wyjąkał ławnik Klucz, z trudem dobywając głos z gardła.

— Bydgosta? — zachnął się imć Sarna. — Być nie może. Toć znałem Bydgostowego ogiera. Rumak zeń był tęgi, na schwał, na tej zaś dychawicznej szkapie skóra ledwie kości powleka.

— Wychudł jak wiór — krzyknął jakiś młynarczyk z Denarowych młynów pod Młyńską Górą. — Nie dziwota, że trudno poznać w nim rączego Grzywacza. Pan nasz głodził go okrutnie od czasu, gdy zrozumiał, iż nie będzie miał zeń pociechy.

— Zapomniał, że mu przed laty po napaści zbójców w Goleniowskiej Kniei tu w naszej obecności dozgonną wdzięczność ślubował? — oburzył się wójt.

— Lepsza jego pamięć niż wdzięczność — odparł młynarczyk. — Gdy Grzywacz po-czał się starzeć, z każdym rokiem bardziej owsa mu skąpił. Cała młyńska czeladź zaświa-dczyć może o krzywdzie tego konia. Nie utył na łaskawym obroku, a skoro oślepl, wypędzić go kazano, by zdechl na mrozie.

Coraz to więcej zgłaszało się świadków. Parobcy Bydgostowi, rozżaleni na swego skapego chlebowawcę, wyjawili, że dziś, w noc wigilijną, kiedy to bydłeta przemawiają pono ludzkim głosem, zamierzali zakraść się do stajni i podsłuchać, co też Grzywacz powie o nie-wdzięcznym panu. Denar dowiedział się o tym przy suto zakrapianej wieszery. Zapał zło-ścią. Wygnał darmożjada za wrota. Wygłodzone konisko wałęsało się w zamieci po mieście. Ogryzało korę z żerdzi mostków i parkanów, błąkało się ulicami, aż zabłąkało się na rynek i pociągnęło konopny sznur dzwonu.

— Uderzył w dzwon sprawiedliwości — zawołał ksiądz Mirosław podnosząc ręce ku gwiazdom błyskającym między chmurami, wysoko nad miastem. — W dzwon, którego pomocy nikt skrzywdzony nie miał wzywać daremnie.

— Rozpatrzmy tę sprawę według praw spiżowego serca naszego dzwonu — zaręczył wójt Bógdał i poprawił szubę osuwającą mu się z ramion. — Niech ratuszny woźny przy-wiedzie bez zwłoki kupca Bydgosta do sądowej izby! On pierwszy wezwał opieki naszego stróży ze spiżu...

— I bodaj ostatnim był, którego głos spiżowy naszego dzwonu przed sąd jako niewdzię-cznika i krzywdziciela powoła — westchnęli obaj ławnicy.

— Amen — zawołał siwy proboszcz.

I tak się stało. Przeprowadzono Denara na ratusz, przed miejską



ławę. Skruszony kupiec słysząc wrogą wrzawę za oknami izby, czując słuszość surowych słów wójta i sędziów, uznał swą winę. Zapłakał. Poprzysiągł utrzymywać do śmierci tego, który ocalił mu życie, zapewnić mu opiekę, szczodry obrok i strzechę nad głową. Że zaś nie złamał przysięgi, o tym świadczy zapisek plebana Mirosława, uczyniony w rymowanej kronice miasta nad Dziwną:

*Denar, co tylko cenił denary,  
nie uszedł sądu, lecz uszedł kary,  
bo zdjęty żalem srodze rozpaczął,  
że skrzywdził druha swego — Grzywacza.  
Na sąd wezwany w tę noc przedziwną  
dzwonem ratusznym grodu nad Dziwną  
przejrzał i odtąd twierdził z ochotą,  
iż druh cenniejszy jest niżli złoto;  
naprawił krzywdę, okazał skruchę,  
do śmierci w zgodzie żył z wiernym druhem.  
Ja zaś, Mirosław zwany Bógdałem,  
w kronikę słowa jego wpisałem,  
by trwały, póki wśród wzgórz i dolin,  
jak okręt w słońcu, trwać będzie Wolin.*

## TOŃ UMARŁYCH

*Co noc koło Trzęsacza,  
u zwaliska na skarpie,  
siwy Bałtyk rozpacza,  
fal palcami łąd szarpie,  
tłucze głową o głązy  
pod urwistym pagórem,  
woła głucho, surowo:  
Oddajcie moją córę!*

Od tysiącleci szturmują Bałtyk wysokie brzegi naszej ziemi. Nigdzie jednak nie szarpie ich z tak drapieżną mściwością, jak w pobliżu Dziwnowa, tam gdzie na stromym urwisku wysoczyzny, na samej krawędzi przepaści czernieją ruiny jednego z trzech najdawniejszych kościołów Pomorza. Została z niego dzisiaj jedynie południowa ściana i część absydy. Na chmurnym niebie ostro rysują się zwaliska ceglanego muru, rdzawe łuki okien, przypory wzmocnione głązami. Wiatr szeleści w kępach zeschniętej trawy, porastającej ostatni skrawek trzęsackiego cmentarza.

Trzęsacz.

Jakże prawdziwe, jakże celne jest imię tej osady. Podczas zimowych sztormów ziemia trzęsie się tutaj pod stopami przerażonych mieszkańców. Spienione olbrzymy grzywaczy wdzierają się na kilkudziesięciosześniową skarpe. Rwą grudy spod węzlastych korzeni drzew. Obnażają głązy kościelnych podwalin. Podmywają cmentarzysko. Kruszą zbocze. Bryły gliny, walące się z góry na wąską piasecznię, gniewna kipiela miele na drobny miar. Prąd unosi go wraz z odłamkami cegieł i szczątkami zbutwiałych truchel na wschód, ku Słupskiej Ławicy, ale kamienie i kości, wymyte do śnieżnej bieli, pozostają w pobliżu urwiska na dnie toni, którą rybacy z sąsiedniego Niechorza nazwali:

Toń Umarłych.

Nieraz zdarza się bowiem, że sieć zagarnie i wyłowi z głębokiej zielenicy deskę tru-mienną, krzyż nagrobny lub czaszkę patrzącą na nich ze srebrnego kotłowiska ryb mrocznymi oczodołami. Nikt dziś nie odpowie, czyja to czaszka.: strądownego wójta Barnuty, plebana Dziwisza, rybitwy Gocławka, dzwonnika Koszałka czy żony jego Kuszki? W niepamięć poszły imiona ludzi, którzy żyli tu przed siedmiu wiekami, gdy położono w książęcej włości Dwór kamień węgielny pod tę cerkiew.

Stała ona wtenczas w odległości ponad tysiąca sążni od morza, a głosu dzwonu, dobie-gającego z drewnianej, zwężającej się ku górze dzwonnicy, nie zagłuszały poszumy fal, ale gniewny ich chór potężniał i zbliżał się z każdym wiekiem.

W połowie osiemnastego stulecia już tylko trzydzieści kilka sążni dzieliło kościół od brzegu, w następnym zaś znalazł się na krawędzi urwiska. Zamknięto go, bo ryk morza tłumił kazania, przeszkadzał w nabożeństwach. Chłopi poczęli opuszczać wieś, nad którą zawisła klątwa zagłady. Porzucali pola, sady, zagrody, przenosili się w inne, bezpieczniejsze miejsca. Drzewa, opustoszałe domostwa, cmentarne krzyże waliły się w otchłań. Wreszcie przed laty sześćdziesięciu zarysowały się mury kościoła, runął dach, rozpadła się dzwonnica. Bałtyk przyszedł po nadmorską kirchę. Zabrał świątynię i włość. Uniósł łup pożądany. Dlaczego nie spoczął, póki nie ukończył dzieła zniszczenia? Dlaczego z takim uporem wgryzał się w trzę-sackie wybrzeże, złościł sobie drogę do starego cmentarza? Nauka wytłumaczy to sucho nieu-błaganymi prawami przyrody. Legenda — prawem, które od niepamiętnych czasów sprawuje rządy ludzkich serc, groźnym przykazaniem miłości i nienawiści, surowym wyrokiem morza, złościącego runy gniewu na glinianych tablicach klifów pobrzeża.

## I

Dziwisz Głęch, pleban z Dworu, zatrząsł się trwożnie jak osika, gdy wójt strądowny Barnuta wróciwszy któregoś dnia z Kamienia, biskupiej stolicy, zakołatał do plebanii przy dworskim kościele i

głucho oznajmił:

— Macie się stawić jutro skoro świt przed biskupem Hermanem. Przykazano mi, iżbym tego dopilnował.

— Święty Dionizy, patronie mój — jęknął proboszczyna oczy wznosząc ku chmurnemu niebu. — Miejże mnie w opiece.

Lękał się biskupa — jak i wielu innych kaszubskich parochów — bardziej niż samego diabła. Herman, Niemiec z możnego rodu Gleichenów, od niedawna rozsiadł się na biskupim tronie w Pomorskim Kamieniu, zdążył już wszakże mocno dać się we znaki poddanym księ-cia Barnima Dobrego.

— Dobrym jest nasz książę — narzekano jak kraj długi i szeroki — ale jeno dla Sasów z Lubeki i innych przybłędów niemieckich. Z Niemką żonaty, Niemcom sprzyja. Ich obdarza przywilejami, ich na urzędach osadza, im ziemie i bory nadaje. Za jego zezwoleniem biskup zmienił ziemię kołobrzeską w swoje księstwo, sprowadził obcych kupców i warzelników do Kołobrzega — solnego grodu, zaludnił klasztory rzeszą niemieckich i duńskich mnichów. Po wsiach jedynie ostali się gdzieniegdzie miejscowi plebani, wszelako i oni żyją niepewni dnia ani godziny.

Dziwisz doskonale wiedział o tym wszystkim, toteż pełen najgorszych przeczuć chwy-cił kij, narzucił opończę wytartą i podążył do Kamienia. Od dawna nie był w tym mieście, wzniesionym przez pomorskich włodyków nad Dziwną naprzeciw chrząszczewskiej wyspy. A przecież tu stała jego kołyska. Tu matka kołysała go do snu piosnką o wodnicy, która, porwana przez rycerza-rozbójnika, zakłęła jego zamek w skałę sterczącą z rzeki przy Chrzą-szczewie. Tu przy kościółku Św. Idziego uczyli go krakowscy dominikanie pobożnych mo-dlitw i pieśni.

— Może oni, nauczyciele moi, poratują mnie w nieszczęściu — szeptał sam do siebie, krocząc powoli krętą drożyną. — Może wstawią się za mną u biskupa.

Ale w Kamieniu nie zastał już nikogo z dawnych znajomych. Ani prepozyta Przybysła-wa, ani diakona Radosza, ani mnichów z podgrodzia. W kurii, w kapitule, na zamku i w odbu-dowanym po najeździe Brandenburczyków portowym mieście rządzili sami Niemcy. Niemie-cka mowa rozbrzmiewała na rusztowaniach oplatających ceglane mury tumu Św. Jana, na mostach rzecznej przystani, na rojnym targowisku. Gościńcami sunęły karawany

wozów zaprzężonych w meklemburskie konie i woły. Z gospód buchała wrzawa, brzęk cynowych dzbanów, klątwy, przechwałki i pieśni nowych osadników:

*Na wschód, na wschód, na wschód  
niemiecki ciągnie lud,  
wozami, konno, pieszo  
ogromną wali rzeszę,  
przebywa rzeki w bród.  
Na wschód, na wschód, na wschód  
niemiecki ciągnie lud,  
przez drogi i bezdroża,  
na zgliszczach wsi Pomorzan  
za grodem wznosi gród...*

Jedynie rybacy nad Karpinką i w Cichej Zatoce, garncarze, korabnicy, cieśle, łagiewni-cy, wypchnięci poza obręb miasta, porozumiewali się jeszcze w ojczystej mowie, lecz zastraszeni milkli i schodzili z drogi, gdy tylko pokazał się na niej który z butnych przybyszów.

Nieswojo, całkiem obco poczuł się proboszcz Głęch w grodzie rodzinnym. Zdawało się, że kamienny święty Paweł, zdobiący jedną ze ścian katedry, grozi mu wielkim mieczem, Piotr-klucznik spogląda nań spode łba, a nawet baranek i anioły odwracają od niego głowy z niechęcią i wzdargą.

Wstąpił jednak przez poczwórny portal do tumu, gdzie w kolistej absydzie śpiewano mszę, a pod przeszłami sklepienia, po wysokich schodkach i gankach snuli się pokutnicy z zawiązanymi oczyma.

Krótko się modlił, bo wyгнаło go stąd przerażenie, gdy jeden z nieszczęsnych skazań-ców owego bożego sądu runął z góry i bluzgając krwią skonał na granitowych ciosach posadzki.

Długo czekał Głęch na zamku, nim dopuszczono go przed biskupa.

— Nakazałem, iżby lud nadmorski płacił wam nową daninę, zwaną prochove — grzmiał dostojnik w sąsiedniej, tronowej komnacie, a każde jego słowo tłumaczyli jak echo klerycy-tłumacze kaszubskim parochom i klechom. — Jak ojciec dbam o was, wy zaś za chleb dobroci kamieniem niewdzięczności mi się odpłacacie.

Zarzucał duchownym, że niedbale traktują swój urząd, że w powierzonych im wioskach pozwalają, by krzewił się pogański obyczaj. Parafianie ich pacierzy nie znają. Poświstowi kłaniają się, prosząc go o pomyślne wiatry, po dawnemu czczą Świętowita, a zamiast pielgrzymować do kościołów i klasztorów, żeglują potajemnie na wyspę Ranę, aby składać obiady na gruzach arkońskiej kątyny. Powstawał groźnie na świętowanie Sobótki i Dożniwku, na odwieczne pieśni, gusła, zabobony.

— Boże, bądź miłościw — bił się ukradkiem w piersi pleban z Dworu, jako że miał niezupełnie czyste sumienie.

Zazierał do sali. Z lękiem śledził każdy gest biskupa rozpartego na dębowym karle ksią-żącym. Tęgi, barczysty, czerwonogęby przypominał raczej króla niż duchownego, choć na głowie miał infułę, w rękę pastorał, a na fioletach jego szaty połyskał klejnotami złoty krzyż z relikwiarzem. Pałał gniewem, karmił wezwanych, dyktował klechom surowe wyroki, bił ciżmą o podwyższenie, pokryte szkarłatnym suknem, ścigał krzaczaste brwi. Kiedy z kolei stanął przed nim Dziwisz i pochylił się, by ucałować biskupi pierścień, cofnął gwałtownie rękę.

— Najczarniejszą owcą w owczarni mej tyś jest, synu diabelski — zawołał z odrazą. — Wara ci poświęcanego pierścienia dotykać wszetecznymi wargi, którymi pospołu ze swymi parafianami chwalisz pogańskie bałwany!

Głęch runął na klęczki.

— Chrześcijaninem jestem, miłościwy panie i ojcze...

— Chrzest ów spłynął snadź po tobie jak po gęsi woda!

— Święty Dionizy, patron mój świadkiem, iż...

— Nie waż się wspominać jego imienia. Męczennik Dionizy głowę dla wiary pod miecz położywszy, własnymi rękami na Górę Męczenników pod miastem Paryżem ją zaniósł. Ty zaś dla pogaństwa głowę tracisz, a kiedy z karku ci spadnie, nie gdzie indziej, jak do piekieł ją zaniesiesz. Miecz sprawiedliwości na włosku wisi nad tobą. Bacz, aby dziś jeszcze nie spadł ci na szyję za twe przewiny.

— Cóżem zawinił?

— A któż jeśli nie ty w dzień świętego Jana, tumu naszego patrona — tu Herman wska-zał pastorałem okna kamiennej komnaty, za którymi czerwieniały mury katedry — pił miód i płażał jak opętaniec, kiedy dziewczki na drzewa i wodę zielone wieńce miotały, a

chłopi pogańskie niecili ogień? Kto na świętego Dominika śmiał się i w dłonie klaskał patrząc, jak parobcy oblewają z cebrów dziewuchy niosące na kiju słomianą kukłę? Kto w adwent i zapusty przyjmował na plebanii siwka, kozę i niedźwiedzia w grochowinowych kudłach chodzących po wsi?

Zbladł Dziwisz i zapomniał języka w gębie. Zrozumiał, że jakiś kleryk, mający widać oskomeń na jego chudą prebendę, śledził go albo też dowiedział się od kogoś z Dworu o jego pobłażliwości dla dawnych obyczajów, piasów, śpiewek i oskarżył go przed kurią. „Co to będzie — niepokoił się ledwie żywy z trwogi — jeśli biskup na spytki mnie weźmie z ksiąg służby bożej, synodalii, sposobu obliczania dnia Wielkanocy”. Zestarzał się, dawno wyleciało mu z pamięci to, czego nauczyli go bracia kaznodzieje od Św. Idziego. Po łacinie ledwie potrafił wydukać *Credo* i *Pater noster*, a i to nie bez dwóch czy trzech pomyłek.

— Jeślim zgrzeszył, dostojny księżę biskupie, to jedynie w nieświadomości i prostocie ducha mego — zaczął bić czołem o zimne głązy posadzki. — Dalibóg, nie ze złej woli. Służyć pragnę kościołowi i wam z całego serca swego, ze wszystkiej swojej duszy. Przyrzekam wyrwać chwasty pogaństwa. Wyplenić z korzeniami zło na tym mizernym skrawku Pańskiej Winnicy, kędy mnie ogrodnikiem ustanowiono.

Cisza zaległa salę. Kanonicy, klerycy, golone mnichy, kapitulni skrybowie w milczeniu wyczekiwali biskupiego wyroku. Głęb nie ważył się podnieść oczu na swego zwierzchnika i sędziego. Leżał u jego stóp w pokorze, jak robak zmiażdżony.

— Szczerze przyrzekasz poprawę? — zapytał wreszcie Niemiec.

— Niech grom z jasnego nieba we mnie uderzy, jeślim nieszczerze ślubowałem — zapewnił gorąco proboszcz. — Niech się ziemia pode mną rozstąpi i na wieki mnie pochłonie, księżę miłościwy...

— Mógłbym posłać cię na schody bożego sądu, aby przekonać się o wiarygodności twych przysiąg, szczerości żalu i skruchy twojej — odparł biskup, któremu pochlebił tytuł książe, pokora i strach, jaki zdołał paru słowami zbudzić w swym służebniku. — Dziś nie uczynię tego. Wszelako jeśli raz jeszcze złe wieści o tobie postyszę, wstąpisz we włosienicy z zapaloną świecą i zawiązanymi źrenicami na stopnie pokutników.

Dreszcz przebiegł wątłe ciało Dziwisza od stóp do głów. „Byle nie to, byle nie to — pomyślał w śmiertelnym przerażeniu, wspominając krzyk spadającego w przepaść nawy czło-wieka. — To stokroć gorsze niż rugi z parafii, niż wszelkie kościelne kary”. Uniósł głowę, posłyszał dochodzący zza okna śpiew w łomocie kopyt, dudnieniu kół:

*Na wschód, na wschód, na wschód  
niemiecki ciągnie lud,  
wozami, konno, pieszo  
ogromną wali rzeszą,  
przebywa rzeki w bród.  
Na wschód, na wschód, na wschód  
niemiecki wali lud,  
przez drogi i bezdroża,  
ruguje z wsi Pomorzan,  
za grodem wznosi gród.*

Biskup Herman uczynił znak krzyża, jakby błogosławił pochodowi osadników zza Wa-rnawy, zza Łaby dalekiej, a potem zwrócił się do klęczącego wciąż parocha z Dworu, dając mu skinieniem ręki znak, że może odejść.

— Wstań, wracaj, skąd przyszedłeś, i nie grzesz więcej! A bacz, byś gorliwością rychło winę swoją zmazał, oczy bowiem moje przez mury i bory widzą, a ramię sięga daleko. Biada temu, po trzykroć biada, kto gniew mój na swą ściągnie głowę! Powiedział Pan: drzewo, które nie rodzi owoców, będzie wycięte i w ogień rzucone. Nie zapominaj o tych słowach Pańskich, bo za drugim razem nie jako przestrożę, ale jako wyrok je usłyszysz.

## II

Nie zapomniał pleban Głęcz o biskupiej naganie i przestrodze. Głęboko w pamięć wryło mu się każde słowo. Rozwahał dniami i nocami groźbę zawartą w każdym wyrazie. Zastanawiał się, jak ułagodzić gniewnego zwierzchnika, przekonać go o swojej



pobożności i żarliwości, zyskać jego przebaczenie, a może i łaskę. Rozmyślał o tym również w kilka niedziel po powrocie z Kamienia, siedząc na głazie nadmorskim i patrząc na rybaków, którzy zepchnęli z brzegu smolne czółno i powiosłowali na morze zastawić wielki niewód. Znał ich od lat. Był do nich przywiązany. Pił i śpiewał z nimi na chrzcinach, weselach, pogrzebach. Rozgrzeszał ich z niewielkich przewin, pobłażał ich słabościom. Teraz jednak czuł do nich niechęć, urazę. To przez nich przecież popadł w niełaskę. Przez Klicha i młodego Gocławka, którzy stawiając pod okiem Barnuty niewód na łososie, śpiewali wesoło:

*Stawiaj, stawiaj sieć, rybacze,  
od białego stawiaj rana,  
będą ryby na podacę,  
na podacę dla plebana.*

Żartowali z niego. Pokpiwali, że przyszedł tu na strąd, by wybrać przy podziale połowu najtłustsze ryby na dziesięcinę. A czyż mu się ta „podaca” sprawiedliwie nie należała? Czy miał on, sługa boży, chadzać jak chłopci za sochą, karczować, jak drwale, bór czy jak oni drzeć do krwi ręce na szorstkich powrozach niewodu? Choćby nawet próbował wziąć się do takiej roboty, nie starczyłoby mu na nią sił. Słaby był od dziecka i dlatego właśnie rodzice oddali go braciom z kościółka Św. Idziego na naukę. Nie potrafiłby poruszać wiosłem z taką łatwością, jak to czynili tam na morzu Cieciesław, Gorzebąd, Biezdziad i Trzemierz w rytm rybackiej piosnki:

*Rybacy, na morze,  
póki są ryby,  
bo ryby nie rosną  
jak w lesie grzyby,  
bo łosoś nie rośnie  
jak liść na dębie,  
nie czeka, ucieka  
w zieloną głębię.*

Daleko się niosła pieśń rybacka po morzu. Jednostajny plusk wiosła odmierzał płynący czas. Rozciągała się długa lina,

zakotwiczona w piasku strądownym, przytrzymująca jedno ze skrzydeł niewodu. Czerwieniły się na niej wstęgi, przywiązane dla odwrócenia złych uroków. Stary Barnuta nawoływał od czasu do czasu ostrzegawczo:

— Ej, Klich, Gocławek. Trocha w lewo. Tu głązy na dnie!

Albo:

— Tam zastawiajcie. Lepiej ominąć Toń Zielenicy.

Czółno zakreśliło powoli wielki łuk, a gdy po jakichś dwóch godzinach niewód wydał się w półkole, u którego wierzchołka czyhała na ryby matnia, rybacy wrócili do lądu, ciągnąc linę umocowaną do drugiego skrzydła niewodu, znoszonego ociężale prądem brzegowym. Dobili. Na wybrzeże wyległy białki i dzieciaki, cała niemal wieś przejęta myślą, czy Bałtyk okaże się tym razem szczodrobliwym ojcem, czy zawistnym ojczymem. Da chleb czy przedłuży nędzę przednówka? Niecierpliwie chwycili powrozy. Szarpnęli.

— Ho ruk, ho raza! — krzyknął Barnuta.

A Gocławek, spojrzawszy na chmurne niebo, zanucił:

*Szumi Poświst, pryska morze,  
chmura idzie od Kamienia,  
ciągnij, ciągnij sieć, niebożę,  
bez spoczynku, bez wytchnienia.*

Podjęli śpiew młodego rybitwy wszyscy, za wyjątkiem plebana Dziwisza, który milcząco i chmurny stał przy wielkim głązie, niecierpliwie czekając na zakończenie połowu. Złościły go dziś powolne ruchy rybackiej gromady, zmagającej się z prądem. Gniewała znajoma śpiewka.

*Rybacy, na morze,  
póki są ryby,  
bo ryby nie rosną  
jak w lesie grzyby,  
bo łosoś nie rośnie  
jak liść na dębie,  
nie czeka, ucieka  
w zieloną głębię.*

Barnuta dał nowy znak. Pochwycono drugą linę. Matnia zbliżyła się do strądu.

— Ciężka — zasapali się rybitwowie.

— To dobrze — zatarł ręce krzywy Koszałk, dzwonnik, który, jak i inni, przybiegł z wioski na wybrzeże i stanął obok plebana. — Będzie łososi jak szyszek w borze.

— Przydeptajcie, chłopci, dolne liny, żeby nam ryba spodem nie uszła — rozkazał Barnuta.

Odpędził machnięciem ręki wszystkie kobiety i dzieci, by nie urzekły spojrzeniem srebrnołuskiej zdobyczy, wyjął z sieci i zabił karkulicą pierwszą większą rybę na pomyślność rybakom, a ofiarę Gostkowi, włodyce morza.

Gniew ogarnął parocha. Czerwone krajki na linach, odpędzanie białek i jeszcze ta pogańska obiata — to wyczerpało jego cierpliwość. Czyż nie kazał co niedzielę, że te gusła i zabobony są śmiertelnym grzechem? Czyż nie groził piekłem tym, którzy nadal będą im hołdować? Co będzie, jeśli biskup z Kamienia dowie się, że nic się w Dworze nie zmieniło? Że trwają pogańskie zwyczaje? Kto zapłaci za upór rybaków? Stanęły mu przed oczami spa-dziste jak „drabina jakubowa” ceglane schody bez poręczy, wąskie ganki pod lukami sklepie-nia, gdzie każdy nieostrożny krok groził śmiercią. Ujrzał samego siebie, jak kroczy tamtędy w pokutnej włosienicy, z przepaską na oczach, z świecą płonąca w dłoni. Zimny pot wystąpił mu na czoło.

— Przebrała się miara — krzyknął, pobiegł ku zolojowi, roztrącił rybaków, by zgromić wójta, lecz głos zamarł mu w gardle, gdy rzucił spojrzenie na sieć.

Przeżegnał się spiesznie, zamrugął powiekami, przetarł oczy. Dziw trwał. Oplątana konopnymi linami niewodu miotała się w ciżbie łososi panna wodna. Jej rybi, łuskowaty, tęczowo błyskający ogon bił na prawo i lewo, oślepiając patrzących srebrnymi płomieniami. Oddychała gwałtownie jak ryba wyrzucona na brzeg. Ciało miała białe jak morska piana, zda się bezkrwiste, osnute mokrymi smugami włosów długich, żółtych, lśniących wszystkimi od-cieniami bursztynu i wodorostów zaplątanych między kosmyki. Oczy o wielkich szarozielo-nych tęczówkach, brunatnych źrenicach, szmaragdowych rzęsach rozszerzało przerażenie.

— Święty Dionizy, patronie mój — wybełkotał Głech. — A to co za zjawa?

Rybacy, chociaż zrazu i oni ledwie nie puścili lin z okrutnego zdumienia, pierwsi ochłonęli.

— To chyba Zielenica, wodna dziewa — szepnął Cieciesław. — Widywałem ją, kiedy wygrzewała się rankiem na głazie nadmorskim.

— A ja śpiew jej słyszałem księżycową nocą — odezwał się Gocławek. — Śpiewała tak cudnie, iż zdawało się, że gwiazdy niżej z nieba ku morzu schodzą, by jej posłuchać. O, słyszycie? Zaczyna nucić. Jak wtedy, jeno rzewniej jeszcze.

Ucichli wszyscy. Zasłuchali się w syreni śpiew, przejęci do głębi jego urodą, wzruszeni prośbą złowionej wodnicy, miotającej się w matni, wyciągającej ramiona, szarpiącej palcami oczka sieci osrebrzonej bryzgami pieszku:

*Wypuście mnie z potrzasku,  
pomorscy rybitwowie,  
a ja co dnia o brzasku  
pomogę wam w połowie,  
w ciężkiej wam ulżę pracy,  
napędzę ryb w niewody,  
dozwólcie mi, rybacy,  
powrócić w zieleń wody,  
szczodrze się wam odwdzięczę,  
odwdzięczy się wam morze,  
zaklinam was na tęczę,  
na bursztynową zorzę,  
na gwiazdę, co nad ranem  
nadzieję w sercach nieci,  
na srebrną morza pianę:  
puście mnie z waszej sieci.*

Ulitowali się rybitwowie. Białkom i dzieciom, które zwabione urzekającą pieśnią wróciły na brzeg, stanęły łzy w oczach.

— Wypuście ją — jęły błagać. — Co wam zawiniła? Wyrządziła komu krzywdę? Skrzywdziła kogo?

— Dobrze mówią białki — zapalił się Gocławek. — Dalej, drehy! Rozplączemy sieć, by Zielenica mogła ujść do morza.

Gorzebąd, Trzezmierz, Klich, Cieciesław, Biezdziad spojrzeli pytająco na stradowego wójta. Barnuta wiedząc, że z morzem i jego

podwodnym królestwem lepiej żyć w zgodzie, skinął głową na znak, iż pozwala uwolnić branke. Rzucili się przeto do matni rozplątywać powrosła, wyjmować łososie. Uradowała się morska panna. Uśmiechnęła zielonymi oczyma.

— Dzięki wam, rybitwowie... — jęła nucić wdzięcznie, lecz zaraz ucichła i skurczyła się przerażona, rzucając spod drżących rzęs lękliwe spojrzenia na plebana Dziwisza, który nagle rozkrzyżowawszy ręce zagroził rybakom drogę do niewodu.

— Precz — wołał. — Odstąpcie, syny pogańskie. Nie godzę się, byście uwolnili tę morską diabolicę. Niebo oddało ją w moje ręce i już jej z nich nie wypuszczę,

Zaschła mu ślina w gardle, urwał więc roztrzęsiony, purpurowy z przejęcia. Zatrzymali się rybitwowie. Zdawało im się, że Glech oszalał. On jednak myślał jaśniej niż kiedykolwiek. Uświadomił sobie przed chwilą, że los zsyła mu niezwykłą sposobność udobruchania biskupa. Dowiedzie mu swej żarliwości. Nawróci i ochrzci pogańską boginkę. On, któremu zarzucano, iż pospołu z parafianami czci wszeteczne bałwany.

— Dajcie mi ją — niecierpliwił się gorączkowo, skoro tylko odzyskał zdolność mówienia. — To moja podaca. Wezmę ją zamiast przynależnej mi dziesięciny. Ej, Koszałk — zwrócił się do krzywego dzwonnika — bieżaj do wsi. Niechaj żona twa Kuszka wielką kadź z kuchni mej wytoczy. Niech Tymko, włodarz dworski, konie do wozu zaprzęgać każe i oną beczkę tutaj duchem przywiezie.

Pobiegł dzwonnik ku Dworowi. Rybacy zaniepokojeni zbili się w gromadę.

— Co z nią chcecie uczynić? — zapytał chmurnie Gorzebąd.

— Jakiś czas będzie nauk mych słuchać, potem biskupowi ją odeślę do Kamienia — odparł proboszcz.

— Nie damy — krzyknął zapalczywie młody Gocławek, a inni powtórzyli jak echo: — Nie damy. Nie damy. Nie damy.

— Ważycie się odmówić biskupowi takiego podarku? — podniósł rękę Glech.

— Co biskupiego biskupowi, a co morskiego morzu oddać należy — stwierdził stary Barnuta. — Źle bywa z tym, który ośmieli się zadrzeć z Bałtykiem.

— Gorzej z takimi, co biskupowi okoniem stają — straszyl Dziwisz. — Wyruguje was ze wsi, wygna z zagród waszych.

Niemców na waszym miejscu osadzi, wy zaś szczęśliwymi nazwać się będziecie mogli, jeśli kędyś w głuchej puszczy na surowym korzeniu osiedlić się wam łaskawie dozwoli.

— Nie biskupi my, jeno książęcy — przerwał wójt strądowny. — Na książęcej siedzimy roli, na książęcych łowimy toniach.

— Mniemacie, iż książę nie uczyni tego, czego biskup odeń zażąda ? — nie przestawał grozić rozgorączkowany paroch. — Albo to nie wiecie, co się teraz w Kamieniu, Szczecinie, Stargardzie i na całym Pomorzu dzieje? Nie słyszycie turkotu wozów niemieckich, ciągnących od zachodu? Nic dochodzą do was skargi ludzi wypędzanych z miast i wiosek?

Zmieszali się, zatrwożyli. Nieobca im była pieśń nowych osadników, dążących lądem i morzem, przebywających w bród rzeki, rządzących się jak szare gęsi na nieswojej ziemi. Zaciskając pięści z bezsilnej złości, rozstąpili się przed Głęchem, zrobili mu drogę do upragnionej zdobyczy. Nie pomogły prośby białek i płacze dzieci. Nie pomogły przestrogi starego Barnuty. Nadjechał dworski wóz z dużą kadzią. Parobcy włodarza Tymka napełnili ją morską wodą, wepchnęli do niej związaną branke. Furman smagał biczem konie. Ruszył smutny pochód, na czele którego kroczył wsparty na ramieniu Koszałka pleban Dziwisz. On jeden był zadowolony. On jeden cieszył się z niezwykłego łupu. Rybaczki, uginając się pod karzniaini, a rybacy pod kaszorami pełnymi łososi, szli ze zwieszonymi głowami. Bali się spotkać spojrzenia uwięzionej Zielenicy, która odwracając głowę ku oddalającemu się i cichnącemu Bałtykowi skarżyła się śpiewnie:

*Uwożą mnie w dal, uwożą  
od poszumów mego morza,  
gaśniesz, bursztynowa zorzo,  
giną mewy w mgłach przestworza,  
skrzypią w piachu kola wozu,  
konie ciągną go powoli,  
w pętach krzywdy i powrozów  
uwożą mnie do niewoli.*

### III

Zmieniło się życie we włości Dwór od czasu owego połowu. Krzywy Koszałk po dawnemu trzy razy na dzień targał sznury dzwonu na drewnianej dzwonnicy, wszystko jednak innym toczyło się torem, niż to bywało poprzednio. Białki zaniedbywały gospodarstwa. Rybacy przestali łowić, bo ryba odeszła daleko od brzegu. Dzieci nie śmiały się ani bawiły. Pleban nie odprawiał nabożeństw, nie głosił kazań. Cały czas poświęcał niewolnicy uwięzionej w kadzi, zamkniętej w kruchcie kościoła. Przychodził wczesnym rankiem, zawierał za sobą dźwierze na trzy spusty, stawał przy beczce, kreślił nad głową wodnej panny wielkie znaki krzyża, uczył ją modłów, przykazań, pieśni nabożnych, mamrotał egzorcyzmy:

— W imię Ojca i Syna...

Niepowodzenia nie zrażały go. W młodości słyszał od braci-kaznodziejów od Św. Idziego o Reinbernie, pierwszym biskupie Pomorza, osadzonym przez króla Bolesława w Kołobrzegu. Palił on pogańskie świątynie, burzył bałwany, chciał też oczyścić morze z demonów. Wypływał w wielkim czólnie z ujścia Parsęty, kropił święconą wodą pieniste fale, miotał w głębiny kamienie namaszczone świętymi olejami, pościł, modlił się nie śpiąc przez całe noce, a przecież nie było mu dane pojmać mieszkańca słonego żywiołu ani wypędzić z Bałtyku wodnic-syren, wodników-morzukulców i wszelakich morskich diabłów. Nie zdołał dokonać dzieła, a mimo to chwalili go pono i czcili niemieccy kronikarze. Cóż więc dopiero dzieć się będzie, kiedy on, pokorny pleban z Dworu, zajedzie przed tum Św. Jana w Kamieniu z ochrzczonej córką morza w kadzi na wozie?

Wyobrażał sobie podziw biskupa Hermana, zdumienie kapituły, pochwały zazdrosnych kanoników, mnichów z Danii, klechów, mieszczan. Wyobrażał sobie, jak przy biciu dzwonów, w korowodzie duchownych niosących zapalone gromnice, wkracza do rozjarzonej katedry. Jak bez trwogi patrzy na wysokie schody i ganki bożego sądu. Jak rozbrzmiewają psalmami anielskie chóry, jak klęka przed wielkim krucyfiksem ołtarza w półkolistej absydzie, a biskup zbliża się do niego, wkłada mu na szyję złoty łańcuch z krzyżem misternym,

daje mu swój pierścień do ucałowania, mianuje go prepozytem, wysyła z legacją żaglowym okrętem do studzwonego Rzymu, by tam przekazał swą wychowankę Ojcu świętemu.

Pewny był, że tak właśnie się stanie. Dbał też o Zielenicę i starał się, by czuła się w niewoli jak najlepiej. Dzwonnikowa Kuszka dwa razy na dzień dźwigać musiała z dalekiego brzegu na nosidłach stągwie świeżej morskiej wody, gotować rozmaite potrawy, które Głęb obmyślał dla swojej uczennicy. Branka nie chciała niczego wziąć do ust, lecz nie martwił się tym zbytnio.

— Kto wie, czy te podmorskie stwory w ogóle jedzą? — mruknął, kiedy wodna panna nie spojrzała nawet na przyniesioną jej misę glinianą, pełną po brzegi polewki z wodorostów, okraszonej węgorzowym tłuszczem.

Zdawał się nie spostrzegać, że pojmana rybodziwa niknie w oczach. Wzruszał ramio-nami, gdy Koszałk doniósł mu, że nocami słyhać z kruchty szlochy, zawodzenia i żalosne śpiewy, że chmury mew trzepocą nad spiczastym dachem dzwonnicy, że ławice łososi znikły bez śladu, a morze coraz gniewniej uderza o brzegi. Cała jednak wieś tylko o tym gadała. Rosło współczucie i niepokój. Marszczył czoło strądowny wójt, chmurzył się włodarz, rybacy zaś podkradali się wieczorem pod zamknięte drzwi kościoła i nasłuchiwali z zapartym tchem śpiewu Zielenicy:

*Bałtyk się o mnie upomni,  
zapuka do wrót kościoła,  
sztormy — rycerze ogromni  
z chmur przyłbicami u czoła —  
rozwalą taranem dźwierze,  
zburzy świątynię wichura,  
bo nie do ziemi należą,  
ja — morza słonego córa.*

Serca biły im jak kowalskie młoty. Przyciskali uszy do drzwi przez wiele godzin. Zastanawiali się, jak pomóc uwięzionej. Dopytywali cicho, czy ma jakieś życzenie, lecz odpowiadały im jedynie płacz i westchnienia. Odchodzili wreszcie przygnębieni niedolą tej, którą dawniej widywali radosną, czeszącą włosy na nadmorskim gładzie i śmiejącą się do słońca, której pieśni cudnych, nie



zmaconych skargą, słuchał księżyc i gwiazdy. Przemykali chyłkiem przez cmentarz, między mogiłami, krzyżami pochyłymi, węzłastymi pniami drzew, gotowi przysiąc, że w konarach targanych wichrem gniewnie huczy ojciec Bałtyk:

*Oddajcie miłą Zielenicę,  
oddajcież, ludzie, córę moją,  
nim wedrę w wasze się granice,  
zanim grzywacze się uzbroją.  
Słyszycie: szumem wam złorzeczą,  
pomstę wam głoszą gniewnym chórem.  
Wypuście branke, bo z odsieczą  
przyjdę uwolnić moją córę.*

Nie taili tych nocnych przeżyć i wzruszeń przed nikim. Opowiadali o nich po chatach, w karczmie, na drodze każdemu, kto tylko chciał słuchać.

— Słyszeliście jej płacz? — pytał Gocławek. — Wczoraj nocą znów podkradłem się pod kościół. Mówię wam, bracia, iż nieludzki jest nasz paroch. Zawodziła tak żałośnie, że serce pękało.

— I przestrzegala śpiewem, że się Bałtyk o nią upomni — dodawał Klich.

A Cieciesław, zniżając głos do szeptu i rozglądając się dokoła, czy Krzywy Koszałk lub jego żona nie podsłuchują, budził lęk w słuchaczach takimi słowy:

— Nie tylko ona, ale i Bałtyk nas przestrzega. Ba, grozi, że jak nie oddamy po dobroci jego córy, sam na odsiecz jej wyruszy, wedrze się w granice naszej parafii, siłą wyzwoli z pęt Zielenicę. Czy nie lepiej, byśmy sami otwarli jej drzwi więzienia? Po cóż mamy nastawiać karku za proboszcza Dziwisza? Jemu roi się, że gdy ochrzci rybodziewę, biskup mianuje go kanonikiem w kamieńskiej kapitule. Może się też tak stanie. Odejdzie stąd, a nam przyjdzie płacić za jego winę.

— Pewnie, że lepiej byłoby puścić ją do morza — sumował się stary Barnuta wsparty ciężko na karkulicy. — Kto wie, czy nie wróciłyby wtenczas ryby na przybrzeżne tonie? Obiecała przecież, że odwdzięczy się szczerze za uwolnienie, że w połowach będzie nam pomagać. Wszelako dobrze trzeba to rozważyć, bo jeśli uparty pleban

podjudzi na nas bisku-pa, ciężka będzie nasza dola. Wagnają nas stąd bez litości kędyś we świat puszcze karczować dla niemieckich rycerzy albo duńskich klechów.

Obawa przed rugami trzymała ich jak łańcuch na uwięzi. Potakiwali strądownemu wójto-wi doświadczeni rybitwowie, a białki zanosły się płaczem i łamały ręce na myśl, że miałyby wraz z dziećmi opuścić pola, sady, zagrody. Młodym opadły ręce. Nie mogli przecież ścia-gnąć nieszczęścia na głowy ojców i matek. Ponuro snuli się po wsi aż do dnia, kiedy z pleba-nii gruchnęła wieść, iż Głęchowi udało się wreszcie dokonać upragnionego dzieła. Z chaty do chaty szły nowiny:

— Po niewoli ochrzcił naszą wodnicę.

— Dał jej imię Marzy z Magdab, pokutującej grzesznicy.

— Krzywy Koszałk i Kuszka rodzicami chrzestnymi jej byli i za nią odpowiadali na Głęchowe pytania.

— Jutro ją pono mają zawieźć biskupowi do Kamienia. Dzwonnik był już u włodarza Tymka z prośbą od plebana, by rankiem zaprzągnął tęgie konie do wozu i przed cmentarne zajechał wierzeje. Snadź Dziwisz boi się z nią morzem pożegłować.

Poruszyli się młodzi.

— Co z nią uczynią na biskupim dworze? — zaniepokoił się Gocławek.

— Pewnie ją do klasztoru na dalszą pokutę we Włosienicy odeślą — zgadywał Biez-dziad.

— A jam słyshał — wtrącił Trzezmierz — jak się pleban włodarzowi Tymkowi prze-chwalał, iż pożegluje z nią na budownym okręcie za morza, do samego Rzymu. Tam w studni na podworcu zamku Ojca świętego do śmierci ma siedzieć.

— Tedy nie obaczy już Bałtyku? — przejął się Klich.

Gorzebąd rozłożył bezradnie dłonie wielkie, spierzchnięte.

— Ano nie.

— Nie dopuścimy do tego! — krzyknął Cieciesław.

— Jako żywo — przywtórzili mu druhowie.

Zeszli się w chałupie Trzezmierza, Gocławkowego ojca, szeptali aż do wieczora, a gdy noc zapadła, chwycili topory i w gęstych ciemnościach zaczęli przekradać się w stronę ko-ściola. Skrzypiały cmentarne wrota. Puszczuk huknął na dzwonnicy. Wiatr szarpał trzeszczące gałęzie drzew, przeganiał chmury, ale nie mógł wydrzeć

im białego księżyca, który ukrył w fałdach czarnych opończy.

— Wszystko nam sprzyja — cieszył się Klich. — I ta nocka bezmiesięczna, i to, że w plebanii ciemno.

— Wykradniemy Zielenicę — dyszał Cieciesław. — Kiedy paroch rankiem się obudzi, jego branka będzie już w morskiej głębinie. Wolna i radosna. Dalej, bracia! Wyważmy dźwie-rze.

— Cicho — syknął Gocławek. — Słyszycie ?

Z kruchty kościelnej sący się śpiew tęskny, bolesny, cichutki, ledwie dosłyszalny:

*Żegnaj, zielona wodo,  
żegnaj, dobra mateńko,  
umrzeć przyszło mi młodo,  
więc cię żegnam piosenką,  
żegnaj, bałtycki królu,  
żegnaj, ojczyzno moja,  
we łzach ginę i bólu,  
opuszczają mnie siły,  
nie powrócę w głębinę,  
kiedy dwór twój lśni złoty,  
w łzach się słonych rozplynę  
z żalu, smutku, tęsknoty...*

Nic czekali dłużej, rozumiejąc, że każda chwila droga. Choć uradzili przedtem, by ostrożnie, bez hałasu wyłamać drzwi, teraz zapomnieli o tym zamiarze. Chwycili topory i jęli rąbać co siły w dębowe deski, aż pryskały drzazgi, aż jęczała brama.

— Prędzej, prędzej — zachęcał Gocławek. — Nie żałujcie rąk! Może zdążymy urato-wać ją od śmierci.

Łomot toporów zbudził krzywego Koszałka, który począł dzwonić na trwogę. Pobudzili się rybacy i chłopci. Zerwał się z posłania pleban Głech. Chwycił gorejące łuczywo, narzucił opończy, bosy wybiegł z plebanii. Przemknęły cienie po gładkich i ceglanych ścianach kościoła. Posypały się iskry na wietrze. Czerwień żagwi wyłowiała z mroku postacie młodych rybitwów, bijących siekierami w kościelne dźwierzce.

— Święty Dionizy, patronie mój — jęknął Dziwisz. — To wy? Co czynicie, syny pogańskie ?

— Nie damy dłużej więzić nieszczęśliwej wodnicy — odkrzyknęli. — Wyzwolimy ją, zwrócimy morzu.

— Precz — zadrzał z przestachu, że wszystkie jego zamiary i nadzieje mogą obrócić się wniwecz. — Jeno po moim trupie dostąpić do niej zdołacie. Klątwę na was rzucę i ziemia was pochłonie. Koszałk, bieżaj do włodarza. Niechaj z pachołkami na pomoc mi pośpieszy. Pojmać tych rozbójników, bluźnierców, świętokradców, czartów wcielonych.

Nie zważali na jego krzyki. Roztrzaskali dźwierze, wdarli się do kruchty i stanęli jak wryci. Cisza zadzwoniła im w uszach. W poświęcie łuczywa dzierżonego przez Głęcha, który wbiegł tuż za nimi, ujrzeli kamienną chrzcielnicę pod krzyżem czerniejącym na murze, a przy niej wielką kadź. Zwiślało z niej białe jak śnieg ramię i głowa bezwładna, ukryta pod kaskadą długich, bursztynowych włosów snujących się aż do ziemi.

— Umarła — wyszeptał pleban Dziwisz.

Rybacy przykłękli w progu kruchty, za nimi zaś tłoczył się tłum chłopów, białek, parobków, przywołany na cmentarz Koszałkowym dzwoniem.

#### IV

Złe miał tej nocy sny proboszcz z Dworu. Biskup Herman groził mu pastorałem. Mnichowie w kapturach wlekli go na zbryzgane krwią schody bożego sądu w kamieńskim tumie. Święty Piotr tłukł go po karku kluczami, a Paweł płazował kamiennym mieczem. Na koniec przyśniła mu się rybodziewa. Nie Zielenica umęczona, lecz ta syrena, o której słyszał w dzieciństwie, że zamieniła w skałę przy wyspie Chrząszczewa gród morskiego rozbójnika.

— Nie ujdiesz kary — rzekła stanąwszy w progu izby. Wyciągnęła ku niemu dłoń bło-niastą i rozpułyła się w zielonkawą kałużę, wzbierającą gniewnie, rozszerzającą się faliście w staw, jezioro, morze.

Zbudził się oblany zimnym potem, lecz nie pojął przestrogi. Kiedy bowiem przyszedł do niego Barnuta z rybakami prosząc, by pozwolono im zabrać zwłoki wodnicy, wypłynąć z nimi na Bałtyk i

zatopić je w zielonej głębinie, odparł z uporem:

— Ochrzcilem ją, zmarła jako córka Kościoła, tedy pogrzebać ją trzeba w poświęconej ziemi, na naszym cmentarzu.

Wójt strądowny chciał wdać się w targi, spory, tłumaczenie, ale Głęch odprawił go krótko i postawił na swoim. Bezdziad, sprawujący od lat urząd zwiastuna śmierci, obszedł całą gminę stukając laską w święte progi chałup, ale nie przekraczając ich, aby wraz z wieścią o skonie i pogrzebie nowej chrześcijanki Marzy z Magdali nie wnieść do izb nieszczęścia. Trzemierz z Gocławkiem i Klichem zbili trumnę z sosnowych desek, które dał wódarz Ty-mko. Krzywy Koszałk wykopał pod cmentarnym płotem mogiłę, uderzył w dzwon żałobny.

Zgromadzili się ludzie ze wszystkich wsi parafii. Z gorejącymi świeczkami, których płomyki musieli rękami osłaniać przed wichrzystym podmuchem, w głuszającym pogrzebową pieśń krzyku mew, kołujących wrzaskliwymi obłokami nad dzwonnica i wierchołkami cza-mnych konarów, odprowadzili zmarłą do grobu. Spuszczono truchło do mogiły. Dziwisz rzucił na nie kilka grudek gliny.

— Spoczywaj w pokoju — powiedział.

I wtedy się zaczęło. Przyleciał wiatr od morza. Zagwizdał, zaszumiał, zahuczał w konarach drzew. Rozkołysał kępy wysokiej trawy. Wzbił z ziemi tumany żółto-rudego kurzu. Przygnał nad kościół wielką, czarną chmurę gradową.

— Swark idzie, swark — krzyknął Gorzebąd spostrzegłszy jako pierwszy z żałobnego orszaku ów złowróźbny obłok.

Pośpiesznie zasypali dół mogilny i uciekli z cmentarza, smagani deszczem i gradem, oślepieni wirującym pyłem, ścigani wyciem zawiei, rykiem morza, poruszonego aż do dna największych głębin nawałnicą, jakiej nie pamiętali najstarsi ludzie na wybrzeżu. Pierzchał podkasawszy duchowną szatę pleban Głęch, zmykał krzywy Koszałk ze swą Kuską, białki gubiły w popłochu trepy, chodaki, chusty, gromnice, biegli schronić się pod strzechami rataje, parobcy, rybitwowie. Pochylali głowy, zatykali rękoma uszy, by nie słyszeć groźnego jak burza nawoływania Bałtyku:

*Do mnie, trębacze-wichrzyska,  
do mnie, grzywacze-stolemy,  
bijmy taranem w urwiska,*

*aż córę ziemi wydrzemy,  
szturmujmy do skarp wybrzeży  
w błyskaniu mieczy, w trąb ryku,  
bo nie do ziemi należy  
umarła córa Bałtyku.  
Przez rok, przez lata, przez wieki  
nie spocznę ani godziny,  
aż córy mej grób daleki  
przeniosę na dno głębiny.*

Oto koniec legendy Trzęsacza. Jeśli dziś, po siedmiu stuleciach, gdy dopełniła się pomsta, staniecie na urwisku pod ruiną średniowiecznego kościoła, patrzącego oczodołami okien ku Toni Umarłych, wsłuchajcie się w poszum presku na zoloju wąskiej plaży, a może usłyszycie tę samą klechdę, którą wam właśnie opowiedziałem.

## PIRACI ZNAD DŁUGIEGO ROWU

*Nie czyń drugiemu,  
co ci niemiło  
— tak w siedmiu dzwonach  
siedem serc biło,  
tak siedem dzwonów  
przed łaty wielu  
wołało z wieży  
Starego Helu.*

W połowie drogi między Helem a wzgórzem, na którym przed wojną stała morska lata-rnia, długie, wąskie zagłębienie przecina półwysep pod ostrym kątem — od Małego Morza do wydm. Ongi miała to być wąska, wrzynająca się w sosnowy bór cieśnina, w której helscy piraci ukrywali swój zbójcki statek.

— Długi Rów — powiedzą wam Kaszubi z Międzymorza, jeżeli zapytacie ich o miano tego śródleśnego wądołu.

Pamiętają nawet nazwisko korsarza, który tutaj uwił sobie odludne gniazdo. Zwał się Piotr Komar i pochodził ze Szczecińskiego Pomorza. Zanim został korsarzem, miał tam ry-cerską włość, lecz Niemcy rozpanoszyli się tuż za granicznymi kopcami i zatruwali mu życie, chcąc sąsiada wysadzić z ojcowizny. Pojechał ze skargą na ksiązęcy dwór do Kamienia — grodu piętrzącego się u ujścia Niemczy do rozlewisk Dziwny.

— Niemcza pod zamkiem, a na zamku Niemce — sierdził się, z trudem torując sobie drogę do księcia przez ciżbę niemieckich urzędników i lubeckich kupców.

Marszałkiem ksiązęcym rzeczywiście był Niemiec. Niemcy piastowali urzędy sokolników, cześników, stolników, kuchmistrzów. Niemcy siedzieli na komorach celnych i wójto-stwach. Nie zdołał Komar pohamować gniewu.

— Przybłądy zza Odry i Łaby lżą nas — rzekł księciu prosto w oczy. — Śmieją się z prawowitych dziedziców tej ziemi! Grabiają nam dziedziny. Zagarniają urząd za urzędem. Ze zrabowanych nam włości czynsz tylko płacą, my — poradlne, dziesięciny z bydła i plonów. Nie ma sprawiedliwości w tym księstwie.

Nie znalazł jej i rycerz Piotr. Lubecznanin osiadł w jego dworze, a on oddawszy jedyną córkę Katarzynę pod opiekę mniszkom z Trzebiatowa, podobnie jak Sycewice, Naćmierzowie i wiele innej szlachty pomorskiej, powędrował z pięciu synami na wschód, na ziemię gdańskich Gryfitów. Osiadł na nowiznie nad Bukowskim Jeziorem, ale i tutaj długo nie zagrzał miejsca, tak się bowiem złożyło, że gdański książę Świętopełk właśnie w Bukowie ufundował w tych latach klasztor dla niemieckich mnichów.

— Gdzie Niemiec postawi stopę, tam Pomorzanin długo się nie utrzyma — podburzał Komar sąsiadów. — Przekonałem się o tym na własnej skórze. Zawierz Niemcom, kark ci skręca.

Znalazł posłuch u kaszubskich panków. Konno i zbrojno naszli nadmorski klasztor. Wymietli zakonników z cel, ambitów, wirydarza, kościoła. Splądrowali spiżarnie, spustoszyli skarbczyk prześmiewając się, klnąc, śpiewając:

*Bez pracy życie  
w zbytku i rozkoszy.  
Niemiec się na świecie  
jako czart panoszy,  
dławi nas jak zmora,  
złem za dobre płaci,  
precz, fora z klasztora,  
sforo białych braci!*

Podkasali bracia cystersi białe habity. Z płaczem pobiegli do Gdańska. Żale swoje księ-ciu zanieśli. Zapałał gniewem Świętopełk. Przyrzekł odbudować bukowski klasztor. Nakazał ścigać i surowo karać plądrowników. Komar z synami znowu musiał uchodzić przed książęcą pomstą. Zaszył się na ostatniej z wysp Międzymorza, na samym krańcu słowiańskiego świata, w pobliżu Helu.

Niewielka ta osada stała podówczas na Starym Haku. Drewniane jej domostwa kupiły się dokoła fary, zbudowanej — jak świadczyła data wyryta na kamieniu nad dźwierzami — przez księcia Warcisława i żonę jego piękną Heilę, która nowej świątyni ofiarowała srebrny kielich z wotywnym napisem. Jedyną była to kosztowność w całym miasteczku. Ubodzy hela-nie żyli z rybołówstwa. Chętnie przygarnęliby zbiegów do swej maszoperii, ale młodzi ryce-rze ani



myśleli dzielić ich troski i trudy, zadowalać się lada czym.

— Nie będziem z tymi golcami ciągnąć niewodu — rzekli ojcu.  
— Śmierdzi nam taka robota.

Woleli inną. Zbudowali za miasteczkiem, nad Długim Rowem, zagrodę otoczoną sosno-wym ostrokołem. Z rycerzy zeszli na morskich zbójów. Po nocach, gdy według ówczesnego zwyczaju żeglarzy lubeckie korabie, dążące do Gdańska, zwijały żagle i stawały opodal brze-gu na kotwicach, wypływali barką z kryjówki w cieśninie. Wiosłując cicho, zbliżali się do statków, przecinali kotwiczne liny, uszkodzali wielkie stery zawieszzone na żelaznych hakach.

— Komar, małe lichy, kąsa nocą, cicho, wżdy rychło ten pomarł, kogo ugryzł Komar — pomstował rycerz Piotr nie mogąc darować lubeczanom krzywdy.

Okrety, zwolnione z uwięzi, prądem i falą znoszone z bezpiecznego miejsca postoj, wpadały na brzeg, rozbijały się, grzęzły w piachu sachejów. Piraci znad Długiego Rowu naśmiewali się z półżywych, ociekających wodą rozbitków:

*Żyjemy bez pracy,  
skrzynie nasze próżne.  
My — morscy żebracy,  
prosim o jałmużnę.  
Zwróćcie, coście wzięli,  
kupczyki z Lubeki,  
bo skąpcom anieli  
poskapią opieki.*

Kupcy błagali o miłosierdzie, dawali okupy, ale Komarowie nie pozostawiali świadków zbrodni. Zabijali żeglarzy i podróżnych. Mścili starą krzywdę, a jednocześnie zgarniali niemałe bogactwa. Wiele srebra i złota nagromadziło się w ich zamczystej komorze. Beczki, skrzynie, bele sukna wypełniły sosnowe dworzyszczce aż po gontowy dach.

— Same nam gołąbki wpadają do gąbki — radował się Piotr.

Helanie lękali się go jak wcielonego diabła. Często płynęli do Gdańska z rybami na targ pod książęcym zamkiem, ale ani na portowych mostach, ani w karczmach słówka nie ważyli się pisnąć o

tym, co się działo nad Długim Rowem. Nie dowiedział się Świętopelk o morskich rozbojach zbiegów spod Bukowa. Dalej łupili kupieckie statki, aż nadszedł, straszny dla nich, brzask dnia świętej Katarzyny.

— Wyostrzcie topory i miecze — rzekł synom poprzedniego wieczoru Piotr Komar, wróciwszy ze strądu. — Duża koga stanęła opodal nas na kotwicy! Chcą przeczekać noc. Myślą, że podniósłszy rankiem żagle, bezpiecznie popłyną dalej. Ale daleko nie zapłyną! Moja w tym głowa.

— Na burzę się ma — zauważył jeden z synów. — Lepiej w taki czas nie puszczać się barką na morze.

— Jeśli was tchórz oblatuje, sam popłynę — zagrział stary.

Poszli przeto z nim nad Rów. Cicho na wiosłach podeszli pod uśpioną nawę. Wprawnie unieruchomili ciężki ster, przecięli grubą linę. Nikt z załogi nie spostrzegł podstępu. Chmurna noc ukryła piratów. Dalekie grzmoty zagłuszyły ledwie dosłyszalny poszmer wioseł, skrzy-piących w dulkach jak świerszcze.

Morzopławnicy zdumieli się i przerazili, kiedy o mglistym świcie statek ich znalazł się niespodziewanie wśród przybrzeżnych mielizn. Opuścili go spiesznie. Brodząc w falach ru-szyli na ląd. Jedni wspierali się bosakami, inni dźwigali najcenniejszy dobytek w rękach wy-soko wzniesionych nad głowami. Spomiędzy wydm wyszli na ich spotkanie zbrojni brodacze, pokrzykujący groźnie:

*Na morza granicy,  
w imieniu mgły sinej,  
my — helscy mytnicy,  
zbieramy daniny,  
prąd zepchnął w strąd, kupcy,  
smolną waszą nawę,  
zapłacie, głupcy,  
dziś nam myto krwawe!*

Szyper gotów był oddać im szkatułę pełną guldenów. Kupcy — pękate trzosi. Na kola-na padli.

— Bierzcie myto — prosili. — Bierzcie kupię całą, jeno z życiem nas puście!

— Dali łotrzy myto, przecie ich ubito — huknął Komar.

Z synami rzucił się na rozbitków. Wybili ich do nogi. Krew nie

zakrzepła jeszcze na bieli piasku i mewy nie zdążyły się zlecieć krzykliwym obłokiem nad zwłoki pobitych, a pira-ci już splądrowali warowny kasztel wraku, już zapalili smolne żagwie i zbiegli do mrocznej ładowni.

— Bywajcie, panie ojcze! — usłyszał Piotr wołanie synów dobywające się z otwartego luku. — Któryś z tych psiogłowców kryje się tu jeszcze!

— Łapaj, chwytaj, bij psa wściekłego z lubeckiej psiarni — odkrzyknął Komar i w jednej chwili znalazł się pod pokładem.

Cień jakiś przemykał między beczkami. Ktoś pośpiesznie oddychał w ciemności.

— Tam, za schodnią się schronił — wołali rozbójnicy.

Podniósł stary do ciosu piracki topór. Uderzył, zanim młodzi podbiegli z kopącymi żagwiami, by mu poświecić.

— Ojcze — zadrżał bólem niewieści głos. — Cóżeś uczynił? Duszę gubisz, nieszczę-sny.

Zdrętwiał Piotr. Blask pochodni, krwawe światło płomieni ukazało mu mniszkę w białym habicie. Plecami przyparta do ściany ładowni, powoli osuwała się na klęczki, jedną dłonią przesłaniając oczy, drugą tuląc do piersi pozłocistą figurkę Madonny.

— Kachna! — stary pirat wypuścił toporzysko z ręki i runął do stóp córy. — Zostawi-łem cię przecie u panien norbertanek w Trzebiatowie. Prędzej śmierci bym się spodziewał niż tego, że ciebie ujrzę na tym przeklętym statku.

— Ksieni wysłała mnie morzem do Gdańska — wyszeptła z trudem zakonnica i krew zaczerwieniła jej białe wargi. — Miałam zawieźć Złotą Panienkę siostron norbertankom w Żukowie. Do tamtejszego kościoła srodze splądrowanego przez pogańskich Prusów... Nie spełnię tego, co mi nakazano... W dzień mej patronki świat żegnać mi przyszło...

Na rękach zaniósł rycerz ranną jedynaczkę do sosnowego dworu. Usłał jej miękkie łoże. Ranę jej opatrzył pieczołowicie.

— Bardzo cierpisz, córeczko? — dopytywał z troską.

— Patronka ma bardziej cierpiała, gdy ją chłostali — odpowiadała cicho — ale przecież tę miała pociechę w cierpieniu, że przed śmiercią nawróciła w egipskim więzieniu wielu pogańskich wojów i mędrców...

— Co czynić mam, Kachno najmilsza? — trapił się ojciec i

złoto wysypywał z sakw przed łoże. — Patrz, ile mam skarbów! Każde życzenie twe spełnić mogę. Zrobię wszystko, co jeno zechcesz.

— Całą krew naszą chętnie byśmy oddali, byle twoje życie ocalić — przysięgali bracia, stojący kołem przy posłaniu umierającej.

— Odpokutujcie winy — poprosiła. — Za skarby zagrabione ufundujcie dzwony. Niechaj dzwonią ku przestrodze wam i innym: Nie czynь drugiemu, co tobie niemiło.

Potem majaczyła już tylko o skwarnej pustyni Egiptu, o aniołach niosących głowę jej ściętej patronki na górę Synaj. Umarła. Piotr pogrzebał ją przy helskiej farze, gdzie w mrocznej nawie postawił złocistą Madonnę, czczoną od tej pory jako królowę rybitwów. Porzucił piractwo i wraz z synami założył helskie Bractwo Świętej Katarzyny, którego statut nakazywał członkom grzebać ciała wyrzuconych na brzeg topielców. Za złoto, splamione krwią, ufundował siedem dzwonów. Ochrzczono je imionami Piotra i jego dzieci. Zawieszane na farnej dzwonnicy, nawoływały z jej szczytu, tak jak sobie tego życzyła Kachna Komarówna:

*Na krańcu zatoki,  
u bramy zielonej,  
z wieży tej wysokiej  
my — pirackie dzwony,  
nieb i morza sługi,  
powtarzamy z siłą:  
— Nie czyn nigdy drugim,  
co tobie niemiło!*

Kiedy spłonęło miasto na Starym Haku, Bractwo Świętej Katarzyny i dzwony piratów z Długiego Rowu przeniesiono do kościoła Piotra i Pawła, zbudowanego w Nowym Helu przez jakieś Niemkinie cudem uratowane z rozbitego statku. Siedem spiżowych serc, śpiewających pieśń przestrogi, umilkło jednak w dniu, gdy helanie, wypędziwszy swego plebana, zaczęli kraść sąsiadom owce z lasu, a rozbitekowi towary z wraków zapędzonych burzą pod helski strąd. Wtedy nocą zniknęły stare kołaty z kościelnej wieży.

Podobno jakaś młoda rybaczką, idąc z masłem do Jastarni, ujrzała je ugrzęzłe tuż koło ruiny dawnego kościoła, w piachach nad zatoką. Nie zaufała swym siłom. Gdyby chwyciła największy z dzwonów,

mniejsze same by, jak dzieci za ojcem, wróciły za nim do Helu. Ujęła jednak ucho najmniejszego. Pociągnęła je z całej mocy, no i wszystkie kołaty zapadły w toń, skąd odzywają się niekiedy, zwiastując ludziom rychłe nadejście kary za ich złe postęпки, nawet te, których nie zna nikt prócz winowajców. Dlatego Kaszubi powiadają każdemu, kto ma nieczyste sumienie:

*Człecze zatracony,  
popraw się, bo znowu  
odezwą się dzwony  
znad Długiego Rowu.*

### **POLNICA, ŚWIDNICZKA, UNIESTA**

*W młynie, w Mielnie, u Kołomąta  
trójka córek się pięknych krząta,  
trójka córek o ślicznych liczkach:  
Polnica, Uniesta, Świdniczka.  
Przybywają do młyna chłopcy,  
to znajomi, to znowu obcy,  
nisko kłonią się zalotnicy  
Świdniczce, Unieście, Polnicy.  
Lecz iść za mąż nie w głowie dziewczkom,  
czarną ich częstują polewką,  
króla czeka lub królewica  
Uniesta, Świdniczka, Polnica.*

Pomorska ziemia zniża się tu łagodnie ku Bałtykowi, który stroi ją w złoty, falami rzeźbiony naszyjnik, oddzielający od morza przybrzeżne jezioro Jamno. Ku jezioru płyną przez lasy i grzędawy doliny trzy srebrne rzeczki, rozlewając się co wiosny i jesieni w nieprzystępne błota, tworzą granice jednego z najdziwniejszych księstw baśni, w którym nad omszałymi strzechami szumią drzewa gałęziste, wielkie, odwieczne.

W chatach, gdzie pod powałami wspartymi na poprzecznych sosrębach modro kłębi się dym, stoją sprzęty malowane w słowiańskie serca, skrzydlate gołąbki, kwiaty jaskrawe, gwiaździki z nieba.

Furkoczą kołowrotki, cykają świerszcze, a kraśniaki wychylają zza bielonych pieców czerwone czapeczki, aby w jesienne i zimowe wieczory snuć szeptem tę oto bajkę:

... Żył sobie ongi w Mielnie możny kmieć, młynarz bogaty, Dargota Kołomąt. Miał ci on córy trzy nader urodziwe: Polnicę, Świdniczkę, Uniestę. Wysoko patrzyły i mierzyły trzy młynarzówny o liczkach rumianych jak ranne zorze. Najdzielniejszym chłopcom z okolicy nie chciały oddać rączek, bielszych niż najbielsza mąka z ojcowego młyna. Jak niepyszni odchodzili od wysokiej wrótni Dargocinej zagrody młodzi rybacy, synowie kmiecy, a i ryce-rzyk poniektóry na próżno tutaj po szczęście pukał.

Nie zniechęciło to wszakże trzech braci Gozdawiców, stróżów książęcej puszczy, która szumiała tuż za młyńską groblą. Pierwszy z nich bobrownikiem był, drugi sokolnikiem, trzeci bartnikiem. Żyli samotnie w głębi lasu, pilnując bobrowych żeremi, podkurzając pszczoły w sosnowych barciach, opiekując się sokolimi gniazdami. Rzadko widywano ich w karczmie przy mścickim moście czy w parafialnym kościele. We wsi zjawiali się jedynie zimą, by odwiedzić ciotę swą Skwierkę, która szafarką była u bogacza Kołomąta. Szedł od nich wtedy zapach mokradeł, jałowcowego dymu, zeschniętego igliwia. Nie strzyżone włosy, niedźwiedzie kożuchy, cisowe oszczepy upodabniały ich do „leśnych czartów”. Nadano więc im przezwi-ska Bałbałów i straszono nimi dzieci:

*Ej, za młynem, za tonią,  
leśne czarty się gonią,  
ej, na grobli, na białej,  
czarne tańczą Bałbały,  
strzeżcie się, córko mała,  
i ty, synku, Bałbała,  
bo was porwie, uniesie  
i zatraci gdzie w lesie.*

Trzech leśnych służków ani to ziębiło, ani grzało. Nadal przedzierali się zimową porą przez śnieżne zasy i oblodzoną groblę. Otwierali wysokie wrota. W mroku wczesnego wie-czoru przemykali pod słupami i wystającymi rysiami stodoły, pod ścianą szopy, uplecioną z wikliny, pod zwisającymi przyzbami domostwa. Pukali w

okiennicę ciotczynej izby, zakradali się w progi chałupy. Opowiadali o swobodnym puszczańskim żywocie, o utopkach, jędo-nach, kraśniakach, białych jeleniach, upiornych dzikich łowcach cwałujących przez gąszcz przy granu myśliwskich rogów i... jedli za wszystkie czasy, aż im się uszy nad misami trzęsły.

— Tyżeś to, ciotko, gotowała? — zapytał kiedyś bobrownik, ocierając usta rękawem.

— Zaś by tam — zaprzeczyła Skwierka. — Dość mam roboty w obejściu. Przy kominie młynarzówny królują.

Pomyśleli, że dobrze by było mieć w leśnych sadybach takie śliczne i gospodarne żonki. Wiedzieli co prawda od ciotki, że Kołomątówny czekają na króla lub królewicza, że zalotni-ków odprawiają od drzwi, ale się tym nie spieszyli. Przeglądali się w puszczańskich jeziorkach, uśmiechali się do swoich odbić w szklistych zwierciadłach, obrzeżonych zielenią rzęs, gęstwą sitowia:

— Albośmy to nie króle zielonego boru, wolni książęta szumiącej kniei?

Pewni zwycięstwa wyczekiwali ranków, w które młynarzówny ruszały z kobiałkami do lasu na poziomki, jagody, borówki, jeżyny, grzyby. Bezszelestnie skradali się za dziewczętami. Pokrzykiwali zza głązów, wykrotów, gęstych krzów, pni porośniętych mchami:

*Uniesto, Polnico,  
Świdniczko-zwodnico,  
nie skąpcie nadziei  
królom szumnej kniei,  
trzej zieloni króle  
miłują was czule,  
serca wam oddadzą,  
podziela się władzą,  
jako nasze żony  
w królestwie zielonym,  
najpiękniejszym w świecie,  
królować będziecie.*

Młynarzównom uprzykrzyły się wkrótce zaloty leśnych stróżów. Z początkiem zimy, kiedy Kołomąt zabił odyńca, który ugrzązł na skraju kniei w młace za groblą, uwarzyły po kryjomu z juchy dzika

czarnej polewki. Nalały jej do trzech malowanych mis, misy zaś podsunęły starej Skwierce, by je wieczorem podała Gozdawicom. Trzej bracia zaszli o zmro-ku do młyna, za stołem siedli. Podnieśli do warg łyżki drewniane.

— Cóż to dzisiaj za strawa? — siorbnął bobrownik.

— Dziwny ma smak — zakrztusił się sokolnik.

— To czarna polewka — otrząsnął się bartnik. — Wiecie chyba, bracia, co czarna polewka znaczy?

— Nie chcą nas młynarzówny — poburzyli się wszyscy trzej. — Podeptały nasze serca. Wzgardziły zielonym królestwem.

Gniewni, lecz bardziej jeszcze zmartwieni, wrócili do ośnieżonej kniei. Zaszli się w ciemnym ostępie i aż do wiosny o nich nie słyszano. Wiosną zaś, pewnego ranka, równo ze wschodem słońca, na morzu opodal Mielna pojawiły się wojenne korabie. Na czerwonych ich żaglach białe wielkie krzyże, na wierzchołkach masztów błyszcząły miedziane tarcze. Z dziobu największego statku płynęła gęźba lutni, pieśń jak wichher surowa:

*Grzywacz w pian pryskach  
brzegu dobiega,  
bije w urwiska  
mieczem Warega,  
krwawi się piana,  
w mgłach słońce wschodzi  
— tarcza miedziana  
na maszcie łodzi.*

Żeglarze zwinęli żagle, rzucili kotwice. Wylegli na brzeg mierzei. Wraz z drużyną zbrojnych rycerzy przyszli do wsi. Woje mieli żelazne szłomy, kolczugi błękitne, miecze obosieczne, okrętnicy — kusze na barkach, lecz nikomu nie czynili krzywdy. Beczki jeno przytoczyli puste i prosili kmieci, by im pozwolono napełnić je wodą ze studzien.

— Co to za ludzie? — szeptały dziewczyny wyglądając zza płotów i węgłów.

Rychło się tego dowiedziały.

W młynarzowe wierzeje zakołatały drzewca włóczni, czerwone, suto nabijane złotem ćwieków. Siedmiu junoszków w szkarłatnych sukniach z białymi krzyżami na piersiach, z po-złacanyimi lutniami u



pasów, zdjęło z głów wysokie kołpaki, przystrojone barwistymi wstęga-mi. Pokłonili się dwornie Dargocie, jakby nie kmieciem, jeno kasztelanem był.

Oznajmili słowiańską, acz odmienną nieco niż pomorska, mową:

— Pan nasz Wisław, ksiązę białej Rany, wracając z Mariańskiej Ziemi, z krzyżowej wojny z pogany, w gościnę do was przybywa.

Pokraśniały z uciechy piękne młynarzówny. W dłonie klasnęły. Zawołały z nie ukrywa-nym zachwytem:

— Ksiązę Wisław.

— Jaromirów syn i dziedzic.

— Dworny pieśniarz nad pieśniarze.

Rozstąpili się lutniści. Długowłose ksiązę-trubadur stanął przed pannami. Płaszcz szeroki odrzucił na plecy. Błysnął złotym pasem rycerskim. Grzywę jasną odgarnął z wysokiego czoła.

— Słyszałyście o mnie, dziewczki urodziwe?

— Któżby o was, księciu miłościwy, nie słyszał? — Dargota podjął gościa za kolana w drucianych nogawicach. — Chwała waszego imienia świat chyba cały obiegła. Nuże, córe-czki, zakrzątnijcie się żwawo. Przyjmijmy szlachetnego pana czym chata bogata.

Zakrzątnęły się Kołomątówny, zgotowały królewską ucztę, a gdy ksiązę zadowolony z biesiady obwieścił, iż w nagrodę spełni każde ich życzenie, poprosiły go nieśmiało o pieśń. Wisław na dwór wyszedł, siadł na ławie pod cienistą przyzbą, znak dał przybocznej drużynie. Junosze oparli o ścianę checzy i pień lipy, rosnącej na podwórzu, czerwone włócznie. Zatargali strunami lutni. Ksiązę zanucił na obcą, północną nutę:

*Gaśnie błyszcząca  
tarcza miedziana,  
trzy słońka weszły  
mi tego rana,  
trzy słońka białe  
mnie oślepiły,  
gdy zawitałem  
na brzeg ten miły.*

Ujrzał zachwyty w źrenicach zasłuchanych dziewczyn. Jedna zdała

mu się od drugiej piękniejsza. Nie było takich ślicznotek na jego rańskim dworze, pełnym rudych Niemkiń i bladych Dunek. Ani się do nich umywały mieszczyki z Rygi, z warownego Rewia. Odczekał, aż umilknie przegrywka lutnistów, i dalej pieśń wiódł swoją:

*Ja, Wisław z Rany,  
rycerz i śpiewak  
pólnocy, znany  
z rycerskich przewag,  
w hołdzie trzem słońcom  
składam pieśń moją  
— lutnię tęskniącą,  
którą sny stroją.*

Dobrze czuł się książę w młynarzowej zagrodzie. Odezwała się w jego żyłach słowiań-ska krew. Dwór jego zniemczały zdał mu się naraz obcy i posepny. Cudzoziemskie dworki, po niemiecku gadający dostojnicy, mnisi z opactwa na Kępie — tyle ludzi roilo się dokoła niego, żadne jednak serce nie biło tak szczerze na dźwięk jego gędźby, nigdy pieśń jego nie rozjarzyła zimnych oczu takim światłem. Rozkochał się w cudnych córach kmiecia. Noc bezsennie przepędził. Pasował się z sobą. Pierścień książęcy na palcu serdecznym obracał. Rano uznał, że jest zwyciężony.

— Daj mi córę twą za małżonkę — rzekł do Dargoty.

— O, książę miłościwy — uradował się kmieć. — W życiu się nie spodziewałem takiego zaszczytu. Na którąż to z mych pociech wybór wasz padł? Przywołałem ją zaraz, by radość mą dzieliła.

— Na którą?... — szepnął Wisław.

Nie potrafił odpowiedzieć. Patrzył kolejno na Świdniczkę, Polnicę, Uniestę i wybór zda-wał mu się coraz trudniejszy. Zawsze ta mu się najbardziej podobała, w której oczy spoglądał. Namyślał się długo, rozważał głęboko, ale nie mógł się zdecydować. Minał ranek, przeszło południe, wieczór się zbliżał, słońce nad puszcza za stawami przygasło, a Wisław wciąż bez słowa patrzył w trzy słońka promiennych liczek:

— Polnica? Świdniczka? Uniesta?

Dopiero stara Skwierka wybawiła go z kłopotu. Cicho wyszła z za węgła młyna, zaśpiewała wyczekującym dziewczynom:

*Niech ma rada wam pomoże,  
jeśli innej nie widzicie:  
są trzy źródła w głuchoborze,  
wyjdźcie tedy w bór o świcie,  
są trzy źródła w ciemnym lesie,  
w głuszę idźcie więc zieloną,  
która pierwsza dzban przyniesie,  
ta zostanie księcia żoną,  
która dzban przyniesie wody  
szumem sosen rozśpiewanej  
— tę poślubi księżę młody,  
rycerz-śpiewak, Wisław z Rany.*

Wszyscy odetchnęli z ulgą. Rada wydała się im świetna. Przygotowała więc ciota trzy gliniane dzbany, postawiła je na progu chaty, zapędziła dziewczki do snu, a sama wymknęła się nocą do kniei. Wszakże wróciła przed brzaskiem, by obudzić młynarzówny. Podała im dzba-ny, poprowadziła je groblą na skraj puszczy. Wskazała im strony, w których miały szukać leśnych krynic.

— Jeno nie zmylcie, gołąbeczki, drogi — przestrzegą ją z tajemniczym uśmiechem. — Bóg wam pomagaj tę znaleźć Stegnę, która was do szczęścia doprowadzi.

Zanurzyły się dziewczęta w szumny, wysokopienny las. Trzema krętymi ścieżynami podążyły ku trzem źródłom. Puszcza zdała się im dziś wesółą i przyjazną jak nigdy. Promyki, przesywające zielony półmrok, zapalały tęczowe światła w kroplach rosy na kiściach chojarów. Po mchach tańczyły blaski i cienie. Goniły się przez pniaki, wrzosa, igliwie niby leśne ubożęta płasające ze srebrnymi i zielonymi latarkami. Utopki klaskały błoniastymi łapkami w grzędach zarosłych kozuchem rzęsy. Po konarach skakały wiewiórki. Dziecioły stukały w pnie jak dobosze. Kolorowe ptaszki odziobywały niedojrzałe jagody jałowców, zanosiły się śpiewem w gałęziach, między którymi pajak rozsnuwał perlister sieć.

Śmiały się źrenice trzech siostr Kołomątówien. Stopy same je niosły w kolumnowy, ogromny dwór, rozbrzmiewający ptasią kapelą, i choć każda z córek Dargoty inną wędrowała dróżką, taka sama piosenka mimo woli wszystkim im wybiegła na malinowe wargi:

*Prosto mnie, ścieżko,  
do źródła prowadź,  
na białej Ranie  
będę panować,  
ja Wisławową  
zostanę żoną,  
ja zwieńczę skronie  
złotą koroną.*

Przed wieczorem znalazły w głębi lasu trzy bełkotliwe źródła. Uklękły na mchach. Pochyliły się nad srebrzystymi kryniami. Napęły dzbany rzeźwą, pachnącą, szelestliwą jak jedwab wodą i ruszyły w powrotną drogę. Ale, o dziwo, wszystko się teraz zmieniło. Po-mroczniał odwieczny gozd. Umilkły ptaki. Wiewiórki pokryły się w dziuplach. Dziewczynom ciążyły dzbany, przyśpieszały jednak kroku, aby co rychlej wydostać się z ostępu, wrócić do młyna w Mielnie. Woda chlustała z glinianych dzbanów, rozlewała się za nimi srebrem trzech strużek, szemrząc po mchach, gładkach, korzeniach:

— Śpiesz się, śpiesz...

Z wodnych przepadłisk unosiły się opary. Wykroty świeciły próchnem. Ścieżki, przed-tem widoczne jak na dłoni, plątały się teraz w kłębowisku dzikich chmielów, paproci, jeżyn, ginęły w cieniu obwisłych gałęzi. Między sosnami, dębami, bukami pędziły konne orszaki czarnych łowców, ścigających w szumie wichru jelenie białe, zaczarowane. Skrzeczały jędo-ny, chichotały utopki i ubożęta. Bezradnie błąkały się młynarzówny po kniei. Śledzili je bra-cia Gozdawice i zapamiętałe zwodzili pohukiwaniem:

*Hu, hu, tu, tu,  
a nie tamtędy,  
co tchu po mchu,  
przez leśne grędy,  
śpiesz, śpiesz przez kierz,  
przez jar, przez zagaj,  
nie tak, na wspak,  
Bóg ci pomagaj,  
tam, tam, wśród jam*

*bież z lewa, z prawa,  
w noc, w bór, na dwór  
księcia Wisława.*

Niosły się nawoływania. Pluskotały cicho trzy strumyki sączące się z glinianych dzba-nów. Polnica, Świdniczka, Uniesta myłone głosami, które rozlegały się z różnych stron, przerażone nocnymi zjawami, potykały się, zataczały. Na oślep biegly przed siebie, przedzie-rając się przez cierniste zarośla, brodząc w wilgotnej trawie polan, aż całkiem zagubiły się w szumniku-borze i zamiast nad Bałtyk trafiły na grząskie brzegi Jamna.

— Ratunku!— krzyknęły, bagno bowiem chwyciło je za stopy, zaczęło wciągać w lepkie błota.

Upuściły dzbany. Zapadły po kolana, po pas.

— Ratunku...

Z ciemności gozdu wyskoczyli trzej leśni stróże. Bartnik chwycił Polnicę, bobrownik przypadł do Świdniczki, sokolnik dłonie podał Unieście. Ocalili młynarzówny od śmierci, wpół je objęli, porwali na krzepkie ramiona, a każdy unosząc wybranekę w ostep, do swej sadyby, śmiał się i wołał, aż echa budziły się w puszczańskich komyszach:

*Czarną mnie polewką  
uraczyłaś, dziewczko,  
wždy będziesz królową  
nad naszą dąbrową,  
milsze tu władanie  
niż na białej Ranie,  
za wełnistą wodą,  
gdzie Niemce rej wiodą,  
leśne będzie słońko,  
świecić ci, ma żonko,  
leśna ci kapela zagra  
w dzień wesela.*

Uprawdzili córę Dargoty w taki matecznik, że nie zdołał ich odnaleźć ani młynarz, ani książęcy żeglarze, wojownicy, lutniści. Pogubili kołpaki ze wstęgami, pogubili włócznie cze-rwone i po

trzech dniach wrócili do Mielna z wieścią:

— Nie ma ich nigdzie! Snadź potonęły albo zwierz dziki je pożarł i kości ich rozwlókł.

— Nie było mi pisane szczęście tu znaleźć — westchnął książę Wisław.

Musiał się pogodzić z gorzkim zawodem. Chwyciwszy wiatr w żagle odpłynął ku białej wyspie. I młynarzówny pogodziły się z dołą, zbawców swoich pokochały serdecznie. Gozda-wice tedy przystroiwszy się w znalezione między drzewami kołpaki, chwyciwszy w prawice czerwone, złotem nabijane włócznie, obeszlili okolicę i zaprosili gości na potrójne weselisko.

Tak się wszystkim strój ich podobał, że odtąd zawsze tak się ubierali i zbroili wabcowie spraszający na wesela ludzi znad Jamna. Żadne wszakże z tych wesel nie dorównało zaślubi-nowej uczcie trzech zielonych królów. Nawet stara Skierka tak się rozochociła, że poszła w płasy z Dargotą Kołomątem. Pieczono na roznach dziki i sarny. Strugami złotymi lał się miód dwurażny, a tanecznikom szumiały srebrnie z daleka trzy rzeczki, płynące z trzech źródeł przez lasy i grzędawy tymi samymi szlakami, jakimi uciekały Polnica, Świdniczka, Uniesta, i ich też nazwane imionami.

*Miał młynarz w Mielnie trzy córy,  
pokochał je książę Rany,  
ale nie wiedział: o której  
poprosić rękę wybranej,  
bo jedna, druga i trzecia  
jak słońce lśniła urodą;  
szum, wodo, o córach kmięcia,  
o młynarzównach szum, wodo,  
ku Jamnu przez mroczną knieję  
srebrne nieś mian ich szelesty,  
by każdy pamiętał dzieje  
Polnicy, Świdniczki, Uniesty.*

**JAK ZGINĄŁ OSTATNI KASZTELAN STARGARDU**

*Niech przed oczy zdrajcom stanie*

*zbrodnia straszna, niesłychana:  
żli mieszczanie stargardzianie  
miecz w pierś wbili kasztelana,  
krwawa na nich ciąży wina,  
nie pomścili jej księżęta,  
ale wierna rzeka Ina  
o przelanej krwi pamięta.*

Na palcach można by pewnie policzyć tych, którzy nie słyszeli krakowskiej legendy o dwóch budowniczych wież kościoła Panny Marii. Tłumy oglądają przecież zawieszony w Sukiennicach nóż z żelaza, którym zazdrosny brat przebił brata. Jeszcze w ubiegłym stuleciu podobny brzeszczot wisiał wraz z kuną i probierzem na stargardzkim ratuszu, koło najwspañalszej z pomorskich far. Uczeni twierdzą, iż był to znak prawa miecza, posiadanego przez miasto, ale lud innego jest zdania.

— Tę klingę — powiadał z uporem — rajcy wydarli zdradą ostatniemu z książęcych kasztelanów Stargardu, rycerzowi Hukowi!

Jest na Pomorzu przysłowie o dawności rodu Borków, dziedziców Strzmiela: „Stary jak Bork i diabeł”. Hukowie również od pogańskich jeszcze czasów siedzieli na stargardzkim grodzie, który stał między rzeką a jej odnogą, obracającą koła starego młyna, w tym miejscu, gdzie rozciągało się słowiańskie Dolne Miasto. Pierwszy z nich, Wojsław, poślubić miał pan-nę wodną Inę. Potomek tej matki rodu, Inisław, ukrył — jak szeptano — skarby ze zburzonej za Krzywoustego kątyny w mokradłach Dziczej Dąbrowy. Janusz sprawował rządy w czasach Bogusława IV.

— Nasz pan chroni się w niedźwiedzią paszczę, aby ujść kłom wilków — mawiał o księciu, który, podobnie jak ojciec jego Barnim, w Sasach z Lubeki spodziewał się znaleźć ostoję i podporę tronu, podkopywanego krecią robotą grabiów Braniboru.

Niechętnie jeździł do Szczecina. Mierziło go, iż po śmierci Barnimowej nadworni szpil-mani składali na cześć zmarłego księcia niemieckie treny, że władcy Pomorza żenią się z brandenburskimi margrabiąkami, faworyzując saskich rycerzy i lubeckich kupców. Patrzył ze swej siedziby, jak osadzeni w mieście Niemcy ładują na komiegi przyzkie zboże i drzewo, by wysłać je z przystani przy



kościół Św. Marcina do Goleniowa, a stamtąd za morze. Przyglądał się spędzanym z okolicy na rzeź stadom bydła, które żalosnym rykiem płoszyło chmury kawek z Kawczych Gór. Słuchał pluskania wód Iny, uważanej przez Pomorzanie za świętą, i tak się trapił niedolą ojczystej ziemi, że w sile wieku posiwał jak gołąb.

— Białogłowa na naszym grodzie sprawuje rządy — szydzili z kasztelana stargardzianina, dufni w moc lubeckiego prawa, nadanego im przez Barnima, pewni przychylności Bogusława, otoczonego ziemczalym dworem. — Białogłowa w nogawicach!

Kiedyś zjechali w gościnę na kasztelańskie imieniny Borkowie ze Strzmiela, Zajęce, Kamykowie, Smętowice, Poturgowie, cały tłum pomorskiej szlachty. Zagrała na grodzie kapela, zabrzączały czasie, popłynęła ku miastu pieśń rozochoconych biesiadników:

*Precz wygnamy Sasy  
za góry, za lasy,  
za Czerwone Morze,  
Sas na kraj nasz lasy  
zniknie na wsze czasy,  
odetchnie Pomorze!*

Nazajutrz mieszczanie pobielili dach drewnianej baszty zbudowanej naprzeciw kasztelanii i nazwali ją Białogłową, drugą wieżę, wzniesioną nad rdzawym bajorem stojącej wody, pomalowali na czerwono, dali jej miano Czerwonego Morza, i drwili w żywe oczy z rycerzy, gdy ci po uczcie opuszczali gród.

— Otośmy już za Czerwonym Morzem!

Poczynali sobie co dnia zuchwałej. Koniec końcem dowiedziawszy się, że Bogusław zamierza podzielić się ojcowizną z bratem — samemu osiąść w Wołogoszczy, a Ottonowi oddać Szczecin — umyślili oderwać swoje miasto od Pomorza.

— Czekają posła margrabiów — doniósł Hukowi grodowy pacholek Strachota, którego narzeczona była służebną w wójtowskiej kamienicy i podsłuchiwała konszachty rajców. — W kupieckim przebraniu przybyć ma tu na świętojański jarmark. Z nim dobić chcą tego frymaru.

Pan Janusz zasadził się przeto w borze nad gościńcem. Schwytał kupców ciągnących poczwórnymi zaprzęgami z Braniborza, zagarnął

ładowne wozy i kupieckie sakwy, w których spodziewał się znaleźć pismo margrafa, świadectwo zamierzonej zdrady. Podejrzanych uwięził w loszku, by wziąć ich na spytki. Dowiedziano się o tym w mieście. Zląkł się wójt. Z ławnikami przybiegł na gród. Skłonił się nisko. Poprosił kornie:

— Zeszłego roku świętowaliście, panie, ze szlachtą dzień waszego patrona. W tym raczcie z nami go uczcić, najpierw modłami w farze, a potem biesiadą na ratuszu! Niechaj niesnaski ustąpią miejsca zgodzie. Przy kielichach poznacie szczerłość naszych myśli, wino bowiem prawdę na wierzch dobywa. Co człek ma na sercu, to i na języku!

Uwierzył im kasztelan. Narowistemu wierzchowcowi kazał przywiązać do ogona srebrny dzwoneczek, by dźwiękiem ostrzegał ciżbę przybyłą dnia tego na jarmark. Pojechał do fary nie ukończony jeszcze, oplecionej rusztowaniami. Wysłuchał modłów niemieckich o pomyślność księcia i swoją własną.

„Skrzywdziłem ich niesłusznym posądzeniem — zasumował się patrząc na rajców, którzy klęczeli przed ołtarzem i bili się w piersi. — Strachota lada czego się lęka, a me oczy straciły snadź dawną bystrość. Przemyję je na Wielkanoc w świętej wodzie Iny...”

Mimo to zawahał się, kiedy po mszy, na ratuszu przy zastawionych stołach, wójt poma-gając mu zdjąć kołpak i płaszcz, rzekł:

— Odpaszcie miecz, miłościwy panie!

Rajcy zauważyli wahanie pana Janusza.

— Nie ma zdrady ni w sercach, ni w mieście naszym — zapewnili chórem, najstarszy zaś z nich dodał, że kiedy lano wielki dzwon świętojański i kto żyw nosił ludwisarzowi sre-brne dzbany, miedziane lichtarze, cynowe misy, jakaś starka rzuciła w kipiący kocioł żywego węża.

— Od tej pory, jak daleko sięga głos dzwonu — wyciągnął dłoń wójt — wąż ani żmija pojawić się nie waży, nie w żmijowisku tedy, panie, jeno w gronie zacnych ludzi biesiadować będziecie!

Kasztelan oddał miecz Niemcowi, a ten ująwszy klingę przebił natychmiast gwałto-wnym cięciem pierś gościa.

— Ino, matko naszego rodu, pomścij śmierć syna — jęknął Huk, palcami chwycił obrus i, waląc się na ceglana posadzkę sklepionej izby, ściągnął go wraz z zastawą.

Gromadą rzucili się zdrajcy na powalonego. Mieczami rozsiekli go w sztuki. Kazali służbie ukryć w piwnicy krwawe szczątki, zmyć ślady krwi, zastawić stół na nowo, po czym biesiadowali do późna, radując się, że wszystko poszło tak gładko, i podśpiewując:

*Udała się sztuka,  
kracze kruk do kruka  
w zieleni dąbrowy:  
Był Huk, nie ma Huka,  
sam czart nie odszuka  
Huka Białogłowy.*

Pod wieczór przycichł jarmarczny zgiełk. Przekupnie pozamykali kramne budy. Pachol-kowie ściągnęli z masztu przed ratuszem targową chorągiew. Przebrzmiał dźwięk trąbki ceklarza. Stróż chciał zapalić jak zwykle latarnie na Młyńskiej Bramie, lecz mu na to nie pozwolono. Po ciemku rzucili zdrajcy porąbane zwłoki w nurt Iny, przepływającej pod bramnym łukiem. Potem wójt przyodział się w kołpak i płaszcz pana Janusza, dosiadł kaszte-lańskiego konia, podjechał na czele uzbrojonych mieszczan pod gród.

Strachota usłyszawszy brzęk dzwonka dyndającego u kity rumaka, spiesznie odemknął wrzeciędzie, lękał się bowiem narazić panu wracającemu, jak sądził, z wesołej uczty. Z krzykiem wdarli się Niemcy na podworec. Wymordowali załogę, wypuścili z więzienia branden-burczyków, złupili komnaty, podpálili ostrokoły i samborza. Stara warownia zgorzała do cna. Kawki z Kawczych Gór zleciały się rankiem nad dymiącą pogorzela, a na ratuszu w tej samej godzinie wysłannik margrabi przedstawiał wiarołomcom warunki swego pana. Ciężkie były. Toteż wójt odwrócił kota ogonem. Odprawił posła, wysłał list do Szczecina.

— Kasztelan Huk — doniósł książętom — zbójcą się stał. Łupił kupców na trakcie, a gdy zbrodnie jego wyszły na jaw, lękając się waszego gniewu, podpálil gród i uszedł za Czerwone Morze!

Jeszcze raz udała się sztuka przeniewiercy. Zniesiono stargardzką kasztelanię i jego mianowano sędzią na cały jej dawny okręg. Żelazny miecz rycerza Janusza zawiesił wójt u drzwi ratusza, gdy zaś się dowiedział, że Borkowie zamierzają odbić oręż zabitego druha, założył w Kowalskiej Baszcie zbrojownię, w której płatnerze bili

młotami od świtu do zmroku, aż wykowali nowe pomorskie przysłowie:

— Zbroją się jak stargardzianie na Strzmieli!

Poniechali więc odwetu strzemielińscy dziedzice; nie poniechała go wierzbowa Ina. Na przedwiośniu przypuściła krami szturm do miejskich foluszy, ale gdy folusznicy czuwający w Lodowej Wieży dostrzegli w porę niebezpieczeństwo, bosakami odepchnęli bryły lodu, uratowali swoje warsztaty, wróciła w łożysko. Przytała gniew, by tym niespodzianie osiągnąć zdrajcę.

W rok po krwawej zbrodni, w dzień świętego Jana, utonął w jej nurtach najstarszy z wójtowych synów. Następnego roku ten sam los spotkał drugiego z wójtowców. Zabójca oszalał z rozpacz i sam trzeciego lata rzucił się u Młyńskiej Bramy w zbełtaną topiel. Mimo to nadal w nie nasyconej, słowiańskiej Inie rokrocznie tonęli potomkowie wójta, zradzieckich rajców, ławników, kupców. Bracia augustianie, kaznodzieje od fary i kościoła Św. Jana, nawoływali z ambon ludzi przybywających na świętojański jarmark, by wystrzegali się mściwej rzeki. Na próżno. Potrafiła karać wnuków i prawnuków zbrodniarzy. Nawet tych, co wywędrowali z miasta, ściągała z dalekich stron.

Z początkiem ubiegłego wieku miał w dzień świętego Jana przybiec na stargardzki ratusz stary pastuch pilnujący świń, owiec i krów na miejskim pastwisku pod Dziczą Dąbrową. Zadyszany i przestraszony doniósł panom rajcom, że w samo pogodne, słoneczne południe usłyszał śpiewny głos z dna rzeki:

*Wybiła godzina,  
znów budzi się Ina  
i ofiary czeka,  
bo nie zapomina  
krzywdy swego syna:  
— Przybywaj z daleka!*

Nim przebrzmiało to wezwanie, nadbiegł drogą wędrowny czeladnik z węzełkiem na kiju i głową w dół rzucił się do cichnącej wody. Prześwietny magistrat z burmistrzem i pastorem na czele podążył nad rzekę. Panowie radni, ciekawi, kim był nieznajomy, nakazali rybakom ciągnąć sieci pod Lodową Wieżą, bosakami

gruntować dno za Młyńską Bramą, ale nie udało się odnaleźć zwłok młodego topielca i stwierdzić, czy pochodził on z rodu splamionego krwią ostatniego z kasztelanów Stargardu.

## OSUCH I URZMA

*Od Szczecina do Tolkmicka  
najpiękniejszą z wszystkich dziewcząt  
sołtysówna jest głowicka,  
swaty do niej śpieszą zewsząd.  
Zewsząd do niej swaty śpieszą  
morzem, lądem, wieczór, ranek,  
jak w dym walą swaty rzeszą  
do najmilszej z głowiczank.*

### I

Nad brzegiem morza, pośród piachów, wrzosowisk i sosnowych lasów, stała niegdyś na wschodnim krańcu Sarbskiego Jeziora wieś Głowice. Na strzechach wielu jej checz skrzypia-ły na wietrze chorągiewki wycięte w kształt ryb, niejeden bowiem głowiczaniec parał się rybo-łowstwem. Niejeden też porzucił rodzinną osadę, zaciągał się do załogi któregoś z okrętów, zawijających do Ustki, Łeby, Pucka czy Gdańska, pływał po szerokich morzach w nadziei, że uzbierawszy trochę grosza, wróci do domu i będzie mógł poślubić swoją wybrankę.

Tona Gil, młody, niebogaty rybitwa, postanowił iść ich śladem, zakochał się bowiem na umór w córce głowickiego sołtysa i szypra maszoperii tutejszych rybaków, urodziwej Tyli Skowronaszkównie. Wiedział dobrze, iż nie dla niego chowa ją sołtys, że o innym marzy zię-ciu, a przecież nie mógł się wyrzec myśli o pięknej szyprównie.

Kiedy w zimowe wieczory furczały w chacie sołtysa kołowrotki rybackich przątek, stawał pod oknem, zaglądał do izby oświetlonej smolnymi łuczywami, nasłuchiwał śpiewu dziewcząt przedzających konopie na sieci, odróżniał w ich chórze miły, dźwięczny, skowroń-

czy głosik Tyli:

*Modre oczka moje,  
cóż poradzę z wami?  
Nigdzie nie patrzycie,  
ino za chłopcami,  
ino za chłopcami,  
za okrętnikami.  
Modre moje oczka,  
cóż poradzę z wami?*

W zapustny poniedziałek, gdy zjawił się u szypra na zeszywinach, przyniósłszy, jak inni maszopi, losduk, czyli przypadającą na niego część sieci, jadro do puszy i macecy, drewniane koby — pływaki — oraz trzy kopy lepra — grubej liny do ciągnięcia niewodu — kiedy zaczęto pić i zeszywać wielki laskorn, patrzył tylko na Skowronaszkową, tylko jej śpiewu słuchał.

*Rybacy, rybacy,  
cóż wy tu robicie?  
Cóż znaczy to wasze  
śpiewanie i picie?*

Tylko jej też odpowiadał ochoczo:

*Zeszywamy sieci,  
może rybka wleci  
w te nasze sieci...*

I mrugał do niej powieką, by odgadła bez pomyłki, jaką to rybkę ma na myśli.

Maszopi wrzucili go, jako najmłodszego z ich grona, w świeżo zeszyty niewód, na szczęście, żeby ryba szła. Owinęli go siecią, piwem rześście oblali, lecz nie ugasili jego ognistej miłości. Nadal wodził za Tylą czułymi spojrzeniami. Czynił to i w karczmie przy sarbskim kościele, gdzie co niedziela rej wodziła w tańcach, kusząc wójta Raka z Łebieńca, Wojcieszka Cebulę z Roszczyc, Rybę z Nowęcina, Pasternaka, Pietruchę, wszystkich głowi-ckich chłopaków,

zalotnymi uśmiechami, beztroską przyśpiewką:

*Za mną, chłopcy,  
chłopcy, za mną,  
póki jeszcze  
jestem panną,  
bo jak w czepiec  
mnie ustroją,  
już nie będę  
panią swoją,  
już nie będę  
tańczyć z wami,  
parobkami,  
rybakami...*

Patrzył na nią czule i przy głowickim moście, gdy piorąc z głowiczankami bieliznę w nurcie Chełstu tłukła kijanką lniane płótna. Jakiegoś ranka, postanowiwszy wyruszyć na mo-rze i zebrać grosiwo na ślub, odważył się wprost zagadnąć ukochaną. Podszedł do strugi i z prośbą gorącą tak zaśpiewał urodziwej praczce:

*Przy głowickim moście  
modry kwiatek rośnie,  
poczekajże, dziewczę,  
jeden roczek jeszcze,  
zbiorę ja na morzach  
złota niby zboża,  
z nim wrócę z daleka,  
jeno na mnie czekaj.*

Nie obiecała mu niczego. Gorzej, ku ucieście głowickich dziewcząt, odpowiedziała na oświadczyny przekorną, jak i ona sama, śpiewką:

*Czekasz na odpowiedź  
sołtysówny z Głowic?  
Szczерze ci odpowiem:  
Ani mi to w głowie.*



*Młodo trza się żenić  
— powiadają starzy.  
Pójdę za pierwszego,  
co mi się nadarzy.*

Że jednak okrasiała tę odpowiedź przyjaznym uśmiechem, który przeczył słowom pio-snki, Gil nie utracił nadziei ani też nie przejął się zbyt odumą. Uśmiechnął się porozumiewawczo do Tyli, a nazajutrz pożegnał się z matką, spakował tłumoczek, na kiju go zawiesił i ruszył do Łeby, gdzie spodziewał się znaleźć służbę na którymś z kupieckich statków, zawijających do portu.

Wesołej był myśli, toteż wesoła piosenka towarzyszyła mu w drodze. Czuł się jak siedmiu błotnych królów, szlachciców siedzących od wieków nad łebskimi mokradłami, radował się jak siedmiu tych dziedziców-bogaczy w jednej osobie. Co chwila spozierał na skowronki zawieszane wysoko w błękitach, wzbijające się nad łąki i łęgi, dzwoniące srebrnie nad dzwonnica kościoła w Sarbsku. Co chwila wyciągał ku nim rękę i wołał:

*Ej ty, ptaszku  
— skowronaszku,  
wysoko latasz;  
figle, psoty,  
ptaszku złoty,  
ciągle mi płatasz;  
wždy, na duszę,  
w świat wyruszę  
za morza sine,  
po powrocie,  
jak pan w złocie,  
pojmę dziewczynę.*

Pewny był wygranej. Nie wiedział, jakiego rywala ześle mu los podczas jego nieobecności.

Byli na Gostkowym dworze dwaj bracia-morzkulcy. Krępy, baniastogłowy, pałakonogi Urzma, z wodorostami zaplątanymi w kołtuniastą czuprynę i brodzisko, piastował urząd koniuszego. Choć sływał jako mruk i śpioch, dobrze wywiązywał się ze swoich obowiązków. Dnie i noce spędzał w królewskiej stajni pilnując morskich koni. Czyścił je zgrzebłem z wielorybich fiszbinów sprowadzonych zza granic Bałtyku, podścielał im miękkie zielenice, karmił je najsmaczniejszą trawą morską. Grzywy i ogony plótł im w srebrne warkoczyki, pomrukując przy tym bez ustanku:

*Koniki moje,  
morskie koniki,  
troskać się o was  
to nie drobnostka,  
grzywy zaplatam  
wam w warkoczyki,  
morskie koniki  
włodyki Gostka,  
webłem was karmię  
lepszym od siana,  
najlepszą paszą,  
jaką zna morze...*

Tu przerywały mu zazwyczaj konie, zniecierpliwione słuchaniem jego chrapliwego głosu. Potrząsały grzywami i wierzgały tak, że musiał je uspokajać obietnicami:

*Stójcie! Ogony  
srebrne jak piana  
zaraz wam w cudne  
fale ułożę,  
do królewskiego  
wprzęgnę was wozu,  
przed dworu złote  
ruszym podwoje  
i polecicie  
z wichrem po morzu,*

*morskie koniki,  
koniki moje.*

Dumny był, kiedy zaprzęgał swe ulubieńce do Gostkowego wozu, gdy poczwórnym zaprzęgiem zajeżdżał przed złociste dźwierza Morskiego Dworu, a król chwalił go i klepał po ramieniu, zadowolony, że ma takiego masztalerza.

Z Osuchem, wysokim chudzielcem, trzęsącym małą główką na długiej szyi, stosunki Gostka-Radgosta nie układały się tak pomyślnie. Brat Urzmy, obdarzony już kilkoma dworskimi godnościami, zawsze budził niezadowolenie i kłopoty.

Jako kuchmistrz przesalał wszystkie potrawy i królewski dwór niemiłosiernie krzywił się nań po każdej biesiadzie. Jako surmacz nie potrafił dorównać Rewom — znakomitym trębaczkom — i mącił ich fanfary piskliwymi tonami. Gdy mianowano go pisarzem radcy Morszczyna, pisywał zamiast dokumentów, listów, fragmentów bałtyckiej kroniki, straszliwe wierszydła, jak choćby na przykład to:

*Gołąb nad morzem grucha,  
gołąbka chwali śpiew,  
grucha serce Osucha,  
lecz gruchania nie słucha  
żadna z bałtyckich dziew.*

Jako strażnik królewskich drzwi wzdychał zaś tak głośno i rozpaczliwie, że ani Gostek, ani Głada całymi nocami nie mogli zmrużyć powiek. Koniec końcem postanowili wyrzec się usług niewydarzonego dworaka. Od tej pory Osuch błąkał się po królewskich ogrodach, robiąc do każdej z napotkanych dworek słodkie oczy, klękając przed nią, przykładając dłonie do swej zapadłej piersi, wyznając nieodmiennie gorącą miłość i błagając o wzajemność.

Wszystkie jednak morskie panny śmiały się z kochliwego morzkulca i ani jedna z nich nie zamierzała przyjąć jego oświadczyn, mimo wruszających zaklęć, czułych starań, najtkliwszych przyrzeczeń, jakich im nie szczędził:

*Rzuć spojrzenie  
mi łaskawsze,*

*a twym sługą  
będę zawsze,  
stanę się twym  
kornym jeńcem,  
życie całe  
ci poświęcę.*

Wodnice odrzuciły ofiarowywane im serce, on zaś po każdym kolejnym zawodzie chudł coraz to bardziej. Często zachodził do stajni, by uzalić się przed bratem na swoją niedolę. Urzma wszakże nie nadawał się na powiernika ani pocieszyciela. Słuchając wyznań bliźniaka ziewał szeroko i nawet nie zasłaniał rozwartej gęby ręką pletwiastą. Nie współczował Osu-chowi, nie pojmował jego rozgoryczenia, sam bowiem miłował jedynie królewskie kobyły, jedynie im gotów był poświęcić całe życie.

— To najlepsze me przyjaciółki — mówił kołysząc się na pałąkowatych nogach i pod-chodząc do Gostkowych klaczy.

Gładził je po giętkich szyjach, sypał im do żłobów morski obrok, a potem kładł się w kącie i niebawem, nie zwracając już najmniejszej uwagi na niefortunnego zalotnika, zaczynał chrapać, aż woda bulgotała.

— Słuchaj, Urzmo — próbował niekiedy Osuch zbudzić ospałego brata.

Na próżno. Masztalerz miał sen twardy jak kamień. Nie było czego szukać dłużej w stajni, gdzie konie rżały i śmiały się, gdy tylko chudy długosz mijał wierzeje. Niepocieszony wodnik odchodził więc chyłkiem, przemykał przez dworski ogród, unikając spotkań z wodnicami, zaszywał się w najpustynniejszych okolicach bałtyckiego dna.

Błąkał się przepaścistymi wadołami rynien i szorów. Wałęsał się pośród gąszczy wodo-rostów, między opleśniałymi głazami i wrakami rozbitych okrętów. Wspinając się z mozołem na wyżyny snadzizn, melancholijnie pociągał nosem i żalił się sobie a przepływającym niemym rybom:

*Serce me żarem  
miłości bucha,  
lecz nikt nie widzi  
męki Osucha,*

*nikt mu nie poda  
przyjaznej ręki,  
choć od lat płonie  
w męce nad męki,  
której żar sroższy  
od skwarnych posuch;  
zginie w tym żarze  
nieszczęsny Osuch.*

Jękliwe jego skargi trwały dopóty, dopóki nie natknął się w dolinie Słupskiej Rynny na Zgagę-Pleskotę.

Rudowłosa wiedźma morska powracała właśnie z jednej ze swych częstych wypraw na ląd. Zła była, że i tym razem nie udało jej się posiać na dłużej niezgody między ludźmi, wspominała z żalem swoje dawne, owocne knowania na duńskim dworze. Tutaj, w okolicach Sarbska, nie mogła się pochwalić niczym podobnym. Mało to natrudziła się przed laty, stara-jąc się podjudzić giermka Wojewódkę, aby wydał swego pana, starostę z warownych Ru-szczyc, czyhającym nań Niemcom? Nie posłuchał jej. Ostrzegł rycerza przed zasadzką nieprzyjaciół.

— Głupiec — syczała Zgaga rozmyślając o niepowodzeniu swych usiłowań. — Zapła-cił życiem za tę psią wierność.

Giermek bowiem uszedł ze starostą z zagrożonego gródka gankiem podziemnym do Nowęcina, gdy zaś i tam dościgli ich prześladowcy, obaj rzucili się z końmi w Sarbskie Jezioro. Przepłynęli je wpław i chociaż Wojewódka, raniony podczas ucieczki, zmarł u stóp pana ledwie wydostali się na drugi brzeg, kaszubski rycerz zdołał ukryć się wśród głowickich wydm, a potem ująć na ziemię gdańską, pod opiekę księcia Mszczuja.

— Przegrałam wtedy, ale teraz się odegram — mruknęła mściwie czarownica usłysza-wszy zawroźdzenie Osucha.

Niewiele musiała sobie zadać trudu, by pozyskać wodnika dla swych zamiarów. Siadła po prostu na jednym z przydrożnych głazów i zanuciła:

*Od Szczecina do Tolkmicka  
najpiękniejszą z wszystkich dziewcząt  
sołtysówna jest głowicka,*

*swaty do niej śpieszą zewsząd.  
Zewsząd do niej swaty śpieszą  
morzem, lądem, wieczór, ranek,  
jak w dym wałą swaty rzeszą  
do najmiłszej z głowiczank.*

Przystanął Osuch. Oczy wciąż łzawiące wytarł paluchami. Przycisnął dłonie do bijącego serca. Słuchać zaczął z wielką ciekawością. A Pleskota dalej podsycala jego zainteresowanie. W gawędę z nim się wdała. Poradziła mu, aby przebrał się w szaty szypra długiego jak maszt, utopionego tej jesieni pod Białą Górą, i co rychlej pośpieszył w zaloty do sołtysówny. Odpowiadając na jego pytania, wspominała o różnych odtraconych przez Skowronaszkównę zalotnikach: sołtysowiczu Wojcieszku Cebuli z Roszczyc, wójcie Raku z Łebieńca, ławniku Rybie z Nowęcina. Nie zataiła też, że dla niej to wyruszył na morze Tona Gil.

Posmutniał morzkulec. Przestraszył się, iż ten ostatni nie jest obojętny urodziwej głowiczance:

*Dostał kosza wójt z Łebieńca  
i roszczycki sołtysowic,  
snadź żeglarza — oblubieńca —  
czeka piękna Tyla z Głowic.*

Ale ruda wiedźma, doświadczona mąciicielka, umiała kilkoma słowami rozproszyć te niepokoje płaczliwego pechowca:

*Na żeglarza czeka Tyla,  
tego pewnie się nie wyprze,  
nim doczeka wszakże Gila,  
twoją stanie się, mój szyprze,  
będzie z niej dla ciebie żona  
piękna, miła i wesola.  
Wiedz, Osuchu: jeno ona  
twoje łzy osuszyć zdoła.*

### III

W najbliższą niedzielę zaraz po mszy zjawił się w sarbskiej gospodzie niezwykle gość. Skorźnie, obcisłe nogawice, opończę i czapkę miał takie, jakie zwykli nosić żeglarze, lecz aksamitny jego kabat o rozcinanych rękawach, łańcuch złoty, pierścień herbowy, pas z pękatą kabzą i kordem godne były patrycjusza-wielmoży.

Powiadał, że jest szyprem z dalekich stron, że okręt jego rozbił się pod Białą Górą i on jeden ocalał z całej załogi. Susząc wilgotne szatki przy kominie buchającym czerwienią żaru i pachnącą parą, która unosiła się z miedzianego kotła, sięgał raz po raz do trzosa. Dawał szynkarzowi błyszczące guldeny. Stawiał grzane piwo, przyprawione dla smaku zamorskimi korzeniami, wszystkim tłumnie zebrany w karczmie chłopom, rybakom, muzykantom. Zachęcał ich do picia dziwną, smętną piosnką:

*Para wonna z kufli bucha,  
piwo je złote rozjarza,  
pijcie za zdrowie Osucha  
— nieszczęśliwego żeglarza;  
ma on guldenów rulony,  
ale go smutek zamracza,  
bo do tej pory brak żony  
w komnatach szypra-bogacza;  
ma nawy on i klejnoty,  
lecz cierpi okrutną biedę  
i cały skarbiec swój złoty  
za uśmiech oddałby jeden.*

Muzykanci grali na skrzypicach i piszczałkach. Szynkarz chochłą rozlewał do szklanic gorący trunek. Tańczyli młodzi i starzy: Rak z Łebieńca, Ryba z Nowęcina, Pietrucha i Paste-rnak z Głowic. Jeno Cebula z Roszczyc nie kwapił się do tańca.

Kaszubki spoglądały ciekawie na długiego żeglarza-bogacza, on jednak przyjmował to obojętnie. Nie spuszczał z oczu Skowronaszkówny. Dziś rano ukrył się wraz z Pleskotą pod mostem na Chełście, ujrzał sołtysównę jadącą z ojcem do kościoła i zakochał

się w niej od pierwszego wejrzenia. Gapił się teraz na jej liczka gładkie, wytrzeszczał wodniste oczy jak wół na gdańską bramę, wyczekiwał sposobnej chwili, by poprosić ją w płasy.

— Nie tańcz z tym obcym — przestrzegął Tyle sołtysowic Wojcieszek.

— Jeno z kim? — odpowiadała przekornie pytaniem. — Z tobą, Cebulo?

— Pewnie. Odepchnęłaś mnie, alem ja dochował ci wierności i dochowam jej do osta-tniego tchu, jak ów giermek roszczyckiego starosty, jak ten Wojewódka nieszczęsny, którego śmierć wymalowano u nas, w Roszczycach, na kościelnej ścianie.

— Stoję o twą wierność niczym o zesłoroczny śnieg.

— Bacz, byś nie pożałowała kiedyś tych słów.

— Czemu bym miała pożałować? Każdego inszego wolę od ciebie, Cebulo. Choćby i tego szypra-długosza spod komina. Ochota mnie bierze właśnie z nim zatańczyć.

— To jakiś dziwny człek — straszyl ją roszczyczanin. — Szynkarz powiada, że ręce ma wilgotne i czuć go morskim dnem jak topielca.

— Wiadomo: rozbił się pod Białą Górą — nie przejmowała się głowiczanka. — Nie-wiele brakło, by topielcem został. Pocieszyć go trzeba po rozbiciu, rozgrzać po zimnej kąpie-li.

I zalotnica, na złość Wojcieszkowi, upuściła przed obcym chustę, a gdy Osuch podniósł ją z ceglanej posadzki, puściła się z nim w tany.

Płasał nader pięknie. Ruchy miał tak płynne, że wszystkim się zdawało, iż tanecznicą w jego objęciach nie stąpa, ale pływa po gospodzie. Przetańczył kilka razy dokoła izby, potem zatrzymał się przed kapelą, rzucił grajkom guldena i podnosząc w palcach pod strop białą chustę Skowronaszkówny, zanucił falistym, to wyższym, to niższym głosem:

*Łkając błądzilem  
w pustce i głuszy,  
lecz chusta twoja  
łzy me osuszy,  
zetrzyj mi z rzęsy  
łzę srebrną, słoną,  
o, głowiczanko,*



*zostań mą żoną;  
serce masz złote,  
ja — złota wiele,  
chcesz to wyprawię  
huczne wesele.*

Poczerwieniał młody Cebula. W pięści zacisnęli dłonie wójt Rak z Łebieńca i ławnik Ryba z Nowęcina. Zaperzyli się Pietrucha i Pasternak — sąsiedzi sołtysówny, z których każdy miał nadzieję, że jemu to właśnie przypadnie w udziale powieść ślicznotkę do ołtarza.

— Niedoczekanie twoje, przybłędo! — zawołali.

Tyla spojrzała na nich z przekorą. Lubiała wkładać kij w mrowisko, patrzeć, jak zalotni-cy wodzą się o nią za łby, toteż bez wahania odśpiewała, uśmiechając się modrymi oczętami do tancerza-dragala kusząco i wymownie:

*Grzeczniejszyś niżli  
moi sąsiedzi,  
możesz dać tedy  
na zapowiedzi.  
Nie chcę rybaka  
ni chłopka-gbura,  
szyprową będzie  
sołtysa córa,  
siedemkroć więcej  
mieć będzie złota  
niż siedmiu królów  
na łbskich błotach.*

Zerknęła na młodego Cebulę. Okręciła się na pięcie. Strugając na palcach marchewkę, aby rozjątrzyć zakochanego sołtysowica z Roszczyc, zaśpiewała raz jeszcze:

*Pójdę za szyprem  
wiernie i prosto,  
jak Wojewódka  
szedł za starostą,  
niech wymalują*

*u was w kościele  
przy śmierci giermka  
moje wesele.*

Nazbyt sobie tym razem pozwoliła. Wojcieszek podskoczył jak oparzony. Podnieśli się głowiczanie. Łby pochylili jak byki przed natarciem.

— Co za wiele, to niezdrowo! — wrzasnęli wójt Rak z ławnikiem Rybą.

Obcy, cuchnący mułem rozbitek-przybłęda miałby sprzątnąć im sprzed nosów urodziwą sołtysównę? Osiągnąć po jednym tańcu to, o co oni zabiegali od dawna cierpliwie i daremnie? Chwycili kije, biczyska. Ruszyli gromadą na rywala. Siłą wyparli go z sarbskiej karczmy.

— Wróć, najmilsza! — wołał uciekając przed napastnikami. — Wróć po zimowych Godach. Weselną koronę i złotem dzianą suknię ci przywiozę.

— Bić go — krzyczał Wojcieszek. — Czego to mu się zachciewa? Niechaj pozna, że cebula łązy wyciska, gdy się ją za bardzo w palcach ściśnie.

— Przetrzepać obieżyświata — zwoływali się Rak, Ryba, Pietrucha i Pasternak. — Kijami, bracia, wybijemy mu ze łba niewczesne zachcianki.

Ścigali go po gościńcu aż za most na Chełście, za głowickie wydmy, lecz, znalazłszy się na brzegu morza, znikł im w ciemnościach z oczu.

Wrócił na dno zadowolony i wesoły. Każdemu aż do znudzenia opowiadał o swoim szczęściu. Przygotowywał się do wesela. Szukał na wrakach guldenów w kapitańskich kajutach, w zamczystych szkatułkach. Czyścił przyodziewek. Tanecznym krokiem przemierzał gościńce podwodnego królestwa i wyśpiewywał radośnie:

*Tańcowali Ryba z Rakiem,  
a Pietrucha z Pasternakiem,  
Cebula się dziwowała,  
jak Pietrucha tańcowała,  
wždy się jeszcze bardziej zdziwi,  
jak w tan ruszym my — szczęśliwi,*

*ja i piękna sołtysówna,  
nikt nam w tańcu nie dorówna,  
ani Ryba, ani Raczek,  
ni Pasternak-nieboraczek,  
ni Cebula, ni Pietrucha,  
oschły słone łzy Osucha.  
Dzionków minie małowiele,  
będzie Osuch miał wesele.  
Oj dadana, hejże, hu ha!*

Ale z początkiem stycznia niespodziewanie wydłużyła mu się twarz. U bramy bowiem królewskich ogrodów spotkał Zgagę-Pleskotę, skrzywioną, kwaśną, posiniaczoną, a gdy zaga-dnął ją, co słyhać w Głowicach i jak się miewa Tyla Skowronaszkówna, wiedźma odparła ze złością:

*Spuszcza oczka  
przymrużone  
sołtysówna,  
piękna Tyla,  
bo wychodzi  
dziś za Tonę,  
za żeglarza  
Tonę Gila.*

Zatrząśł ze zgrozy główką na długiej szyi. Uszom nie chciał wierzyć.

— Kiedy? — jęknął.

— Dziś — syknęła. — Powiedziałam ci przecież, że dzisiaj. Tona z mieszkim złota powrócił na Gody z za morza. Oświadczył się sołtysowi o rękę jego pięknotki.

— Przyjął go stary Skowronaszek?

— Przyjął. Staralam się przeszkodzić, nie dopuścić do tego ślubu. Szeptalam do ucha Gilowi, że panna niewierną mu była, kiedy on po wodach dalekich żeglował. Nic nie pomo-gło. Skrzyknął druhów i wygnali mnie z wioski.

Morzkulec rwał włosy z głowy.

— Przymusili do tego ślubu miłą moją narzeczoną. Na pomoc co

tchu biec jej muszę.

— Nie zdążysz — jątrzyła czarownica. — Droga daleka, a tam lada chwila zwiążą ich stulą w sarbskim kościele.

— Cóż tedy mam, nieszczęsny, począć?

— Weź Gostkowe konie. Zaprzęgnij je do wozu, który ongi był czarodziejskim czółnem króla Frotho. Poczwórny zaprzęg doniesie cię na czas pod głowickie wydmy.

Pobiegł Osuch do brata. Chciał go poprosić o pożyczenie królewskich klaczy. Nic z tego nie wyszło. Urzma spał jak zabity. Nie dobudził brata zrozpaczony wodnik.

— To i lepiej — pocieszył się szybko. — Trudno się z nim dogadać, a tu każda chwila droga.

Sam wyprowadził rumaki ze stajni. Zaprzągnął je, skoczył na Gostkowy wóz, chwycił lejce, cmoknął głośno wilgotnymi wargami:

*Koniki moje,  
nie traćcie chwili,  
nieście mnie, nieście  
do pięknej Tyli,  
pędźcie jak wicher,  
królewskie klacze,  
niech miłą moją  
rychło obaczę.*

Ruszyły z kopyta, a raczej z płetw grubych, pozłoconych. Pognały jarami szorów na snadzizny. Wyniosły wóz z zielonych głębin na powierzchnię morza. Skierował je natychmiast w stronę dalekiej Białej Góry. Biczem smagnał, by zachęcić je do szybszego biegu, by w porę stanąć na miejscu i przeszkodzić zaślubinom.

— Wio! — krzyknął piskliwie. — Wio, mąciwody!

Zbuntowały się przeciw takiemu traktowaniu. Stanęły dęba, potrząsnęły pieniście kita-mi. Bijąc płetwiastymi nogami o toń, zbełtały morze. Powiewające ich grzywy wznieciły po-rywisty wicher. Przeraził się niefortunny woźnica, że nie zdoła ujarzmić zaprzęgu przywykłego do żelaznej ręki Gostka-Radgosta.

— Cóżem uczynił... — jął lamentować.

Spłoszone konie poniosły wóz w pianach, bryzgach, grzmotach ku Głowicom, głuchym i pustym dziś jak wymiółł, gdyż wszyscy ich

mieszkańcy wybrali się do Sarbska na ślub sołtysówny. Osuch szarpał lejce, miotał się na wozie w rozpetanej burzy, pośród bujowiska ogromnych fal, pędzących grzywiastymi tabunami na niedaleki już ląd. Widział, jak denegi przewalają się nad płaskością i wydmami, wdzierają się coraz dalej w głąb ziemi nadmorskiej. Pobladł niczym rańska kreda.

W śmiertelnej obawie, że jego kryjoma wyprawa skończyć się może zagładą Głowic i Sarbska, Roszczyc, Łebieńca, Nowęcina i wszystkich okolicznych wsi, jał wzywać pomocy:

*Królu Gostku, srogo skarż mnie,  
lecz poratuj w tej obieży.  
Sam twych koni nie ujarzmię.  
Sztorm szturmuję do wybrzeży.  
Oszalały twe grzywacze,  
burzę gnają rozpetaną,  
zaprzęg wierzga, rży i skacze,  
parska wichrem, prycha pianą.  
Zginą biedni głowiczanie,  
zginie Tyla moja luba.  
Ratujże mnie, królu-panie,  
nim niewinnych spotka zguba.*

#### IV

Huczne wesele wyprawił Tona Gil. Nie żałował na dzwony, na świece. Nie skąpił grosza na śpiewy i muzykę. W rozjarzonym i rozśpiewanym sarbskim kościele ukląkł z Tylą przed ołtarzem. Wymienili obrączki, a potem cała kompania poczęła hulać w pobliskiej karczmie, z której niedawno zazdrośni zalotnicy przepędzili długiego szypra.

Wójt Rak z Łebieńca, ławnik Ryba z Nowęcina, Wojcieszek — syn roszczyckiego sołtysa Cebuli, Pietrucha i Pasternak z Głowic, wszyscy zawiedzeni w swych nadziejach rywale Tony pili tego, aby spłukać gorycz, utopić robaka. Westchnienia ich zagłuszała kapela, tupot tancerzy, przyśpiewki weselników:

*A zdejmijże wianek z głowy,  
potocz wianek lawendowy,  
niechaj się po stole toczy  
i raduje nasze oczy;  
zobaczmy, w jakie strony  
wianek toczy się zielony,  
czy na lewo, czy na prawo,  
czy ospale, czy też żwawo,  
czy na misę, czy na dzbanek  
pięknej Tyli padnie wianek?*

Potoczyła Skowronaszkówna-Gilowa weselny wianek po zastawionym stole. Szczęśliwie wyminął wszystkie przeszkody: misy, dzbany, kufle, szklanice. Dotarł do krawędzi białego obrusa. Byłby spadł na posadzkę, w kałużę rozlanego piwa, ale Tona zerwał się z ławy i chwycił go w dłoń.

Sołtysówna klasnęła z uciechy. Zaśmiali się podochoceni weselnicy:

*Potoczyła wianek Tyla,  
a on popadł w ręce Gila,  
popadł wianek jej zielony  
w ręce Gila, w dłonie Tony,  
trzymaj, Tono, piękny wianek,  
tyś kochanek, tyś wybranek,  
nie oddawaj go nikomu,  
jeno strzeż go pilnie w domu.*

Kipiała zabawa. Nikogo nie obchodziło, że jezioro i morze szumią głośniejszym niż zwykle, a deszcz tnie po strzesze karczmy. Nikt się nie przejmował, że wicher huczy w kominie i miota na izbę snopy rudych iskier, że w dali zawodzi trwożnie sosnowy bór.

Ciemno już było, gdy mocno pijani goście weselni zaczęli zbierać się do drogi i siadać na wozy rzędem stojące przed gospodą. Na jeden wleźli grajkowie, na drugi młoda para. Resztę zajęli weselnicy z żagwiami w rękach. Uradowany Tona, który tego dnia prócz wesela święcił swe imieniny, jako że było właśnie świętego Antoniego-opata, skinął na kapele. Zakrzyknął przy wiwacie skrzypie, trąb, piszczałek:

*Do Głowic, do Głowic!  
Kto pierwszy tam stanie,  
od Tyli Gilowej  
całusa dostanie;  
więcej wart ten całus  
od wszystkiego złota  
siedmiu naszych królów  
znad Łebskiego Błota.*

Trzasnęły bicze furmanów. Zadudniły podkowsy, zaturkotały koła wozów. Wyjechał weselny orszak z Sarbska, zanurzył się w las szumiący po obu stronach drogi.

Wiatr porywał iskry z rozmigotanych głowni, których nie mógł ugasić ani deszcz, ani pęd kawalerskiej jazdy. Kłębiły się w wilgotnym powietrzu tony muzyki, głosy weselników, ścigających się zapamiętale:

*Bór przy drodze rośnie,  
wóz dudni po moście,  
wracają radośnie  
sołtysowi goście.  
Z kopyta, kobyły,  
gnajcie w pogoń kłusem  
za dziewczyny milej  
gorącym całusem;  
więcej wart ten całus  
od wszystkiego złota  
siedmiu naszych królów  
znad Łebskiego Błota;  
pędźcie więc co siły,  
nóg nie oszczędzając,  
bo nam całus miły  
ucieknie jak zajac.*

Śmigali klacze biczyskami, starali się wyprzedzić jeden drugiego. Pokrzykiwali bez ustanku. Usiłowali tymi pokrzykami zagłuszyć szum drzew, świst wichury, narastający huk fal. Chociaż nikt ich nie

ścigał, gnali jak ongi roszczycki starosta i jego wierny giermek, uciekający przed niemiecką pogonią.

Pierwszy pędził pan młody z urodziwą sołtysówną. Mroźne podmuchy zapierały im od-dech. Krople deszczu, bryzgi błota i topniejącego śniegu, tumany zbutwiałych liści i zeschniętego igliwia oślepiały ich błyszczące źrenice.

— Chyba mnie to, kochana Tylo, będziesz musiała całusa dać w nagrodę — śmiał się Gil. — Sprzyja mi dziś mój patron. Zwycięzimy w tym wyścigu. Pierwsi staniemy w Głowicach.

Daleko za sobą pozostawili resztę wozów, Tona więc śmiało mógł tryumfować. Uniósł się nieco w siedzeniu i trzaskając batogiem wołał w oszołomieniu szczęśliwym:

*Mam twój wianek lawendowy  
i nie oddam twego wianka,  
dudnią koła, grzmią podkowy,  
da mi całus głowiczanka,  
przejedziemy most za chwilę,  
lawendowy mam już wianek,  
pocałuję moją Tyłę,  
najpiękniejszą z głowiczanek!*

Wtem zakołysał się wóz. Spadło koło. Pan młody krzepko jął ściągać lejce. Ostatkiem sił zdołał zatrzymać zaprzęg nad samym brzegiem Chełstu. Zeskoczył na ziemię i zbladł.

— Tylo! — krzyknął.

— Stało ci się, miły, co złego? — spytała niespokojnie.

Podbiegła doń śpiesznie. Spojrzała, zadygotała i ukryła twarz na piersi młodego żeglarza. Most był zerwany. Strumień zmienił się w potężną rzekę. Tuż u ich stóp rozlewała się szeroko wezbrana toń, pluszcząc i hucząc czarnym odmętym.

— Głowice — szlochała Gilowa — Głowice zginęły.

Rodzina jej wieś znikła w powodzi, zmieciona falą, przytłoczona garbami wydm, które gwałtowny sztorm przesunął z bałtyckiego brzegu głębiej w ląd. A daleko na morzu wśród pienistych gejzerów kipieli szalały morskie konie króla Gostka, unosząc to w jedną, to w drugą stronę wóz z pobladłym Osuchem-woźnicą. Daleko niósł się po wodzie i ziemi jęk jego rozpaczliwy:



*Królu Gostku! Bracie Urzmo!  
Czy słyszycie me wołanie?  
Oplakuję winę już mą,  
zlituj się nade mną, panie.  
Jęczę, szlocham, krzyczę, płaczę,  
nic już łez mych nie osuszy.  
Niech szalone morskie klacze  
wstrzyma w cwale twój koniuszy.*

## V

Daremnie by dzisiaj szukać Głowic nad Sarbskim Jeziorem. Ślad po nich nie pozostał. Zmiotła je doszczętnie straszna, styczniowa nawałnica, w owym roku 1396, kiedy to kochli-wy Osuch wykradł konie z królewskiej stajni Morskiego Dworu. Kto wie, czyby wówczas i Sarbska nie zalały wzburzone wody, bo jezioro wystąpiło z brzegów i zalew dochodził już do pierwszych chat wioski. Na szczęście koniuszy Urzma, ujrzawszy po przebudzeniu, że nie ma koni powierzonych jego pieczy, chwycił się za głowę, po czym bez zwłoki ruszył na poszuki-wania. Odnalazł zaprzęg na morzu koło Głowic. Skoczył na wóz. Okiełznał spłoszone klacze, pięścią w kark zdzielił brata-koniokrada i zawrócił w głąbiny.

Burza ucichła, nim jeszcze zajechali przed Gostkowy dworzec, nim strażnicy króle-wskich drzwi chwycili nieszczęsnego zalotnika za kołnier i powlekli do króla. Osuch na klę-czki padł przed tronem. Nie wzruszył tym jednak widłobrodego włodyki.

— Dość już miałem z tobą kłopotów, nierzwo, burzanie, niebelniku — krzyknął Radgost. — Wyczerpałeś moją cierpliwość do ostatka. Musi cię spotkać zasłużona kara.

Podniósł berło, wyrzekł trzy słowa zaklęcia i przeistoczył wodnika, który tyle narobił zamieszania, w rybę długą, wąskogłową. Niebawem złagodził jednak nieco na prośbę dobrej Głady i cór ten surowy wyrok: pozwolił skazańcowi odbywać pokutę w Sarbskim Jeziorze, w pobliżu kościelnej wioski, gdzie po zagładzie Głowic osiedliła się przekorna Tyla ze swym Toną Gilem i ojcem

Skowronaszkiem.

Żyje do dziś w sarbskich toniach, w krainie siedmiu błotnych królów, gdzie wiatr szumi nad wrzosowiskami, kołysze zielone czuby sosen, zawodzi o dziejach wiernego giermka Wojewódki, a Zgaga-Pleskota kryjąc się w żółtych gęstwach trzciny, rozgarnia brunatne berła kiczek, chichocze i szydzi z niedoli swojego ongiś przyjaciela:

*Gołąb nad wodą grucha,  
gołąbka chwali śpiew,  
grucha serce Osucha,  
lecz gruchania nie słucha  
żadna z bałtyckich dziew.  
Wrzosa, trzciny, bór, morze  
śmieją z niego się w głos,  
a on kręto węgorzem  
w Sarbskim pływa Jeziorze —  
krzywy spotkał go los.*

## KAMIEŃ PRACZKI

*Z czerwonego Szczecina  
czarna przyszła nowina,  
panna żyła tam biała,  
co się nigdy nie śmiała,  
aż się zjawił pan w złocie,  
za jej uśmiech dał krocie,  
uśmiechniętą niebogę  
z miasta uniósł na kogę,  
w cudzą powiozł ją stronę,  
hen, za morze zielone  
i przepadła na wieki  
w dali krwawej, dalekiej.*

Stał w Szczecinie u podnóża Zamkowej Góry, na rogu ulicy Panieńskiej i Kurzej Stopki, dom murowany, nieduży, z kamiennym okrętem na szczytnicy, wykuszem u węgła i takim wierszem wyrytym w kamieniu nad portalem:

*Gośćmi jesteśmy  
jeno na tym świecie,  
budowne domy  
budujemy przecie,  
a o dom wieczny  
nic a nic nie dbamy,  
aże nie staniem  
u zaświata bramy.*

Mieszkał tu stary szyper Dziećmierz Niewczas. Nigdy nikogo na szeląg nie oszukał, nic dorobił się więc, jak inni żeglarze i kupcy, chociaż nie znał wczasu ani za młodu, kiedy morza przemierzał, ani

na starość, gdy utraciwszy w wielkim sztormie swój korab, przestał wyruszać z portu w śmiałe rejsy.

Żona mu zmarła, piękną córkę zaś dziwna trawiła choroba. Błada i smutna całe dni spędzała w wykuszu ojcowej kamieniczki, chmurnymi oczami patrząc z okna na ulicę, którą przejeżdżały wspaniałe orszaki książąt, poszóstne karoce wielmożów i bankierów, ładowne wozy możnych kupców.

— Cóż ci jest, Cymbarko? — dopytywał zatroskany Niewczas. — Dlaczego nigdy się nie uśmiechniesz ?

Milczała. Zresztą medycy, których Dziećmierz sprowadzał z miasta, również nie potrafiłi dać odpowiedzi na to pytanie, mimo że szyper nie szczędził ostatnich groszy na leczenie jedynaczki i u najsławniejszych doktorów zasięgał porady. Zbiedniał wreszcie do tego stopnia, iż musiał odprawić służebną. Sam odtąd fartuch przypasywał, sprzątał, gotował, prał. Sąsiedzi i dawni jego kamraci-żeglarze, rubaszni Niemcy albo zniemczeni Pomorzanie, „Praczem” go przezwali. Za boki brali się ze śmiechu.

*Nie znajdziesz takiego szypra,  
jak długie nasze wybrzeże:  
wroga w czas morskich prał wypraw,  
dziś doma bieliznę pierze,  
on praczką, z niego kucharka,  
zeń brać się śmieje wesół,  
wždy córa jego Cymbarka  
wyręczyć nie chce go zgoła,  
jako królewna zaklęta  
na świat poziera z wykusza,  
pochmurne mruży oczęta,  
ojca się biedą nie wzrusza,  
nie zazna Niewczas, co wczas,  
będą zeń drwić szczecinianie,  
aż rady posłucha naszej  
i córze sprawi swej pranie,  
ej, Praczu, pokorny służko,  
rękawy zakasz, a nuże,  
i wypierz czarne serduszko  
Cymbarce — niewdzięcznej córce.*

Wdowiec wszakże świata poza córką nie widział. Wolałby chyba rękę stracić niż pod-nieść ją na jedynaczkę. Ani mu w głowie nie powstało, że jego Cymbarka ma czarne, złe serce. Nie przypuszczał, że zazdrości innym bogactw, że nocami, kiedy miejscy Stróże, na rogach grając, odpowiadają z rozmaitych stron grodu hejnałom trębacza z świętojakubskiej wieży, ona zasnąć nie może, z boku na bok przewraca się w mrocznej alkwie na miękkiej pościeli, marząc o tym jeno, by stać się możną panią. Usługiwał jej chętnie, patrzył w nią jak w słońce, bronił Cymbarki przed zarzutami starych druhów:

— Nie jej wina, że chora. Od śmierci matki trapi ją nieukoiony smutek. Nie pomnę, by się kiedy uśmiechnęła. Nie pomogli jej medycy ni dryakwie aromatariusza z miejskiej apteki, chociaż utraciłem na nie resztę fortuny. Cymbarka czule ma serce. Niesłusznie ją, niepocziwi ludzie, ganicie.

Ramionami wzruszali, uśmiechali się szyderczo. Ogłosił więc w ratuszowej piwnicy, w Żeglarskim Dworze, siedzibie bogatych szyprów i krojczych sukna, pyszniącej się glazurą cegieł przy szczecińskim Siennym Rynku:

— Nie mam złota w szkatule, wszelako córę mam piękną. Temu oddam ją za żonę, kto potrafi przywołać uśmiech na jej wargi.

Wieść o tej obietnicy rozeszła się równie szybko, jak szeroko. Wielu młodych szczeci-nian od dawna wzdychało do uroczej szyprówny z Kurzej Stopki, wielu przeto pragnęło zdobyć rękę jej i serce. Ubiegali się o to również obcy. Przybył przed Kamieniczkę pod Okrętem wędrowny kuglarz. Kozły fikał, podrzucał kolorowe kule, na rękach stawał, żywe gołąbki wypuszczał z gęby. Przyszedł kobziarz — Szkot. W kobzę dmuchał, aż mu pocze-rwieniały policzki, a w płucach tchu zabrakło. Przyszedł lutnista, palce na strunach lutni sobie pokrwawił, ale i on odszedł ze zwieszoną głową.

Ba, nawet książęcy błazen daremnie brząkał złotymi dzwoneczkami przszytymi do czerwonego kaptura, potrząsał kunsztowną grzechotką, wykrzywił ucieszenie twarz pobieloną. Z figłów jego chichotał cały Szczecin prócz bladej panny z wykusza Dziećmierzowego domku. Cóż dopiero mówić o młodym marynarzu, co utraciłszy nogę w morskiej bitwie z piratami, zarabiał śpiewkami na życie. Przywłókł się o kuli na Kurzą Stopkę i próbował uży-skać to, czego innym nie udało się osiągnąć. Najpierw piosenkę zanucił:

*Śpiewałbym ci piosnki,  
ale nie mam nuty,  
ukradli ją szewcy,  
poszyli z niej buty,  
buty z niej poszyli,  
sprzedali żeglarzom,  
co mostem nad Odrą  
jak żurawie łążą  
i śledzie z korabi  
ładują na szkuty,  
obuli żeglarze  
buty z mojej nuty,  
a buty te zaraz  
poniosły ich w tany,  
bo w nucie mej wicher  
był zaczarowany,  
tańczą żeglarze  
po moście nad Odrą,  
aż buty z mej nuty  
w tańcu onym podrą.*

Roześmiał się Niewczas od balii odbiegłszy. Cymbarka jednak patrzyła z wykusza niewzruszenie obojętna. Zdawała się nie słyszeć również tego, co okrętnik opowiadał potem o życiu swoim smutnym, prosząc ją, jak o jałmużnę, o jeden uśmiech.

— Uśmiechnij się, w zamian do śmierci służyć ci będę jak niewolnik — zaklinał się gorąco. — Przebudź się, zaklęta śpiąca królewno. Wysłuchaj mej prośby.

Nie zdołał jej ubłagać. Żyła nadal jakby pogrążona we śnie, zamknięta w sobie, niedostępna dla nikogo. W samotności snuła marzenia o szatach ze złotogłowiu, zamorskich klejnotach, skrzyniach żelaznych, wypełnionych po brzegi skarbami, ciżbie sług kłaniających się jej w pas.

Tak było aż do dnia, w którym przed kamieniczką Niewczasa stanęła gromada miej-skich puszczków, pałkierzy, trębaczy, zbrojnych marynarzy, a brodaty olbrzym-żeglarz, strojny jak król w szaty drogocenne i złote łańcuchy, zakołatał do drzwi zubożałego szypra.

Dziećmierz, jak niewiasta, przepasany fartuchem, wyszedł na próg.

— Tyżeś Pracz? — zagadnął przybysz..

— Tak mnie zowią — skinął głową stary.

— Słyszałem w Żeglarskim Dworze, iż córę śliczną dasz temu, kto sprawi, że uśmiech zagości na jej twarzy. Prawda to?

— Prawda.

— Założyłem się z burmistrzem o dziesięć fas najlepszego piwa, że tego dokażę.

— Przegracie chyba zakład ów, panie.

— Wszelako spróbować nie zawadzi.

— Ano to próbujcie.

Wielkolud spojrział ku wykuszowi i krzyknął:

*Wyjrzyj, panno, z ciemnej izby,  
jam Mikołaj — kupiec z Wisby,  
jam gotlandzki król Mikołaj,  
brak ci czego — to zawołaj,  
to zawołaj, panno biała,  
coś się nigdy nie rozśmiała,  
a życzenie spełnię twoje,  
rychlej smutek twój ukoję  
niżli lekarz czy aptekarz;  
wołaj, panno, na co czekasz?  
Mam do serca twego klucze,  
śmiać się, panno, cię nauczę,  
śmiać się, panno, będziesz skora  
od poranku do wieczora.*

Zaciekawiona Cymbarka wyjrzała na ulicę. Wiedziała, że Wisby na Gotlandzie bogate jest jak legendarna Wineta, której żelazną bramę tam pono zawieźli Duńczycy. Pomyślała też, że musi być z Mikołaja nie lada bogacz, gdyż biedaków nie wpuszczano za próg szczecińskiego Dworu Żeglarzy. Jeśli nawet jakowyś służebnik przekroczył drzwi gildy, by szukać tam swego pana, ten dawał jako grzywnę funt wosku.

— Witaj, smutna panienko — huknął brodacz.

Gwizdnął w świstawkę zawieszoną na złotym łańcuchu. Wszyscy prócz niego odkryli głowy.

— Zatańczymy starodawny płas tęgich okrętników — obwieścił donośnie. — Ja, król okrętniczej braci, nakazuję tym, co tańcowi naszemu pragną się przypatrywać, by odstąpili na boki i mieli się na baczności, kiedy klingi kordów naszych zamigocą.

Pałkierz uderzył w bęben, zadęli piszczkowie i trębacze. Rozstąpili się uliczni gapie. Marynarze w białych gieźlach, ozdobionych wstęgami, przywiązali do kolan miedziane dzwoneczki, zawirowali w takt muzyki. Wicher ich poniósł zda się morski, nieujarzmiony. Załamał się krąg. Skrzyżowały się szeregi. Błysły nagie brzeszczoty. Tancerze wpierw skakać jęli przez kordy, potem ułożyli je na kształt róży wiatrów i tańczyli dokoła jej płatków z północnej stali.

— Chwaty — krzyczała gawieź.

I znów zmienił się widok. W oka mgnieniu znikła róża, nowe utworzyły się figury. Okrętnicy rozbili się na mniejsze koła, pośrodku których z piekielną zręcznością okręcali się wybrańcy, każdy pod baldachimem z czterech obosiecznych głowni. Dzwoniły dzwoneczki. Furkotały wstęgi i koszule. Świstały przyspieszone oddechy. Twarze krwią nabiegły, jakby płomień je smagał, zrodzony z migotów żelaza.

Na koniec wszyscy tanecznicy zbiegli się wyciągając płazy kordów w jeden punkt i tworząc z nich w ten sposób wielką, okrągłą tarczę. Skoczył na nią barczysty król płasających marynarzy. Podnieśli go wysoko. Zadarł głowę. Zawołał ku szyprównie bielejącej w mrocznym oknie wykusza:

*Za tan okrętniczej braci  
niechaj uśmiech twój zapłaci,  
musisz dzisiaj się uśmiechnąć  
albo niech mnie porwą kaci.  
Rękę twoją zdobyć muszę,  
choćbym za to dać miał duszę,  
popatrz, biała szczecinianko,  
jako ja żelazo kruszę.*

Rzucono mu żelazny łańcuch. Chwycił go w lot. Rozpostarł muskularne ramiona. Targnął. Grube ogniwa porozrywały się, jakby spleciono je z kruchej słomy. I ten wszakże wyczyn nie wywołał uśmiechu na ustach Cymbarki.



— Dajcie mi mój kubeczek — rozkazał wtedy olbrzym. — Napelnijcie go po brzegi.

Jeden z żeglarzy dobył z sakwy puchar wysoki nieledwie na półtora łokcia. Drugi wlał weń cztery flaszki burgundzkiego wina i podał go wodzirejowi. Król podniósł roztruchan i nie odejmował go od warg długo, bardzo długo. Wychylił napój jednym haustem. Odwrócił po-tem kielich dnem do góry na znak, że ani kropli w nim nie pozostało. Szczecinianie wiwatami huknęli:

— Zuch! Pije jak sam Dybikubek. Niechaj żyje Mikołaj z Wisby, niechaj żyje!

Klaskali w dłonie, śmiali się z uciechy. Niewczasówna jednak zdała się nie widzieć niczego z tych igrzysk dla niej wyprawianych. Twarz odwróciła smutną.

— Napelnijcie kubeczek mój po raz drugi — wydał rozkaz barczysty zalotnik.

Otwarto skórzaną kabzę. Jak migotliwy potok posypały się w wielką krużę wspaniałe rubiny. Wypełniły naczynie powyżej złocistej krawędzi.

— To dla ciebie, smutna królowno — powiedział brodaty kupiec i wyciągnął ramię w stronę Cymbarki.

Wychyliła się z wykusza. Zaśmiały się jej źrenice, rozjarzyły odblaskiem drogocennych kamieni. Przyjęła kielich klejnotów w białe ręce.

— Cymbarka się uśmiecha — zdumiała się gawiedź. — Nie do wiary! Słyszeliście, szczecinianie? Panna z Kurzej Stopki się śmieje.

Gromadą odprowadzili strojną w rubiny mieszczkę do Żeglarskiego Dworu na biesiadę zaręczynową. Przez całą noc trwała uczta tak huczna, że strażnik trąbiący hejnały wywiesił z wieży Św. Jakuba latarnię ku wschodowi, sądząc, iż zbójcy na rynku czynią tumult. Niewczasówna uśmiechała się bez przerwy. Z uśmiechem też pozwoliła się rano zanieść barczystemu kupcowi do portu na pokład kogi stojącej koło Pomostu Kleryków. Pół Szczecina wyległo nad rzekę, by zobaczyć dziwo nad dziwy: uśmiech Cymbarki odpływającej na Gotlandię, do warownego miasta wież i róż — Wisby, gdzie nieznajomy bogacz obiecał wyprawić wspaniałe weselisko.

— Rad jestem, córo, iż ozdrowiałaś — zegnał stary Prac z jedyńca — ale żal mi przecie się z tobą rozstać.

Odwróciła głowę od ojca w kaftanie wytartym, w zdeptanych skórzniach. Wstyd jej by-ło pokazać się w jego towarzystwie tam, w zamorskim grodzie pośród możnych patrycjuszy.

— Każ podnieść żagle — uśmiechnęła się do Mikołaja. — Pragnę co rychlej ujrzeć swój dom. Wspaniały być musi jak książęcy zamek.

— Sam król takiego nie ma — zaśmiał się i gwizdnął w srebrną świstawkę.

Marynarze rozpięli żagle i korab ruszył z prądem w dół szerokiej rzeki, ku Zalewowi, Pomorskiej Zatoce, Bałtyckiemu Morzu. Snuły się za nim warkocze siwych mew. Żegnała go piosnka jednonogiego okrętnika:

*Pod bramami Szczecina  
statek żagle rozpina,  
panna śmieje się biała,  
co się nigdy nie śmiała.  
Przyszędł do niej pstry wila:  
— Śmiejże, panno, się miła.  
Przyszędł rybał z luteńką:  
— Rozjaśń liczka, panienko.  
Przyszędł błazen z grzechotką:  
— Uśmiechnijże się słodko.  
Przyszędł śpiewak ubogi,  
okrętniczek bez nogi:  
— Srogą cierpię ja biedę,  
dajże uśmiech mi jeden.  
Wždy uśmiechu promyczek  
nie rozjaśnił jej liczek.  
Dała uśmiech z ochotą  
za rubiny, za złoto.  
W krwawą płynie dal kogą,  
los pokarze ją srogo,  
gorsze bowiem od grzechu —  
skąpić bliźnim uśmiechu.*

A tymczasem w kasztelu Cymbarka przeglądała się w zwierciadle, stroiła w coraz to nowe kosztowności, dobywane z wielkiej szkatuły. Czas płynął jej szybko, toteż zdziwiła się, kiedy

narzeczony oznajmił jej, że pora wylądować.

— Jużemy w Wisby? — zapytała, kiedy nocą marynarze z okrętniczymi latarniami pomagali jej zejść do szalupy.

— W Wisby nie zaznałabyś, gołąbeczko, spokoju — zaśmiał się olbrzym.

— Dlaczego?

— Chodzą słuchy, iż Krzyżacy zamierzają wysłać flotę i zająć to miasto. Postanowiłem tedy za wczasu ukryć w bezpiecznym miejscu moje skarby, pośród których ty najcenniejszym jesteś klejnotem.

Na wschodzie zaczynało świtać. Poblask zorzy zaczerwienił oślepiająco białe urwisko, uwieńczone grzywą bukowego lasu. Czólno zbliżyło się pod przyładek.

— Cóż to za skały? — zaciekawiła się szczecinianka wdrapując się przy pomocy Mikołaja na strome, wykute w kredzie stopnie.

— Jasmąt — odrzekł. — Najniedostępniejszy z przyładek białej Rany.

Wprowadził dziewczynę do jaskini czerniejącej między Małą a Wielką Stobnicą, oddał pod opiekę strażnikom skarbów nagromadzonych w mrocznej grocie i pożegnał w progu czeluści:

— Za dwie niedziele przyplynę z resztą skarbcza. Wtedy wyprawimy wesele.

— A jeśli spotkasz się po drodze ze statkami Krzyżaków ciągnących ku Gotlandii — zatroskała się. — W boju łatwo zginąć.

— Innym, nie mnie! Chronią mnie relikwie świętego Wincentego, które zra... — chrząknął i poprawił się zaraz: — raczył mi biskup jeden ofiarować łaskawie.

— Tęsknić będę do ciebie.

— Już tam się postarają moi służebnicy, iżbyś miała czym skrócić sobie czas.

Poszeptał z wąsatymi stróżami i powrócił szalupą na kogę. Powiewała mu haftowaną chustą, wciąż się jeszcze uśmiechając. Wkrótce jednak uśmiech jej zgasła piosnka żeglarzy, rozwijających żagle na masztach okrętu, który coraz wyraźniej wynurzał się z różowej bieli porannych oparów:

*Na reję żagiel, na reję,  
podciąga brać Dybikubka,  
z Jasmątu do nas się śmieje*

*córeczka Pracza bielutka.  
Na reję żagiel, zbójnicy,  
świt krwawo świeci jak rubin,  
wrócimy do stóp Stobnicy  
w dzień twych, Cymbarko, zaślubin.  
Nim dwie przeminą niedziele  
kielich o kubek tu stuknie,  
przeto na twoje wesele  
skrwawione wypierz nam suknie.  
Przy pełni pierz i o nowiu,  
aż zmyje piana fal biała  
krew skrzeplą na złotogłowie,  
krew, co jedwabie zbryzgała.*

Teraz dopiero pojęła, jaki los ją spotkał: wpadła w ręce Dybikubka, hetmana bałtyckich piratów, który palił klasztory, łupił warowne porty, topił nawy kupców i królów, a z ubogich marynarzy tylko tych przyjmował do swego bractwa, którzy potrafili wypić duszkiem ogro-mny kielich herszta.

— Ojcze — zaszlochała kryjąc w białych dłoniach załzawione oczy. — Niewdzięcznicą byłam! Zaślepiła mnie zazdrość...

Nie pozwolono jej się wypłakać. Wąsaci stróże zaciągnęli ją do głębokiej, ciemnej jaskini. Pod stropem jej latały nietoperze spłoszone blaskiem żagwi i płonącego pośrodku pieczary ogniska. Pod okopconymi ścianami stały beczki, skrzynie żelazne, skórzane miechy, piętrzyły się zwalone na stos, skrwawione koszule z niderlandzkiego płótna i cienkiego jedwabiu, szaty ze szkarłatnego sukna, aksamitu, złotogłowie, adamaszku.

— Masz wyprać tę przyodziewę, zanim nasz hetman powróci — rzekli piraci.

Od tej chwili nie zaznała odpoczynku. W dzień musiała warzyć zbójom strawę na ognisku w zadymionej grocie, co nocy zaś wąsacze wieźli ją czółnem na wielki złom granitu, sterczący z morza o sto kroków od krańca kredowych ścian Wielkiej Stobnicy. Klękała na głazie i białymi rączkami, które nie wiedziały dotychczas, co to robota, prała aż do rana szatki zbroczone krwią, zdarte z zabitych szyprów, patrycjuszy, wielmożów. Dłonie pierzchały jej od słonej wody. Słone łzy płynęły z jej oczu. Dygocąc z zimna w bladej smudze

księżycyca garbiła się przytłoczona niedolą, wspominała dom na Kurzej Stopce, dobrego ojca Dziećmie-rza, ludzi, którzy starali się ją rozweselić, a którym ona poskapiła uśmiechu.

*O, Szczecinie mój, Szczecinie,  
nie zobaczę cię już więcej,  
piana płynie po głębinie,  
łka nad morzem płacz dziewczęcy,  
fala się za falą toczy,  
o kredowe chlusta skały,  
łzy co nocy szklą mi oczy,  
oczy, co się śmiać nie chciały.  
W łzach mi płyną noce kary  
na kamieniu praczki-płaczki,  
w przedświt szary przez opary  
z krzykiem lecą dzikie kaczki.  
Weźcie, ptaki, moje żale,  
proszę was w łzach drżąca, sina,  
ponad fale w mgle i szkwale  
nieście płacz mój do Szczecina.*

W dzień żyła wśród nieprzebranych skarbów, lecz nie cieszyły one jej oczu. W nocy z drzeniem serca myślała, co się z nią stanie, gdy wróci piracki hetman, choć bowiem ścierała do krwi delikatne paluszki, ciemne plamy nie schodziły z drogocennych szat. Dybikubek nie powrócił do stobnickiej jaskini. Wyparty przez Krzyżaków z warownego gniazda na Gotla-ndii, uciekł z Bałtyku. Na Północnym Morzu pojмали go i ścięli hanzeaci, jego służebnicy zaś, pozostawieni na straży złupionych skarbów, nic o tym nie wiedzieli. Wola herszta była dla nich święta, nieszczęsna branka musiała więc aż do śmierci prać krwawe suknie na samotnym głazie.

„Kamień Praczki” — zwa go teraz jeszcze tutejsi rybacy i zaklinają się, że przy pełni lub o nowiu ukazuje się na nim postać białej szczecinianki.

Zaczerwienionymi, spierzchniętymi dłońmi płucze w pianach kaftany, gieźła, nogawice, popłakując i skarżąc się boleśnie:

*Biały wschodzi nów wieczorem,*

*rano gwiazdy blade gasną,  
a ja piórę w nocną porę  
na kamieniu tam, gdzie Jasmąt,  
tam, gdzie Jasmąt, gdzie Stobnica,  
gdzie nietoperz nocą lata,  
pokutnica białolica  
muszę pracć do końca świata.*

## SKĄD SIĘ WZIĘŁY WŁOSKIE MURENY W JEZIORZE MIEDWIE

*Ongi żył w Kołbaczu opat,  
który w grzech łakomstwa popadł,  
za nic mnisze mając śluby  
wszedł na śliską ścieżkę zguby,  
szczelby porwan albo zabit,  
czart już chwycił go za habit,  
lecz się odwróciła karta  
i mnich uszedł szponów czarta.*

Kiedy po raz pierwszy zwiedzałem szczecińskie muzeum, przewodnik pokazał mi w jednej z sal granitową głowicę kolumny z refektarza sławnego na Pomorzu opactwa białych braci cystersów w Kołbaczu. Wyrzeźbiono na niej przed wiekami przerażonego mnicha, którego chwycił rogaty bies za zjeżone włosy czy też (nie pamiętam już dokładnie) kaptur cysterskiego habitu.

— To podobno sam kołbacki opat — uśmiechnął się mój towarzysz i zaraz mi opowiedział od dawna znaną szczecinianom legendę o łakomym mnichu.

W roku 1173 Duńczycy pod wodzą krwawego biskupa Absalona podpłynęli na statkach, osłoniętych gałęziami, pod wały Szczecina. Obiegli miasto bronione przez księcia-kasztelana Warcisława Świętoborza. Toporami bili w bramy. Miotali strzały, głązy, żagwie. Ciskali włócznie tak gęsto, że wysokie obwałowania zaczęły wkrótce przypominać grzbiet je-ża. Grodzianie odpierali szturm za szturmem. Spychali w Odrę najeźdźców wspinających się po drabinach na wał. Czekali odsieczy. Nie nadeszła, choć w grodzie szerzył się głód coraz dotkliwszy. Książę spuścił się więc po żeglarskiej linii z samborzy porosłej, jakby trzcina, oszczepami i

strzałami. Stanął przed Absalonem, który konno objeżdżał placówki obleżonych wojsk. Przyrzekł okup i zakładników. Zjednął sobie biskupa obietnicą założenia dla duńskich mnichów opactwa na Pomorzu.

Odplynęli nieprzyjaciele, na wschód zaś od Szczecina, u krawędzi Bukowej Kniei, nad Miedwiami — niedźwiedzim, największym jeziorem Szczecińskiego Pomorza, wyrósł kołba-cki klasztor. Spoczął w nim książę Barnim Dobry. Obdarzali go nadaniami władcy pomorscy i polscy. Zadomowili się w ceglanych murach biali bracia. Miedwie przypominały im jezioro Esrom na Zelandii, skąd przybyli, kościół zbudowany na kształt krzyża — macierzystą świątynię w Jasnej Dolinie, a knieja lasy, w które uszedł opat Robert z Molesme, by, zrażony rozpasaniem tamtejszych mnichów, żyć w odludnym Cisternum wraz z sześcioma towarzy-szami według własnej, surowszej reguły.

Przestrzegano jej początkowo również w Kołbaczu. Zakonnicy przez dwadzieścia trzy godziny na dobę zachowywali milczenie. Przez sześć modlili się, przez sześć sypiali, resztę czasu poświęcali na pracę w polu, lesie, ogrodzie. Uprawiali pszenicę, szczepili szare renety, siali sprowadzane z Francji nasiona. Na rzece Płoni zbudowali poniżej Miedwi klasztorny młyn. Wody jeziora, spiętrzone służą o sześć stóp, zalały łąki i dąbrowy. Sposepniała okolica. Na trzęsawiskach migotały o zmroku błędne ogniki. W rozlewiskach butwiały dęby zwalone wichurami. W ostępie zbóje i wilki czyhały na kwestarzy. Nad toniami przeraźliwie krzyczało wodne ptactwo. Czyż nie nauczał opat Robertus: „Wśród borów, gór i wód mieszkać będzie-cie”?

A jednak pewien mnich ze słonecznych Włoch nieswojo poczuł się w takim otoczeniu, gdy mianowano go kołbackim opatem. Narzekał na zgniłe wyziewy i dojmujące chłody, które nawet lato zmieniały w zimę. Nie mógł mu wygodzić ani brat kucharz, ani brat piwniczny. Nie smakowały mu szczupaki łowione w Miedwiach i w sąsiednim Żelewku. Zgoła i na bałtyckie śledzie kręcił nosem, chociaż ojciec scholastyk nie omieszkał zacytować mu po-chwały tych ryb, umieszczonej w żywocie Cuona z Bambergu: „A gdybym powiedział, co myślę o ich zapachu i tłustości, mógłbym zostać posądzony o łakomstwo...”

— Ali, mali, pulli, pisculi, parvi — zrzędził wybredny Włoch po łacinie.



Z czasem zaś, nauczywszy się polskiej mowy, w tym języku wyrażał swe niezadowolenie, ledwie rękawem habitu otarł usta po śniadaniu, obiedzie albo wieczerzy:

*Śledzie, płastugi, ukleje i dorsze  
to ryby z wszystkich na świecie najgorsze,  
nierad ja widzę na stole tych gości,  
nic w nich dobrego, same jeno ości.  
W ojczyźnie mojej jadałem mureny,  
wspaniałe ryby, każdej warte ceny,  
tutaj zaś z głodu umieram nieledwie  
ponad diabelskim tym jeziorem Miedwie.*

Nie dbał, że reguła nakazuje milczeć przy stole, pijać tylko wodę, posilać się jedynie chlebem z solą i zieleń. Surowa wstrzeźliwość, posłuszeństwo biskupom, wyrzekanie się wszelkiego przepychu (nad kościołami cysterskimi nie wolno było wznosić wież) — wszy-stkie te nakazy nie znajdowały u niego uznania. Nie na słomie, lecz w puchach sypiał, przeto niełatwo przychodziło mu zrywać się z miękkiego posłania o północy na jutrznię czy o trze-ciej nad ranem na matutinę.

„Siedem razy na dzień śpiewam Twą chwałę” — powiada psalmista, ale opat opuszczał nie tylko nocne chóry.

Na sekstach, nonach, nieszpórach, kompletach też rzadko go widywano. Omijał z dale-ka dom konwersów, gdzie we wspartej na czterech kamiennych słupach Izbie Trzygłowa jadalni postne potrawy młodzie braciszkwowie. Nie zaglądał do refektarza, w którym brat lektor obracając iluminowane karty księgi rozłożonej na pulpicie czytał mnichom, pochylonym w milczeniu nad glinianymi misami, pobożne nauki Bernarda z Jasnej Doliny: „Zakonem naszym jest milczenie, post, modlitwa, praca, a przede wszystkim chodzenie drogą wzniosłej miłości”.

Złościł go ojciec scholastyk, chwalcący zalety klasztornej żywota: „Dobrze, iż tu jeste-śmy, bo człek żyje czyściej, upada rzadziej, podnosi się szybciej, postępuje przezorniej, spo-czywa bezpieczniej, umiera szczęśliwiej, oczyszcza się prędzej i hojniejszą otrzymuje nagro-dę”.

W ponurej zadumie stawał nad grobowcem książęcym. Napis

głoszący, że ten mroczny dół zawiera kości czcigodnego Barnima, przywodził przykre myśli o własnej śmierci. Uciekał od tych myśli nad Miedwie. Przechadzając się wzdłuż brzegów, patrzył na głębokie tonie, które nie zamarzały nigdy przed Bożym Narodzeniem, chociaż później nawet niewielki przy-mrozek ścinał je lodem, na czółna rybaków stawiających sieci we mgle, na czarną ścianę puszczy, co odgradzała go od świata.

„Pokój zamieszkał tę celę, na świecie zaś wojen wiele” — witała go wieczorem po powrocie z przechadzki sentencja czerniejąca nad drzwiami opackiej komnaty.

Zwłaszcza jednak tutaj, w zimnych i mrocznych murach celi, świat pociągał go z wielką siłą. Tęsknił do rodzinnej Toskanii. Wspominał rozdzwonione kampanile, zielone winnice na łagodnych zboczach, Stary Most florencki, oblepiony domkami i kramami złotników. Z radością powitał więc swego bratanka, żeglarza Aimeryka, który zawinąwszy do Szczecina, od-wiedził stryja w Kołbaczu. Przywiózł mu nowiny, a poza tym gąsior „Lacrima Christi” ople-ciony łykiem i beczkę wina z Rivoli. Weselej niż zwykle zapłonął ogień w kominie opackiej izby. Brat piwniczny nalewał obu Włochom kubek za kubkiem, a rozmarzony opat, obejmując czule krewniaka, ronił łzy wzruszenia i podśpiewywał:

*Vinum delectat cor hominis, fratre,  
w tej łez dolinie osmaganej wiatrem;  
nalej więc, a gdy wypiję — znów nalej,  
lej po raz trzeci i czwarty, i dalej;  
pić powolutku będę dziś do skutku,  
aż szczeźnie ziarno przeklętego smutku,  
który się pleni uparcie jak szalej  
w mojego serca chwaścistym ogródku.*

Krew rozgorzała mu w żyłach. Jał wzdychać do winiarni w zaułkach włoskich miast, do przydrożnych osterii, na których ściany słońce rzuca cień liści winogrodu:

— Duszę bym dał, byle mieć znów przed sobą na stole mureny z boskiej naszej Toskanii, słodkie, duże, smakowite, mieniające się barwiście jak szafiry i szmaragdy.

Na te słowa z czerwonych płomieni, strzelających z czeluści

komina, wyskoczył czart, zarosły sierścią jak niedźwiedź. Załopotał skrzydłami nietoperza, pazurami zaskrobał w kamienie posadzki i zaskrzeczał:

— Zgoda, opacie miły!

Pobladł łakomy mnich.

— Pod warunkiem, że przyniesiesz mi mureny jeszcze dzisiaj — zastrzegł się chytrze. — Przed północą! I żywe!

Wiedział, że mureny zdychają bez wody. Pewny też był, że diabeł nie zdoła w tak krótkim czasie przebyć dwukrotnie dalekiej drogi, dzielącej Toskanię od Pomorza. Ale bies ryknął śmiechem i znikł pozostawiając opata w okrutnym lęku.

— Co teraz będzie? — pater po niewczasie podniósł do ust czarny szkaplerz.

— Rybki smakowite będziemy jedli — zaśmiał się brat piwniczny, wesoły Pomorzanin.

— Wszelako ja, nieszczęsny, duszę utracę przez moje łakomstwo!

— Nie taki diabeł chytry, jak sam o sobie mniema. My tu na Pomorzu mamy nań sposo-by.

— Jeśli ocalisz mnie od potępienia, przysięgam, iż języka mego niepowściągliwego nigdy już kropla wina nie zwilży.

— Bądźcie, ojczy, dobrej myśli.

Piwniczny wyjawiał swój pomysł i ruszył do kościoła, a opat wzięwszy latarnię podążył razem z bratańcem nad jezioro.

Chmury przesłaniały gwiazdziste niebo. Wiatr szeleścił w zwiędłych trzcinach, w gęstych sitowiach. Czekali z niepokojem.

— Leci już — szepnął po niespełna godzinie Aimeryk, usłyszawszy łopot skrzydeł biesa, szybującego przez noc z pękatym miechem na barkach.

Opat podniósł latarnię, by dać znak piwnicznemu. W duchu modlił się gorąco, jak nigdy dotąd w całym życiu:

*Już nadlatuje czart z piekielnym wiatrem,  
co rychlej uderz w dzwon, najmilszy fratre.  
Już nad toniami czart koła zatacza,  
bracie najmilszy, uderz w dzwon Kołbacza.  
Diabeł z Włoch wraca, skrzydłem bije hucznie,  
niechaj spizowy dzwon obwieści jutrznię,  
niech wstaną mnisi pośród nocy chmurnej*

*śpiewać wigilię, laudesy, nokturny...*

Na chwilę ścichł łopot. Skrzydlaty bies, zmęczony daleką napowietrzną podróżą, przy-siadł nad jeziorem, na kamieniu koło Dębiny. Sądził, że ma jeszcze sporo czasu, gdy wtem z wieżyczki na transepcie kołbackiego kościoła zadzwonił dzwon na jutrznię. W oknach kla-sztoru zamigotały świeczki braci, spieszących na chór.

— Co?... — parsknął czart. — Już północ ? — Odbił się kopytami o głaz tak mocno, że sześć szczerb na nim zostało. Wzbił się w powietrze, rozerwał ze złością wór.

— Zostańcie tu — zgrzytał, siejąc po toniach jeziora mureny, odtąd w Polsce siejami nazywane — na wieki wieków. Do końca świata.

Tak to znalazły się w Miedwiach nieznane dotychczas na Północy krewniaczki łososi, srebrnobiałe ryby o bezzębnych pyszczkach, doskonale w smaku niedwieskie sieje. Na próżno szukać ich w Dąbiu, choć przecież rzeka Płonią łączy jezioro z Miedwiemi. Natomiast tutaj, koło Kołbacza, łowi się je w dużych ilościach każdej zimy. A co z łakomym opatem? — zapytacie. Odpowiedzieć na to pytanie nietrudno:

*Wraz z czartem go zakonnicy  
w refektarzu na głowicy  
jednej z kolumn wyciosali,  
by pomnieli bracia biali,  
że gdy ktoś z ich białej rzeszy,  
jak ów Włoch, łakomstwem zgrzeszy,  
to nawet i tu w klasztorze  
bies go czarny porwać może.*

## WSZEMIŁA

*Za szeroką Odrą  
zieleniała lipa,  
w lipcu kwiat jej szczerro  
srebrnym deszczem sypał,  
w sierpniu szumną pieśnią  
szumiały jej gusła,  
dlaczegoś we wrzeźniu,  
Wszemiło, nam uschła?*

Rosła od stuleci w Moczyłach, na lewym brzegu Odry. Szum wiatru od morza pulsował w tysiącach jej liści jak zielona krew. Piorun nigdy nie przebiegł węzłem płomienia po jej pniu. Pszczołom dawała miód. Ptakom pozwalała ścielić gniazda w gałęziach korony. Ludzi darzyła chłodnym cieniem, słodczą zapachu, śpiewem urzekającym jak pogańskie gusła.

Wszemiła.

Śpiewała o swarżycowych ogniach płonących w noc Krzesu na wzgórzach nad rzeką. O statkach wojowników z Północy, którzy

miecz i żagiew nieśli Pomorzu. O biskupie, co na rozkaz Krzywoustego opuścił klasztor w dalekim Bambergu, przewędrował puszcę i obalił w Szczecinie pana ziemi, nieba i zaświata — Trzygłowa, a pokrytą złotymi blachami, trójlicą jego głowę posłał na znak tryumfu do Rzymu.

O tym jeno milczała, iż szczątki świętego posągu bożyca unieśli wierni wyznawcy z błota szczecińskiej targowicy, nocą po kryjomu przywieźli je tu w czólnie, zamurowali gliną w lipowej dziupli i na zawsze powierzyli pod straż szumnemu drzewu. Nie wydała tajemnicy. Ukryła ją pod pieczęciami narośli, siwej pleśni, zieleni mchu.

Wszemiła, święta lipa, dobra, wierna przyjaciółka ludu Pomorza.

Trwała przez wieki otoczona czcią, której początku i przyczyny nikt już z żywych nie pamiętał. Wierzono, iż ostrza toporów odskakują od jej pnia. Powtarzano, że gdy jakiś kupiec drzewny chciał ją ongi zrąbać, krew trysła z zaciosu. Zaręczano, że ustrzeże od gromu każde-go wędrowca, który w czasie burzy schroni się pod jej rosochy, że wywar z jej kwiecica leczy ludzi złożonych ciężką niemocą. Umierający prosili, by pogrzebano ich w jej pobliżu. Białki z Moczył przestrzegały niesfornych synów czy krnąbrne córki:

— Nie kłam, bo lipa z naszego cmentarza widzi cię i słyszy! Ile razy skłamiesz albo uczynisz co złego, tyle listków z Wszemiły spadnie, tyle zmartwieje zielonych jej serduszek.

— Ni we dnie, ni w nocy nic się przed nią nie ukryje — potakiwali kobietom starcy.

— Lipa szumi, idzie burza, wracajmyż, bracia, do brzegu — wołali rybacy, którzy ufali jej przestrogom bardziej niż wróżebnym krzykom żurawi. Z wdzięcznością śpiewali o niej, ciągnąc sieci z dna wirzystych toni Odry:

*Tam u Odry, u sinej,  
stoi lipa zielona,  
matka naszej doliny  
chwyta słońce w ramiona,  
a z jej ramion ptaszki  
nam śpiewają o wschodzie,  
gdy po nocnym połowie  
z prądem nasze mkną łodzie;*

*szumi lipa jak morze,  
dawne dzieje powiada,  
czas tej lipy nie zmoże,  
chyba zbrodnia czy zdrada,  
chyba zdrada czy zbrodnia  
kres tej lipie położy,  
witającej nas co dnia  
u moczylskich rozdroży.*

Widok matki odrzanej doliny z dala już radował ich oczy. Lubili jej przyjazną gęźbę. Jeden zaś z nich, Paszko imieniem, miłował ją bardziej niż rodzoną macierz. Chata jego stała opodal moczylskiego rozdroża, tuż nad brzegiem rzeki. Żył przede wszystkim z połowów, lecz, podobnie jak wielu rybaków Przyodrza, dorabiał przewoźnictwem. Stąd lepiej niż inni wiedział, co się dzieje nie tylko w Gardźcu, Dębogórze, Kołach, Gryfinie, ale w całym pomo-rskim księstwie. A — jak powiadali podróżni, których Paszko przewoził promem czy łodzią na drugi brzeg — z każdym rokiem działo się gorzej.

— Nikt z nas nie jest pewny dnia ni godziny — rozzalił się kiedyś kupiec z Tağlimia. — Zbóje-rycerze grasują po traktach, miastom we znaki się dają. Onegdaj Bartram Zając z Nowych Turzogłów całą radę porwał z ratusza we Wkryujściu.

— I cóż na to książę wołogoski Warcisław? — zapytał Paszko oburącz ciągnąc mokrą linę promu.

— Na sąd go wezwał, ale Zając odparł butnie, iż książęca checz koło jego zamku stoi i książę sam może się doń pokwapić. Słabi są pomorscy książęta, skoro lada rycerzyna w żywe oczy drwić z nich się ośmiela.

Nie przejął się rybak tą nowiną. Nie z takimi przeciwnikami dawali sobie radę władcy Pomorza. Zaśpiewał tedy kupcowi naprędcie ułożoną przyśpiwkę:

*Siedziałbyś, Zającu, pod miedzą,  
siedziałbyś tam cicho jak w grobie,  
bo gdy się o tobie dowiedzą,  
niedługo już wtedy żyć tobie...*

Bardziej go zatroskała posłyszana innym razem wieść o margrabiach z Brandenburgii, którzy od dawna prawem i lewem starali się zagarnąć ziemię sąsiadów, rozszerzyć marchię aż do morza. Rudy orzeł brandenburczyków bardziej był mu obmierzły niż kruki i wrony-ścierwojady. Zachmurzył się przeto słuchając, jak solny zwarycz z Kołobrzega powiada o nowym podstępie margrafa Frydrycha:

— Zaprosił on tymi czasy na swój zamek w Świdwinie naszego burmistrza Śliwosza. Narzucić się chciał nam na pośrednika w sporze miasta z księciem i biskupem. Wszelako nasz burmistrz nie zdrajca.

— Pomorzanie to? — zagadnął rycerz Wawrzyn, który świadkiem był tej rozmowy u przewozu.

— Jan Śliwosz? Jako i my. Z krwi i kości. Nie od dziś zna Brandenburczyków. Kiedy mu margrabia zamiar swój wyjawiał, zaraz głową jął trząść. „Święty Janie, patronie nasz — zawołał — dość już mamy panów na karku”.

— Pojął tedy Frydrych, że go Kołobrzeg panem mieć nie chce?

— Pojął, ale by podjudzić Śliwosz a do dalszego oporu i wody namącić, poradził chy-trze: „Święty Jan, dobry pan! Niechaj więc panem waszym on jeno będzie. Z pewnością do lochu wtrącić cię nie każe, co chętnie by kamieński biskup wraz z księciem uczynili”.

— Gorszy ten Frydrych i bardziej chytry od Bartrama-zbója — sapnął Paszko. — Bogu dzięki, iż knowania margrafa taki koniec wzięły.

Do końca wszakże było jeszcze daleko. Latem 1464 roku dotknęło pomorską ziemię nieszczęście gorsze od siedmiu plag egipskich: mór. Nurty, mokradła, torfowiska zadymiły parą siną, zgniłą, duszną. Z mrocznego nieba spadały ptaki, dosięgnięte w locie beltami nagłej śmierci. W nadbrzeżnym szlamie, w trzcinach wilgotnych cuchnęły zgniłe ryby. Z kamien-nych świątyń i modrzewiowych dzwonnice niósł się jęk kościelnych kołatów. Pod przydrożny-mi krzyżami zawodzili ci, których pomór dotąd nie zwałił z nóg:

*Ustysz błaganie  
I daruj nam razy,  
zachowaj, Panie,  
lud twój od zarazy,*



*ześlij nadzieję,  
odbij tarczą strzały,  
którymi sieje  
czarna śmierć w dzień biały.*

Zapełniały się cmentarze. Dniem i nocą kopano mogiły, stawiano bożemkę na świeżych grobach. W odrzanej dolinie jedynie Moczyły omijała zaraza.

— Wszemiła nas chroni — pocieszał Paszko strapioną rodzinę. — Nie lękajcie się. Dobra lipa, sąsiadka nasza, zratuje nas w zaraźliwym powietrzu. Czuwa nad nami w dzień i w nocy. Pod jej opieką możemy spać spokojnie.

Ale we wrześniu Paszkowa w środku chmurnej nocy zbudziła chrapiącego przewoźni-ka.

— Wstawaj — ponaglała go niespokojnie. — Ludzie z pochodniami kręcą się po cmentarzu. Zda się, iż grzebią kogoś pod starą lipą. Odwiedził nas mór, odwiedził...

Podniósł się zafrasowany chłop. Siermięgę narzucił na barki i wymknął się z chałupy.

Mgły, targane podmuchami nocnego wiatru, płynęły od Odry. Owiewały krzyże na mogiłach. Osnuwały lipę — czarną, groźniejszą niż kiedykolwiek, szumiącą złowieszczo w siwiźnie oparów. U cmentarnej wrótni kilku pacholków trzymało uzdy okulbaczonych koni, rozmawiając półgłosem po niemiecku:

— Ciarki po grzbiecie chodzą.

— Że też zachciało się naszym panom spotkać właśnie na cmentarzu, i to o północy.

— Ja bym się na to nie odważył.

— Pan każe, sługa musi!

Paszko wyminął ich bokiem. Przelazłszy przez dziurę w chruścianym płocie, zakradł się na mogilnik. Tam pod gałęzistą olbrzymką poruszały się ludzkie cienie. Wiatr iskry miotał z pochodni. Rzuczał krwawe błyski w ukryte pod nasuniętymi na czoło kapturami twarze cza-rnych postaci. Okutali się w kapice jak kapucyni, lecz rybak zdołał rozpoznać dwóch znajo-myh rajców z Gardźca i samego burmistrza Szczecina:

— Olbracht Glinden!

Nie słyszał, o czym radzili, nagle jednak ujrzał, że jedyny

nieznajomy wśród nich człek rozkazuje pacholcowi, trzymającemu pochodnię, otworzyć skórzany miech i podaje szczeci-ńskiemu burmistrzowi kiesy brzęczące srebrem. Rozchyliła się przy tym opończa szczodrego pana. Ukazał się bogaty, złotem dziany kaftan wielmoży z wyhaftowanym na piersiach rudym orłem.

— Krwawe ptaszysko — przeżegnał się Paszko. — Przeklęty znak Brandenburgii.

Trójca mieszczan przyklęła.

— Ślubujemy — podnieśli palce do przysięgi — jego dostojności margrabiemu Frydry-chowi Wtóremu...

Frydrychowi! Temu, co kusił jak bies kołobrzeżanina Śliwosza na świdwińskim zamku!

Nim umilkł szmer przytłumionych głosów, zachybotwały rosochy cmentarnej lipy. Deszcz żółkłego listowia posypał się na głowy klęczących. Nowy tuman buchnął od rzeki. Zasnuł wszystko. Przewoźnik poczuł, że włos jeży mu się na głowie. Uciekł z cmentarza. Wpadł do domu, zatrzasnął drzwi, zwałił się półżywy na posłanie, ale w uszach ciągle mu brzmiał szelest padającego listowia. Zdało mu się, że rozumie bolesny płacz drzewa, że potrafiłby ludzką nieledwie skargę Wszemiły przełożyć na rodzimą mowę:

*Biada, biada mi, biada,  
jak wąż skrada się zdrada,  
wiedną serca zielone,  
liść za liściem opada;  
biada, biada mi, lipie,  
liść za liściem się sypie,  
opłakuje koronę,  
jako płaczki na stypie,  
biada, biada Moczyłom  
z całą ziemią tą miłą,  
jęczę, płaczę przed skonem  
nad otwartą mogiłą.*

Zasłonił dłońmi uszy, odwrócił się do ściany. Pochyliła się nad nim strwożona białka i cicho zapytała:

— Mór przyszedł?

Odparł głucho:

— Mór gorszy niżli ten, co po wsiach i miastach grasuje.

Za okiennicą na drodze zadudnił łomot kopyt. Szybko ucichł w głębi jesiennej nocy.

— Biada, biada mi, biada — jęczała lipa na dworze coraz ciszej, coraz żalobniej, aż głos jej zamarł nad ranem zupełnie.

Wtedy zakołatał ktoś do Paszkowej chałupy:

— Przewoźnik, bywaj!

Paszko zwłókł się z posłania. Przed chatą czekał nań rycerz Wawrzyn z młodym giermkim. Rybak ukłonić się chciał znajomemu, lecz zdrętwiał zaraz za progiem.

— Wszemiła...

Cmentarna lipa, która przetrwała tyle stuleci, uschła tej nocy. Konary czarne, ogołoczone z żółtego listowia wyciągała boleśnie w niebo, jak ramiona córy rozpaczającej nad świeżą mogiłą matki.

— Zbudźże się, człeczko — zawołał rycerz. — Za Odrę przewieź mnie duchem. Na pogrzeb naszego pana do Szczecina mi śpieszno.

Ocknął się przewoźnik z osłupienia:

— To księżę Otton pomarł?

— Mór go powalił, a dziś grzebać go będą. Myślałem, że wiesz już o tym, bo chodzisz jak błędny czy struty. Zachorzałeś może?

— Nie, jeno złe przeczucie mnie trapi. Nasza lipa uschła niespodziewanie. Spójrzcie sami, rycerzu — moczydłanin wyciągnął rękę ku cmentarzowi. — Nocką liście wszystkie z niej opadły. Mniemam, że zdrada ją zabiła.

— Czyja?

— Szczeciński burmistrz spotkał się pod nią o samym północku z jakimś możliwym brandenburczykiem. Pieniądze odeń brał. Konszachty mieli tajne, bo kryli się przed światem. Nie korzystali z przeprawy. Krętymi drogami przybyli.

— Burmistrz Olbracht — zmarszczył czoło pomorski rycerz. — Toć on z Brandenbu-rgii pochodzi. Sprzymierzył się rudy lis z rudym orłem. Nic dobrego spiski te nie wróżą. Kanclerzowi trza o nich czym prędzej donieść. Pojedziesz, Paszku, ze mną do Szczecina! Jako świadek Olbrachtowej niecnoty.

Przeprawili się przez mglistą rzekę. Giermek wziął rybaka przed siebie, na siodło. Popę-dzili ogiery ku miastu. Wawrzyn bez litości bódł ostrogą długogrzywego rumaka. W głowie kłębiły mu się rozpaczliwe myśli:

... Olbracht z brandenburskiego Rupina to nie Pomorzanie, jak kołobrzесьki Śliwosz! Krewniacy jego wysokie urzędy piastują na dworze margrabiów.

... Książę nasz zmarł bezpotomnie. Uschła ostatnia gałązka Barnimowego konara.

... Łotry mogli uknuć spisek, by zawładnąć osieroconym tronem. Zdrada! Zdrada!

Niecierpliwie wypatrywał stolicy. Ujrzał ją wreszcie. Na Świętojakubskiej Dzwonnicy, w kościołach Św. Jana, Panny Marii, Anny, Mikołaja, Magdaleny, Piotra i Pawła biły żałobne dzwony. Ze szczytów baszt powiewały czarne chorągwie z trupimi głowy. Ceklarze wypędza-li za mury stada świń.

— Stójcie! — krzyknęli pachołkowie strzegący mostu przed Pozdawilczą Bramą.

Jeźdźcy wszakże nie zatrzymali się na wezwanie. Przelecieli most. Wpadli do miasta, gdzie trupi zapach mieszał się z wonią ryb. W rynsztokach ulicy Szerokiej poniewierały się zwłoki psów i ludzi. Po tretach Węglowego Rynku snuli się zakapturzeni bracia pogrzebowi. Powietrzni spowiednicy śpieszyli do konających i dzwonili dzwoneczkami, by zdrowi trzy-mali się od nich z dala.

— Z drogi — wołał rycerz płazując ogiera i sadząc na Zamkową Górę ku kościołowi patrona Pomorza. — Na bok! Na bok każdy, kto stratowan być nie chce.

Dojechali. Giermek i rybitwa zostali wśród tłumu o posepnych twarzach, pilnując koni na dziedzińcu. Wawrzyn wkroczył do zamkowej kolegiaty Św. Ottona, w kadzidlane dymy, w błyski gromnicznych płomieni. Na filarach wisiały tu pancerze, spod stropu spływały chorągwie i proporce. Gromnice w lichtarzach wysokich gorzały dokoła katafalku okrytego czarnym sukniem. Stało na nim książęce truchło.

— Hełm i tarcza — wyszeptał rycerz i łza zakręciła mu się w oku.

Z wieka trumny błyskał hełm ze złotym diademem i barwistym pióropuszem, położony nad pawężą, w której błękitnym, jak Bałtyk, polu widniał czerwony gryf szczeciński. Dokoła katafalku tłoczyli się w żałobne szaty odziani dostojnicy dworu, posłowie margrabiów, książąt wołogoskich i mekleburskich, grabiów choćkowskich, rycerze, wysłańcy pomorskich miast, kapitanowie żeglarskiej gildy. Miecznik dzierżył miecz zmarłego władcy, kirem spowity, ostrzem

zwrócony ku ziemi. Kanclerz trzymał pieczęć na poduszce z czarnego aksamitu. Kanoniki, opaty, mnichy z gorejącymi świecami w dłoniach śpiewały:

*Królu królów,  
dobry panie,  
daj mu wieczne  
spoczywanie,  
niech mu z łaski  
Jezu Krysta  
światłość świeci  
wiekuista.*

Spóźniony przybysz stanął skromnie w kącie obok głazu ze śladami stóp bamberskiego biskupa-chrzciciela, którego posąg patrzył teraz kamiennymi oczami na pogrzeb imiennika.

Egzekwie, modły, śpiewy ciągnęły się w nieskończoność. Wreszcie książęcy dygnitarze zdjęli szłom i tarczę, wzięli trumnę na barki, powoli spuścili ją do otwartej krypty grobowej. Natenczas z ciżby wysunął się Olbracht Glinden w czerni szat aksamitnych, w złocie burmi-strzowskiego łańcucha.

— Przemawiać będzie nad grobem — rozległy się szmery.

Burmistrz nie namyślał się długo. Wydarł z rąk dworzan hełm i tarczę. Z rozmachem cisnął je w mrok grobowca.

— Tam oto w ciemności i prochu spoczywa od dzisiejszego dnia władza pomorskich Gryfitów — rzekł donośnie. — Szczeciński gryf zginął na zawsze w chwili śmierci ostatniego z naszych władców. Wszelako nie rozpaczajmy, rudy orzeł mądrego margrabi Fryderyka łaskawie przygarnie nas, sieroty, pod skrzydła swoje...

Szczecinianie, zaskoczeni podstępem, skamienieli. Zgroza zapieczętowała im usta. Wszystkim prócz jednego. Wawrzyn przedarł się przez zmartwiały tłum.

— Zdrada! — krzyknął. Skoczył do krypty, wyniósł z niej książęcy szłom i pawęż.

— Nie leżeć im w grobowym mroku! Żyją przecie prawi dziedzice księcia Ottona. Warcisław i Eryk z Wołogoszczy!

Poblądł Glinden.

— Wołogoscy książęta? — wybełkotał. — Ci czarnego, nie

czerwonego gryfa w herbie mają!

— Inny konar, wždy ten sam pień rodu wyrosłego z krwi królów Polski — huknęło rycerstwo. — Stąd i kraj nasz tyle razy doznawał pomocy w trudnych czasach od polskiej korony!

— Ojczyznę naszą sprzedać chcesz — oburzyli się na burmistrza rajcy, kupcy, kapita-nowie.

— Sprzedał ją już tej nocy pod starą lipą na cmentarzu w Moczyłach — wołał Wa-wrzyn. — Za Judaszowe srebrniki zgodził się oddać nas w brandenburską niewolę!

— Zdrada — echo poszumu Wszemiły potężniało w kolegiacie.

Usłyszano je na dziedzińcu, kędy Paszko i Wawrzynowy giermek opowiadali pospól-stwu o nagłym skonie moczyłskiej lipy, o jej ostatniej przysłudze i przestrodze.

— Zdrada — powtórzyli marynarze, przekupnie, czeladnicy. Obalili trabantów pilnują-cych portalu świątyni, falą wtargnęli do nawy.

Podnoszono berdysze wydarte nadwornym żołnierzom. Dobywano kordów, tulichów, noży. Wywracano cynowe lichtarze. Mdlały żony wielmożów, dworki, rajczynie. Tumult kotłował się w kościele jak bałtycki sztorm. Poturbowany burmistrz wraz z brandenburskimi posłami ledwie zdołał pod osłoną mieczy stronników margrafa umknąć w powszechnym zamieszaniu. Opat z Białoboku wszedł na kazalnicę.

— Pax, pax — nawoływać jął, wyciągając ramiona nad głowy szczecinian, by zażegnać rozpętana burzę. — Niechaj powróci pokój, a postąpimy, jako nakazuje sprawiedliwość! Poślemy insygnia zmarłego księcia prawym jego spadkobiercom do Wołogoszczy.

Wawrzyn podniósł wysoko szłom z diademem, tarczę z gryfem czerwonym.

— Do Wołogoszczy — wicherzyły się krzyki rycerzy, mieszczan, pospółstwa.

Raz jeszcze spelzły na niczym zakusy zbójeckich margrabiów. Raz jeszcze rudy ich orzeł przegrał walkę z pomorskim gryfem. Miasto złożyło hołd wołogoskim Gryfitom. Ukorzył się przed nimi przebiegły lis — Glinden. Paszko z lekkim sercem wrócił do Moczył. Po dawnemu łowił ryby i przewoził podróżnych przez rzekę. Doczekał się niesławnej śmierci rozbójnika Bartrama Zająca i zburzenia jego zamku w Nowych Turzogłowach. Doczekał się upadku

sprzedajnego burmistrza, który ponownie chciał wydać miasto brandenburczykom i musiał ustąpić z urzędu. Obu im na podzwonne zanucił nasz rybitwa taką piosenkę:

*Siedziałbyś, Zającu, pod miedzą,  
a ty, chytry lisie, za piecem,  
na całym Pomorzu już wiedzą,  
jakie to z was były podlece;  
dziś Zając pod darnią śpi w grobie,  
na lisa też czeka mogiła,  
sam przecie jął kopać grób sobie  
w noc, kiedy schla lipa Wszemiła...*

Uschnięta lipa długo jeszcze czerniała na moczyłskim brzegu. Nikt nie ośmielał się jej zrębać. Martwa, lecz groźna, trwała na straży pomorskiego księstwa, aż zwały ją wichury, a wezbrana powodzią Odra uniosła jej pień z zamurowanymi szczątkami Trzygłowa ku wełni-stemu morzu.

## KOT WE WORKU

*Zgadnijcie, o kim dziś baśń napiszę?  
O sławnym, Lechu, dobrej Rzepisze?  
O Warszu — mężu rybaczki Sawy —  
i wodnej pannie z herbu Warszawy  
czy też o smoku ze Smoczej Jamy?  
Nie! Już od dawna bajki te znamy.  
Gniezno, Kruszwica, Warszawa, Kraków  
od wieków trwają w baśniach Polaków,  
lecz o Darłowie — kaszubskim grodzie,  
który się w Wieprzy odbija wodzie,  
dotychczas nasze milczały baśnie,  
więc o Darłowie pomówmy właśnie  
i o królewskim kuchciku Jorku,  
co ongiś kupił kota we worku.*



Wieków temu pięć z górą na zamku w Darłowie dożywał burzliwego żywota Eryk Warcisławowic Gryfita. Długo by można opowiadać o tym, jak to on, syn słupskiego księża-łka, został władcą trzech północnych królestw, jakie toczył wojny i odbywał podróże. Był i w Jerozolimie, i w Krakowie, gdzie pisał na weselu Jagiełły z piękną Sonką. Potem przed zbuntowanymi wielmożami musiał ująć na Gotland — skaliste gniazdo piratów — by na koniec po dziesięciu latach królowania wśród gotlandzkich korsarzy wrócić do ojczyzny.

— Wszędzie dobrze, doma najlepiej — powiadał grzejąc plecy przy kominie albo też patrząc z wysokich okien zamku na wieże i domy miasta, okręty zakotwiczone na Wieprzy, piękne darłowianki, które, przechadzając się za zamkową fosą, słały mu zalotne uśmiechy.

Małe było to ostatnie z jego państw, przeto i kłopoty miał nieduże. Ot, jakieś drobne zatargi z zazdrosnymi o swe córki darłowianami. Zbywał te sprawy pobłażliwym gestem ręki. Nie lubił przesiadywać w Sądowej Komnacie, skąd przez uchylone drzwi widać było narzę-dzia tortur w mrocznej Izbie Lęku.

— Przecierpiałem tyle przykrości, straciłem trzy korony, jakże więc ja — wygnaniec ubogi — nie miałbym okazać wyrozumienia temu kraikowi? — powtarzał i odpędzał od siebie zmartwienia jak natrętne muchy.

Dlatego też chyba chętniej niż z dygnitarzami radził ze swym nadwornym kucharzem Żegotą Kopcidysem — co przyrządzić na śniadanie, jaki obmyślić obiad, a jaką wieczerzę. Gruby Żegota starał się nie zawieść królewskiego zaufania. Kronikarz darłowski Chwalipięta słał w rymowanej kronice jego kunszt:

*Tak rogaliki zaprawiał kminkiem,  
że tylko mlaskać i tykać ślinkę,  
takie przyrządzał combry jelenie,  
pawie, zające, zrazy, pieczenie,  
piwne polewki, kołacze, grzyby,  
żury i kury, szlachetne ryby,  
raki i flaki, łosiowe chrapy,  
dziki, indyki, niedźwiedzie łapy,  
takie podawał barszcze, bigosy,*

*tak korzeniami przyprawiał sosy,  
że od zapachów kraśniały nosy,  
że od Bałtyku po Karpat szczyty  
wszędę chwalono stół wyśmienity  
pana z Darłowa, króla Gryfity.*

Dumny był Eryk z takiego mistrza. Chętnie się nim popisywał przy każdej sposobności.

— Szczęśliwy zaiste wiodę żywot, odkąd mam na zamku kuchmistrza Kopcidy — mawiał dworzanom i gościom. — Zazdroszczą mi go wszyscy królowie. Czy to na północy, czy na południu, nikt mu nie zrówna w sztuce gotowania. Kto raz zakosztuje potraw przez niego przyrządzonych, woni ich smakowitej nie zapomni aż do śmierci.

— Tuszę, wasza królewska mość, że i po śmierci — kłaniał się na to ochmistrz Świeci-baka, który zawsze panu swemu potakiwał — kiedy aniołowie złotymi misy zastawią dla nas niebieskie stoły, będziemy jeszcze wspominać kunszt mistrza Żegoty, gdyż zaprawdę pię-kniejszymi niżli rajskie zapachami zionie jego kuchnia.

Wszyscy bez wyjątku zgadzali się ze zdaniem króla i ochmistrza, chociaż Kopcidy w niczym nie przypominał anioła. Jak każdy tegi mistrz, miał nie lada przywary. Nie zataił ich nadworny rymopis:

*Czerwony, w białej kucharskiej czapie,  
z wielką kopyścią w potężnej łapie,  
miotał po kuchni spocone cielsko,  
sapiąc, pomstując z złością diabelską;  
dzień w dzień od rana przeklinał wściekle,  
tak że nie zrównałby mu czart w piekle,  
że dygotały misy, sagany,  
kotły i miotły, rynki i dzbany,  
że uszy wędły całej czeladzi,  
mleko w ogromnej kwaśniało kadzi,  
wapno spadało z łuków powały,  
w czarnym kominie sadze białały,  
trzęsły się ruszty, patelnie, rożny  
niby osiki w trwodze przemożnej,  
chwiał się kaganek, skakała stągiew,*

*na wieży zamku drżała chorągiew,  
zgrzytały żarna w zamkowym młynie,  
w mieście płoszyły się psy i świnie.*

Te humory kucharza najbardziej dawały się we znaki królewskiemu kuchcikowi. Mały Jork Trzęsiucho nieraz łzami dosalał gotowane zupy i mięsiwa. Wstawał rano, najwcześniej ze wszystkich. Rąbał na szczapy wielkie polana. Rozniecał ogień w kominie. Nosił wodę z zamkowej studni. Zmywał garnki, patelnie, kotły. Szorował ceglana posadzkę w kuchni. Ocierał pajęczyny z kątów spiżarni.

— Wstawajcie, mości kuchmistru — budził wreszcie Żegotę, chrapiącego w miękkich piernatach. — Ukończyłem poranne porządki!

I od tej chwili nie miał już spokoju ni wytchnienia aż do późnego wieczora. Biegał do korzennych kramów, na targ, nad rzekę do śledziarzy, kupujących rybami. Mieszał warzą-chwią strawę w kotłach z miedzi. Pocąc się w piekielnym skwarze, obracał rożny na kominie. Dwoił się i troił, lecz rzadko kiedy potrafił zadowolić wymagającego Kopcidyra. Złośnik częściej obdarzał go sińcem lub guzem niż dobrym słówkiem.

— Barania głowo, garnkotłuku, dławiklucho, pichciwiechciu — zagrzmiął któregoś ranka wymachując kopyścią. — Ruszaj co tchu na targowicę! Księżna Maria Mazowiecka, wdowa po księciu Bogusławie, z piękną córą Zofką w odwiedzinie do pana naszego przybyła. Trza przyrządzić dla młodej pani jej ulubioną potrawę.

— Zajączka ze słoniną i buraczkami? — zapytał Trzęsiucho zza komina, gdzie schronił się przed kucharzem.

— Dobrze, iż chociaż to pamiętasz — sapnął grubas. — Ale też zapamiętaj sobie, że jeśli nie obaczę cię tutaj za kilka pacierzy z młodym szarakiem, to popamiętasz dzień dzisiaj-szy do późnej starości!

Na jednej nodze skoczył Jork po sprawunek. Daremnie dopytywał o dziczyznę wśród straganów na rynku, w kramach przy ratuszu i Mariackiej farze. Kręcił się po rojnych uliczkach portowego miasta, coraz bardziej niespokojny i wystraszony. Wszakże, gdy stracił już nadzieję, że uda mu się spełnić polecenie pryncypała, koło kaplicy Św. Gertrudy, przed Kamienną Bramą, przez którą chłopci śpieszyli na targ, spotkał wąsatego Kaszubę-myśliwca z kuszą i mocno

zawiazanym workiem na ramieniu.

— Co niesiecie w tym worku? — zagadnął go.

— Zwierzynę — uśmiechnął się myśliwy.

— Szaraka może?

— Zgadłeś, chłopcze złoty, zgadłeś co do joty — roześmiał się strzelec całą gębą. — Szarą sierść ma i uszy dwa. Łap cztery, jeden ogon. Sprzedam ci go niedrogo.

Nie targując się długo, dał mu Jork zapłatę i wrócił ze zdobyczą do zwierzchnika.

— Masz ? — nastroszył brwi imć Kopcidym.

— Mam — potrząsnął chłopak workiem, rozsuptał węzeł sznura i w tejże chwili z głębi miecha wyskoczył szary, ogromny kocur.

Padł na cztery łapy, dał susa na ławę, stamtąd na beczkę, a z niej na policę i okap komi-na. Postrącał cynowe konwie. Zielonymi ślepiami błysnął. Wąsami ruszył. Grzbiet zjeżył. Prychnął gniewnie na oniemiałego tłuszciocha:

— Pchy, pchy, pchy, zły człek, zły...

Kucharz poczerwieniał niby rak w ukropie. Białka oczu krwią mu nabiegły. Zatrząsł się, rozindyczył. Guzowate czoło zniżył. W srogim gniewie wywinął młynca warzachwią i ryknął jak zarzynany wół:

*Łotrze, zakało, przeklęty Jorku.  
Kota kupiłeś. Kota we worku!  
Hańbą okryłeś mnie, mnie — Żegotę!  
Drogo zapłacisz mi za tę psotę.  
Guło, niezguło, baranie, ośle,  
tak na kuchennym znasz się rzemiośle?  
Jak mogłeś kupić we worku kota?  
Wiedziałem z dawna, iżes niecnota,  
wždy dziś poznałem, żeś zgoła głupi,  
bo kiep, kto kota we worku kupi.  
Niegodnyś sługą być u Gryfity.  
Precz z moich oczu! Precz na łeb zbity!*

Wrzask jego słyhać było w całym zamku, toteż gdy koniec końcem wypędził swe popychadło za próg kuchni na dziedziniec, w cień potężnej baszty narożnej, ze wszystkich okienek wieżyczki schodowej wyjrzały trefione główki zaciekawionych dworek, a z

piętra, z drewnianego ganku, huknął śmiech samego króla.

— Z czego się śmiejecie, miłośnicy panie? — dopytywały dostojnego krewniaka księżna Maria i pięknooka Zofka.

— Nie słyszałyście, co przed chwilą powiedział ochmistrz Świecibaka? — Eryk trzymał się za brzuch rozdygotany śmiechem. — Kuchcik nasz kota kupił we worku! Kota zamiast zająca!

Jakby na potwierdzenie tych słów z kuchni pod stopy Trzęsiucha wyleciał mieszek, w którym miotał się i miauczał schwytyany już przez pachołków kocur. Kuchcik wziął worek i oczy podniósł ku gankowi. Może spodziewał się wyjednać sobie błagalnym spojrzeniem łaskę u dobrodusznego zazwyczaj Eryka. Ale władca wołał żartem zbyć całą sprawę:

*Kupiłeś, Jorku, kota we worku,  
więc ci Żegota popędził kota!*

Chłopiec spuścił głowę. Ruszył ku bramie z zębata krata. Przez most na fosie powlókł się do miasta. Nie wiedział, do kogo zwrócić się o radę, gdzie szukać pomocy. Do zmroku tułał się zaułkami. Rozjarzyły się okna zamku. Z Izby Muzyków dobiegły dźwięki nadwornej kapeli. Wygnany król ucztę wyprawiał na cześć miłych krewniaczek, a mały wygnaniec nie miał co w usta włożyć. Głodny, zmartwiony wsunął się do bramy jednego z domostw opodal zamkowego młyna, położył głowę na worku i zasnął.

— Czemu cudze kąty wycierasz? — zbudził go rankiem czyjś gruby głos. — Swego domu nie masz ?

Zerwał się Trzęsiucho. Zobaczył tuż przed sobą zwałistego człeka w brunatnej opończy z kapturem, modrej jace fryzyjskiej i żeglarskich skorzniach. Od razu poczuł do niego zaufanie i bez wahania zwierzył mu się z ciężkiej troski.

— Toś ty Jork Trzęsiucho? — pokiwał głową poczciwy mieszczanin. — Ojciec twój u mnie marynarzem był. Zaopiekuję się tobą. Zwę się Jędrych Zerwiżagiel. Kupcem jestem i szyprem kogi Morski Koń. Jeśli zechcesz, przyjmę cię do załogi.

— Dzięki wam, panie — ucieszył się chłopak.

— Płyniemy na Daleką Północ. Tamtejsi mieszkańcy łowią ryby i wieloryby, kopią w górach żelazo, ale chleba pono im brak. Zamierzam więc mąkę dowieźć im morzem, chociaż droga do nich

długa i niebezpieczna. Nie lękasz się puścić w tamte obce strony ?

— Przecież jestem synem okrętnika!

— Będiesz koksmatem w kambuzie *Morskiego Konia*. Zarobisz z początku niewiele, ale jada ci nie zabraknie. Możesz także, jak jest w okrętniczym zwyczaju, zabrać trochę towaru i z zyskiem sprzedać go za morzami.

Trzęsiucho rozsuptał worek na tyle, że ukazał się łeb burasa.

— Mam jeno tego kota. To cały majątek, jakim zdobył w królewskiej służbie. Pozwoli-cie mi go zabrać z sobą?

— Kot zawždy przyda się na statku, bo myszy w ładowni tańczą, gdy kota nie czują — stwierdził z powagą Jędrych. — Zanieś go do Darłówka na mój statek, przycumowany podle Korony Panny Marii.

— Koło klasztoru białych mnichów pod Darłowską Górą?

— Zakupiłem u nich mszę na intencję szczęśliwego rejsu. Pomodlimy się o pomyślny wiatr i stopę wody pod kilem, prosto zaś z kościoła ruszymy na pokład i podniesiemy żagle.

W taki to prosty sposób Jork zmienił skórę, przeistoczył się z królewskiego w okrętowego kuchcika. Popłynął na północ, lecz nie od razu. Niewiele bowiem pomogły modły żeglarzy w darłowskim klasztorze. Sztormy miotają Morskim Koniem po Bałtyku. Najpierw zapędziły go pod szwedzki Kalmar. Potem poniosły aż pod mury Wisby na Gotlandzie, w końcu znaleźli się u brzegów Zelandii koło Gęsiej Baszty.

— Tułamy się jak nasz Eryk Wygnaniec — trapił się Zerwizagiel i powiadał koksmatowi: — W kalmarskim zamku koronowano go jako pacholę na pana trzech królestw. Spod Gęsiej Baszty uchodzić musiał na Gotland, gdzie kupieckie nawy chwytał i mawiał szyprom: „Jesteśmy biednym, wygnanym królem. Nasze obecne, małe królestwo wyżywić nas nie mo-że. Dlatego, kto tu przybywa, musi nam złożyć daninę. Inaczej niech się z domu nie rusza”.

— Taką cierpiał biedę? — dziwił się Trzęsiucho.

— E, zabrał przecie na wygnanie skarb koronny. A skarb to nie lada: złote i srebrne figury, zastawy, pieniądze, drogie kamienie, złotą gęś z zelandzkiej baszty, róg jednoroźca, który teraz przerobiono na świecznik dla zamkowej kaplicy w Darłowie. Wiem dobrze, bo gdy go nieprzyjacioły obiegly w nadmorskiej warowni, popłynąłem mu na odsiecz z sześcioma innymi nawami z naszego portu.

Mówił, jak nocą zabrali skarby i chyłkiem odpłynęli, jak burza

rozproszyła ścigającą ich flotę i zatopiła dwie darłowskie nawy, jak król po powrocie ufundował świętej Gertrudzie, która miała go uratować podczas burzliwej ucieczki, kaplicę przed Kamienną Bramą. Trzęsi-ucho słuchał tych wspominek — otwierając szeroko oczy ze zdumienia.

— Takie tedy skarby ma król Eryk, a wciąż się na biedę uskarża.

— Co dla króla biedą, dla innych majątkiem jest wielkim — tłumaczył szyper. — Wszakże czasami tak bywa, że garść żyta więcej się ceni niż miech pereł.

— Chciałbym, aby mój kocur kiedyś cenniejszy się okazał niżli owa królewska gęś ze szczego złota — westchnął koksmat patrząc na burasa harującego po śródokręciu i kaszte-lach.

Zerwiżagiel przyjaźnie szarpnął go za czerwone ucho.

*Kto, mój nieboże,  
pływa za morze,  
wie, że niemało  
zdarzyć się może,  
ale nie wierzę,  
aby gęś złota,  
kędys mniej warta  
była od kota.*

Wiele jeszcze przygód przeżył kuchcik w tej pławbie. Widywał wesołe morświny, srebrne fontanny wielorybów, kolorowe zorze Północy. A kiedy po wielu dniach żeglugi statek Jędrycha stanął wreszcie na redzie, tuż przed celem podróży, oto jaki — według wiary-godnych słów kronikarza Chwalipięty — roztoczył się przed nim widok:

*Na skalnej wyspie, ponad zatoką,  
co się wrzynała w skały głęboko,  
na wyspie zwanej Głodnym Ostrowem  
stało nieduże miasto portowe.  
W głębinie fiordu, srebrnej jak ołów,  
drżały odbicia wież dwóch kościołów,  
trzech bram warownych, Więziennej Baszty;  
chwiały się statków rybackich maszty,*

*kamienne domy, stare spichlerze  
leniwie pięły się hen, pod wieżę,  
wzniesioną w porcie na szczycie skały.  
Ze szczytnic czarne chorągwie wiały,  
ptactwo żałobnym płoszyły kirem,  
mewy latały z krzykiem i skwirem,  
a nad dachami domów, spichlerzy,  
stary latarnik sterczał na wieży.  
Brodacz, staruszek z fałdzistym czołem,  
w kotle latarni zapalał smołę,  
aż strzelił płomień, dym buchnął wstęgą,  
z wichrem popłynął ku widnokręgom  
wśród szumów, gwizdów, przeciągłych świstań,  
aż zaroila się morska przystań.  
Mieszczanie puste rzucili kramy,  
tłumnie z portowej wylegli bramy,  
dym z Mewiej Wieży, smolisty sygnał  
na brzeg zatoki wszystkich ich przygnał.  
Błazi jak kreda, jak szczapy chudzi,  
nie ludzie, zda się, lecz cienie ludzi,  
pchali się w tłoku i powtarzali:  
— Latarnik ogień na wieży pali!  
Snadź statek jakiś przyptywa z dali!*

Kotłowała się ciżba na portowym moście, na kamienistym wybrzeżu. Głowy, jak na komendę, zwracały się to ku wysokiej latarni, to w stronę nadpływającej kogi.

— Ładowna — oblizał wójt szerniałe wargi i zacisnął w kościstej ręce trzy srebrne klucze, zwieszające się z misternego łańcuszka na jego wątlej piersi. — Widzicie, jak się głęboko zanurza?

— Cóż to za ptak widnieje na jej banderze? — głowili się inni. — Ni to lew, ni orzeł? Znacie takie godło?

— Nigdyśmy go jeszcze nie widzieli. Z daleka chyba tu do nas, na koniec świata, zawi-ja.

Tymczasem statek, na którego maszcie trzepotała flaga z pomorskim gryfem, dobijał już do przystani.

— Ahoj — krzyknął szyper z dziobnicy. — Bierzcie cumy!

Wynędziali chudzielcy skwapliwie chwycili liny rzucone im z



pokładu. Przycumowali okręt do butwiejących palów przystani. Ku marynarzom, kolejno po trapie schodzącym na ląd, wyciągnęli ręce.

— Witajcie, witajcie...

Odzienie zwisało z nich w fałdach, tak że wyglądali jak strachy na wróble. Staniali się na patykowatych nogach. W źrenicach ich, zapadłych głęboko w oczodoły, walczyły cienie strachu ze światełkami nadziei. Cerę mieli ziemistą, szarozieloną. Na pierwszy rzut oka można było poznać, że nęka ich jakaś ciężka niemoc.

— Mór macie w mieście? — cofnął się Zerwiżagiel wsparty na ramieniu Jorka.

Wójt zdjął czapę z foczej skóry.

— Nie, zacny cudzoziemcze.

— Czemu tedy czarne flagi powiewają na waszych murach?

— Ppowiem — zająknął się szerokostopy człeczyna. — Wszystko powiem. Jeno wprzód, jeżeli macie mąkę, wyładujcie parę jej worków, by nasi piekarze zdążyli upiec chleb przed nocą.

— Przecie piekarze zwykle właśnie nocą chleb pieką?

— Nie u nas... W nocy tutaj straszne dzieją się rzeczy. I wy musicie, nim zmrok zapa-dnie, wyjść z portu na redę.

— Mówcie krótko i węzłowato: czego tu lękać się trzeba?

— Chętnie bym uczynił zadość waszemu życzeniu, ale sił mi brak. Osłabłem z głodu. Pod wieczór, gdy piekarze upieką chleb, kiedy posilimy się nieco, wytłumaczę wam, niczego nie zataję... Zajdźcie, proszę, do mnie.

— Kędy was szukać?

— W Więziennej Baszcie.

— Co? Wójt w więzieniu mieszka?

— Do tego doszło, że ja, Kanut Gęsianoga, włodarz tego grodu, siedzę za żelaznymi drzwiami i grubymi mury...

Mówił coraz ciszej, a gdy mocniej zadęło wicherzysko, tylko dzięki temu zdołał się utrzymać na nogach, że oparł się o portowy pal. Jędrych podtrzymał go za spiczasty łokieć i skinął na okrętową czeladź, którą wprowadził niemal w osłupienie dziwny gród i jeszcze dziwniejsi jego mieszkańcy.

— Wyładujcie kopę miechów mąki na brzeg!

Zabrali się marynarze do roboty. Narosła góra miechów na portowym moście. Ludzie z Głodnego Ostrowa po kilkunastu naraz chwyтали każdy z wyładowanych worków. Zataczali się, sapali,

charczeli z wysiłku, a jednak spiesznie, jakby poganiały ich niewidzialne bicze, odnosili miech za miechem do miasta.

— Słabi jak muchy — litował się Trzęsiucho. — Lada podmuch z nóg zwalić ich może.

— Niesamowicie na tej wyspie — szeptali darłowscy okrętnicy.

Morskie ptactwo przenikliwie krzyczało nad dachami z darni, przyciśniętej głazami, nad zrębami opleśniałych murów. Kędyś, spomiędzy nadmorskich złomów granitu, spod olbrzymich, zielonych i rudych kamieni dobiegały zjadliwe piski. Czarne chorągwie trzepotały zło-wróżbnie. Z żadnego komina nie snuł się dym. Jeno z wierzchołka Mewiej Wieży, ze szczytu starej latarni wciąż snuła się ciemna smuga.

— Wyprowadźcie statek z portu — rozkazał Zerwiżagiel. — Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Z ulgą odbili od nabrzeża i rzucili kotwice na redzie. Stamtąd, tuż przed zapadnięciem nocy, szyper polecił odwieźć się szalupą na brzeg, by odwiedzić wójta. Zabrał z sobą koksma-ta.

— Będiesz mi w powrotnej drodze przyświecał latarnią — powiedział.

Samowtór wylądowali, minęli Portową Bramę, na której widniał jakiś herb, wykuty w kamieniu, lecz tak nadgryziony zębem czasu, że nie było sposobu odgadnąć, co przedstawia. Razem zanurzyli się w uliczki ciasne i ciemnawe.

Domy z belkami dźwigów, sterczącymi ze szczytnie, pochylały się ku sobie. Skrzypiały żelazne wywieszki kramów i warsztatów. W rynsztokach najbystrzejsze oko nie zdołałoby wypatrzeć jakiegokolwiek odpadku. Drzwi i okiennice zamknięte na głucho, wrota gospód zabite na krzyż deskami, opustoszałe zaułki nadawały miastu pozór wymarłego grodu. Nie ozwał się róg ceklarza, dzwon nie zadzwonił na wieży, choć czas już było na wieczorny Anioł Pański. Czasem tylko zaklekotały drewniane chodaki, jakiś cień ludzki z bochenkiem pod pachą przeciął drogę wieczornym gościom i, jak widmo, znikł za węglem.

— Śpieszmy się, bo noc blisko — naglił szyper krocząc przodem przed Jorkiem, pnąc się spadzistymi, krętymi uliczkami ku pękatej jak beczka Więziennej Baszcie, w której naj-wyższym oknie zamigotało właśnie żółtawe światelko.

— Strach by było iść tędy po ciemku — przyznawał Trzęsiucho i

kołysząc okrężniczą latarnią, śpieszył się jak szewc na jarmark.

Coraz to większe stawiali kroki. Pędem prawie minęli ostatni zakręt, po kamiennych schodkach wdrapali się do furty, czerniejącej w grubym murze wieży. Jędrych uderzył koła-tką w żelazne drzwiczki. Po kilku chwilach przez otwór zakratowanego judasza wyrzął Kanut Gęsianoga i wpuścił przybyszów do środka. W rękę trzymał kromkę nie dojedzonego chleba. Łapczywie przełknął ostatnie kęsy, ruszając wydatną grdyką, zaprowadził darłowian pod sam dach, do izby oświetlonej tranowym kagankiem. Wskazał im ławę przy oknie, sam za stołem siadł i bez zwłoki w te, zapisane potem przez Chwalipięte, słowa się ozwał:

*Czarne tu u nas trzepocą flagi  
na znak żałoby, dopustu, plagi,  
straszliwej klęski, sprawy ponurej:  
Od niepamiętnych lat myszy, szczury,  
bestie wąsate i ogoniaste  
nad biednym naszym pastwią się miastem.  
Zaledwie ciemna nocka zapadnie,  
już one tutaj rządzą wszechwładnie,  
już głodne myszy, żarłoczne szczury  
z każdej wylażą szpary i dziury,  
każdą uliczką wędrują nocą,  
piszczą i skrobią, drapią, chrobocą,  
pergaminowe gryzą kroniki,  
skórzane pasy, kabzy, trzewiki  
na strzępy szarpią w pasji zajadłej.  
Sznury od dzwonów nawet nam zjadły  
i od tej pory umilkły dzwony,  
a dzwonnik płacze niepocieszony,  
a z nim biadają szewcy, bednarze,  
rybacy biedni, możni kramarze,  
tkacze, karczmarze, wielorybnicy  
i kotwicznicy, i wędzarnicy.  
Przychodzą do mnie, wołają: Wójcie,  
Boga się bójcie i nas ratujcie,  
bo pustką świecą nasze spiżarnie,  
rzeźnicze jatki, kramy, piekarnie!*

*Zda się, że wkrótce zginiemy marnie!*

Łokcie o stół wsparł, a za oknem, w wąwozach uliczek wzbierała już szcurza powódź, zalewała miasto skazane na zagładę. Rosły piski, szelesty, chroboty. Zerwiżagiel wyjrzał przez okno. Niczego wprawdzie nie zdołał dojrzeć w ciemnościach, lecz wyczuł grozę wiszącą w powietrzu. Pochylił się do koksmata:

— Musimy tu zostać do rana! Jeśli choć końce nosów wychylimy z tej baszty, bestie rozszarpią nas niczym króla Popiela.

— Brr — otrząsnął się Jork. — Dobrze, iż *Morski Koń* na redzie, a nie w porcie stoi.

Zostali aż do rana w gościnie wójtowej. Ze współczuciem słuchali jego żalów.

Pytali, skąd wziął się ten szcurzy dopust. Na to pytanie odpowiedzieć nie potrafił, bo początku plagi nie pamiętał, a miejskie kroniki padły pastwą ogoniastych i pazurzystych żarłoków. Za to długo i szeroko opowiadał, że dotychczas wszystkie sposoby walki z naja-zdem myszy i szcurów zawiodły sromotnie.

Na nic nie przydały się pułapki. Nie pomogło zalewanie smołą i zabijanie kołkami dziur mysich. Nie pomogła nawet nagroda tysiąca talarów, przeznaczona przez wójta dla tego, kto potrafi uwolnić nieszczęsny jego gród od prześladowców. Szczurołapi i szczurołapki, dowie-dziawszy się od rybaków o nagrodzie, przybywali wprawdzie ze Skandynawii statkami na Głodny Ostrów, ale uciekając przed stadami małych drapieźców, pogubili piszczałki, trepy, chusty i ledwie z życiem ująć zdołali.

Noc cała zbiegła na tych opowieściach. Gaśł tranowy kaganek i blady świt zaglądał do wieżowej izdebki, kiedy padły ostatnie słowa jeremiady Kanuta:

*Śmierć nam zagraża straszna, głodowa,  
nic przed szcurami się nie uchowa,  
od wieku nocnej nie znamy ciszy,  
z butami zjedzą nas szcury, myszy,  
pełno ich w każdej jest kamienicy,  
najmniejsze znajdą ziarnko pszenicy,  
chleba kruszynkę, skórkę od sera...  
Nędza nas trapi, głód nam doskwiera,*

*troska nas młyńskim kamieniem gniecie,  
jak cienie po tym chodzimy świecie,  
nie ludzie, ale widma po prostu,  
końca długiego nie widać postu,  
co noc się wzmaga okropna plaga  
i nic na plagę tę nie pomaga.*

Wtem Jorkowi wpadła do głowy niespodziewana myśl. Wydało mu się, że wszystkie jego darłowskie kłopoty po to tylko były potrzebne, aby mógł teraz pomóc tym ludziom do-tkniętym nieszczęściem: przypomniał sobie burasa ganiającego gryzonie w ładowni *Morskie-go Konia*. Wstał z ławy i odezwał się nieśmiało:

— Mam ja, panie wójcie, coś na statku, co może skuteczniejsze się okaże niż pułapki i piszczałki szczurołapów.

— Co? — podniósł głowę Kanut.

— Kota!

— Cóż to takiego?

— Zaraz obaczycie.

I już go nie było w izdebce. Pobiegł na przystań. Machaniem żeglarskiej czapeczki dał znak marynarzom z zakotwiczonej na redzie kogi, by przybili do brzegu. Złapał w kambuzie szarego kocura. Wepchnął go do worka.

— Może bardziej cię tu będą cenić niż złotą gęs króla Eryka — mruknął i zawrócił do miasta.

Na rynku musiał się zatrzymać. Gęsianoga, stojąc obok Zerwiżagła na schodach ratusza, obwieszczał gromadce chudzielców radosną nowinę:

*Głowy do góry! Jest tu człek, który  
ma coś, co pono pogromi szczury.*

Rozbiegli się miejscy stróże. Klekocąc drewnianymi kołatkami wywoływali zastraszo-nych mieszkańców z domostw i powtarzali im to, co rzekł wójt Kanut. Niebawem tłum zebrał się przed ratuszem. Nikt w domu nie został. Stawili się starzy i młodzi. Nawet sędziwy brodacz-latarnik zlaźł z Mewiej Wieży i wspierając się kosturem przykuśtykał na rynek.

— Co się dzieje — pokaszliwał. — Co znaczy ta niezwykła

wrzawa w mieście?

Trzęsiucho powoli wszedł na schody, stanął między wójtem a szyprem i po raz wtóry wytrząsnął kota z worka. Ludziom z Głodnego Ostrowa dech w piersiach zaparł widok nie znanego im stworzenia. Znali morsy, foki, pingwiny, wieloryby, ale czegoś takiego nigdy jeszcze na oczy nie oglądali.

— Pchy, pchy, pchy, złym jest, zły — prychnął trzy razy kocur, zjeżył grzbiet, skoczył z ratusznego ganku na tetry i natychmiast rozpoczął wielkie łowy.

Szczury uciekały przed nim jak szalone. Myszy zaszyły się w mysie dziury i nie odważyły się stamtąd wysunąć pyszczków.

Nie minął tydzień, a zdjęto z murów czarne flagi i wójt wypłacił Jorkowi tysiąc talarów.

Dzięki temu złotu kuchcik po raz drugi zmienił skórę. Z biednego koksmata stał się współnikiem szypra Jędrycha i nadwornym dostawcą darłowskiego Gryfity. Przywoził mu z za mórz pachnące korzenie, owoce nieznane, wina tak znakomite, że im nawet Żegota Kopcidym nic nie mógł przyganić. Pod zamkiem koło zamkowych młynów i przystani na Wieprzy kamienicę sobie wybudował. Na szczycie jej kazał umieścić kamienną figurę chłopca wytrząsającego kota z worka i żył szczęśliwie aż do śmierci. Z przyjaźni jego dumny był sam ochmistrz Świecibaka, a rymopis Chwalipięta dzieje jego osobliwe rymami w księdze opisał i zakończył następująco:

*Tak się zamyka sprawa kuchcika  
wypędzonego króla Eryka,  
na tym się kończy wzmianka o Jorku,  
co kupił ongi kota we worku;  
kto ją przeczyta, ten się nie dziwi,  
że wszyscy w kraju naszym myśliwi  
od owych czasów do świata końca  
zawsze zwać będą kotem zająca.*

## **WĘLNISTE MIELIZNY**

*Pod miesięczną pełnią,  
z pluskiem, szumem, świstem  
pianami się wenią  
mielizny wełniste,  
wiatr nad nimi wieje,  
lotne mgły rozwiewa,  
opowiada dzieje*

## *burgrabi z Braniewa.*

Morze jest sprawiedliwe. Dobrze to wiedzą rybacy, żeglarze i wszyscy ci, którzy, po-czynając od sławnego Jonasza, los swój powierzali morskim falom. „Kupcy puszczający się na morze — twierdzi jeden z dawnych pisarzy — słusznie baczą, aby za towarzyszków nie mieli złoczyńców, gdyż taka kompania przynosi nieszczęście”. Tak już podobno bywa od nie-pamiętnych czasów, że słony żywioł zapamiętałe ściga winowajców, uciekających przed sprawiedliwością wiatrolotnymi okrętami. Nie cierpi złych ludzi i nie spocznie, aż dosięgnie ich, by wykonać surowy wyrok.

Poniewczasie przekonał się o tym również burgrabia Łupiskóra z Braniewa nad Pasłęką. Rządząc w imieniu biskupa Warmii braniewskimi włościami, rozmyślał on nieustannie, jakby na biskupim rożnie upiec sobie smakowitą pieczeń. W komnatach zamku, który wznosił się na południowym krańcu warownego miasta, opodał wieżastej fary Św. Andrzeja, wciąż roz-brzmiewały echami niespokojne kroki chciwca.

— Z biskupich pieniędzy nie wezmę ani szeląga — odpędzał pokusę najłatwiejszego zbicia majątku. — Powiadają, iż syty wilk nie dba o to, czy kto inny owieczek nie skubie, le-piej wszakże będzie, jeśli nikt w kurii nie odgadnie, że dbając o kabzę biskupa, także o swojej kieszeni nie zapomina.

W Braniewie skupiał się podówczas cały morski handel Warmii. Pasłęką płynęły barki ładowne zbożem, płótnem, przedzą lnianą. Towary przechowywano w spichrzach nad rzeką, by je potem statkami wysłać na morze. Burgrabia dzień w dzień przychodził do przystani, stawał na moście, wypytywał szyprów o ceny. Dowiedziawszy się, że we Flandrii można z dużym zyskiem sprzedać wełnę, postanowił:

— Będę nią kupczył na własną kiesę.

Od tej pory w dwójnasób uciskał poddanych. Podwoił im czynsze. Za pieniądze wyda-rte biedakom skupował owce, które nakazywał owczarzom wypasać na chłopskich łąkach. Zabielały ciężkie ily i gliny braniewskie ogromnymi, wełnistymi stadami. Burgrabia konno objeżdżał pastwiska. Dozorował postrzygaczy wełny. Zadowolony z rosnącego bogactwa, uśmiechał się pod wąsem:



*Paście się, baranki moje;  
za puszyste wełny wasze  
złotym pasem się opaszę,  
w łańcuch złoty się wystroję;  
niechaj leje łzy poddany,  
przeznaczono mu zgryzotę,  
a mnie — szczęście, runo złote,  
będzie ze mnie pan nad pany!*

Sądził, że nikt nie patrzy mu na palce. Kapitułę dawno już temu, po spaleniu Braniewa przez Prusów, przeniesiono do Fromborka. Biskup rezydował w Lidzbarku nad Łyną. Chytry urzędnik był więc pewny, że łupiestwo ujdzie mu bezkarnie. Tych, co przychodzili błagać go o litość, kazał odpędzać od zamkowej bramy i psami szczuć. Nie dopuszczał do siebie franci-szkanów z klasztoru przy kościele Panny Marii, których pokrzywdzeni prosili o wstawiennictwo.

— Podstrzygłbym i ich, gdyby nie to, że chudy ich konwent jak rzadko — mówił.

Wkrótce stał się właścicielem dużego statku, który nazwał *Postrzygacz Owiec* i powierzył przebiegłemu szyprowi Odrzywilkowi. Co roku wysyłał go z wełną na zachód i co roku przybywało złota w skrzyniach, przechowywanych w Bramnej Baszcie braniewskiego zamku. Tutaj pod gwieździstym sklepieniem skarbczyka przeliczał pieniądze zdobyte ludzką krzywdą, cieszył oczy ich blaskiem, uszy — brzękiem. Nie dbał, że miejscowi kupcy zazdroszczą mu majątku, ale surowo karał tych, co poważyli się nazywać go Łupiskórami albo śpiewać o nim złośliwe piosenki. Śmiałków chwytala zamkowa czeladź i chłostała za miastem pod starym dębem, na którym jakby na szyderstwo zawieszono wizerunek świętej Trójcy. Dodawał Łupiskóra nowe krzywdy do dawnych. Coraz głośniejsz rozbrzmiewała śpiewka:

*Burgrabia biskupi  
ze skóry nas łupi,  
zbój tak nie ograbia  
jako ten burgrabia;*

*ma on złote miechy,  
ciężkie jako grzechy,  
ma on spichlerz pełny  
bieluteńskiej wełny,  
lecz ta wełna biała  
krwią będzie tryskała,  
gdy w dalekim świecie  
tkacz ją w ręce zgniecie.*

Coraz głośniejsz narzekali bosi, obdarci, wychudli chłopci. Uprosilili w końcu jednego z franciszkanów, aby na pergaminie spisał ich skargi i z tym pismem powędrował do biskupa. Łupiskóra, nie przeczuwając, że chmury gromadzą się nad jego głową, ładował w tym właśnie czasie swój statek wielkimi i małymi miechami wełny.

— Nie leńcie się, jeśli nie chcecie, by was pod dębem ochłostano — groził mieszkańcom, dźwigającym worki ze spichrza do ładowni *Postrzygacza Owiec*.

Zamknięto luki. Odrzywilk pod pełnymi żaglami popłynął ku szerokiej delcie Skaldy, a burgrabia wrócił na zamek i, jak poprzednio, zabawiał się przesypywaniem złotych dukatów w Bramnej Baszcie.

— Sprzyja mi szczęście — puszył się zarozumiale. — Jeśli ten rok przyniesie mi podobny zysk, jak poprzednie, drugą skrzynię napelnę pieniędzmi po brzegi.

Co dzień patrzył na żelazne chorągiewki, kręcące się na basztach, badał, skąd wiatr wieje, a potem pochylał się nad mapą i obliczał, jak daleko mógł dopłynąć jego statek. Kiedy przypuszczał, że *Postrzygacz Owiec* minął już białe urwiska Rugii, z Lidzbarka przybył niespodziewanie na tłustym mierzynku klecha z listem opatrzonym biskupimi pieczęciami. Wręczył pismo burgrabi. Ten przeczytał je w zamkowej kancelarii i zbladł. Spodziewał się pochwał za surowe rządy, przysparzające złota biskupiej skarbnicy, tymczasem...

„Baranki i owieczki moje powierzyłem ci, byś je strzygł w miarę, jako dobremu pastewnikowi przystało, a tyś darł wełnę, aż krew tryskała — pisał biskup. — Wilkam do owczarni mej wpuścił! Wilka w baraniej skórze. Wszelako wyszły na jaw twe niecnoty. Pod klątwą przykazuję ci, byś stawił się przede mną na sąd sprawiedliwy i zdał sprawę ze swych uczynków...”

Słowa te jak piorun poraziły przeniewiercę. Nim ochłonał, drzwi kancelarii trzasnęły jak drugi grom. Kościsty żeglarz wszedł do komnaty, zdjął z głowy żeglarską kuczmę.

— Odrzywilk? — zdumiał się Łupiskóra. — Ty tutaj, nie na morzu?

— Ledwie z niego zdołał żyw ujść — odparł zausznik. — Między Łebą a Gardną okrutny sztorm nas zaskoczył. Gdyby nie to, że wyrzuciliśmy za burtę najpierw małe, a potem wielkie miechy wełny, nie udałoby mi się zawrócić.

— Statek tedy ocalał?

— Stoi na Pasłęce za Spichlerzowym Mostem.

Odetchnął burgrabia. Odprawił klechę, obiecując za trzy dni stawić się na lidzbarskim zamku, i popędzany niepokojem sumienia zaczął na gwałt przygotowywać się do ucieczki. Zabrał z Bramnej Baszty skrzynie złota, zagarnął czynsze należne kurii. Nocą marynarze przenieśli skarby na okręt i o świcie wypłynęli z gardła Pasłęki na Wiślany Zalew. Wiatr wy-dał żagle. Zaszumiał w olinowaniu.

— Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło — pocieszał się Łupiskóra. — Utraci-łem wielkie i małe miechy wełny, ale gdyby *Postrzygacz Owiec* nie zawrócił, trudniej by mi teraz było uchodzić przed biskupią pogonią.

Za Piławą na pełnym morzu całkiem już odzyskał pewność siebie. Bądź co bądź zacho-wał duży statek i dwie skrzynie złota. Mógł osiąść w zamorskim kraju, rozpocząć z dala od zagniewanego biskupa bezpieczne, dostatnie życie.

— Ucztę w kasztelu zastawcie — wydał polecenie czeladzi. — Ucztą uczcić pragnę dzień, w którym zrzuciwszy biskupie jarzmo, panem się stałem ze sługi!

Nakryto stół, wniesiono czasze, misy, stągwie. Łupiskóra z Odrzywilkiem zasiedli w kajucie do biesiady. Ucztowali przez cały dzień. Nie przerwali uczty i wtedy, gdy zmrok za-padł. Przy zapalonej latarni dalej jedli, pili, weselili się hucznie. Dzwoniły kielichy. Burgra-bia, czerwony z ochoty, pijany węgrzynem i butą, triumfował:

*Szczyście me mnie nie zawiodło,  
nie straciłem mego zysku,  
zwyciężyłem dolę podłą,*

*niech mi klątwą grozi biskup,  
nie zobaczy mnie w Lidzbarku,  
jakoś się wymknąłem biedzie,  
choć już siadła mi na karku  
— dziś znów dobrze mi się wiedzie!  
Złote sobie kupię szaty,  
pasem się opaszę złotym,  
będzie ze mnie pan bogaty,  
ruszę niby król w zaloty.  
Za morzami zdejmę z głowy  
złoty kołpak z złotym piórkiem  
i pokłonię się królowej,  
by mi dała swoją córkę!*

Do północy trwała pijatyka, śpiewki, śmiechy. Gdy jednak w szyprowej klepsydrze przesaczyło się ostatnie ziarnko piasku, statek zatoczył się nagle jak pijany, zastawa spadła ze stołu, zydle wywróciły się wraz z biesiadnikami. Podźwignąwszy się, obaj wybiegli z kajuty na pokład. Mgła stała nad morzem.

— Gdzie jesteśmy? — huknął szyper przez tubę.

— Opoдал ujścia Łupawy — odkrzyknął wachtowy. — Między Łebą a Gardną.

— To na tych toniach sztorm was zaskoczył? — przeraził się burgrabia.

Wiatr targał siwym oparem, przez który przeświecała spomiędzy chmur martwym błaskiem okrągła pełnia miesiąca. Statek szedł przez noc w tumanach wodnej kurzawy. Bałtyk pulsował gniewem. Chlustały zwałnione fale. Piana świszcząc bryzgała z ich postrzępionych grzyw.

— Mielizna przed nami — krzyknęli okrętnicy z przedniego kasztelu. — Wełny z hukiem się na niej łamią.

— Skąd tu mielizna — zachnął się Odrzywilk. Zaraz wszakże podniósł tubę do warg i rzucił komendę: — Ster prawo na burt.

Zawył wiatr w takielunku. Wełniste grzywacze chlusnęły przez nadburcie. Na pokład się wdarły. Zaskrzypiały maszty i wręgi. Rozkołysał się okrętowy dzwon. Morze, oburzone na zbiega i jego kompanów, którzy dopomagali mu ujść przed karą, bluzgało wściekłością, głosiło, jak gniewny sędzia, wyrok surowy:

*Dość łupiestw, łez dosyć,  
kres krzywdom położę,  
nie będzie was nosić  
sprawiedliwe morze!*

Sternicy naporli na drąg rudła. Zawrócili, z trudem unikając rozbicia na huczającej sna-dziźnie, ale wkrótce zagroziła im drogę druga podwodna ława, również dotychczas nie zna-na mapom i księgom locji, wełniąca się bielą pian.

— Ster lewo na burt — krzyknął szyper.

Spóźnił się o ułamek minuty. Trzasnęła stewa. Na rufie zgasła strzaskana latarnia. W strzepy poszły żagle i liny. Pod ciosem fali prysnął dębowy ster. Zwały się maszty, połamały reje. Ogołocony kadłub, jak łupina miotał się wśród mielizn, we mgle.

— Biada nam — rozpaczała bezradna załoga. — Kłątwa nad nami. To wielkie i małe miechy zagrabionej wełny bez ochyby zmieniły się w te wełniste mielizny.

— Rzućmy w morze burgrabię — krzyknął ktoś. — On sprawcą naszego nieszczęścia! On winien!

— Wynieście z kasztelu moje skrzynie — jęknął Łupiskóra półżywy ze zgrozy. — Ciśnijcie za burtę złoto przeklęte.

W popłochu uczynili, co im kazał. Posypały się w toń dukaty, ale ofiara ta nic nie po-mogła. Coraz burzliwiej wełniły się w oparach morskie wełny. Skakały w owczym pędzie na przechylony pokład, na pękające kasztele. Porywały schodnie, szczątki rej, przerażonych marynarzy. Syczały zjadliwie, mściwie:.

*Górze łotrom, górze!  
W sinym blasku pełni  
sprawiedliwe morze  
wyrok swój wypełni.  
U nas nikt żywota  
złotem nie wykupi!  
Utonie niecnota  
— burgrabia biskupi,  
zginie w nawałnicy  
szyper złego pana*

*i morzopławnicy  
śmierć znajdą w bałwanach!*

Pograżył się w toń *Postrzygacz Owiec*. Przepadł we wzburzonym morzu braniewski burgrabia wraz z wiernymi służebnikami i tylko wełniste mielizny na trawersie Słowińskiego Pobrzeża, dwie groźne łąchy, zwane Wielkimi i Małymi Miechami, przypominają o nich szumem każdej wichrzystej i mgławej nocy, gdy pełnia miesiąca ukaże się zza mrocznych obłoków nad Bałtyckim Morzem.

## **KTO ZBUDOWAŁ TRZY WIEŻE KOŁOBRZESKIEJ KOLEGIATY**

*Wśród białych fal śniegu,  
jak okręt z zaświata,  
w porcie Kołobrzegu  
stoi kolegiata,  
wielki maszt trzech wieżyc  
czernieje nad nawą,  
z tego masztu księżyc  
latarnią lśni mgławo,  
księżyc w kręgu z bieli  
na tym maszcie wisi,  
który podźwignęli  
trzej pomorscy mnisi.*

Szczerze mówiąc, osobliwi to byli zakonnicy owi trzej szarzy bracia z konwentu świętego Antoniego w Gryficach. Jeden z nich tylko urodził się w Kołobrzegu. Ujrzał świat na wendyjskim przedmieściu, koło katówki, w jednej z Ziębich Wież, stanowiących, podobnie jak opuszczone przedmiejskie kaplice, przytułek wszelkiego

rodzaju szubieniczników. Na chrzcie oddano go pod opiekę Lenarta — patrona wędrowców, przemytników, złodziei. Od dziecka też miał lepkie ręce, jakby mu je diabeł w kołysce smołą pomazał.

Chudy, niewielki, potrafił jak cień przemykać przez ulice za grubymi kupcami. Nim się który z bogaczy obejrzał, już jego sakiewka przylepiała się do palców niepocziwego Chudzi-ny. Kręcił się on koło szpitalików i młynów, przy kościółku rybaków i żeglarzy, na Solnym Brzegu, kędy tryskała tęga solanka z trzech źródeł, zielonego, żółtego i białego, dymiły wa-rzelnie, piętrzyły się sągi drzewa. Najchętniej wszakże uprawiał swoje rzemiosło w zaułku koło ulicy Siodlarskiej, który też wkrótce ku przestrodze chadzających tamtędy mieszczan nazwano: „Obejrz się”.

Drugi pochodził z Kamicy — wsi rycerza Kamyka. Nie mógł znieść głodu nękającego chłopów każdego przednówka, uciekł więc do miasta. Znalazł robotę przy spławie drzewa, nie zarabiał jednak tyle, aby jeść do syta. Dlatego wszedł w konszachty z palaczami i inną warzelniczą czeladzią. Sól skradzioną solnym panoszą nocami woził w swym czólnie na re-dę, gdzie czekały na nią statki szyprów-przemytników. Odtąd miał pieniędzy pod dostatkiem. Przejadał je w osławionej szynkowni *U Promu*, tuż koło żupnego przegierza i domu solnego pisarza, kamiennego budynku, z którego węgła zwisała żelazna obręcz kuny. Bywalcom po-rtowej gospody nie przeszkadzało to sąsiedztwo. Drwili z przegierza, kuny, a nawet szubieni-cy. Co nocy śpiewali przy gęstych kuflach:

*Zięby, północ bije,  
więc przepłuczmy szyje,  
kat nam stryk w swym domu  
kręci po kryjomu,  
a my, nocne ptaszki,  
osuszamy flaszki  
w gospodzie U Promu.*

W tej tawernie spod ciemnej gwiazdy skumał się Opas, tak go kamraci przewali z powodu obżarstwa, z małym Chudziną. Tutaj też obaj spotkali trzeciego druha: Wielgosza. Ten nosił jeszcze podówczas u boku rycerski kord, chełpił się, że jest szlachcicem i przepijał resztki złota złupionego na traktach. Nim wszakże zdążył



przehulać łup do ostatniego szeląga, poszczerbił w nocnej zwadzie kleryka z kołobrzeskiej kapituły i wraz z dwoma młodszymi kamratami, którzy również wplątali się w tę karczemną burdę, musiał wziąć nogi za pas. Ukryli się na inflanckim statku, wymknęli z portu. Odetchnęli solni zwarycze, kanonicy, ceklarze:

— Zdrowe powietrze w naszym Kołobrzegu. Żadna zaraza się u nas długo nie utrzyma — mówili.

Tymczasem zbiegowie, którym miejski grunt parzył stopy, trafili z deszczu pod rynnę. Płynąc ku Rewłowi popadli w niewolę niemieckiego barona, pana jednego z zamków na Ozylii — Wyspie Morskich Psów. Okrutny ów człek zwodniczymi ogniami, które palił w mgliste noce na trzech wieżach swej warowni, ściągał między skały kupieckie korabie. Nie wiedział, co to litość, znał się natomiast na ludziach.

— Chcecie mi służyć? — zapytał trzech jeńców.

Zgodzili się i dzięki temu nie podzielili losu reszty załogi, wyrzuconej za burtę.

Trzy lata spędzili na korsarskim zamku. W końcu jednak szyprowie połapali się, że lepiej z daleka omijać Wyspę Morskich Psów, zaczął przeto baron szukać łupów na pełnym morzu, no i stało się, jak w przysłowiu: „Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka”.

W bitwie z elbląskimi żeglarzami padł herszt i zginęła większość jego piratów. Statek został zdobyty. Zwycięzcy spętali niedobitków i zawieźli do Elbląga. Zdobytą banderę korsarską zawiesili w świętomikołajskiej farze nad kazalnicą, więźniów osadzili na śmierć. W Ciemnicy — więziennej baszcie elbląskiej — czekali trzej druhowie na wykonanie wyroku.

— Zanim mnie zetną, uświerknę z zimna w tych wilgotnych murach — szczekał zębami Chudzina. — Nie ma to jak u nas, w Kołobrzegu. Każdej zimy zakrystian w kruchcie kolegia-ty rozdmuchuje ogień z węgla na żelaznym trójnogu. Ogrzewają się biedne zięby. Żebracy wyciągają nad płomieniem skostniałe dłonie...

— Kołobrzeg! — przełykał ślinkę zgłodniały Opas. — Jakież tam piwne uczyty bywają przed ratuszem, kiedy solny panosza córę za mąż wydaje albo gdy nową panew na Panewni-kach do swej warzelni kupi! A jako się jada i pija po mszy w Przewodnią Niedzielę, na której żupnicy modlą się o zachowanie i pomnożenie solanki w solnych źródłach.

I Wielgoszowi marzyło się miasto, w którym hulał przez kilka miesięcy; zaczepiał urodziwe dziewczyny na grobli wiodącej przez wendyjski Wik ku morzu, kupował im w bogatych kramach wszystko, co mu w oczy wpadło, zapraszał je do rojnych gospód. Żył tam, jak pan, w kompanii wesołej, a teraz głód cierpiał, chłód mu doskwierał.

Do okna celi podszedł, dłonie oparł o rdzawe kraty, spojrzął za miasto ku Szubienicznej Górze i zaśpiewał cicho:

*Kołobrzeskie zięby  
piwem płuczą gęby,  
a my, trzech zbójnicy,  
giniemy w Ciemnicy;  
żegnaj, miasto słone,  
spojrzę w twoją stronę  
z haka szubienicy.*

Wiele by dali, aby raz jeszcze ujrzeć solny gród, odwiedzić szynkownię *U Promu* na Parsecie, ale możliwe było to chyba tylko we śnie. Sny zaś miewali całkiem inne.

— Wiecie — zwierzał się raz Chudzina. — Panna mi się przyśniła w białej sukni. Z uszu jej niby kolczyki zwisały złote klucze, na ustach miała żelazną kłódkę, kopytka zamiast cizem.

— Bodaj cię nimi kopnęła — rozgniewał się Wielgosz. — Panny ci w głowie? Poczekaj trochę. Zatańczysz na haku z panną Liną, powroźniczą córą.

— A może to znak dla nas? — chwycił się Opas kruchej nadziei. — Może te złote kluczyki otworzą nam kłódkę naszej celi, jeśli złożymy ślub, że resztę żywota pokuta nam wypełni.

Tonący brzytwy się chwyta, tedy piraci nasi, nie ociągając się, podnieśli oczy ku gwiazdom, migocącym nad dachami Nowego Miasta. Poprzysięgli odpokutować winy, jeśli śmierć ich ominie i, krzyknę uspokojeni, zasnęli na barłogach. Śniło im się, że chodzą po Kołobrzegu, pośród kadzi soli — szlachetnego klejnotu tego miasta, modlą się w warzelniczej kaplicy Bartłomieja i Wawrzyńca na Solnym Brzegu, słyszą skrzypienie wielkiej śluzy, otwierającej się powoli...

— Patrzcie — przeciągnął się Wielgosz. — Burdyny odpływają

w stronę ujścia, by zrobić miejsce dla tratw sunących z górnego biegu rzeki...

Nie słuza to jednak skrzypiała, tylko drzwi celi. Stróż więzienny z pachółkami przyniósł skazańcom trzy stągwie wody i trzy snopy słomy. Powiedział, że panna przysłała im te dary, by mogli się wywczasować i umyć, zanim w tany z nią pójda.

— Jaka panna? — zamrugął powiekami Opas.

— Panna Cierpięga — zarechotał stróż i drzwi zakluczył.

Poderwał się Chudzina, ujrawszy wodę i słomę. Kamratów do siebie przywołał, do uszu im szeptnął gorączkowo:

— Nie wie ten pacholek sam, co gada. Panna nam te podarunki przysłała, ale nie owa z Szubienicznej Góry, jeno ta z mojego snu. Nocą ze zwilżonej słomy ukęcimy długi powróż. Spuścimy się po nim z okna do zamarznętej fosy i tyle nas tu będą widzieli.

Plan udał się całkowicie. Wielgosz wyłamał kraty przeżarte rdzą. Opas z Chudziną spuścili go z wieży, po czym poszli w ślady kompana. Spadli szczęśliwie w zaspę śniegu, zalegającego fosę. Wykęcili się od cierpięgi nie sianem wprawdzie, lecz słomą. Rano zastało ich już daleko od miasta.

— Skąd idziecie ? — zagadnął wędrowców furman wozu zaprzęzonego w cztery konie, pełnego żuławskich chłopów.

— Z Elbląga — odparł Chudzina.

— Czy dziś będą wieszać tam piratów na Szubienicznej Górze? — dopytywali chłopci. — Jedziemy popatrzeć na ich kaźń.

— I nas by nie zabrakło na tym widowisku — uśmiechnął się zbieg kwaśno, półgębkiem — ale pilna sprawa kazała nam ruszyć w drogę jeszcze przed świtaniem.

Rzeczywiście pilno było i jemu, i jego druhom dopełnić ślubu. Nieraz próbowali po drodze zasięgnąć w klasztorach rady, jaki obrać rodzaj pokuty, lecz i gdańscy dominikanie, i oliwscy cystersi, i kartuzi z Kartuz odpędzili ich od furty. Nie lepiej powiodło się zbiegom w Słupsku, Darłowie, Bukowie. Dopiero w Gryficach przyjął ich serdecznie ojciec Bartold Ponik, przeor szarych braci.

— Zgubiliście dusze wasze — rzekł im po spowiedzi. — Jeno święty Antoni może wam pomóc odnaleźć zgubę. Wstapcie do naszego konwentu. Przecież owe klucze w uszach pan-ny, która pojawiła się w śnie Chudziny, napominają was, byście zawsze mieli uszy otwarte na głos prawdy. Klódka nakazuje wam wystrzegać się

zbędnego gadulstwa. Kopyta zaś tego są znakiem, że kto za życia stoi mocno na opoce sprawiedliwości, nie popadnie i po śmierci w dymiące piekło.

Zdumiała ich mądrość przeora. Dali się ostrzyć na mnichów. Przybrali zakonne imiona Anioła, Serafina i Cherubina. Z pokorą też przyjęli wyznaczoną pokutę, choć była niełatwa. Mieli doprowadzić do końca dzieło, nad którym pracowały całe wieki: książę Warcisław położył pod nie węgielny kamień, legaci rzymscy i pomorscy biskupi ogłaszali odpusty dla wszystkich, którzy wesprą je pieniędzmi lub pracą.

— Służyliście diabłu z zamku o trzech wieżach, na których gorzały płomienie grzechu — mówił ojciec Bartold — wznieście tedy trzy wieże Pani Kołobrzegu, matce pomorskich kościołów. Z ofiar książąt, rajców, ludu dźwignięto nawy, kaplice, prałacki chór. Sklepiono strzeliste stropy. Wbito pale pod fundamenty wież i podciągnięto krzywą mur, ale zabrakło pieniędzy i Chwalebna Pani wciąż jeszcze czeka na dzwonnice godne jej chwały.

— My je uzbieramy — obiecali trzej skruszeni grzesznicy.

Zgodę oficjała kołobrzesckiej kapituły uzyskali bez trudu.

— Dwie jeno po prawdzie wieże, jak w gryfickiej farze, być tu miały — powiedział książę Pietrek Cielątko. — Wszakże niech będą trzy, skoro taka wola nieba.

Przepasali braciszkwowie brunatne habity sznurami, podobnymi do stryczków, z których się zerwali. Ruszyli na kwestę z różańcami u boków, skarbonkami w dłoniach a żebraczymi tablicami na piersiach. Pędząc przed sobą stado świń z dzwoneczkami u szyj, chlupotali trepa-mi w kałużach błotnistych uliczek i nawoływali:

*My trzej morscy zbójcy  
w imię świętej Trójcy,  
śladem apostołów  
wyszliśmy na połów,  
by w sieć łowić datki  
dla chwalebnej matki  
pomorskich kościołów.*

Niebawem znano ich w całej okolicy. Dawali im pieniądze siodlarze z Siodlarskiej, rybacy spod Rybackiej Bramy, klerycy z

Kleszej, młynarze z Wielkiego Młyna, przekupnie z Węglowego Targu, ludwisarze lejący dzwony za Starym Miastem na Dzwonnej Górze.

— Idą trzech morscy zbójcy — wołały wyrostki, biegnąc za nimi wielką gromadą. — Pokutujące piraty!

— Brat Anioł, Serafin, Cherubin — wzdychały pobożne niewiasty.

— Skąd u nich takie anielskie imiona? — dziwiły się córki patrycjuszki, pozierające z ganków i okien na trzy kaptury kwestarzy.

Zwarycze prosili ich, aby modlili się o wiatr od morza, przy którym najcieńsza solanka biła ze źródeł na Solnym Brzegu. Wdowy starały się za ich pośrednictwem wykupić zmarłych z czyścica. Kupcy — zwiększyć zysk z handlu. Furmani, którzy z głębi Polski przez celny most w Karlinie przyprowadzali karawany liczące po dwieście wozów ładownych zbożem, smołą, potasem, wierzyli, że ofiara na wieże zapewni im szczęśliwy powrót do rodzinnych domów.

Największe żniwo zbierali nasi pokutnicy na Wielkanoc, gdy solna gilda uroczyście zbierała się na ratuszu, a bracia-zwarycze badali kolejno warzelnicze panwie, czy zdatne są jeszcze do użytku. Zresztą cokolwiek działo się w Kołobrzegu, czy to ogłaszano jarmark ole-jowy, koński, dominikowy, czy urządzano procesję, którym dodawały wspaniałości brackie chorągwie, nabożne obrazy i wyjmowane z kolegiackiego skarbcza srebrne figury świętych, czy od zamku w Skanor wracała rybacka flota z połowu śledzi, nigdy w takich chwilach nie zabrakło nawoływania trzech mnichów świętego Antoniego:

*My, trzech bracia szarzy,  
w imię świętej Marzy  
chodzimy po kweście  
w tym tu zacnym mieście;  
zwarycze, machlerze,  
dajcie grosz na wieże,  
chciwością nie grzeszcie...*

Zazdrościli im jałmużnicy podmiejskich szpitali Św. Jurgi i Św. Ducha, których czółna uwijały się po rzece, aby zabierać z portu i solnej wyspy wióry, drzewo, łuby na opał dla ubo-gich szpitalników.

Również mniszki z konwentu panien benedyktynek zezem spoglądały na minorytów, gdyż odkąd ci się pojawili, wszyscy pielgrzymi woleli oglądać pokutujących pira-tów niż chustę, włosy i mleko Panny Marii czy kości warzelniczych patronów, przechowywane w kołobrzesckim klasztorze. A jednak oficjał nie był zadowolony z przynoszonych mu co tydzień kwest.

— Mało, mało — narzekał, kiedy wysypywali mu na stół w biskupim dworze uzbierane grosiwo. — Nie starczy na cegły, na robociznę dla murarzy. Lada dzień zejda z rusztowań. Nie doczekacie się chyba końca budowy trzech dzwonnicy! Nie dopełnicie ślubu pokuty.

Bardzo ich to martwiło. Ufali przecież, że z każdą cegłą położoną na zrębie wież bardziej zbliżają się do niebios. Nie chcieli zatrzymać się w pół drogi. Krzyżem leżeli w kolegiacie przed siedmioramiennym świecznikiem, takim samym, jaki miał stać w świątyni Salomona. Prosili niebo, aby pomogło im uporać się z ciężką pokutą, aż raz wieczorem przy skąpej wieczerzy we franciszkańskim przytułku na ulicy Łaziennej uzalił się zniechęcony brat Anioł Chudzina:

— Kradnąc, więcej srebrników zebrałem w jeden dzień niż miedziaków przez cały tydzień kwesty.

— Wysoko biją tu trzy solne źródła — westchnął Serafin Opas — ale źródła ludzkiego miłosierdzia ledwie ciurkają. Kołobrzeżanie skąpią nam srebra. Samą miedź od śniedzi zieleną rzucają do naszych skarbon.

— Powiadał mi ktoś, iż każdy bogacz złodziejem jest lub potomkiem złodzieja — huknął Cherubin Wielgosz. — Prawda to chyba, bo mnie onegdaj imć Bartoszewic, starszy solnej gildy, prosił, bym w jego zastępstwie odbył pąc pokutną do Świętej Krwi w Akwizgranie. Pożegluję więc zamiast nieuczciwego bogacza do tego miasta, a pieniądze otrzymane za pielgrzymkę złożę na budowę mojej wieży.

Od słowa do słowa postanowili wszyscy trzej rozejść się w różne strony świata, by szukać bardziej szczodrych ofiarodawców niż kołobrzeżanie. Oficjał pobłogosławił ich, ucałowali się po bratersku i rozstali, obiecując sobie:

— Za rok spotkamy się przy Kamiennej Bramie.

Każdy z nich pragnął zebrać jak najwięcej grosza, by jego wieża najwyższa była i najwspanialsza, by ją uwieńczył najwyższy szczyt,

spiczasty jak mnisi kaptur. Brat Serafin podążył ku wschodowi. W długiej wędrówce wychudł na wiór, szerniał z niewczasu, lecz kwestował wytrwale. Zamierzał mieć zawsze uszy otwarte na głos prawdy, wystrzegać się zbędnego gadulstwa, mocno stać na opoce sprawiedliwości. Czym wszakże skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci. Początkowo prosił potrząsając skarboną:

— Srebra chcę, nie miedzi zielonej od śniedzi...

Długo opierał się chęci, by brać sknerom podstępem to, czego nie chcieli ofiarować mu dobrowolnie. Trafiwszy wszakże na zamek biskupa Warmii, uległ pokusie. Z zamkowej ku-chni, gdzie się posilał wraz z czeladzią, skradł stołowe srebro. Od tej pory po nim ślad zaginął, chyba jednak poniósł surową karę za kradzież, bo gdy w długi czas potem przebudowano biskupią rezydencję, w zamurowanej niszy jednej z baszt odkryto ludzkie kości i... srebrną łyżeczkę.

Brat Cherubin, czyli Wielgosz, uzyskawszy w Akwizgranie świadectwo, że odbył naka-zaną pąć, wracał już morzem do kraju, gdy i jego spotkał zły los. Gniewny, iż podróżni, których obchodził ze skarboną, odwracają odeń głowy i tobołków jeno pilnują, jak psy kości, gwałtem postanowił ich zbawić. Zakradł się do kasztelu, rozbił kapitańską geldkistę, w której wędrowcy złożyli swoje pieniądze. Przyłapany na gorącym uczynku, przyparty przez okradzionych do burty, krzyknął:

— Com uczynił, dla waszego dobra uczyniłem był!

— Bodajesz skamieniał, jeśli to prawda — wrzasnęli napierając coraz mocniej.

Popchnięty przez któregoś z niewdzięczników, wpadł koło Helgolandu w Morze Północne i zamienił się w skałę wysoką, sterczącą u krańca granitowej wyspy, Mnichem do dziś nazywaną przez żeglarzy.

Jedynie brat Anioł cało wrócił z kwesty. Miech cały srebra i złota przydźwigał na plecach. I on, jak umiał, pomagał zatwardziałym skapcom, spotykanym w drodze, w zbawieniu własnych dusz, po szkole jednak, jaką ukończył za młodu w zaułku „Obejrz się”, nikomu z poszkodowanych nie udało się przyłapać go przy tej zbożnej pracy.

Wyczekał się Chudzina przed dwoma okrągłymi basztami Kamiennej Bramy na druhów. Daremnie ich wypatrywał. W końcu sam zaszedł do kolegiaty. Ogrzał w kruchcie zziębłe ręce nad płomieniem gorejącym na trójnogu, w narożu nawy pokłonił się

ogromnej figurze Jakuba-Wędrowca w olbrzymim kapeluszu i spojrzawszy w głąb prałackiego chóru, ku ołtarzowi, koło którego stało książęce krzesło oraz chrzcielnica z brązu na lwich łapach, zobaczył oficjała. Razem weszli do zakrystii.

— Dużoś zebrał, fratre? — zapytał ksiądz Pietrek.

Brat Anioł skłonił spiczasty kaptur, wysypał pękaty miech do stóp duchownego:

*Święta wiodła Marża  
chudzinę-kwestarza,  
poszedł ci ja, poszedł  
przez kolący oset,  
kraj przeszedłem wokół,  
nogim sobie pokłutł,  
ale rajum doszedł.*

Żył odtąd w cieniu kolegiaty. Pomagał murarzom nosić cegły i wapno po drabinach na wysokie rusztowania. Z radością patrzył, jak jego, środkowa, dzwonnica piętrzy się pod niebo, jak wznoszony na najwyższej z wież szpic miedziany sięga obłoków. Niższy był kaptur Cherubinowej dzwonnicy, wieżę zaś brata Serafina pokryto zwyczajną czapką z dachówek, gdyż blacharzy, którzy i ją zaczęli wieńczyć hełmem z miedzi, płoszył wicher dalekim echem głosu kwestarzy:

— Srebra chcę, nie miedzi zielonej od śniedzi!

Umarł Chudzina szczęśliwy, że dopełnił pokuty. Kołobrzeżanie pochowali go na farnym cmentarzu, a wizerunek brata Anioła w towarzystwie dwóch kamratów wymalowali w kolegiacie. Czczono pamięć kwestarzy-fundatorów. Tylko Bałtyk nie mógł się pogodzić, że pozwolono piratom wystawić sobie takie pomniki. Sztormami niszczył wieże, zrywał mie-dziane szpice...



## MORSKI KRUK

*Od czasów Noego,  
od początku świata,  
kruk bielszy niż śniegi  
nad morzami lata.  
Mądry zbieg z korabia,  
siwy mędrzec ptasi,  
widują go nieraz  
marynarze nasi.  
Jam także go widział,  
śnieżną leciał chmurką  
i tę mi baśń rzucił  
leciutko jak piórko.*

Kanonik Sztokfisz, medykus warmińskiej kapituły, zawsze w czerń odziany garbus z krzywym okiem, kruczym nosem i jednym wyższym ramieniem, był lekarzem starej daty.

— Gorzko, ale zdrowo — powtarzał pacjentom, którzy się krztusili przyrządzanymi przezeń driakwiami. — Im lek gorszy w smaku, tym skuteczniejszy w chorobie.

Strasznymi też karmił ich paskudztwami. W swojej kurii na Tumskiej Górze, w Północ-nej Baszcie, w komnacie okopconej niczym kuchnia czarownika cedził z piołunu, dzięgielu, czosnku, tataraku, gorzycy kwaśny ocet siedmiu złodziei. Tłukł w moździerz na proszek wężowe skóry, skorupy raków, ropuchy, wronie oczy. Topił bocianie sadło i kreci tłuszcz.

— Medycyna ze wszystkich sztuk jest najszlachetniejsza — mamrotał za Hipokratesem, warząc w alembikach cuchnące wywary, kręcąc gorzkie pigułki, mieszając obmierzłe maści.

Kiedy opuszczał warowne wzgórze i nachmurzony szedł przez miasteczko, aby na łągach, bagnach, smogorzach łowić pijawki, żaby, jaszczurki, jeże, padalce albo zbierać na rozdrożach zioła, potrzebne do wyrobu medykamentów, fromborczanie patrzeli z

trwogą w ślad za jego przygarbioną postacią.

— Nasz kanonikus i rewerendą, i obyczajami krukowaty — krzywili się mieszczanie i rybacy.

— Kruk trupa czuje, z wieży wylatuje, uciekajcie, dzieci, kruk leci, kruk leci — wołały dzieciaki rozbiegając się na widok medyka jak spłoszone ptactwo.

Jakiś marynarz, który we Fromborku leczył się z ran odniesionych w bitwie z korsarza-mi pod Rozewską Głową, uciekł ze szpitala na wieść, że kapitulny lekarz zamierza się nim zająć osobiście. Ucieczkę zaś swą tak tłumaczył:

*Kanonik Sztokfisz  
zna się na rzeczy,  
chorego człeka  
raz dwa wyleczy,  
takie mu poda  
cudowne leki,  
że go wyleczy  
zaraz... na wieki.*

Wiele jednak ludzi musiało, choć niechętnie, korzystać z pomocy ponurego kanonika. Drugiego lekarza nie było w okolicy, toteż z pieniędzmi w kiesach pukali do Sztokfiszowej kanonii. Płacili drogo za leki i modły, którymi łakomy na grosz medykus nękał bądź to świętego Błażeja i Dionizego, bądź też świętą Barbarę, Apolonię, Katarzynę, zależnie od tego, czy pacjenta bolała szyja lub głowa, czy dokuczała mu zimnica, zęby albo serce.

— Ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka — liczył co wieczora pieniądze w kowanej szkatule.

Przestało ich przybywać dopiero wtenczas, kiedy do Fromborka przyjechał z lidzbar-skiego zamku siostrzan zmarłego właśnie biskupa Łukasza. Doktor Kopernik, mąż w sile wieku, uczony, bywały w świecie, osiadł w czworobocznej wieży przy Zachodniej Bramie. Na wysokiej galerii ustawił astronomiczne przyrządy. Nocami patrzył w gwiazdy błyskające nad katedrą, nad miastem i Wiślanym Zalewem. I w dzień jednak miał oczy szeroko otwarte. Wi-dział ludzką niedolę. Nawet gdy podczas uroczystości przychodziło mu zasiąść obok dziekana, kantora i innych kanoników w stallach prałackiego chóru,

rozmyślał o ziemi, o bliźnich cierpiących niedostatek i choroby: „Jak pomóc braciom?”

Rozmyślenia te rychło wydały owoce. Nowo poszerzony Rów połączył miasto z rzeką Bałdą. Zbudowano śluzę. Koło portu zmurowano wieżę z misternym kołem, które zmuszało wodę, by płynęła wzwyż, zdrojami gaszącymi pragnienie tryskała ze studzien na podwórzach mieszczan, na rynku, na dziedzińcu tumskiej twierdzy. Starał się też mądry doktor o polepszenie monety fałszowanej przez Krzyżaków. Przystępny dla każdego, rybakom rysował gmerki na wzór gwiazdnych konstelacji Wagi, myśliwca-Oriona, Wielkiego Wozu, ubogim rozdawał szczodłą jałmużnę, do chorych śpieszył na pierwsze wezwanie. Pochylał się nad ich posłaniami. Nie żądając zapłaty, podawał im lekarstwa z tegoż wina, białego cukru, zamorskich korzeni. Pokochali go fromborzanie. Nowa piosenka zrodziła się z ludzkiej wdzięczności, z serdecznego przywiązania:

*Dwaj są lekarze  
w naszym Fromborku,  
ten gwiazdy liczy,  
ów — złoto w worku,  
milszy nam młody  
niżli ten stary,  
co od serc naszych  
woli talary.*

Chmurzył się zgryźliwy Sztokfisz. Złościł się na młodszego konfratra, który nie lubił stroić się w fałszywą dostojność. W pasji machał szerokimi rękawami rewerendy. Jak czarno-skrzydły kruk biegał po komnacie. Kopał cizmami tygły, moździerze, retorty.

— Odkąd szlachetna pani Gertruda — prychał — wdowa po pruskim kunigasie, której wizerunek umieszczono we fromborskim herbie, przyjąwszy chrzest darowała te ziemie biskupowi Warmii, nie było tutaj lepszego ode mnie lekarza. A teraz ten obieżyświat, ten ryzyk-fyzyk we wzgardzie mający prawdziwą naukę, w cień mnie zepchnął.

Nikt już nie pukał do jego kurii. Nikt nie prosił o driakwie. Nikt nie dawał na msze, nie żądał puszczania krwi, postawienia baniek, lewatywy. Natomiast do Zachodniej Bramy wciąż się tłumnie dobijali

kalecy o kulach, półślepcy z bielmami na oczach, chłopki z chorymi niemowlętami na rękach, wołając i prosząc:

— Puśćcie nas do tego doktora, co gwiazdy rachuje.

Nie mógł tego garbus spokojnie słuchać. Zaczął śledzić uczonego. Patrzył z ukrycia, jak tamten zimą sypie ziarno wygłodniałemu ptactwu przed rzeźbionym portalem katedry, jak latem rozstawia na drewnianym ganku jodłowe astrolabium, jak cyrklem kreśli koła na wie-lkich arkuszach, dłonią oczy znużone przeciera.

W burzliwe noce, kiedy na Zalewie rosła fala krótka a wysoka, gdy wiatr świstał w zaroślach i drzewach kapitulnych ogrodów, nie mógł zasnąć, póki w oknie Kopernikowskiej kanonii płonęło złote światło. Pragnął wykraść mu papiery pokryte notatkami i rysunkami. Patrzył nań w katedrze i podczas obrad kapituły. Jakże się ucieszył, kiedy usłyszał wierszyk jakiegoś zawistnego mędrka-bakałarza z farnej szkoły:

*Nasz gwiaździarz twierdzi,  
jak rybak w łodzi,  
że słońce stoi,  
a ziemia chodzi;  
i opój myśli  
tak samo, synku,  
kiedy się kołem  
toczy po rynku.*

Mimo to dalej chodził śladem doktora. Słuchał, o czym rozprawia z marynarzami przed rynkową gospodą, z żebrakami u drzwi fary, z rybakami pod Wodną Wieżą we fromborskiej przystani, skąd niekiedy wybierał się z nimi na połów.

— Kto z kim przestaje, takim się staje — zacinał zawistnik wąskie usta. — Od nich się pono dowiedział tej osobliwej prawdy, iż słońce w miejscu trwa, a ziemia się porusza. Jeśli nadal zamiast nad księgami ślęczyć, będzie się kumał z prostakami, całkiem mu się rozum w głowie pomiesza.

Wcale się jednak na to nie zanosilo. Na odwrót: sam biskup w chorobie prosił o poradę fromborskiego gwiaździarza. Sztokfisz nie przestał więc szukać tajemnicy powodzenia dokto-ra.

— Może czartu zapisał ten głupiec duszę? — zastanawiał się

całymi godzinami. — A może czarami sprawia, że ludzie lgną doń jak muchy do miodu?

Kiedyś spotkał Kopernika w dolinie bystrej Bałdy, u podnóża Elbląskiej Wyżyny; lekarz klęczał pod gałęzistym drzewem, na którym rajcował wielki sejm ptasi. W dłoniach trzymał wystraszonego szpaczka. Kiedy indziej ujrzał go nad brzegiem Zalewu: gwiazdziarz tym razem stał zapatrzony w błękitne rozlewiska, w żaglowe płachty rybackich barkasów, za którymi ciągnęły z krzykiem stada mew, w złotogranatową smugę Mierzei Wiślanej. W dłoni trzymał konwalię, srebrną jeszcze od porannej rosy.

— Symbol medycznej sztuki — warknął medykus. — Zdaje mi się, że wszystkie pojadł rozumy, że jest szpakami karmiony.

I ledwie to drżącymi ze złości wargami wyszeptał, oświeciła go jak błyskawica myśl zgoła szalona:

— Szpakami karmiony... Wtedy nad Bałdą podnosił przecież w dłoniach szpaka!

Pewny, że nareszcie zdołał odkryć tajemnicę Kopernika, tego jeszcze dnia o zmierzchu, jak ptasznik, zastawił w swoim ogrodzie pod Tumską Górą sidła na szpaki. Zamierzał uwa-rzyć z nich filozoficzny olej, by zażywając go trzy razy na dzień prześcignąć wkrótce mądro-ścią i umiejętnościami młodszego kanonika. Nienawidził go z całego serca. Przysiadł fałdów nad księgami, ale długo nie wysiedział przy pulpicie. Podszedł do okna. Huczał za nim sztorm, krzyczał nocny ptak.

— Cóż oznaczać może to krakanie? — zaniepokoił się zabobonny kanonikus.

Pochylił się nad rękopisem wyciągniętym ze sterty szpargałów.

„Kruk — znalazł zdanie, którego szukał — niepogodę zapowiada kracząc z rana i wie-czora, a pogodę, gdy siedząc na drzewie skrzydła ku słońcu rozciąga”.

Wczesnym rankiem wyszedł z Północnej Baszty. Sztorm uspokoił się, lecz fale mulistej wody przewalały się jeszcze na Zalewie aż po siną smugę wydm i borów mierzei.

— Kruk milczy, pogoda będzie — zatarł ręce, ale pchnąwszy furtę ogrodu znów, jak w nocy, usłyszał krakanie.

Przymrużył powieki, przetarł, uniósł i rozejrzał się wkoło.

— Cóż to za dziwo? — zdumiał się niesłychanie. — Wiem, bo czytałem w uczonych księgach, że proste motowidło, krzywe

wrzeciono, czarny łabędź, biały kruk być na świecie nie może!

Nie wierzył oczom. W sidle zastawionym wczoraj pośród gałęzi jabłoni siedział siwy ptak ze spłowiałym, zielonawym czubem na głowie. Popatrzał na Sztokfiszę mądrymi ślepiami, przemówił z drzewa skrzeczącym, ale ludzkim głosem:

*Kruk jestem morski,  
kruk jestem biały,  
kruk z Siedmiu Mędrców  
zamorskiej Skały,  
co nocy w niebie  
świecę nad wami,  
mrugam spod Wagi  
siedmiu gwiazdami,  
gwiazdami siedmiu  
sztuk wyzwolonych,  
ja — kruk Noego,  
ja — kruk uczony.*

Kanonikus nie zwlekając wyciągnął ramię, by skrócić mu łeb. Uczony ptaszek! Biały morski kruk! Pomyślał, że trafia mu się nie lada gratka: z tego ptaka przedniejsze jeszcze niż ze szpaków będzie mógł uwarzyć oleum filosoforum! Byle jeno nie wymknął się w ostatniej chwili z pułapki.

— Zamierzasz postąpić jak pięć głupich panien wyrzeźbionych na portalu waszego tumu — odgadł kruk złą myśl starego medyka. — Pożyczanym światłem chcesz świecić, nie pomnąc, iż za darmo nikt nie da ci oliwy do twej pustej lampki! Kupić go musisz.

— Jakim sposobem? — zapytał kanonikus.

— Zwróć mi wolność.

— Niegłupim!

— W zamian dam ci trzy rady więcej warte niż całe złoto Tuluzy.

Oszołomiony tym, że ptak i o złocie z Tuluzy słyszał, Sztokfisz zgodził się na warunki. Na palce się wspiął. Wypuścił z siatki ptaszniczej skrzydlatego więźnia i krzyknął:

— No, powiadaj teraz, cóż to za rady?

Kruk zerwał się z gałęzi.

— Po pierwsze: nie trap się nigdy o to, co się stało i odstać nie

może. Po drugie: nie požądaj tego, co dla ciebie nieosiągalne. Po trzecie: nie wierz w to, co niemożliwe!

— To wszystko? — burknął rozczarowany kanonikus.

Zaśmiał się ptak krakliwie:

*Oto nauka  
morskiego kruka,  
pojmie ją każdy  
okrom nieuka,  
nieuka, co się  
nadyma z dumy,  
tuszając, że wszystkie  
pojadł rozumy!*

Medyk poczerwieniał, machnął czarnymi rękawami.

— Z czego się śmiejesz?

— Z twojej głupoty. Mniemałeś, pyszny człowieku, że przenosisz rozumem wszystkie stworzenia, a jam wywiódł cię w pole. Gdybyś się okazał mądrzejszy i nie wypuścił mnie z pułapki, bogaczem byś się stał nad bogacze.

— Jak to?

— Ano tak, iż w żołądku perłę mam cudnego blasku, wielkości strusiego jaja...

„Złego kruka złe jaja — rozzłościł się w duchu chciwiec. — Zapomniałem, że kruk upatrzywszy sobie kogo na łup, wpierw mu oczy wydziobuje. Ślepym był, alem teraz prze-widział. Dostanę cię jeszcze w me ręce, zły ptaszku”.

Uśmiechnął się fałszywie.

— Nie zazdroszczę ci tego klejnotu, bo i na cóż przyda ci się ta perła? Zima nadejdzie niebawem. Zamarznie Zalew, Bałda, Rów. Śnieg okryje pola. Zginiesz, niebożatko, z głodu lub chłodu. Dałeś mi trzy rady. Ja z wdzięczności dam ci jedną: skorzystaj z mej gościny. U mnie w kurii niczego ci nie zabraknie. Kłatkę twą przy piecu zawieszę. Szczodrze będę cię karmić i poić. Miła to doprawdy rzecz żyć sobie w cieple, bezpieczeństwie, błogiej sytości...

Dalszy ciąg mądry kruk śmiechem zagłuszył:

*Dosyć już tego,  
skończ te pogwarki.*

*Okpić chcesz kruka  
z biblijnej arki?  
Nikt nie oszuka  
morskiego kruka  
i tobie się ta  
nie uda sztuka!*

Oburzył się Sztokfisz, nierad, że podstęp jego natychmiast wykryto. Zaprzeczył podejrzeniom:

— Źle mnie sądzisz, kochany ptaszku. Dobre miałem zamiary wobec ciebie.

Ale ptasi mędrzec nie dał się zwieść:

*Na nic się zdadzą  
chytre twe kruczki,  
małoś skorzystał  
z mojej nauczki,  
na próżno knujesz  
przemysłne zdrady,  
widzę, że poszły  
w las moje rady.*

A widząc, że medykus nic z jego szyderczych słów nie rozumie, tak je wytłumaczył:

— Radziłem ci, byś się nie trapił tym, co się stało i odstać nie może, a jednak martwisz się, żeś mi lekkomyślnie zwrócił swobodę. Rzekłem: nie pożądaj tego, co nieosiągalne, a żądasz, abym dobrowolnie dał sobie ukrećić głowę. Ostrzegłem: nie wierz w to, co niemożliwe. I cóż? Uwierzyłeś, iż noszę w żołądku ogromną perłę, chociaż widzisz na własne oczy, że sam mniejszy jestem od strusiego jaja.

— Nie masz tedy perły?

— Mam, lecz niewidzialną dla ciebie i nieuchwytną. Nazywa się ona... Ale odgadłeś już chyba jej imię?

Słońce weszło nad Zalewem. Rozjarzyło złotobrazowe wody, szybki w gotyckich oknach katedry, domów, kurii wieżastych. Kanonikus chustą otarł spocone czoło. Głową pokręcił całkiem oszołomiony tym, co usłyszał dzisiejszego rana.



— Nie, nie znam jej miana.

— Mądrość — zawołał kruk i odleciał z ogrodu prosto ku wieży przy Zachodniej Bra-mie w narożu pięcioboku warowni, wieńczącej Tumską Górę.

„Diabelskie ptaszysko — przeżegnał się Sztokfisz. — Z arki Noego pewnie prosto do piekieł poleciał. Omyliłem się! To nie rybacy, to on podszeptuje naszemu gwiazdziarzowi bluźniercze myśli, iż słońce stoi. Zgiń, przepadnij, piekielniku, razem z twym uczniem — przeklętym doktorem! Bodaj o was pamięć zaginęła”.

Nie spełniła się klątwa zawistnika. To o nim zapomniano z kretesem. Dobrego zaś do-ktora lud Warmii, Czerwonej Ziemi, tyle razy krwawiącej podczas najazdów, wojen, niewoli, zachował we wdzięcznej pamięci. Chociaż dawno zmarł, choć prochy jego, wyrzucone z gro-bu przez Szwedów, rozwiał morski wiatr, widywano cień gwiazdziarza na ganku starej wieży.

— Wypatruje gwiazd prawdy — szeptano. — Sprawiedliwej prawdy.

I taki też jest koniec tej baśni:

*Nocą, gdy gwiazdy  
nad Warmią płoną,  
cieniem na wieży  
staje astronom  
i oczy w niebo  
wznosi z uwagą  
tam, gdzie Kruk świeci  
pod gwiazdną Wagą.*

## TAŃCZĄCY DIABEŁ Z ŁEBSKICH WYDM

*Tutaj stała dumna Łeba,  
biały piasek ją pogrzebał,  
piasek ją pogrzebał siny  
za Czerwonej grzech Reiny.  
Miasto całun spowił bieli,  
przepadł rynek, zmiłły dzwony,  
gród w piaszczystej znikł topieli  
za Reiny grzech Czerwonej.*

Kto raz zawędrował w okolice ujścia Łeby, nigdy już nie zapomni tego skrawka wy-brzeża. Niektórzy nazywają go Błękitnym Krajem, w pogodne bowiem południa słońce kładzie smugi błękitu na oślepiającą biel wydm, po których tu i ówdzie długimi rozłogami pełza-ją kępy piaskowej turzycy, gdzie żółci się lnica, złoci kwiat jastrzębca. Pod wieczór jednak radosny lazur przeistacza się w kir, z księżycowych zaś kraterów, z sinych, wydmowych fal, z których kikuty sosen sterczą jak czerwone ramiona topielców, zrywa się przy suszy i lekkiej bryzie posepny chorał. Płynie od wydmuchów niesamowite zawodzenie tysięcy niewidzialnych ust. Błękitna Kraina staje się zamarłym światem. Zmienia się w krajobraz śmierci prze-

jmujący smutkiem, jak skarga mew, srebrzystych żółtonózek, które trzepocąc ciemnobruna-tnymi skrzydłami kołują o świcie i krzyczą nad garbami piaszczystych mogił:

— Tutaj dumna stała Łeba, biały piasek ją pogrzebał, piasek ją pogrzebał siny...

Miotają się między niebem, ziemią i morzem, w trzepocie piór, w ptasim skwirzeniu. Ochryple, z uporem intonują morski psalm żałobny, przenikający ludzkie serca złym przecuciem. Odprawiają nadbałtyckie egzekwie, póki nie spłoszy ich wiatr, który nieraz powstaje tutaj przy całkiem spokojnym powietrzu, a tak jest gwałtowny, że skoro tylko zacznie wirować w śnieżnym dymie i siwej kurzawie, nic oprzeć mu się nie może. Przygina do ziemi pokrzywione sosny, porywa z zoloju kawały drewna wyrzuconego przez fale sztormu, zmusza do ucieczki mewie stada. Pierzchają przed nim w popłochu, jak przed burzą. Lecą ścigane złośliwym chichotem wichrzyska, triumfalnym pianiem kogucim, szyderczym głosem czarta wirującego w piekielnym tańcu i krztuszącego się od śmiechu:

*Precz, precz, precz! Fora  
z moich pustkowi,  
nikt się tu na nich  
nie zadomowi,  
nikt nie osiadzie,  
nikt nie zamieszka  
na lotnych wydmach  
Krącka-Krąceszka...*

Krąck-Krąceszek, wichrzysty diabeł, od dawna gnieździł się w tych stronach. Nie zawsze jednak był tak butny, jak dzisiaj. Przed wiekami, kiedy u ujścia Łeby, znajdującego się wówczas dalej na zachód niż obecnie, mieszkali rybacy białych mniszek ze słupskiego klasztoru i łowili dla swych pań czterema łodziami na Bałtyku, a dwoma niewodami na Łebskim Jeziorze, z rzadka zdarzało się go ujrzeć. Gormistrz Czołpa zobaczył Krącka dzięki temu tylko, że, tak jak mu poradził spowiednik zakonnic ze Słupska, usłyszawszy diabelski śmiech, schronił się pod strzechę najbliższej chałupy, zdarł kabat i spojrzał przez lewy rękaw.

— Ukazuje się w postaci czerwonego koguta — opowiadał potem

druhom i białkom. — Kręci się, jak opętany, pazurami rozrzuca dokoła siebie kurz i piasek. Skoro wszakże poczuje, iż ktoś go śledzi, zaraz się kurczy i cały zagrzebuje w strąd. Strachliwy zeń bies! Sprawiedli-wi ludzie, co czyste serca i ręce mają, spokojnie mogą żyć przy takim sąsiedzie.

Prawdę mówił stary Czołpa. Wszystko się jednak zmieniło, gdy gdański komtur Wil-helm założył między jeziorami Łebskim i Sarbskim miasto, w którego herbie umieszczono morświna z krzyżem na grzbiecie. Zbudowano na Łebie port, wytyczono ulice, place pod składy i spichlerze, czworokąt rynku. Na miejscu drewnianych chat rybaków, wyrugowanych na przedmieście, wzniesiono ratusz, farę pod wezwaniem Św. Mikołaja, kamienice bogatych żeglarzy i kupców. W szesnastym stuleciu najpiękniejszy z tych domów należał do wdowy po Bałdrzychu Judaszku, najzamożniejszym z łebskich handlarzy drzewa, popiołu i smoły. Sam burmistrz, Janta Mytko, nie mógł się z nim równać, takie stosy masztowych sosen, bali na stępki, klepek na poszycie burt piętrzyło się w jego portowej składnicy, tyle skrzyń rozmaitych towarów zalegało jego spichrze, tyle beczek złota stało w piwnicy jego domu, nad które-go drzwiami wykuto w granicie kupiecki gmerk: siekierę wbitą w pień ściętego drzewa. Ubodzy przedmieszczanie ułożyli o tym kamiennym godle zjadliwą śpiewkę:

*Katem był lasów  
Bałdrzych-Przechera,  
stąd w jego herbie  
pień i siekiera.*

W jeszcze gorszej pamięci mieli kupca z łebskiego rynku woźnice, których za życia oszukiwał przy każdej sposobności, i drwale nielitościwie wyzyskiwani, przez wiele lat pracujący u niego za marny grosz. Przewali go Judaszkiem. Opowiadali, że z chciwości zapisał się Krąckowi-Krąceszkowi, że grzeszna dusza jego zmieniła się po śmierci w trzyszczą, dra-pieżnego owada, że w tej postaci tuła się po nadbrzeżnych piachach, spłoszony przez człowieka rozwija skrzydła, przelatuje kilkadziesiąt stóp i opada bezsilnie pod brzemieniem win na gorący strąd.

Złe wieści o nieboszczyku dochodziły uszu wdowy Reški Judaszkowej, ale zbywała je z pogardą wzruszeniem ramion.

Wiedziała, że Reśka, czyli Reina, znaczy po łacinie „Królo-wa”, i rozsadzała ją też iście królewska pycha. Ubierała się niczym prawdziwa monarchini w purpurowe szaty. Rada z tego, że w mieście poczęto ją zwać „Czerwoną Reina”, urządziła huczne biesiady, podczas których przygrywała miejska kapela, jarzyły się świece w lichta-rzach i mosiężnych pajakach, a służba nosiła z kuchni pieczone pawie, combry jelenie, mar-cypany, najprzedniejsze trunki. Nie szczydziła pieniędzy na zbytki, dłużnicy jednak daremnie prosili ją o litość, żebracy zaś o jałmużnę. Niemiłosierna, jak jej zmarły małżonek, odprawiała jednych i drugich od swoich drzwi z niczym. Szyper Giedko Czołpa, potomek gormistrza bia-łych mniszek słujskich, od lat wiernie służący rodowi Reśki, współczuł biedakom, próbował niejednokrotnie wstawić się za nimi u swej pani, powtarzał to, co ludzie w przystani mówią o niej i jej mężu. Ostrzegał, że pono już i mewy zrywają się na jej widok z rej korabi zako-twiczonych w przystani i krzyczą: „Biada Łebie, dumnej Łebie, Judaszowa grób jej grzebie”.

Śmiała się zrazu, potem jednak ogarnął ją gniew. Ujęła się pod boki, tupnęła bogatą ciżemką, poczerwieniła ze złości, tak że trudno było odgadnąć, gdzie kończy się jej purpuro-wa suknia, a zaczynają liczka, wrzasnęła zapalczywie:

*Pierwej dzwon od fary w Łebie  
sam na trwogę nam zadzwoni,  
ryba wpierw zagości w niebie,  
a ptak lotny w morza toni,  
nim ja, którą zwą Królową,  
najmożniejsza w świecie pani,  
wiarę głupim twym dam słowom  
i skrzeczeniu mew w przystani.*

Najbardziej dotknęło ją to, że Judaszkową została nazwana w tej plotce. Dlatego posta-nowiła wyryć w pamięci biedoty miano, jakim obdarzono ją w mieście, i największy ze swych okrętów nazwała *Czerwoną Królową*. Na tej właśnie kodze wysyłała Giedka do zamorskich krajów, by tam sprzedawał maszty, klepki, belki, tarcice, beczki smoły i popiołu. Padały pod toporami drwali pomorskie lasy. Piach coraz głębiej wdzierał się w ład, zagarniał poręby, karczowiska,

wykroty.

Z niepokojem patrzyli na to ludzie z przedmieścia, ubodzy rybitwowie, rzemieślnicy, mieszkarze. Troskał się tym ksiądz Pomuchel, proboszcz od łebskiej fary Św. Mikołaja. Kupcy wszakże licząc napływające zza mórz guldeny, radowali się z rosnących bogactw. Pili, jedli, płaśali całe noce do upadłego. Rej wodziła w tych zabawach Czerwona Reśka. Co dzień, gdy tylko zapadał zmierzch, okna jej ceglanej kamienicy rozjarzały się światłem rześi-stym. Z drzwi zaś buchała wrzawa, brzęk pucharów, tupot kroków, dźwięki miedzianych trąb i francuskich skrzypiec. W komnatach, oświetlonych dziesiątkami lanych świec, błyskały zło-te łańcuchy, zausznice, klejnoty pierścieni. Reina Bałdrzychowa częstowała rajców i rajczy-nie, wznosiła zdrowie burmistrza Janty, płaśała w pierwszej parze, śpiewała przy wtórze kapeli:

*Stokroć lepiej niżli w niebie,  
tam gdzie blade świecą gwiazdy,  
żyją sobie w dumnej Łebie,  
wie łebianin o tym każdy,  
każda o tym wie łebianka,  
że w Czerwonej Kamienicy  
od wieczora do poranka  
biesiadują biesiadnicy,  
że stół zawsze się ugina  
pod srebrnymi misy, dzbany,  
strugą płyną miody, wina,  
strojne pary chodzą w tany,  
nikt nie troska się, nie płacze,  
każdy hucznie się weseli,  
a skrzypkowie i trębacze  
grają słodko jak anieli.*

Czasami zataczających się gości odprowadzali przed świtem do domów miejscy stróże z halabardami i płonącymi latarniami. Czasem dopiero farny dzwon, wzywający w niedzielę na mszę i kazanie mieszkańców nadmorskiego miasta, kończył biesiadę i płaśy w Czerwonej Kamienicy. Ksiądz Pomuchel nie szczędził swym bogatym parafianom przestróg i nagan. Co tydzień wołał z kazalnicy:

— Siedem grzechów głównych zamieszkało przy rynku naszego miasta. Siedem grzechów głównych stanęło kwaterą na ratuszu, u burmistrza, w domu miejskiej wagi, w Czerwonej Kamienicy. Zło, jak chwast, się rozpleniło pośród was. Opamiętajcież się, póki czas. Pomnijcie, iż łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne niż bogaczowi grzesznemu dostać się do raj. Piekło was pochłonie.

— Gadaj, klecho, zdrów — mrucał na to burmistrz Janta Mytko pod sumiastym wąsem.

— Piekłem grozi nam, byśmy guldenów mu nie poskapili na ofiarę — potakiwali rajcowie i kupcowie. — Wiemy, co w trawie piszczy. Wiemy, że każdy paroch rad sobie z piekła dojną krowę czyni.

A Reśka uśmiechała się jeno z pychą i ledwie wyszła po nabożeństwie z kościelnej kruchty, zaraz zaczynała starą swoją śpiewkę, dobrze znaną w całym mieście:

*Pierwej dzwon od fary w Łebie  
sam na trwogę nam zadzwoni,  
ryba wpierw zagości w niebie,  
a ptak lotny w morza toni.  
nim królowa Purpurowa,  
najmożniejsza w świecie pani,  
złęknie się pustego słowa,  
którym nas ten klecha gani.*

Żaden z bogaczy nie okazał skruchy i nie porzucił zbytków nawet wtedy, gdy na Pomorzcu zapanował wielki głód. Rola nie wydała plonu, rybacy wyciągali z morza, jezior i rzek puste sieci, stanęły śmigie wiatraków i młyńskie koła, bo nikt nie prosił młynarzy o zmielenie ziarna. Zaroiły się gościńce tłumami żebraków wychudłych i bladych jak kościotrupy. Zbiera-no szczawie w przydrożnych rowach, łapano w sidła mewy i wrony, byle mieć co włożyć w garnek, by oszukać głód. Chodziły wieści, iż w niektórych okolicach półzywi głodomorzy odcinali wisielców z szubienic lub mordowali się nawzajem, żeby samemu utrzymać się przy życiu.

W tym surowym czasie szyper Giedko miał popłynąć z drzewem załadowanym na *Czerwoną Królową* do dalekiego portu w cudzoziemskim królestwie, nie dotkniętym jeszcze przez straszliwą

kłeskę, zaludniającą cmentarze i pustoszącą miasta innych krajów. Zanim kazał marynarzom zdjąć cumy z palów przystani, podnieść kotwice i whisować żagle, spytał swej pani:

— Co przywieźć mam w zamian za wasze towary?

— To, co zobaczysz tam w świecie najcenniejszego — odparła Reśka Bałdrzychowa. — Skarb nad wszystkie inne droższy i najbardziej przez ludzi pożądany.

Czołpa zatarł dłonie, skłonił się żeglarską czapką.

— Uczynię, jak sobie życzycie — obiecał i prosto z Czerwonej Kamienicy pośpieszył do przystani, by natychmiast opuścić ujście rzeki, pożegłować morskimi szlaki za Bałtyk, za gardziel Sundu, za Północne Morze.

Żegnały go mewy trzepocące nad miastem szaroniebieskimi i ciemnobrunatnymi skrzydłami, grożące skwirem zachłannym kupcom i najbogatszej z łebianek:

*Biada Łebie, dumnej Łebie,  
Judaszkowa grób jej grzebie,  
dzień w dzień grzebie grób grabarka,  
aż się raz przebierze miarka,  
Krąck-Krąceszek w bryzie rzeńskiej  
wznięci wir na białych wydmach  
i na gród Czerwonej Reśki  
ruszą szturmem sine widma...*

Znikła za widnokregiem żaglowa koga zdobna herbami Łeby: morświnami i czarnymi krzyżami na srebrnoniebieskich tarczach, lecz nie ucichł mewi skwir. Rozdzierał niebo nad masztami statków, dachami spichrzów i kamienic, chorągiewką farnej dzwonnicy, wdzierał się do gospód, ratusza, domów. Aby go zagłuszyć, Reina Bałdrzychowa i łebscy kupcy poganiali wynędzniałych drwali, tnących las nad Gardną i Łebkiem. Od świtu do nocy stukotały topory, rozlegał się łomot padających drzew.

— Prędej, prędzej. Nie lenić się. Kto w robocie ustanie, ten rychło z głodu zdechnie — wrzeszczeli chciwcy, głusi na jękliwą, słabnącą śpiewkę najemników utrudzonych do siódme-go potu.

*Wala się drzewa, biją topory,*



*wiatr dmie od morza, nadciąga zima,  
każdy drwał głodny, każdy drwał chory,  
ledwie siekiery trzon w garściach trzyma,  
a przecie bór tnie w śmiertelnym trudzie,  
którym się dumna bogaci Łeba.  
Padają drzewa, padają ludzie,  
życiem kęs płacąc czarnego chleba.*

Śmierć zbierała coraz obfitsze żniwo. Coraz częściej rozbrzmiewał dzwon żałoby na Wieży Św. Mikołaja i pogrzebowe pieśni, intonowane przez księdza Pomuchła nad świeżymi mogiłami. Przybywało na cmentarzu krzyży nagrobnych, przybywało na przedmieściu chat i domostw zabitych na głucho, jako że wszyscy ich mieszkańcy powymierali. Cóż to jednak obchodziło Reškę Bałdrzychową! Jej nie brakło niczego. Ucztowała jak dawniej, niepokoiła ją zaś jedna tylko myśl. Chodząc po komnatach szeptała wciąż:

— Co też szyper Giedko Czołpa przywiezie mi zza mórz ?

Śniły się jej po nocach skrzynie pełne diamentów, rubinów, szmaragdów, korony złote i diademy usiane perłami, misterne naszyjniki, zausznicze, bransolety, potrójne łańcuchy z wi-siorkami błyskającymi jak gwiazdy. Niecierpliwość jej rosła z każdym upływającym dniem. Nie mogła się doczekać chwili powrotu *Czerwonej Królowej*. Kiedy późną jesienią dano jej znać, że wyczekiwana koga stanęła na łebskiej redzie, pośpieszyła do portu, czółnem kazała wieźć się ku okrętowi. Ledwie weszła na pokład, zaraz pytać zaczęła:

— Coś przywiózł, Giedko?

Szyper poglądził żeglarską brodę.

— Postąpiłem według waszej woli.

— Kupiłeś mi to, co na świecie najcenniejsze?

— Obaczcie sami!

Myślała, że poprowadzi ją do kasztelu, on jednak skinął na żeglarzy:

— Otwierać ładownię!

Rzucili się marynarze wykonać rozkaz. Podnieśli pokrywy. Reina zajrzała pod pokład. Nie było tam, jak oczekiwała, żelaznych skrzyń ani beczek okutych tęgimi obręczami. Cały kadłub wypełniały pękate

miechy, ułożone jedne na drugich.

— Zamorskie korzenie? — próbowała odgadnąć bogata mieszcza. — Pieprz, imbir, cynamon? Czy może złoty piach z Czarnego Łądu?

— Nie — odparł Czołpa. — Poleciliście mi przecież kupić skarb najdroższy na świecie. Cóż zaś dzisiaj, w czarnym roku głodowym, cenniejsze jest dla ludzi niżli ziarno? Złote ziarno, które można zamienić w powszedni chleb, by nakarmić zgłodniałych, uratować od śmierci rzesze ubogich, zaskarbić sobie wdzięcz...

— Ziarno? — przerwała tupiąc ciżmą w niepohamowanej wściekłości. — Ziarno dla biedoty przywiozłeś, zły służebniku, zamiast klejnotów dla mnie, swojej pani? Zapłacisz mi za to. Wždy pierwej pokrzyżuję twe zamiary. Karmić głodnych — też mi godny zamysł! Precz z tym ładunkiem! Precz, za burtę! Wyrzucicie natychmiast wszystkie miechy w morze! Dalej do roboty! Na co czekacie? Na ceklarzy miejskich, którzy was za sprzeciwianie się mej woli do ratusznego powłoką lochu? Jegomość burmistrz Mytko nie zwykł igrać z buntowni-kami.

Przestraszyli się okrętnicy. Ociągając się, schodzili do ładowni, brali na barki miech po miechu, nieśli wory szeregiem ku burcie. Sypały się złote strugi w zieloną toń. Pieniała się woda, bulgotała gniewnie. Wiatr zadał od wydm. Z czarnych krzyży rej, pod którymi białały zwinięte żagle, zerwały się mewy. Ptasi obłok skłębił się, roztrzepotał, zaskwirzył przejmują-co:

*Biada, biada Łebie dumnej,  
bo pogrzebią ją bez trumny,  
wykopała grób grabarka,  
pychy się przebrała miarka,  
w piasek się zamienia ziarno  
i zamula ujście rzeki,  
kara idzie chmurą czarną,  
bo dzień sądu niedaleki...*

Sprawdziła się ta przepowiednia. Nadszedł dzień sądu. Zatoka u ujścia rzeki zamuliła się, zmieniła w bagno odcinające port od morza. Łeba wyłobiła sobie nowe koryto, z daleka omijając grzeszne miasto. Krąck-Krąceszek pojawił się na wybrzeżu. Już nie tylko przez lewy

rękaw kabata, jak to ongi udało się klasztornemu gormistrzowi Czołpie, ale gołym okiem można było ujrzeć czerwonego koguta, kręcącego się w opętanym tańcu, rozgrzebującego pazurami piach i kurzawę. Nie krył się, nie wkręcał pierzastym świdrem w drobnoziarniste margle, choć cały gród śledził jego obroty. Piał ochryple, chichotał, szydził bezlitośnie, złowieszczo. Wzniecał żółte wiry, kręcił z piasku bicze, chłostał nimi i budził uspięone wydmy:

*Niebo się zniżyło chmurne,  
morze wzdęło się grzywiasto.  
Nuże, wydmy! Weźmy szturmem  
dumną Łebę, grzeszne miasto.  
Niech powieje całun bieli,  
niech zadzwonią fanie dzwony,  
niechaj zniknie gród w topieli  
za Reiny grzech Czerwonej.*

Potęźniał wicher z miesiąca na miesiąc. Wydmy wyszczerzyły wilcze kły, wysunęły białe jęzory. Od Gardna, od Łebska ruszyły lasem, przeredzonym toporami drwali Bałdrzycha, Reški i Janty, sunęły porębami przez pieńki zmurszałe, przez węzowe wykroty, przez kępy fioletowych wrzosów. Zagroziły miastu, któremu na wieży kościoła stojącego pośrodku rynku dzwony dzwoniły same, poruszane nie rękami dzwonników, lecz wichrzystą dłonią zawiei.

Popłoch padł na Łebę, gdy piach jął zasypywać pierwsze chaty i domy, przewaliwszy się nad wyschlým łóżyskiem rzeki.

Jedni modlili się w farze, błagając świętego Mikołaja, patrona nadłębskiego portu, o ratunek, odwrócenie klęski, zatamowanie piaszczystej powodzi, niosącej zagładę. Inni pakowali dobytek na wozy i opuszczali miasto. Bogacze przenosili się do Słupska, Lęborka, Gdańska, ubodzy na wschód, za nowe koryto Łeby, gdzie Giedko Czołpa, odprawiony przez Reinę, założył rybacką gospodę.

Pustoszały kamienice, kramy, warsztaty, checze. Uciekali grajkowie, kupcy, rzemieślnicy.

A Reina? Żal jej było opuścić Czerwoną Kamienicę, spichrze, składy pełne drzewa. Odkładała wyjazd z dnia na dzień. Kiedy wszakże pewnego wieczoru ujrzała starego proboszcza, który z kilkoma rybakami dźwigającymi figurę świętego Mikołaja wyruszył z

fary do nowego osiedla, postanowiła i ona wyjechać. Po raz ostatni ułożyła się do snu pod purpuro-wym baldachimem łożnicy. Spała źle. Zbudziła się późno i klasnęła w dłonie, by przywołać służbę. Nikt się jednak nie zjawił, na wołania zaś odpowiadało jedynie wycie wichru, skwir-czenie mew i zawodzenie dzwonu:

*Oto dzwon od fary w Łebie  
sam na trwogę Reśce dzwoni,  
zamieszkała ryba w niebie,  
a ptak lotny w morza toni,  
Krąck-Krąceszek, bies na wydmach,  
miasta cieszy się pogrzebem,  
idą szturmem sine widma  
na przekłety gród, na Łebę...*

Zerwała się z pościeli. Pierwszy raz w życiu odziała się sama, bez pomocy służebnic. Jak szalona przebiegła komnaty, schody, izby czeladne. Dom ział pustką. Służba lękając się przebywać dłużej w pobliżu tej, która ściągnęła klątwę na portowe miasto, uszła nocą, po kry-jomu opuściła złą panią. Bałdrzychowa szarpnęła drzwi. Wyrzała z sieni na rynek i zmroził ją lęk. Zobaczyła wymarłe domy, ryby wyrwane wichrowymi wirami z Bałtyku, ptaki strąco-ne spod nieba w głębię morza. Ujrzała dzwon rozchybotany na wieży fary, wydme sunącą drapieźnie, wysuwającą biały jęczor z gardła ulicy Portowej. Usłyszała trzask spadających cegieł, krokwi, dachówek i chichot Krąceszka, który smagnał ją po licach biczem ukreconym z drobnoziarnistego piasku, grożąc:

*Precz, precz, precz! Fora!  
Fora ze dwora!  
Sprawiedliwości  
nadeszła pora.  
Precz! Kto nie ujdzie  
stąd w świat daleki,  
moim się stanie  
po wieków wieki!*

Zasłoniła uszy. Postanowiła uciec z miasta, lecz nie z pustymi

rękoma. Zamknęła dźwierze, zapaliła kaganek, po ceglanych schodach pośpieszyła do lochów. Tam zaczęła go-rączkowo napełniać skarbami miech wielki, skórzany. Miotła oburącz złote talary, guldeny, dukaty, ładowała bezcenne klejnoty. Gdy wór się napełnił, zawiązała go mocno. Spróbowała zarzucić miech na plecy i... runęła jak długa.

Przygniotło ją brzemię złota, ludzkiej krzywdy, obłędnej pychy. Przywalił ją ciężar, spod którego nie zdołała się już podźwignąć. Krąck-Krąceszek, tańczący diabeł z wydm, zatrzasnął nad nią piaszczyste wieko i została na zawsze w mrocznym podziemiu pośród przeklętych skarbów.

## KLUCZYK SALOMONA

*Czarna księga,  
złoty kluczyk;  
otwórz księgę  
— wiatr zahuczy,  
buchnie czarnej  
kurz zamieci,  
wicher czarny  
z kart wyleci...*

Kiedy pracowity rybak Błażej Okoń utonął podczas burzy na Wiślanym Zalewie, w checzy jego przy ujściu Pasłęki zapanowała rozpacz, rozgościł się głód. Wdowa rychło pojęła, że jeśli chce utrzymać się przy życiu — musi opuścić samotną zagrodę. Razem więc z synkiem Błażkiem poszła szukać pracy u ludzi. Daremnie prosili o nią w Braniewie i From-borku, gdy zaś w Tolkmicku zakołatali do drzwi wójtowskiej kamienicy, nad którymi widniała tarcza z trzema płatkami róży — godłem miasteczka — opasły wójt usłyszawszy prośbę Błażejowej wrzasnął:

— Precz! Nie ma w moim domu miejsca dla darmożjadów. Nie ważcie się też zebrać w tym grodzie, bo kat nasz przy pochodniach za

bramy was wyświeci!

Odeszli biedacy. Stroskani klękli u wrót fary Św. Krzyża, aby pomodlić się o ratunek. I wtedy ktoś wcisnął w dłoń Błażka trzy srebrne guziczki. Chłopiec podniósł głowę. Tuż koło niego stała Kachniczka — wójtówna.

— Weź to — szepnęła zarumieniona. — Odprułam te knefliczki od mej odświętnej szatki, byście mieli za co kupić chleb. Jeno nie zostawajcie tu dłużej. Ojciec mój bardzo srogi. Skrzywdzić was może.

Zakręciła się na pięcie i uciekła, nim zdążyli podziękować jej za wsparcie. Wzruszeni dobrocią panienki, podnieśli się z klęczek, minęli ratusz z zegarową wieżyczką. Rybacką Bra-mę, zwodzony most. Wstąpili do Sowiej Karczmy, która stała nad Zalewem u podnóża wyso-czyzny pociętej jarami, szumiącej zielonym borem. Błażek dał jeden z guziczków karczma-rzowi i niebawem postawiono przed nimi dymiącą misę jadła. Po wieczery, kiedy odpoczy-wali przy ciepłym piecu, cisza unieruchomiła opodal brzegu żaglowy statek, płynący z Elblą-ga. Do lądu dobiła szalupa. Wysiadła z niej gromada marynarzy i jakiś siwobrody człeczyna w ciemnym stroju, z czarną, złotem okutą księgą pod pachą. Wkroczył do gospody, kupił dla załogi antał piwa, wdał się w rozmowę z Błażejową. Dowiedziawszy się od niej, że wraz z synem szuka pracy, rzekł:

— Jeśli zgodzisz się rozstać na siedem lat ze swym chłopcem, ja, mistrz Magnus, przy-jmę go na służbę. Nie będzie mu u mnie źle. Nauczę go wielu mądrych i pożytecznych rze-czy. Zadbani też, byś nie zginęła z głodu w czasie jego nieobecności.

Spojrzał na rybaczkę przez szkła wielkich okularów, wręczył jej skórzaną kabzę, w której pobrzękiwało złotem:

— Te pieniądze uchronią cię od nędzy.

Nie mieli Okoniowie wyboru. Skoro tylko zbudził się wiatr, Błażejowa płacząc poże-gnała jedynaka, a potem długo patrzyła z wybrzeża na odpływający okręt, szepcąc:

— Bywaj zdrów, kochany synku! Nie zapomnij tam, w dalekich stronach, o swej matce.

Żegluga trwała wiele dni. Na koniec żeglarze rzucili kotwicę w pobliżu granitowego przylądka, na którym piętrzył się opuszczony, do zamczyska starego podobny gmach z kamienną, na poły rozwaloną wieżycą. Jedyными mieszkańcami jego dwunastu komnat, mro-cznych, zakurzonych, obwieszonych pajęczynami, były — jak się o

tym wkrótce Błażek prze-konał — sowy, szczury, nietoperze i wścibska sroka.

— Ta psotnica dzieliła dotychczas moją samotność — powiedział starzec odprawiawszy szypra i okrętników. — Teraz we troje przyjdzie nam żyć na tym odludziu. A żyć będziemy w spokoju, przyjaźni, zgodzie, jeśli nie przekroczysz nigdy progu mojej pracowni.

Chłopiec przyrzekł, że będzie posłuszny woli mistrza. W dzień zresztą nie miał nawet czasu myśleć o dziwnym zakazie. Ścielił łoże, zamiatał izby, gotował strawę. Łowił ryby na kamienistym wybrzeżu. Uczył się pod okiem siwobrodego odludka czytania, pisania, łacińskiej mowy. Kopiował pożółkłe pergaminy. Nocami przykładał niekiedy, wiedziony ciekawo-ścią, ucho do dziurki od klucza w drzwiach dwunastej komnaty, skąd dochodziły Magnusowe zaklęcia, szelesty odwracanych kartek, poszumy wichru. Częściej jednak patrzył to na posę-pne, księżycowe morze, za którym zostawił matkę, to na dwa srebrne knefliczki, darowane mu przez wójtównę, i cichutko sam do siebie szeptał:

*Dalaś mi, Kachniczko, trzy  
guziczki srebrzyste,  
ja ci w zamian dam trzy łzy,  
jak serce twe, czyste...*

Tak mijały tygodnie, miesiące, lata. Nic się w kamiennej pustelni nie zmieniło, poza tym chyba, że na początku piątego roku Błażkowi zginął jeden z knefliczków Kasi, a w połowie siódmego — staruszek stał się niespokojny i opryskliwy. Nocami wymawiał jak dawniej czarnoksiężskie formuły, lecz nigdy już nie rozlegał się za drzwiami jego pracowni przejmują-cy szum wichrowy. Pobladł mistrz Magnus, zgarbił się, twarz poźłobiły mu głębokie bruzdy, przygasły źrenice za szklami okularów.

— Nie znalazłeś może gdzie złotego kluczyka ? — dopytywał się co dnia młodego ucznia-służebnika.

Okoń szukał zguby w zamczysku, na zarosłym trawą podworcem, na morskim brzegu, lecz klucz przepadł jak kamień w wodę. Martwił się sędziwy pustelnik kabalista, aż zanie-mógł z troski. Choroba powaliła go na posłanie śmiertelne, bo więcej się już z niego nie dźwignął. Pewnej nocy, gdy puszczyki hukwały na baszcie, powiedział z

trudem do Błażeja, czuwającego przy łożu w alkowie jego sypialnej komnaty:

— Siedem lat minęło... Wyrosłeś, Blazjuszu. Nauczyłeś się wiele. Przyjąłem cię do służby jako rybackie pacholę, a odprowadziłbym ze szczodłą zapłatą jako młodego uczonego, który najlepsze rokuje nadzieje. Cóż, kiedy skończyła się moja moc. Zgubiłem klucz tajemnej księgi: *Claviculla Salomonis*. Więźniem jestem tego domu i ty nim będziesz, jeżeli jaki okręt, przypadkiem zabłąkany w te pustkowia, nie zabierze cię na pokład.

— I tak bym nie opuścił was, mistrzu, w chorobie — zapewnił uczeń.

— Wiem, że masz dobre serce, ale wiem także, iż żywot mój dopala się jak ta świeca — stary spojrział gasnącym wzrokiem na ogarek, który skwierczał w lichtarzu. — W skrzyni znajdziesz moje pieniądze. Odziedziczysz po mnie wszystko: tę siedzibę, srokę i księgę... Czarną księgę Salomona... Największy z mych skarbów... Znajdziesz ją w dwunastej komnacie... W mej pracowni... Tam, gdzie...

Śmierć przerwała mu ostatnie zdanie. Blazjusz, pogrzebawszy nazajutrz mistrza na krańcu przylądka pod kopcem granitowych głazów, po raz pierwszy odemknął drzwi dwunastej izby. Piętrzył się w niej aż pod łuki sklepienia komin z okopconą czeluścią. Półki ugięły się pod grubymi tomiskami, oprawnymi w cielecą skórę. Na posadzce leżały tygle z miedzi, szklane retorty, alembiki z kolorowymi płynami, miseczki pełne czarnoksięskich proszków. Koło okna zaś, w mdłej smudze światła sączącego się przez zmętniałe szybki, złotem okuć błyskała na pulpicie czarna księga. Chciał ją otworzyć, ale nie pozwolił mu na to misterny zamek.

— Klucza brak — westchnął. — Złotego kluczyka! Tego, o którym mistrz Magnus tak często ostatnimi czasy wspominał.

Zdawał sobie sprawę, że gdyby udało mu się odszukać tę zgubę, jego niedola skończyłaby się w jakiś tajemniczy sposób. Wróciłby do Polski, do matki. Zobaczyłby może miłą tolkmiczanę, Kachniczkę. Smutny wyszedł z domu nad morze. Siadł na głazie przy mogile kabalisty. Zza pazuchy kaftana z ciemnego aksamitu, w który przyodział go mistrz, gdy wyrósł z dawnych szatek, wydobył ostatni ze srebrnych kneflików wójtówny. Tak się weń zapatrzył, że nie zauważył sroki, co przysiadła mu na ramieniu, przekrzywiając



główkę, muskając dziobem pióra skrzydeł.

— Wszelki duch — zerwał się nagle. — Cóż to, na Boga? Czary?

Guziczek znikł mu z dłoni. Ptak porwał go znienacka i odfrunął prosto ku strzelnicy czerniejącej pod samym szczytem wieży, z której Magnus za życia wpatrywał się po nocach w hieroglify płomienistych gwiazd.

— Złodziejko — Okoń podniósł pięść i pogroził sroce. — Poczekaj, odbiorę ci łup!

Pchnął żelazne, przeżarte rdzą dźwierze baszty. Po krzywych, niemiłosiernie skrzypią-cych schodkach pognął na górę. Zdyszany wpadł na ostatnią kondygnację i ujrzał ptaka zanu-rzającego dziób w głębokiej szczelinie między ciosami granitu. Złapana na gorącym uczynku złodziejka spłoszyła się, zatrzepotała piórami, uciekła skrzecząc:

— Claviculla Salomonis... Claviculla Salomonis.

Wtedy zbliżył się do kryjówki, z której bił mdły poblask. Wsunął dłoń w szparę zaple-śniąłego, omszałego muru.

— Klejnoty, dukat, knefliczki Kasi — poznawał wyjmowane skarby, które zrabowała i ukryła skrzydlata łotrzyca, póki gwałtowna radość nie zapała mu oddechu, nie odebrała mo-wy.

Z dna skarbczyka wyciągnął... klucz, cudnie wykonany w szczerozłotym kruszcu. Przy-cisnął go do piersi.

— Kluczyk Salomona!

Przeskakując po dwa stopnie zbiegł z Magnusowej wieżycy i po chwili stał już przy dębowym pulpicie w półmroku pracowni mistrza. Drżącymi palcami włożył klucz w zamek magicznej księgi. Przekręcił. Spomiędzy pergaminowych kart, pokrytych dziwaczными hieroglifami i czarnoksięskimi rysunkami, popłynął szelest podobny do szmeru ziaren piasku, przesypujących się w klepsydrze. Stronice buchnęły pyłem siwym, modrym, granatowym, szybko ciemniejącym. Jęły obracać się same, szumiąc coraz donośniej, przenikliwiej:

*Skruszyłeś zaklęć kajdany,  
oto się ze snu budzę,  
ja — wicher zaczarowany.  
O magu, panie nad pany,  
rozkazuj czarnemu słudze!*

Kurz wirował ciemnymi płatami po izbie jak czarny śnieg. Otaczał Magnusowego dy-scypuła, gęstniał w chmurę. Podmuchy gwałtownie biły o ściany, zrywając strzępki pajęczyn, a księgą na pulpicie miotały tak mocno, że można było się lękać, iż lada minuta porwą ją i rzucają za okno, w morze. Blazjusz chwycił przeto obu rękami tajemne dzieło. Przygarnął je do serca zaskoczony, zdumiony, oszołomiony poszumem, który narastał jak sztorm nad falami:

*Kędy cię zanieść, mój panie,  
mam w napowietrznej żegludze?  
Wyjaw mi swoje żądanie.  
Co każesz — zaraz się stanie.  
Rozkazuj czarnemu słudze.*

Lęk przejął rybackiego syna do szpiku kości. Wicher wzmagał się bowiem z każdą chwilą. Targał połą jego kaftana, rozwiewał mu włosy, oślepił pyłem oczy.

— O, matko moja — krzyknął młodzieniec, daremnie usiłując oprzeć się porywistej zamieci. — Jakżebym chciał być teraz przy tobie.

W tejże sekundzie ogłuszył go przeraźliwy huk. Zadęły wichrowe surmy, ryknęła powietrzna trąba. Zakotłowały się tumany w komnacie kabalisty. Rozszalały orkan niczym Murzyn-wielkolud porwał czarnoksięskiego ucznia w nieprzeniknioną ciemność, w chaos gwizdów, poświstów, trzasków i... ucichł równie szybko, jak się rozpętał.

— Gdziem jest? — wyjąkał Blazjusz, gdy cisza zadzwoniła mu w uszach.

Przesunął dłonią po twarzy i oprzytomniawszy rozwarł szeroko oczy. Stał na wiejskim cmentarzu koło zapadłej mogiły, nad którą chylił się krzyż, zielony od mchu. Ze zdumienia zamrugł powiekami.

— Gdziem jest? — powtórzył.

— W Łęczu — odpowiedział siwy grabarz, kopiący dół pod starą lipą przy kościelnej dzwonnicy. — Opodał Tolkmicka, wielmożny paniczu.

— A czyja to mogiłka ?

— Rybaczki Błażejowej. Dobra z niej była kobieta. Służyła u naszego plebana. Pomarła już trzy roki temu.

— Matko miła — zaszlochał przybysz, wypuścił z rąk czarną księgę, padł na kolana, objął ramionami spróchniały krzyż. — Nie doczekałaś mego powrotu. Cóż pocznę bez ciebie? Sam zostałem jak palec.

Kopidół popatrzał na niego ze współczuciem. Mruknął coś pod nosem, a potem chwycił rydel i zaczął nim uklepywać glinę wyrzuconą ze świeżego grobu. Nie miał czasu do stracenia, gdyż na drewnianej dzwonnicy zakolebał się dzwon powoli, żałośnie, zwiastując, że nadchodzi pogrzebowy orszak.

— Kogoście chowali? — zapytał Blazjusz grabarza po skończonym obrzędzie.

— Bakałarza z naszej parafialnej szkółki — odparł stary zasypując mogiłę. — Cała okolica go żałuje. A najgorsze to, że nie znamy nikogo, kto by mógł go zastąpić.

— Tedy może ja poproszę o ten urząd? Chętnie pozostałbym tutaj w Łęczu, w pobliżu matczynego grobu.

— Ano, pogadajcie z plebanem. Myślę, paniczu, że przyjmie was z otwartymi ramionami.

Stało się, jak przepowiadał. Proboszcz bez wahania powierzył synowi nieboszczki Błażejowej przykościelną szkołę i młody wędrowiec pozostał we wsi. Nikomu w drogę nie wchodził, uczył dobrze, toteż wkrótce pokochały go dzieci, polubili rodzice. Sam pleban obdarzał go przyjaźnią i szacunkiem. Mimo to młody bakałarz był smutny. Stronił od ludzi, żył samotnie, a wolne chwile spędzał najchętniej na cmentarzu, u mogiły swojej matki.

Któregoś dnia, kiedy wracał stamtąd w głębokim zamyśleniu, opryskała go błotem karoca, zaprzężona w cztery konie. Uskoczył na skraj gościńca. Nim pojazd znikł na zakręcie, nauczyciel zdołał dostrzec herb z trzema płatkami róży na drzwiczkach karety i piękną pannę, wychyloną z okna, uśmiechającą się przez łyzy nieśmiało, jakby z prośbą, aby przechodzień wybaczył woźnicy nieostrożną jazdę.

— Cóż to za urodziwa szlachcianka? — zapytał bakałarz jednego z łeckich chłopów, przechodzącego właśnie drogą. — I kim jest ten gruby pan, który gniewnie odciągnął ją od okna, kiedy się do mnie raczyła uśmiechnąć?

— Nie szlachcianka to, jeno wójtówna z Tolkmicka — odparł zapytany. — A ów towarzysz ojcem jej jest, chociaż raczej ojczymem by go zwać należało. Siłą pono przymusza córkę, aby

wyszła za cechmistrza tolkmiickich garncarzy. Wdowca starego i szpetnego, ale najbogatszego z obywateli miasta.

— Kachniczka — Blazjusz przypomniał sobie dziewczynkę, która wsparła go przed laty u farnej bramy. — Jakże wyrosła i wypiękniała. Wiele bym dał, aby ją pocieszyć, pomóc jej w nieszczęściu, odwdzińczyć się za dawny podarunek. Cóż wszakże mogę uczynić, biedak i sierota?

Z pochyloną głową powłókł się do szkoły, zbudowanej z pruskiego muru. Spojrzał na szkolny dzwonek nad facjatką, potem zamknąwszy się w izdebce siadł na zydlu, wyjął z kieszeni dwa błyszczące knefliczki. Ważąc je na dłoni, szeptał w smutnej zadumie słowa wie-rsza, ułożonego na Magnusowym przyładku:

*Dałaś mi, Kachniczko, trzy  
guziczki srebrzyste,  
ja ci w zamian dam trzy łzy,  
jak twe serce, czyste...*

Ani się spostrzegł, jak przeciekły ziarnka klepsydry, stojącej na policy obok czarnej księgi. Zapadła noc. Na palenisku trzaskały drwa dogasającego ognia. Świerszcz za komi-nkiem grał na skrzypkach ze srebra, wtórując bakałarzowi, który wciąż rozmyślał o dobrej wójtównie i układał dalszy ciąg wierszyka:

*Srebrne płyną ślozy z ócz  
iskrą po iskierce,  
dobroć twa, jak złoty klucz,  
otwarła me serce...*

Świerszcz mocniej nacisnął smyczkiem struny śpiewnych skrzypek, powtarzających uparcie jak natrętne echo:

— Złoty klucz, złoty klucz, Claviculla Salomonis...

Wiejski nauczyciel zrozumiał jego intencję. Wstał z zydelka, wziął do rąk Magnusową księgę. Otworzył ją złotym kluczykiem i natychmiast izba rozszumiała się czarodziejskim wichrem. Ozwał się głos zaklęty w szeleście pergaminowych kartek:

*Kędy cię zanieść, mój panie,*

*mam w napowietrznej żegludze?  
Wyjaw mi swoje żądanie.  
Co każesz — zaraz się stanie.  
Rozkazuj czarnemu słudze.*

Niecierpliwy Blazjusz ledwie doczekał końca formuły. Zawołał przekrzykując poszum:

— Przynieś mi, czarny sługo, z wójtowej kamienicy z Tolkmicka urodziwą Kachni-czkę!

Zaświstało, zaszumiało, zahuczało. Chmura ciemnej kurzawy przesłoniła ściany i sprzęty, a gdy po pewnym czasie zaczęła rzednąć i rozpraszać się z wolna, bakałarz ujrzał ukochaną. Siedziała na zydlu, w rdzawym blasku bijącym z kominka. Padł przed nią na klęczki, przytulił usta do jej białej rączki:

— Kachniczko, dobra, miła, najpiękniejsza z pięknych!

Zapomniał zupełnie, że chciał tylko zapytać, czy może jej w jakiś sposób pomóc. Zapomniał o całym świecie. Zapatrzony w wójtównę, jak w tęczę, nie słyszał piania kurów, nie pamiętał, że biegną godziny, mija czas. Ona jednak o tym pamiętała.

— Muszę wracać — uśmiechnęła się nad ranem przez srebrne łyzy — nim zaświta. Nim trzeci kur zapieje. Rodzice srogo by mnie ukarali, gdyby spostrzegli, że nie ma mnie w domu.

— Nie lękaj się — uspokoił ją. Przyzwał czarnego służebnika i kazał mu odnieść dziewczynę tam, skąd ją porwał.

Jakże się mylił sądząc, że wójtostwo nie dowiedzą się o nocnej podróży ich córki. Wójtowa, zbudziwszy się przed świtem, zajrzała do izby, gdzie sypiała Kasia. Struchlała na widok pustego łóżka, załamała ręce, z krzykiem pobiegła do alkierza.

— Wstawaj — szarpnęła męża. — Kachniczka zniknęła.

— E, przywidziało ci się chyba — ziewnął wójt, ale podniósł się z wygrzanych pierna-tów.

Począł za małżonką do panińskiej komnatki i wskazując uśpioną jedynaczkę zatriumfował:

— A co? Nie mówiłem? Cztery gęsi, dwie niewieście jarmark zrobią w całym mieście. Kasieńka w najlepsze śpi! I tobie przyśniło się chyba, że jej nie ma. Obudziłaś mnie po próznicy!

Wójcina oniemiała. Kiedy jednak odzyskała mowę, rzekła z uporem:

— Przyśniło, nie przyśniło. Jedno wszakże wiem: od dzisiejszego dnia Kachniczka bę-dzie sypiała z nami, w alkierzu. Lepiej na zimne dmuchać niż się na gorącym sparzyć.

Wieczorem ułożyła córkę między sobą a mężem.

— Laboga — głośny lament małżonki spłoszył w środku nocy sen z powiek wójta. — Patrzaj: znów jej nie ma. Toć spała przy mym boku. Teraz nie powiesz, że mi się przyśniło.

Zapalił świeczkę.

— Rzeczywiście — przeraził się nie na żarty, trzęsąc łbem w czerwonej szlafmocy. — Przepadła bez śladu! Czy jeno wróci, jak za tamtym razem? Czy szukać jej? Wołać nocnych stróży?

Rada w radę postanowili czuwać do rana i czekać powrotu jedynaczki. Sen zmożył je-dnak śpiochów. Kiedy się ocknęli, Kasia leżała między nimi. Matka zbudziła ją zaraz.

— Gdzieżeś była?

— Ach — przeciągnęła się wójtówna podnosząc jedwabne rzęsy — miałam taki piękny sen.

— Cóż ci się śniło?

— Leciałam jak gołąb w chmurach nad dachami, farą, ratuszem... W dole widziałam piekarskie ławy i szewskie budy na rynku maleńkie jak szkatułki. Statki i czółna w przystani mniejsze mi się zdawały niż orzechowe łupinki. Przeleciałam nad młynem za Młyńską Bramą...

— I kędy doleciałaś?

— Do jednej wioski nad strugą. Jest tam murowany wiatrak, kościół pod starą lipą, przy kościele szkoła z dzwonkiem nad facjatką, a w szkole młody bakałarz. Klęczał przede mną, jak przed królewną. Ręce mi całował...

— Już ja ci wybiję z głowy tego bakałarzynę — poczerwieniał ojciec. — Nie wiesz ty, iż za dwie niedziele staniesz przed ołtarzem w farze z cechmistrzem garncarzy? Przeznaczy-łem ci za męża zacnego i bogatego człeka, a ty, nieposłuszna, zła córo...

Urwał, bo żona przyłożywszy palce do ust, nakazała milczenie. Wyciągnęła go z alkie-rza.

— Krzykiem i groźbą nic nie wskórasz — zaczęła strofować rozsierzonego małżonka w wykuszu stołowej izby. — Przestraszysz jeno naszą dziewczkę. Cóż ci ona zawiniła? Nie pojmujesz, że ktoś ją czarami omotał?

— Żeby jeno wiedział kto, pasy bym zeń drzeć kazał — zaklął

się mieszczanin. — Na stos bym posłał niecnotę!

— Wprzód schwytać go musisz, a wiesz, jakim sposobem tego dokonać?

— Dalibóg, nie wiem.

— Poradzę ci tedy — wójcina wyjęła ze skrzyni wielki kłębek nici. — Dziś w nocy, gdy Kasia zaśnie, przyczepimy koniec tej nitki do jej palca. Jeśli ten nieznajomy czart znów ją poniesie powietrzem, nić zacznie się rozwijać i po nitce trafimy...

— Do kłębka — klasnął się w czoło tolkmiczanin. — Przednia myśl! Zaraz się przyo-dzieję i pójdę na ratusz. Każę nocnym stróżom przygotować smolne kagańce, żagwie, lata-rnie, parobkom — nająć konie, katowi wyostrzyć miecz, a jego czeladzi wyszukać najmo-niejsze okowy. Pojmamy kupą czarownika, choćby sto czartów miał na swe usługi.

Przez cały dzień przygotowywał się do wyprawy. Odwiedził katówkę koło miejskiej ła-źni, krzątał się na odwachu, lustrował stajnie. Wieczorem nie mógł zmrużyć oka. Niespoko-jnie nasłuchiwał wołań ceklarzy, liczył uderzenia zegara na ratuszowej wieżyczce. O północy, tak jak to przewidywał, córa w niewytłumaczalny sposób zniknęła z mrocznego alkierza.

— Żono, żono — naglił wójt odziewając się spiesznie. — Dawaj mi rajtarskie buty! Ostrogi! Pas z kordem! Korbacz rzemienny!

Narzucił opończę podbitą kunami. Nacisnął bobrową czapkę. Pędem zbiegł po scho-dach.

— Zapalać latarnie, rozniecać żagwie, kagańce i na koń — rozkazał pachołkom, czuwa-jącym na podwórzu wójtowskiej kamienicy, gramoląc się na siodło rosnącego wierzchowca. — Nuże, gamonie! Na ścieżaj otwórzcie wierzeje!

Załomotały podkowy w nocnej ciszy miasteczka.

— Dokąd prowadzisz nas, mości wójcie? — pytali konni.

— Nic ja was wiodę, jeno ten kłębek — wyciągnął dłoń w łośiowej rękawicy, wska-zując motek skaczący po kocich łbach bruku i rozwijającą się błyskawicznie nić, której ko-niec niknął w obłokach, szarpanych wichrem.

Cwałem przelecieli rynek, Młyńską ulicę i Bramę. Minęli most na Młynówce, Sowią Karczmę, Krzyżackie Mogiły, domostwa Suchacza. Stromą drogą wjechali z wybrzeża na wyżynę. Wiatr dmuchał w żelazne kosze kagańców. Porywał rude skry. Targał niskie chmu-

rzyska, ukazując raz po raz sierp bladego księżyca. Jęczał w konarach czarnych dębów. Podnosił z gościńca tumany kurzawy i zeschniętych liści.

— Psa by nikt w taką pogodę z domu nie wygnał — jął sarkać tołkmicki kat, lecz zawieja uciszyła się nagle i przed kawalkadą pojawiła się jakaś wieś nad strugą.

— Murowany wiatrak, kościół pod starą lipą, a przy kościele szkoła z dzwonkiem nad facjatką — mruknął wójt. — Wszystko tak wygląda, jak powiada moja Kaśka. Tam, do kata. Toć to Łęcze. Przejeżdżałem przecie przez tę wieś trzy dni temu z mą córką. Stój — krzyknął do pacholków. — Jużemy u celu!

Zeskoczyli z koni. Wójt, mimo tuszy, pierwszy dobiegł do okna szkoły pałającego czerwonym światłem. Zapuścił żurawia do izby. Zobaczył jedynaczkę. Siedziała na zydlu przy kominie. Bakałarz w czarnej szatce klęczał u stóp panny.

— Pomnisz te knefliki — pokazywał Kachniczce dwa srebrzyste guziczki. — Dałaś mi je przed siedmiu z górą laty. Od tej pory nie przestałem cię miłować ani na jedną chwilę.

— I ja cię miłuję — odpowiedziała pąsowiejąc. — Chętnie bym wyszła za ciebie, ale...

— Cóż cię wstrzymuje od tego kroku?

— Lęk przed ojcem. Musielibyśmy chyba ująć na kresy świata przed jego gniewem.

Wójt ledwie nie pękł ze złości.

— Wyważyć dźwierzę — ryknął do czeladzi, a gdy wykonano jego rozkaz, wpadł jak nawałnica do szkoły.

Za nim tłoczyli się zbrojni ceklarze z latarniami i kagańcami, kat w czerwieni, dźwigający ogromny miecz, siepacze pogrążający żelazem kajdan.

— Córo wyrodna — zatupał rajtarskimi butami. — Takie to sny miewasz? Z czarownikiem sprzymierzasz się przeciw rodzicielowi? Poznasz, czym to pachnie! Żywcem zamurować cię każe!

— Ratusz mnie, drogi mój — zlekła się wójtówna.

Przytulona do Blazjusza cofnęła się w róg izdebki, gdzie obok klepsydry czerniała na półce czarna księga mistrza Magnusa. Pochwycił ją nauczyciel. Jednym ramieniem obejmował ukochaną, drugie wyciągnął przed siebie, aby księgą niby tarczą osłonić pannę przed ojcem.



— Kachniczka niewinna — zawołał.

— Wiem, żeś ty głównym winowajcą, nędzniku — świsnął wójt rzemiennym korba-czem. — Na stosie spłoniesz za czary! Mistrzu sprawiedliwości, czyń powinność swoją! W łańcuchy zakuj czarownika!

Kat z obnażonym mieczem w garściach wystąpił z gromady, skinął na czeladź trzymającą okowy, ale siepacze nie ruszyli się z miejsca. Przestraszył ich niespodziany szum, zrodzony nie wiadomo gdzie, przykuł ich lękiem do podłogi głos ust niewidzialnych.

*Skruszyłeś zaklęć kajdany,  
oto się ze snu budzę,  
ja — wichler zaczarowany.  
O, magu, panie nad pany,  
rozkazuj czarnemu słudze!*

Błazjusz Okoń krzepko przygarnął Kachniczkę.

— Zanieś nas, czarny sługo, na kraj świata — rozkazał gotów na wszystko, byle ocalić najmilszą. — Na granitowy przylądek, do Magnusowego zamczyska! Tam będziemy żyć w spokoju i szczęściu, z dala od ludzi złych, mściwych, okrutnych.

Wzmógł się poszum. W ostrych podmuchach, w zimnych prądach powietrza zawirował ciemny pył. Zgęstniał, otoczył bakałarza i wójtównę. Osłonił ich jak obłok czarnego śniegu i uniósł przed zdumionych oczu wójta, oprawców, ceklarzy — w nieznaną dal, za sine morze.

## WERBLE DOBOSZA MRZYGŁODA

*U królam miał dobre życie,  
dał dukata na przepicie,  
popijałem tydzień cały  
za ten dukat wielki, biały,  
tęgom pijał, tęgom hulał  
u polskiego służąc króla,  
bum, bum, bum.*

*Wždy król potem postanowił,  
abym służył cesarzowi,  
przyszły na mnie lata chude,  
służba taka — psu na budę,  
z błota złota nie wykrzesasz,  
niech niemiecki szceźnie cesarz,  
bum, bum, bum.*

Tę to piosnkę śpiewał Walek Mrzygłód, okrętowy dobosz z *Króla Dawida*, orlogi jego królewskiej mości Zygmunta III, waląc w bęben i maszerując piaszczystą drogą. Wracał pie-szo z daleka, z Wismaru. Popłynął tam z początkiem roku 1629, podobnie jak załogi sześciu innych statków polskiej floty, by wesprzeć niemieckiego cesarza i razem z jego armadą wyprawić się na Szwecję. Nici z tego wyszły. Ledwie okręty Rzeczypospolitej zawinęły do wismarskiego portu, eskadra Habsburga podniosła żagle i odpłynęła na zachód.

— Zdrada — wołali żołnierze wodni, marynarze ostrzelani w niejednej bitwie. — Oszukano naszego króla! Wracajmy do kraju. Nie będziemy za Niemców karku nadstawiać. Trąbcie na odwrót! Do Wisłoujścia, do Gdańska!

Zabiegał o to również król Zygmunt, przekonawszy się, że sprzymierzeniec wywiódł go w pole. Mimo jednak królewskich starań Niemcy nie pozwalali odpłynąć naszej flocie do Polski. Wojenne korabie butwiały w przystani. Okrętnikom nie wypłacano żołdu. Za lada przewinienie chłostano ich na kłodach, wieszano na rejach. Doprowadzono wreszcie do tego, że bęben Mrzygłoda zagrzmiął werblem buntu. Rozbiegły się zgłodniałe załogi, marynarze lądem ruszyli do ojczyzny.

Zrazu szli gromadą, wędrowali o chłodzie i głodzie, rozgoryczeni, obdarci, przygarbieni niezasłużoną krzywdą. Kiedy zaś zbliżyli się do granic rodzinnego kraju, każdy skierował się w swoją stronę. Jedni na lewo, ku Łebie, inni na prawo, ku Kartuzom. Mrzygłód pomaszerował z Lęborka prosto przed siebie. Brnął przez piaski, odpoczywał wśród pachnących łąk, przedzierał się królewską Knieją Darżlubską. Omijał karczmy. Po wsiach o chleb prosił, płazem korda odpędzając napastliwe psiska. W marszu dodawał sobie sił hucznym bębnieniem, gniewną piosenką:

*Mam ja wierny bęben, który  
koło Białej bębnił Góry  
i grzmiał burzą sprawiedliwą  
w morskiej bitwie pod Oliwą,  
a gdy tylko zagrzmiął — wtedy  
zatykały uszy Szwedy,  
bum, bum, bum.  
Wroga biliśmy co siły,  
wždy zwycięstwa się skończyły,  
twarz odwrócił święty Jurga  
od pierzchliwych naw Habsburga,  
zacny rycerz nad rycerze  
nie chciał sprzyjać temu sknerze,  
bum, bum, bum!*

Szeleściły liście drzew. Na gałęziach wesoło gwizdały kosy.

Zdawać się mogło, że naśmiewają się z obszarpanego wędrowca, podają jeden drugiemu szyderczą nowinę:

— Nie ma nasz Walek w kieszeni niic.

Przeszedł dobosz Domatówko, Leśniewo, Darzłubie, a gwizdy ptactwa wciąż mu towa-rzyszyły:

— Nic, nic, niic...

Zagłuszył je werblami, ale gniew na chciwego cesarza i wszystkich skąpców świata jeszcze bardziej wezbrał w jego krwi. Wstyd mu było wracać do ojca, między swojaków, jak marnotrawny syn w podartych skorzniętach, wiatrem podszytych łachmanach, z brudnym jeno płótnem w kieszeni. Mocniej w bęben załomotał:

*Biedy zaznał zamiast przygód  
okrętowy dobosz Mrzyglód,  
bębni tedy i powtarza:  
pieskie życie u cesarza,  
u cesarza pieskie życie,  
miast dukatów — głód i bicie,  
bum, bum, bum!  
Głodem marłem we Wismarze,  
niech cesarza niebo skarże,  
biedowałem czas niemały,  
aż okręty nam zbutwiały,  
aż rozpierzchnęły się załogi,  
dziś w ojczyste wracam progi,  
bum, bum, bum...*

Szedł, szedł borem, lasem to śpiewając, to bębniąc, póki nie zaciężył mu bęben na brzu-chu. Przerzucił go wtenczas na plecy i tak dotarł na leśne rozdroże. Tu ujrzał wysoki krzyż sosnowy, a pod nim bosego grubasa z trzewikami na kiju. W jednej chwili poznał tego łyka w podkasanej kapocie:

— Wincenty Pasibrzuch!

Któż zresztą w całej puckiej okolicy nie znał Pasibrzucha, lichwiarza tak skąpego, że trzewiki na plecach nosił, jako że wołał pięty zdzierać niż podeszwy? Biednym chłopom po-życzał pieniądze na lichwę, wiedząc z góry, iż nie będą mogli mu w terminie zwrócić długów, a wtedy on uroni fałszywą łzę litości i zabierze im całe zboże,

płótno, miód, wyprowadzi ostatnią krowinę z obórki. Czyż nie tak właśnie postąpił przed laty w Rzucewie z rodzonym ojcem Walka?

„Warto by było odplacić się świętoszkowi — pomyślał wodny żołnierz. — Pewnie znów dziś kogoś obdarł ze skóry, puścił z torbami, bo uśmiecha się obleśnie i czapką piach przed bożąmęką zamiata. Modli się pod figurą, a diabła ma za skórą”.

Mieszczuch pucki raz jeszcze się skłonił i wypadł mu przy tym zza pazuchy pękaty trzos. Podniósł go natychmiast. Ukrył na piersiach, pod przybrudzoną koszulą. Dopinając kaftan usłyszał jednocześnie głos zza krzów i omszałych chojarów:

— Poratuj mnie, zacny człecz!

Rozejrzał się dokoła. Z lasu wynurzył się żołnierz w spłowiałych, dziurawych sukniach, ale przy kordzie.

— Z obczyzny wracam, głodem mrąc po drodze — mówił. — Przed Szwedem bronilem cię, bogaczu, zanim na rozkaz królewski pożeglowałem do Wismaru. Nędzy tam zażyłem okrutnej. Jako łazarz o żebraczym chlebie do dom idę.

Przeżegnał się Pasibrzuch:

— Ja bogacz? Cóż ci się przywidziało, żołnierzyku miły. Toć biedniejszym od ciebie! Grosza nie mam przy duszy. Widzisz przecie chyba, że na bosaka wędruję? Od wczora nic nie jadłem, prócz korzonków leśnych. Łazarz jestem, łazarz nieszczęśliwy!

I nosem zaczął pociągać, kaprawe oczy przecierać kułakami, wzdychać tak żałośnie, że kamień by się wzruszył.

— Ha — rzecze Mrzygłód — skoro tak, tedy pomódlmy się obadwaj łazarze pod tym krzyżem. Może wysokie nieba zlitują się nad nami? Może zostaniemy wysłuchani i nagrodzeni.

Gruchnęli na kolana. Lichwiarz wargami rusza, oczy przewraca, pojękuje rzewnie, jak-by w *Tragedii o bogaczu i łazarzu* za młodu grywał. Dobosz zaś powoli na klęczkach ku krzakom się przesuwa, w których poprzednio ukrył swój bęben, i trach weń sękatą pięścią.

— Słyszałeś, bracie mizeraku? — pyta półgębkiem. — Zda się, że zagrzmiało.

— Nic nie słyszałem — zapewnia kutwa i dalej psim głosem modły odprawuje.

Wałek patrzy z ukosa na obłudnika. Jeść mu się chce coraz nieznośniej.

„Bum, bum” — dwa razy w taraban za plecami łyka zamasyście

uderzył.

— Słyszałeś grzmoty? — szarpnął grubasa za rękaw kapoty.

— Dalibóg, nie — zarzeka się sknera.

— No, to módlmy się dalej, przyjacielu. Snadź nas tam w górze jeszcze nie usłyszano.

Odczekał ze trzy pacierze, po czym, donośniej niż za pierwszym i drugim razem, trzy-kroć załomotał w okrętowy bęben:

„Bum, bum, bum”.

Wincenty ani drgnął, lecz zniecierpliwiony bębniasta uznał, że pora doprowadzić krotu-chwilę do końca.

— Pewnieś i teraz nie słyszał? — zagaduje sąsiada.

— Jako żywo — pokręcił Pasibrzuch łysą głową — nic a nic mych uszu nie doszło.

— Snadź, braciszku, mniej godnyś ode mnie.

— Jak to?

— Bom ja wyraźnie usłyszał głos grzmiący z wysokiego nieba. Rzekłeś, że nie masz grosza przy duszy?

— Szczerą prawdę powiedziałem.

— Zajrzyj więc teraz za pazuchę. Oznajmił mi głos z niebios przed chwilą, iż znajdziesz tam spory trzosik zesłan ci cudownie dla nas obu do sprawiedliwego podziału.

Pobladał lichwiarz. Na równe skoczył nogi. Łydki dygotały pod nim, ale poprzysiągł so-bie nie oddawać dobrowolnie sakiewki. Kapotę zaciągnął pod brodą. Ramiona skrzyżował na piersiach. Strzelał oczkami to w jedną, to w drugą stronę, wypatrując, czy ktoś nie nadchodzi, czy warto krzyczeć o ratunek.

— Rozbój — pisnął. — Gwałt na równej drodze...

— Rozbój — huknął żołnierz dobywając korda. — Sam chcesz, szelmo, zagarnąć to, co dla nas obu przeznaczono. Wždy nie dam się ograbić. Wyjmuj trzos, póki po dobroci proszę.

Połehtał ostrzem miecza Pasibrzuchowe brzuszysko. Zabrzękły ukryte talary. Chcąc nie chcąc musiał sknera wysupłać sakiewkę. Trzęsły mu się podbródki, serce mu się krajało, gdy dobosz na przydrożnym kamieniu uczciwie rozdzielał na dwa party jego błyszczące pie-niądze. Przytaił wszakże gniew. Wciąż jeszcze nie tracił nadziei, że odzyska stracone złoto. Nikt go przecież dotąd nie zdołał przechytrzyć. Postanowił za wszelką cenę schwycić złotą rybkę. Obmyślił szybko przynętę. Lisi uśmiech oczy mu zwięził.

— Zgłupiałem w pierwszej chwili — jał tłumaczyć się chowając uszczuploną kabzę. — Nie spodziewałem się, że niebo nas tak rychło i szczerze obdarzy. Z łazarzów obróciliśmy się w bogaczy. Co teraz zamierzasz uczynić, żołnierzyku, druhu mój?

— Do ojców pójdę — odparł Walek. — Do Rzucewa.

— To w jedną stronę wypada nam droga.

— Doprawdy?

— Mam ja w Pucku domek ubożuchny koło Rybackiej Bramy, przez którą chadzają rzucewscy rybacy do miasta. Wstąpisz do mnie. Wypijemy pod to nasze fortunne spotkanie po kufelku puckiego piwa. Albo i jaką butelczynę opróżnimy pospołu. Lubisz złotą wódkę?

— Nie godzi się odmawiać gościnnemu człekowi, osobliwie, że jest nie lada przyczyna do wypicia.

— Właśnie. Pokropimy złote talary złotą wódką.

— Tedy w drogę.

Powędrowali razem. Lichwiarz dreptał śpiesznie, by nadażyć za stawiającym wielkie, po marynarsku rozkołysane kroki Walentym, który skracał sobie drogę bijąc w bęben i śpie-wając na przemiany z fantazją żołnierską:

*Maszeruję przez porębę,  
a do marszu gra mi bęben,  
taki dobry zeń towarzysz,  
że lepszego nie wymarzysz,  
druhem był mi w poniewierce,  
jak poczciwe bije serce,  
bum, bum, bum.  
Bij, mój bębnie ponad bębny,  
echem nieś się w las studębny,  
złe i chciwe płosz jastrzębie,  
co żerują na porębie,  
przez polany płyn stokłose,  
kłosom łzawą strącaj rosę,  
bum, bum, bum.*

Wyszli na skraj kniei i niebawem wkroczyli do Pucka. Imć Wincenty wyjął z kieszeni klucz. Otworzył zamczone dzwierze rudery przy Rybackiej Bramie. Skłonił się, o ile mu brzuch na to

pozwalał, ręką drogę wskazał zapraszając obłudnie:

— Gość w dom, Bóg w dom.

Mroczną sionką, skrzypiącymi schodkami poprowadził dobosza na pięterko. Posadził go przy piecu w gdańskim krześle, stół mu szczerze zastawił jadłem i napitkiem.

— Pójdę teraz do szynkowni po obiecaną złotą wódkę — powiedział i wymknął się z brudnej, zasnutej pajęczynami izby.

Co tchu pobiegł nie do gospody, lecz na zamek. Przepchał się między kramami na rynku. Czapkę zdjął przed farną dzwonnica. Ręce zatarł spojrzawszy na pręgierz u zamkowej fosy. Zdyszany zapukał do furty w bramie barbakanu i po chwili stał już w bramnej komnacie przed puckim podstarościem. Do kolan się jego pochylił, płacząc skargę wniósł na grabieżcę.

— Jak wyglądał ten grasant, co trzos ci zrabował? — nasrożył wąsy szlachcic, pogląda-jąc za kraty okien to na pręgierz u fosy, to na zamkowy dziedziniec, gdzie odbywała się musztra królewskich landsknechtów.

— Obdarty aż strach — sapał Pasibrzuch. — Zbójem patrzy. Suknia na nim oblatuje, wiatr dziurami przelatuje. Kołpak zaśię ma niby ptasie gniazdo.

— Pięknieś go opisał, mój Pasibrzuchu — uśmiechnął się podstarości. — Takiego łącno moi landsknechci odszukają w puckim powiecie i pod pręgierz postawią.

— Nie potrza go szukać, wielmożny panie.

— Dlaczego?

— Bo u mnie doma siedzi. Gorzałkę pije, kielbasą przegryzając każdy łyk.

Podstarości czoło zmarszczył. Klucz od zamkowej bramy, który leżał przed nim na stole, chwycił. Na dłoniach ważył go z namysłem. Dziwna wydała mu się ta sprawa. Przecież łotr grasujący na gościńcach nie odważyłby się wejść do miasta, kłaść zdrowej głowy pod ewangelię. Prędzej można było przypuścić, że staremu kutwie piąta klepka wypowiedziała służbę.

— Skoro u ciebie jest, tedy przyprowadź go tutaj — poradził łykowi. — Osądzę go wedle gorącego prawa. Za grabież chłosta czeka go u pręgierza, a po chłości szubienica.

Imć Wincenty podrałował do domu. Ledwie łapiąc powietrze wbiegł po schodach, oparł się o futrynę drzwi. Wałek, rozochocony



mocnym trunkiem, tańczył po izbie z kuflem piwa na głowie. Ujrawszy gospodarza nogami fiknął, w bęben pięściami zagrział, zaśpiewał we-soło:

*Cesarz w kabzie chowa węża,  
nie chcę szcerbić dlań oreża,  
miej doma na przypiecku  
niż żyć w świecie po niemiecku,  
nie wachałem tam, do kata,  
ni gorzałki, ni dukata,  
bum, bum, bum!  
Klepaliśmy, jak łazarze,  
srogą biedę we Wismarze,  
za to teraz w naszym Pucku  
zaczę wreszcie żyć po ludzku,  
lekk dzisiaj mi na duchu,  
pij więc ze mną, Pasibrzuchu,  
bum, bum, bum!*

Lichwiarz roześmiał się z udaną radością. W ramiona chwycił gościa. Jak Judasz ucałował go w policzek.

— Chętnie z tobą wypiję, najmilejszy druhu — zawołał, klepiąc Walka po plecach.— Wszelako we trzech przyjemniej nam będzie ucztować. We trzech się dziś zabawimy.

— We trzech? — zdziwił się Mrzygłód.

— Spotkałem na rynku podług ratusza pana podstarościego. Zaprosił cię na zamek na biesiadę. Dowiedzieć się pragną od ciebie przy kielichach, co się stało z królewską flotą. Pójdiesz ?

— Fawor to dla mnie niemały, ale wstyd mi iść w tych łachmanach w odwiedziny do szlachcica, królewskiego urzędnika.

— Pożyczę ci znaczne szatki.

— Chyba że tak.

Pośpieszył sknera do alkowy, otworzył skrzynię, w której chował zastawy. Podał dobo-szowi czystą koszulę, sukienne hajdawery, buty czerwone, srebrne ostrogi. Wyjął szafranowy żupan, kontusz z czarnego aksamitu, złotolity pas, sobolowy kołpak. Wystroił się Mrzygłód jak wojewodzie na wesele. Kord przypasał. Na pięcie przed zwierciadłem się okręcił. Potem przez nie myte szybki okna wyrżał

na dwór.

— Eee — skrzywił się. — Na ulicy błoto po kolana. Nie pójdę dziś na zamek.

— Czemu? — zaniepokoił się Pasibrzuch.

— Buty twoje bym zabłocił. Nie chcę szkody twej, przyjacielu. Gdybyś mi się o konia pod wierzch postarał, to insza sprawa.

Łyk podskoczył, jakby mu się ziemia paliła pod stopami. Pobiegł na podwórko, otwo-rzył stajnię, osiodłał rosłego bułanka, wyprowadził go przed dom. Dobosz już tu czekał. Skoczył na kulbakę. Pozwolił kutwie ująć wodze i zaprowadzić rumaka błotnistymi uliczkami na Zamkową Górkę.

— Panie podstarości — krzyknął imć Wincenty stanąwszy pod bramą na zwodzonym moście. — Przyproważyłem zbrodniarza. Oto on, rabuś, hultaj, wydrzysakiewka!

Podstarości wyjrzał z okna barbakanu. Popatrzał na strojnego jeźdźca pod bramą.

— Tyś, wiera, z kretesem oszalał — huknął z góry na Pasibrzucha. — Ten szlachetny pan miałby na drogach grabić? *Mente captus* z ciebie. Gadałeś przecie, iż jakowys obdarty łążęga...

Walek skłonił się sobolowym kołpakiem.

— To zaiste szalony, mości panie, człek — zaśmiał się pokazując białe zęby. — Gotów powiedzieć, że i te szatki, które noszę, nie moje, jeno jego są.

— Dalibóg, że moje — wrzasnął łyk.

— Tedy może i ów konik twój ?

— Wiadomo, że mój! Przysięgam na wszystko, co święte, zem go uczciwie nabył od jednego panicza, który trzosik swój do ostatniego szelęga w portowej przegrał szynkowni.

— A nie mówiłem — triumfował Mrzygłód. — Dziw mi, panie bracie, że tacy oto ludzie po ulicach starościńskiego grodu luzem chadzają i mat czynią, zaczepiając spokojnych podróżnych.

Lichwiarz pnieć się zaczął z bezsilnej złości. Bosymi nogami tupał. Rękami machał. Pięścią w piersi się bił.

— Moje, moje, wszystko moje — bełkotał.

Podstarości kazał go więc w kij związać i zanieść do świętojerskiego szpitala za Gdań-ską Bramą, a żołnierzowi życzył szczęśliwej drogi.

— Ostańcie z Bogiem, mości panie — pożegnał go Walenty.

Pokłonił się z siodła. Poklepał bułanka po grzywie. Pocwałował przez rynek na Ryba-cką. Bęben swój zabrał z Pasibrzuchowego domostwa i opuścił nadmorskie miasteczko. Polami nad zatoką siwą, kwitnącą rybackimi żaglami, pojechał ku Rzucewu, bijąc w bęben wierny i śpiewając buńczucznie:

*Szczędził butów imć Wincenty,  
gole wolał zdzierać pięty,  
lecz i z ludzi zdzierał skórę,  
bo podleca miał naturę,  
nie bał się, że w piekło wpadnie,  
ukarałem go przykładnie,  
bum, bum, bum!  
Może teraz zdejmie skrucha  
obłudnika Pasibrzucha,  
mądry stanie się po szkodzie,  
biednym więcej nie dobodzie.  
Ogłoś jego los stugębnie,  
okrętowy, wierny bębnie,  
bum, bum, bum!*

Jak króla powitano go w rodzinnej wiosce. Uściskał ojca-biedaka, za zdobyte dukaty sołectwo kupił w pobliskim Smolnie i bębniąc zwoływał chłopów na narady, ławników na sądy sprawiedliwe. Żył długo i szczęśliwie, jego zaś bęben dłużej jeszcze służył Kaszubom. W ubiegłym wieku głos Mrzygłodowego bębna usłyszał pan Czorliński, gdy przez Smolno wyprawił się do Pucka kupować sieci.

Kto wątpi w to, niech zajrzy do książeczki, w której Jarosz Derdowski opisał jego przygody.

## **PRZYŁĄDEK OGNISTEJ GWIAZDY**

*Odleciały obłoki miewie,*

*na Skaczenach diabeł się miota,  
sztorm i noc szturmują Rozewie,  
nad Rozewiem gwiazda lśni złota;  
to latarnik wspiął się na wieżę  
i ognistą gwiazdę zapalił;  
sztorm i noc szturmują wybrzeże,  
diabeł w ciemnej miota się fali,  
piana wąską zalewa plażę,  
w bukach wichrzą się szumy, świsty,  
z mroku morza patrzą żeglarze  
na Przylądek Gwiazdy Ognistej.*

Na przylądku Rozewia, najdalej na północ wysuniętym skrawku naszej ziemi, o którego urwiska rozbijają się z hukiem pienne fale morza, stoi stara wieża. Latarnik Władysław co wieczora wspina się po krętych schodkach na jej szczyt i zapala promienne światło, wskazujące drogę kutrom, rybackim trawlerom, statkom, które płyną w mroku po Bałtyku.

On to opowiedział mi te legendy zasłyszane przed laty od ostatniego z potomków rodu Kisterów, rozewskich latarników, gospodarzących tutaj już za króla Zygmunta Wazy czy w jeszcze dawniejszych wiekach.

Oto one:

## I. O mądrym rybaku i głupim diable

Zamierzchłymi czasy, gdy na kępie Rozewia szumiał jeszcze królewski las, morze tu przy urwistym haku było spokojne i gładkie jak lustro. W toniach jego stawiał sieci jeden tylko jedyny rybak: Fabisz. Nie wiadomo kiedy i skąd przywędrował na to pustkowie. Tyle jeno wiadano, że tego wziął się do roboty. Wyciosał czółno, udziergał sieci, zbudował checz przy Osowym Dole, jak wtenczas nazywano dzisiejszy Lisi Jar. Stąd Fabisz zyskał sobie przydomek „Osowego”. Żył sam na sam z Bałtykiem, ludzie bowiem nader rzadko zjawiali się w tych stronach. Czasem tylko przychodzili z

toporami i końmi zaprzężonymi do wozów tupadlanie, mieraszyńcy lub czarnowscy młynarze, którzy z dawien dawna mieli prawo wyrębu w rozewskiej kniei. Stukały wtedy w ciemnym ostepie siekiery. Waliły się grube pnie. Padały na mchy zielone korony dębów, sosen, buków. Kwiczały klacze. Potem wracała samotność i jedynie wiatr szumiał nocami w krzewach żarnowca, rosnących przy Fabiszowej sadybie:

*W rozewskim lesie  
hukają sowy,  
lis gąskę niesie  
przez Dół Osowy,  
mech tłumi kroki  
czarta Gniewnika,  
co się wysokim  
lasem przemyka.*

Dobrze wiedział wiatr, co dzieje się na przylądku. Diabeł Gniewnik bez ustanku krążył koło nadmorskiej chaty i w najrozmaitszy sposób kusił rybaka, aby mu sprzedał swoją duszę. Kaszuba odpędzał go, gadać z nim nie chciał, na koniec jednak obrzydły mu ciągle nagabywania.

— Zgoda — rzekł któregoś ranka spotkawszy biesa przy łodzi na strądzie, u gardzieli Osowego Dołu. — Zapiszę ci moją duszę, jeśli przekonasz mnie o swej mocy.

— Zrobię wszystko, co zechcesz — zapewnił radośnie czart. — Mogę ci dać królewską koronę.

— Nie chcę. Piękniejsze są stokroć zielone korony mojego lasu na kępie.

— To ofiaruję ci tyle złota, ile zapragniesz.

— Złota mam pod bokiem więcej niż krzyżacki mistrz w Złotej Wieży Malborka. — Fabisz niedbale wskazał zarośla żarnowca kwitnące złościście na urwiskach i zboczach wądo-łu.

— Rzekłeś, że mam cię przekonać o mojej mocy — nie ustępował Gniewnik. — Jestem tak silny, że z łatwością mogę przenieść rybacką barkę z Małego na Wielki Strąd Między-morza.

— Takiej sztuki dokonał przecież mój druh szyper Kustusz z Jastarni. Dwa razy prze-niósł na barkach wielkie czółno maszopów

znad zatoki nad Bałtyk.

— Ale tego by nie dokazał?!

Diabeł podniósł ogromny złom granitu leżący na kamienistym brzegu i cisnął go daleko w morze.

— Wystarczy? — zapytał.

Osowy pokręcił głową.

— Matka Kaszubów, stolimka Ewa z Oksywia, dalej głazy miotała. Dowiesz się o tym, jeśli zajdziesz do świętojańskiej karczmy na gdyńskim rozdrożu.

— Cóż tedy chcesz? — zniecierpliwiał się kusiciel. — Uczynię wszystko, by ci pokazać mą siłę.

— Żebyś ty tak potrafił utrzymać kotwicę żeglującej łodzi — chytrze napomknął rybi-twa — to byłby dowód.

Napuszył się bies.

— Fraszka, przyjacielu!

Pospołu zepchnęli czółno ze strądu i wypłynęli. Kaszuba rozwinął żagiel. Kiedy oddalili się już od wybrzeża, wziął z dna łodzi linę i zwrócił się do rogatego towarzysza żeglugi takimi słowy:

— Przywiążę cię teraz do ramion kotwicy, żebyś bez trudu poszedł na dno. Skoro tam staniesz i zatrzymasz moją żeglującą pod pełnym żaglem łódź, będę twój.

Bies skinął łbem na znak zgody. Rybak przywiązał mu ręce do żelaznych zębisk kotwi-cy. Przeżegnał supły i jednym pchnięciem wyrzucił czarta za burtę. Zabułgotała woda. Gniewnik poszedł na dno jak kamień. Znalazłszy się wśród omszałych głazów i wodorostów, zaparł stopy w grząski piach. Jął szarpać linę, by zatrzymać czółno, tak jak to przyobiecał. Rozskakały się fale. Piana z szumem chlusnęła na czub diabelskiej rafy, na granitowy zrab skały dopiero co rzuconej w toń z brzegu przy Osowym Dole.

— Źle ze mną — zaniepokoił się rybak. Łódź mimo wiatru wydymającego żaglową płachtę płynęła teraz wolniej, grzęzła w morzu jak w lepkiej smole.

Nie chcąc, by czart był górą, mądry Kaszuba przeciął linę i zawrócił do brzegu. Rad, że udało mu się raz na zawsze pozbyć natręta, słuchał pokrzykiwań mew, trzepotu żagla, wesołego poszumu wiatru:

*Czarcie Gniewniku,*

*co dusze grabisz,  
na dno Bałtyku  
posłał cię Fabisz,  
już się skończyły  
twoje połowy,  
górką nasz miły  
Fabisz Osowy.*

Od tej pory żaden już zły duch nie przemykał królewskim borem, nie straszył drwali, nie nagabywał mądrego rybaka ani w checzy, ani na strądzie przy suszących się sieciach, ani w czólnie podczas połowu. Ale spokojne morze pod Rozewską Głową zmieniło się bardzo, a toń jego, rozprzestrzeniającą się za gardłem Osowego Dołu, nazwano: „Skaczeny”.

Ile bowiem razy zrozpaczony Gniewnik próbuje zerwać węzły i wydostać się z pułapki, fale poczynają tu gwałtownie skakać, kotłują się i pienią jak war, a z dna głębiny dochodzi przeraźliwy ryk spętanego diabła, który wścieka się od stuleci na kaszubską przebiegłość.

## II. Kto pierwszy zapalił ogień na Rozewiu?

Gniewne morze przy Rozewiu stało się wkrótce postrachem sterników. Niejeden okręt, trafiwszy między Skaczeny, znalazł tutaj ostatnią przystań na kamienistym dnie, pośród ryb, rozgwiazd i wodorostów. Niejeden korab rozbił się na ostrych, sterczących z wody głazach.

W dzień omijali żeglarze to niebezpieczne, diabelskie miejsce, ale w ciemnościach nocy nieraz zapędzał ich nieprzyjazny wicher w rozewskie kipiele. Coraz to więcej okrętowych wraków czerniało w bieli pian pod urwiskami przylądka. Coraz to więcej marynarzy padało ofiarą złośliwego Gniewnika, przywiązanego do utopionej kotwicy. Najgroźniejszą zaś pułapką była diabelska rafa, wielki złom granitu, wynurzający się, jak czarny kiel, z kotłowiska fal, ochrzczony cudzoziemskim mianem: „Frank”.

Frank Guldensztern — tak się ongi zwał dobry żeglarz i bogaty



kupiec z Kalmaru. Gmerkiem kupieckim, wykutym nad drzwiami jego domu — stojącego tuż pod zamkiem przy kalmarskim moście — była złota gwiazda. Jej też imię nosiła koga imci pana Franka, który zwykł był chlubić się częstokroć w portowych kantorach, giełdach, gospodach:

*Złota gwiazda,  
gwiazda wierna,  
córa Wielkiej  
Niedźwiedzicy,  
wiedzie korab  
Guldenszterna  
przez kipiele  
nawałnicy.*

Częściej przebywał na morzu niż w domu, utracił bowiem podczas czarnej zarazy całą rodzinę z wyjątkiem najmłodszej córki, jasnowłosej Krysty, ta zaś towarzyszyła ojcu we wszystkich żeglugach. Gotowała strawę załodze. Karmiła mewy ciągnące śnieżnymi stadami za sterem okrętu. Poznawała nadbrzeżne przystanie: kamienny Rewal, gwarną Rygę, wieżasty Strzałów. Poznawała języki ludów wszystkich wybrzeży Bałtyku. Zdobywała ludzkie serca.

— Przynosisz mi szczęście, moja corno — mawiał brodaty kupiec. — Nigdy mi się je-szcze tak nie darzyło, jak teraz, kiedy ty jesteś przy mym boku.

Kupował jej pierścienie kute przez gdańskich złotników, królewieckie bursztyny, flandryjskie sukna, zamorskie jedwabie. W pięknej, strojnej i dobrej Guldenszternównie kochała się na zabój cała załoga od okrętowego chłopca aż do sternika. Co wieczora marynarze zaślu-chiwali się w jej dźwięczny i tęskny śpiew, dochodzący z szyperskiej kajuty, z wysokiego kasztelu:

*Wielka Niedźwiedzico,  
ty gwiaździstooka,  
nie kryj się za chmury,  
jeno świeć z wysoka,  
jeno świeć z wysoka*

*i sprzyjaj w tej drodze  
przez kipiele morza  
ojcu i załodze.*

Sprzyjały też kalmarskiemu szyprowi i gwiazdy, i wiatry, jakby zakłęte pieśnią jego có-ry. Mewy siadały na masztach, rejach, bukszprycie, aby posłuchać śpiewu jasnowłosej Szwedki. Morświny wynurzały się z fal i ciągnęły wesołym orszakiem wokół burt, a stary Frank gładził siwiejące brodzisko i powtarzał beztrosko:

— Miłuje cię morze, córo moja. Póki ty jesteś z nami na pokładzie, nic nam nie grozi.

Nie przestał tak mówić nawet wtenczas, gdy nadeszły sztormy jesieni. Gniewnik znów jął się szarpać na Skaczenach, w podwodnym więzieniu, rycząc i budząc grzywiaste fale. Okręty chroniły się w przystaniach Kołobrzegu, Darłowa, Helu, Gdańska. Sternicy z lękiem omijali gniewne wody pod Diabelskim Hakiem. *Złota Gwiazda* mimo to jednak wyszła z Gdańska w morze, by pożeglować do Roztoku. Szwedzki kupiec, dufny w to, że jego znak i Krysta nieodmiennie przynoszą mu szczęście, zaśmiał się, kiedy gdańszczanie przestrzegali go, by nie opuszczał bezpiecznego portu, nie puszczał się w sztormowy czas na czartowską toń przy Rozewskiej Głowie.

Nie zwlekając kazał okrętnikom podnieść kotwicę. Wyszli za Wiślaną Wrótnię, minęli piaszczysty jezor Helu. Koga pod wybrzuszonymi żaglami wzięła kurs na północny zachód. Wiatr świstał w takielunku, z szumem kłębił chmury.

— Nord-west, trzymaj nord-west — krzyczał sternik do marynarzy, borykających się z drażącym ciężkim rudła.

Zapadł mrok. W kasztelu zapalono latarnię. Guldensztern, pochylony nad mapą i zalegającymi stół księgami locji, zwrócił się do córy, która siedziała na krawędzi koi, haftując na ojcowej sakiewce gwiazdy pozłociste, ogniste komety, srebrne księżycy, promieniste słońca:

— Już po wieczery. Spocząć pora. Zaśpiewaj mi, jak co dzień, którąś ze swych pieśni.

Krysta posłuchała prośby ojca. Posłusznie wstała z koi, podeszła do okna, za którym pluskały fale o burty dębowe, zaczęła nucić:

*Wielka Niedźwiedzico,*

*okrętników matko,  
świeć z mrocznego nieba  
żeglującym statkom,  
świeć z mrocznego nieba,  
gwiazdooka pani,  
korab ojca mego  
zawieź do przystani.*

Zasłuchał się w pieśń młody marynarz w chybotliwym koszu bocianiego gniazda na krojcmaszcie. Zadumał się i rozmarzył sternik, wbijający w ciemność oczy, oparty dłonią o bukszpryt nawy. Nie zauważył, że czarny obłok zakrył gwiazdę przewodnią. Nie spostrzegł, iż Bałtyk zaczyna podnosić, jeżyć pienistą grzywę. Nie odgadł zbliżającego się niebezpieczeństwa.

— Nord-west, trzymaj nord-west — powtarzał raz po raz machinalnie i zamyślony sterował na oślep przed siebie, prosto na niewidzialną rafę pod Diabelskim Hakiem.

Nagle jęknęły wręgi. Trzasnęła burta rozdarta granitowym kłem. Zachybotał okręt, dziób zadarł wysoko i począł tonąć z przerażającą szybkością. Woda z łoskotem wydarła się do ładowni. Zalała pokład. Wtargnęła do kasztelu. Jęknął okrętowy dzwon. W ciemności skłębiły się krzyki rozbitków:

— Giniemy!

— O złota gwiazdo. O córo moja. Gdzieżeś jest?

— Ojczy, ojczy...

— Ratunku, kamraty, za burtę mnie zmiotło!

Huk kipieli, ryk Gniewnika targającego węzły Fabiszowej liny, łopot wichru — zagłu-szyły głos dzwonu i wołania tonących. Zamknęła się wzburzona toń nad wierzchołkami masztów kogi Franka Guldenszterna. Fale strąciły w otchłań tych, którzy zdołali się chwycić oślizłej rafy. Na dno poszli marynarze. Z całej załogi uratowała się tylko jasnowłosa Krysta. Morświny uniosły ją z wirów, a przewal wyrzucił na rozewski brzeg.

— Ocalałam, a oni? — jęknęła i, szalona z rozpacz, jęła wspinać się na urwisko.

Z wodorostami w rozplecionych włosach i fałdach przemoczonej sukni nazbierała gałęzi, chrustu, igliwia. Pod ciemną ścianą królewskiego lasu ułożyła na przyładku wysoki stos, by ojcu i jego

żeglarzom, jeśli uczeplieni szczątków rej, masztów, desek walczą jeszcze tam w ciemności z grzywaczami, wskazać drogę do lądu. Nie miała jednak krzesiwa ni hubki, aby rozniecić ogień. Wołała więc bezsilnie, wyciągając białe ramiona ku gniewnemu morzu:

— Ojczy, ojczy miły...

Nie doczekała się odpowiedzi. Jeno w dębach, sosnach, bukach wicherzyły się jęki, świsty, poszumy:

*Gwiazda złota,  
gwiazda wierna,  
córa Wielkiej  
Niedźwiedzicy,  
zwiodła korab  
Guldenszterna,  
na dno poszli  
okrętnicy...*

Brodaty kupiec ze swoją okrętniczą czeladką znalazł już grób na dnie, ale z checzy przy Osowym Dole przybiegł zwabiony nawoływaniem młody rybak z gorejącym łuczywem. Ujrzał pannę jasnowłosą, rozszlochaną. Podszedł do niej. Wysłuchał jej opowieści o rozbiciu na diabelskim zębie, o zatonięciu *Złotej Gwiazdy*. Spierzchniętą ręką nieśmiało otarł łzy toczące się po jej białych policzkach.

— Nie płacz, panno śliczna — pocieszał ją dobrotliwie. — Zgasła *Złota Gwiazda*, zapalimy tedy tutaj ognistą gwiazdę, aby wzeszła nad hak i świeciła rozbitkom.

Podpalił łuczywem stos. Razem podsycali ogień aż do świtu. Na próżno.

— Chodź do mej checzy — rzekł rybak, kiedy ognisko się dopaliło i czerwona zorza błysła nad falami. — Tu nie doczekasz się nikogo. U mnie odpoczniesz, ogrzejesz się, posi-lisz. Jeśli zaś zechcesz, będziesz mogła pozostać ze mną na zawsze.

— Dzięki ci za dobre serce — szepnęła. — Sama zostałam na świecie. Gdyby nie ty, rzuciłabym się chyba z urwiska w fale, które mi ojca zabrały.

I tak to stało się, że Krysta Guldensztern poślubiła kaszubskiego rybitwę znad Osowego Dołu. Do śmierci nie opuściła rozewskiego

przyłądka. Co nocy zaś rozpalala na stromym haku ogień, aby czerwone jego płomienie, widoczne daleko na morzu, uchroniły zbłąkanych rybaków i żeglarzy od losu jej ojca, którego imieniem nazwany został ostry głaz, sterczący ze śnieżnych pian. Kiedy po wielu latach umarła, czynili to samo jej synowie i wnukowie, mieszkający na Przyładku Ognistej Gwiazdy. Marynarze z wdzięcznością śpiewali o nim:

*Zaszyła się w chmurach  
Wielka Niedźwiedzica,  
ale na przyładku  
wiatr ogień podsyca,  
dla tych, co żeglują  
w sztormowych poświstach,  
gwiazda nad Rozewiem  
jarzy się ognista.*

A Gniewnik pienił się i zgrzytał na dnie opodal diabelskiej rafy, wściekły, że złość jego jest bezsilna.

### III. Przemienieni w buki

Płynęły lata, mijały wieki, ale ognisko na Rozewiu nie wygasało. Przetriebiono króle-wski bór. Na rozkaz polskiego króla wymurowano na najwyższym wzniesieniu przyładka okrągłą wieżę, by zbawczy płomień, na szczycie jej rozniecany, ogarniał większą jeszcze przestrzeń morza, opiekę zaś nad nim powierzono potomkom Osowego Fabisza i Krysty Guldenszternówny.

Dobrze się wywiązywali latarnicy ze swego obowiązku. Nigdy prawie nie opuszczali samotnej baszty. W burzach i zawiejach wiernie trwali na posterunku. Wielu bałtyckich mary-narzy zawdzięczało im ocalenie od mokrej śmierci. Także król Zygmunt Waza, wracając ze Szwecji, dzięki ognistej gwiazdzie, która w porę weszła nad hakiem, uniknął rozbicia na Skaczenach, za co zamierzał nagrodzić latarnika bogatym gburstwem w jednej z wiosek pu-ckiego starostwa. Ale strażnik latarni nie przyjął darowizny. Był nim ostatni z rodu

jasnowłosej Krysty, młody Wit.

— Pozwólcie mi, panie miłościwy, zostać tutaj, gdzie kości ojców mych spoczywają — powiedział klękając przed królem.

Jakoż tak było, że latarnicy nawet po śmierci nie opuszczali Rozewia. Grzebano ich nie na strzelińskim czy swarzewskim cmentarzu, ale na gliniastej kępie, w pobliżu latarni. W krzewach złotego żarnowca czerniały pochylone krzyże na ich mogiłkach, a mewy zawodziły nad nimi żałobne pieśni.

Witowi milsze były co prawda piosnki modrookiej Agnieszki, córki sołtysa Łyka z pobliskich Tupadeł. Kochał się w niej i nieraz patrzył ze szczytu swej wieży ku tej wiosce, z której strzech biły w niebo siwe dymy. Mrużył powieki, dłoń podnosił do oczu, wypatrywał, czy wąską dróżką pośród zbóż i pastwisk nie nadchodzi jego ukochana.

— Wit, Wit — wołała już z daleka, powiewając białą, wyszywaną chustką.

Zbiegał wtedy po stromych schodkach z baszty. Co tchu spieszył naprzeciw dziewczynie. Prowadził ją nad morze, siadywali na jednym z głazów, patrzeli na fale podbiegające do ich stóp. Marzyli o szczęściu.

Modrooka sołtysówna nuciła cichutko:

*Siadła biała mewa  
na okrętu maszcie,  
zapaliła ogień  
na wysokiej baszcie,  
płonie ogień w górze  
nad gniewnym przybojem,  
ale mocniej płonie  
małe serce moje.*

Cieszył się Wit. Ścisnął ręce dziewczyny. Zbierał dla niej fioletowe kwiaty mikołajka. Zrywał naręcza bursztynowych gałązek żarnowca. Gdy jednak tylko zaczynało zmierzchać, wracał na swój posterunek.

— Ślubowałem, najmilsza — żegnał się z tupadlanką na progu wieży. — Przysięgłem przed królewskim starostą na puckim zamku, iż żadnej nocy, od zmroku do świtu, nie opuścę latarni, choćby

ziemia w posadach się trzęsła, a morze z brzegów wystąpiło. Musimy się tedy rozstać. Do jutra.

— Niedługo już, a będę czuwać razem z tobą — odpowiadała Agnieszka. — Przecież w tę niedzielę swarzewski pleban ogłosił pierwsze zapowiedzi naszego ślubu. Gdy zaś trzeci raz spadniemy z kazalnicy, nic już nas rozdzielić nie zdoła.

Z niecierpliwością oboje wyczekiwali godziny zaślubin. Ogłoszono pierwsze i drugie zapowiedzi. Sołtys Łyk kupił już w strzelińskiej karczmie beczkę piwa i pojechał do czarno-wskiego młyna, by zemleć ziarno na biały kołacz weselny. Sołtysowa wyjęła z malowanej skrzyni czepiec ze złotogłowiu na czepiny najstarszej z cór. Latarnik bielił i przystrajał izdebkę w baszcie na przyjęcie młodej, urodziwej żonki. Umawiał się z trębaczem, by objechał okolicę i, trąbiąc przed checzami, spraszał gości na weselisko. Wesoło patrzył na puste morze. Śmiał się z ryków utopionego diabła, które dawniej straszyły go po nocach.

*Złość się, Gniewniku,  
rycz głośniej jeszcze,  
nic mi nie zrobisz  
ani Agnieszce,  
jutro ślub weźmiem,  
ja i Agnieszka,  
i na latarni  
szczęście zamieszka.*

Ostatniej wszakże nocy przed dniem wesela zaszła rzecz straszna a niespodziewana. Z dali przyplłynęły wojenne orlogi szwedzkiego króla Gustawa. Nawy o masztach wysokich, ogromnych żaglach, burtach najeżonych paszczami armat rzuciły kotwice za Skaczenami, na-przeciw gardzieli Osowego Dołu. Spuszczono szalupy. Załadowano na nie beczki z prochem, działa, konie, żołnierzy zbrojnych w muszkiety i płonące lonty. Marynarze chwycili wiosła. Czółna podeszły pod brzeg.

Wit dostrzegł ich ze szczytu latarniczej wieży. Widział, jak chorążowie rozwijają szta-ndary, rajtarzy w kapeluszach o szerokich rondach, fałdzistych opończach, czarnych koletach, w palonych butach z ostrogami siadają przy blasku pochodni na tęgie konie.

Widział, jak drabanci nabijają muszkiety, ustawiają się w szyki i ruszają ku śpiącym wioskom kępy. Słyszał werble doboszy, trąbki pułkowych trębaczy, gardłowe komendy, żołnierskie śpiewki, wieszczące wybrzeżu sądny dzień:

*Naprzód, rajtarzy  
króla Gustawa,  
kędy przejdziemy,  
nie wzrośnie trawa,  
przepłynęliśmy  
przez morze sine,  
aby obrócić  
kraj ten w perzynę.*

Migotały kagańce i pochodnie. Głucho dudniły bębny, tupot kopyt, kroki maszerują-cych rot. Truchlało serce młodego latarnika. Rzucił niespokojne spojrzenia to ku flocie zako-twiczonej na morzu, to ku Tupadłom, wciąż jeszcze pograżonym we śnie i mroku.

— Agnieszka — szeptał drżącymi wargami. — Cóż z nią się stanie? Porwą ją albo zabiją...

Targał nim niepokój o narzeczoną, o przyszłych teściów, o kaszubskich rybaków, gbu-rów, młynarzy. Pragnął gorąco ostrzec ich przed niebezpieczeństwem. Skoczył na schody, by zbiec z wieży, ale zatrzymał się wpół drogi, przypomniawszy sobie przysięgę złożoną na puckim zamku w dniu, gdy po ojcu obejmował urząd rozewskiego strażnika: „Choćby ziemia w posadach się trzęsła, choćby morze z brzegów wystąpiło, nie opuszczę latarni od zmroku aż do świtu, nie odstąpię ognia...”

Wierny ślubowaniu, pozostał na posterunku. Podkładał dREW do ognia, lał smołę do ko-tła, podsyczał płomienie, aż buchnęły wysoko ku chmurnemu niebu. Ufał, że może ta większa niż zazwyczaj łuna obudzi śpiących Kaszubów, powiadomi ich wczas, że wróg najechał spo-kojną ziemię. Mieszkańcy Rozewskiej Kępy nie zauważyli jednak sygnału ognistej gwiazdy. Dostrzegli go za to najeźdźcy. Pułkownik w kapeluszu ze strusimi pióry wyszarpnął z pochwy rapier. Srebrną klingą wskazał basztę na przylądku.

— Zająć latarnię — rozkazał podkomendnym. — Ugasić ten ogień przeklęty.



Załomotały kopyta po gliniastych grudach. Wąską drożyną, wijącą się po dnie Osowego Dołu, ruszył podjazd. W stalowych hełmach jeźdźców błyskały rdzawe odblaski pochodni. Po niedługim czasie rajtarzy dotarli pod samotną wieżę. Pozeskakiwali z kulbak. Kolbami mu-szkietów wyłamali zamczone drzwi. Po spadzistych stopniach wdarli się hurmem na szczyt latarni. Otoczyli zewsząd strażnika. Krzyczeli, groźnie ruszając wąsiskami:

— Zgaś ogień!

Wit nie posłuchał rozkazu nieprzyjaciół. Własną pierś zasłonił ognisko. Nie odstąpił od kotła, chociaż oślepiła go niemal połyskliwa stal obnażonych rapierów.

— Nie zgaszę!

Bryznęła krew. Runął latarnik z pierśią przebitą siedmiu klingami. Zrzucano z wieży kocioł. Rajtarskie buty zdeptały ogień. Uderzyła pod chmury czerwień łun podpalonych wsi. Żołdacy grasowali po kępie rabując checze, rżnąc ryczące bydło, porywając przerażone bia-łki. Kaszubi uciekali w popłochu. Półnaczy, osmaleni pożogą kryli się po borach, wądolach, żarnowcowych gęstwinach, grzędach otoczonych mokradłami.

— Szwedy, Szwedy — szedł jęk nad wybrzeżem.

Biły na trwogę dzwony w Łebczu, Strzelnie, Swarzewie, Żarnowcu. Wschodzące słońce przesłoniło pobladłą twarz żalobnym welonem chmur. Przez cały dzień Szwedzi podpalali stodoły, palili z muszkietów, plądrowali dwory i kościoły, rabowali szaty, pierzyny, pienią-dze. Przytraczcali do siodeł schwyte gęsi. Pod wieczór jeden z podjazdów rozpałił ognie biwaku pod wygaszoną latarnią. Rajtarzy na rapierach piekli nad płomieniami oskubane gęsi, pili skradziony miód, śpiewali triumfalnie:

*Według praw wojny  
i Marsa ustaw  
żyć nam rozkazał  
śmiały król Gustaw,  
Mars żołąd nam daje,  
wojna nas karmi,  
nie ma bitniejszej  
niż nasza armii.*

W tej samej godzinie Agnieszka Łykówna, zatroskana o los

narzeczzonego, wykradła się chyłkiem z lasu, gdzie wraz z ojcem i tupadlanami schroniła się przed najazdem. Podeszła pod wieżę. Ujrzała Wita. Z rozkrzyżowanymi ramionami, z piersią siedemkroć przebitą zwi-sał głową na dół z jednego z trzech okrągłych okien, które ciemniały w murze, okalającym szczyt latarni.

— Zabili go — przesłoniła oczy.

Przerażona widokiem, zastygła w miejscu jak posąg, a najeźdźcy po dawnemu śpiewali chrapliwie:

*Lecą po niebie  
chmury jak kruki,  
wicher na kępie  
ugina buki,  
jak kruk skrzydlaty  
czarna gna chmura,  
lecz nas nie ugnie  
żadna wichura.*

Dziewczyna, ocknąwszy się z odrętwienia, zmierzyła ich źrenicami błyszczącymi jak ogniste gwiazdy. Podniosła rękę, zaciśniętą w pięść gniewu. Zawołała z mocą, jaką tylko krzywda daje głosowi:

— Szewluchy, grabieżcy, zbójce siedem razy przekłęci. Bodajeście za tę krew niewinnie przelaną nigdy już nie ujrzeli ojczystych brzegów. Obyście się przemienili w buki, wieczyście szarpane wichrami, smagane bałtyckim sztormem.

Szwedzi, by pomścić zniewagę, porwali się od ognisk żołnierskiego obozowiska. Wsta-li, lecz klątwa Agnieszki Łykówny przygwoździła ich do ziemi. Tajemnicza moc ujarzmiła ich nogi. Poczuli, że palce ich, obejmujące rękojeści rapierów, przemieniają się w gałązki, że buty korzeniami wrastają w glinę, siwa kora pokrywa kolety, a włosy rosną, jeżą się, tężeją i przeistaczają w liście...

Siwe buki stanęły gromadą na przyładku. Zaszumiały jękliwie w morskim wietrze. Agnieszka spojrzała na nie i powoli poszła po schodach na szczyt wieży. Pochyliła się nad martwym Witem. Głowę jego ujęła w ręce. Zanuciła żałośnie:

*Siadła biała mewa*

*na okrętu maszcie,  
nigdy nie zapalisz ognia  
już na baszcie,  
ciemna stoi wieża  
nad białym przybojem,  
ale dalej płonie  
biedne serce moje.*

Potem pogrzebano Wita obok mogiłek jego przodków. Polscy żołnierze odparli najazd. Odplynęły szwedzkie orlogi. Nowy latarnik objął służbę na rozewskiej baszcie i znów, jak dawniej, rozbłysnął na jej szczycie zbawczy płomień. Ale buki, które co roku w świętojańską noc szumem powtarzały swoje dzieje, nie dawały za wygraną. Jakby mszcząc się za klątwę, rosły coraz wyżej i próbowały gałęziami przesłonić ogień, błyskający na wieży.

Dlatego to trzeba było latarnię nadbudować, aby rozewskie światło ponad koronami buków świeciło bałtyckim sternikom, jak ognista, przewodnia gwiazda.

## KOWAL KRÓLA WŁADYSŁAWA

*Kowalu, kowalu,  
trzymaj się kowadła,  
żebyś nie wyleciał  
kominem do diabła,  
bo czart zza komina  
już na ciebie zerka,  
a nam by żal było  
tęgiego majsterka.*

Za panowania króla Zygmunta i później jeszcze, kiedy berło Rzeczypospolitej dzierżył jego syn Władysław, podobno zdarzało się niekiedy rybakom z Międzymorza, Białej Góry, Rozewskiej Kępy czy

Wysokich Krajów Oksywia widywać północną porą na Bałtyku niesamowity okręt.

Czarny jak smoła, pękaty niby kufa, sunął bezszelestnie pod pełnymi żaglami wzdłuż wybrzeży, chociaż najlżejszy podmuch nie mącił morskiej powierzchni, nie muskał charszczy zarastających piasek wydm, nie budził z uspienia buków ni sosen na urwiskach przylądków. Zamiast flag trzepotały na masztach tej nawy rude płomienie. Za rufą snuł się zapach siarki. Mroczni marynarze ciągnęli liny żagli. Smoliści chłopcy okrętowi wspinali się na wanty, przyświecając sobie czerwonymi błyskami latarni. Z luków zaś, spod pokładu dochodziły po-brzękiwania rdzawych łańcuchów i przejmujące jęki więźniów.

— Oj, źle z nami — trwożyli się maszopi, którym przytrafiło się ujrzeć ową nocną zja-wę. — Okręt z czarnymi Szwedy podchodzi do naszego strądu.

Biegli co tchu ze złą nowiną do wsi i zaczynał się popłoch. Białki modliły się pod wize-runkami świętych, chłopci kreślili poświęcaną kredą na drzwiach wielkie krzyże. Dzieci płaka-ły. Chcze zamykano na trzy spusty, chodziły bowiem słuchy, że pojawienie się czarnego sta-tku niczego dobrego nie zapowiada. Gadano, iż kapitan jego, Antesser, chowa rogi pod szwe-dzkim kapeluszem, a ogon w pludrach. Że często gęsto szalupą wysyła na brzeg swoich cu-chnących smołą okrętników, ci zaś pierwszego napotkanego grzesznika chwytają bez pardonu za kołnierz i wloką żywcem do piekła.

Kogo raz zawleczono na pokład piekielnego okrętu, ten przepadał na wieki. Czyż jednak naprawdę nikomu nie udało się stamtąd powrócić? Nie ma reguły bez wyjątków. Nadmorscy Belocy i Rebocy mogą wam to potwierdzić, wspominając kowala z helskiej Kuźnicy, Pioterka Koziroga, zwanego Czortem, jako że czartami przy każdej okazji sypał jak z rękawa.

Ten Pioterk, z fachu — jak powiedzieliśmy — kuźnik, a z urodzenia rzetelny Kaszuba był czeladnikiem mocnym, tęgim, zadzierzystem. Przed nikim nie chciał zginać karku, z wszystkimi zadzierał, toteż nigdzie długo miejsca nie zagrzał. Z każdym panem, majstrem, chlebobdawcą prędzej czy później popadał w spory, po czym pakował czeladniczy węzełek, wieszał go na kiju i wędrował gdzie indziej szukać szczęścia.

Przez jakiś czas pracował u mistrza Remusa w młotowniach białych mnichów z Oliwy. Niecieężka tu była robota, gdyż ogromne młoty same poruszały się na żelaznych osiach i biły w kowadła, kiedy tylko podniesiono zastawę na potoku. Mimo to Koziróg nosem kręcił, narzekał na kiepski zarobek, piosnki szydercze składał i wyśpiewywał przy robocie:

*Też mi praca, taka praca  
całkiem mi się nie opłaca,  
wielkim jest nasz opat chciwcem,  
niech go diabeł porwie żywcem,  
w kuźni piekła za swe grzechy  
niech nasz opat dyma w miechy.*

Doszły o tych śpiewkach wieści do oliwskiego opata. Wezwał zuchwalca przed swe oblicze, do opackiego dworu przy starym klasztorze.

— Kozom ogony ci wiązać, a nie rymy — huknął.

Pioterk od dzieciństwa nie znosił jakiegokolwiek wzmianki o kozie, gdyż wietrzył w każdej przytyk do swego nazwiska. Zachnął się więc krnąbrnie i wypędzono go na cztery wia-try. Podobny los spotkał go następnie w kuźniach Kielna, Osowy, Kacka, Gdyni, Rumii. Nikt nie mógł z nim dojść do ładu. Zgoła i Piotr-klucznik krzywo patrzył zza chmur na swojego imiennika. Czy mógł zresztą spojrzeć nań łaskawszym okiem, skoro Koziróg, gdy sobie jeno w karczmie podchmielił, nie szanował nawet własnego patrona? Stawiał grajkom piwo, by zagrali mu do wtóru, i z kuflem w garści wyśpiewywał, aż w niebie było słychać:

*Zdrowie Piotra-apostola,  
twoje zdrowie, stary Piotrze,  
przyślijże mi tu anioła,  
niech mi gębę z piany otrze...*

Koniec końcem w roku bodajże 1635 zawędrował nasz kuźnik do Redy, w zieloną dolinę, gdzie klekotały mnogie młyny, a pod wieczór i z rana dymiły nadrzeczne torfowiska wśród leśnych pagórków. Tam to ugodził się z właścicielem hamerni przy moście, przez który wiódł

Królewski Trakt do Pucka. W początku września, gdy już zamknięto stawidła, kiedy ucichł huk wielkich młotów i zmiłkł dzwon bijący na Anioł Pański w redzkim kościółku Św. Katarzyny, przed kuźnicą zatrzymał ogiera jeździec w wielkiej peruce. Odziany z cudzoziemska w kapelusz ze strusimi piórami, długą opończę, rajtuzy i rajtarskie buty z ostrogami, zeskończył z kulbaki i zawołał:

— Hej, jest tam kto?

Usmolony Pioterk wytarł ręce w fartuch z poprzepalanej skóry. Dudniąc drewnianymi trepami wyszedł na drogę.

— Podkuj mi konia — zażądał podróżny. — Podkowę zgubił koło Rumii.

Kowal spode łba popatrzał na twarz obcego, ozdobioną wąsami i szwedzką bródką, a potem niechętnie, ponieważ śpieszyło mu się do karczmy, zabrał się do roboty. Dmuchnął w miechy. Rozżarzył ogień na palenisku. Uderzył młotem w kowadło. Szybko ukuł podkowę, lecz trudno mu było przytwierdzić ją do kopyta. Koń pełnej snadź krwi nie chciał stać w miejscu. Rzucił się na boki, trząsał grzywą, wierzgał.

— Grzebiesz się jak mucha w smole — zniecierpliwiał się nieznamy. — Kozy ci kuć w Pacanowie, a nie tak szlachetne, jak ten, rumaki!

Uśmiechnął się przy tym rad z żartu, a Kozirogowi żyły nabrzmiały na czole niczym postronki.

— Coś rzekł? — rozżościł się wspomniawszy wszystkie kozie przytyki, jakimi często-wano go od lat. — Ja, kowal nad kowale, kozy bym kuć miał?

Czerwony z gniewu podniósł młot. Zamierzył się na czarnego rajtara. Zagroził basem:

*Niech mnie w piekło bies powlecze,  
jeśli ci się to upiecze,  
zniewag ja nie puszczam płazem,  
odwet wezmę za obrazę,  
wykuję ci, panku szumny,  
ćwiek ostatni do twej trumny.*

Cofnął się podróżny. Dłonią w rękawicy łosiowej ukrytą do boku sięgnął. Wyszarpnął rapier z pochwy, odsłaniając przy tym kaftan z koronkowym kołnierzem. Na piersi rycerza błysnął złocisty łańcuch z

orderem Niepokalanego Poczęcia. Kowal ujrzawszy wizerunek Panny Marii na bogatym stroju przeciwnika, ochłonął. Opuścił rękę. Rzucił młot.

— Ona cię, purtku, uratowała — sapnął jak kuźniczy miech. — Żeby nie ten szkaplerz, byłbym cię grzmotnął, a wtedy nie byłoby co zbie...

Nie skończył. Na gościńcu załomotały kopyta. Jak burza przycwałował z dali oddział dragonów w czerwonych koletach, w hełmach stalowych. Konni żołnierze otoczyli Pioterka. Wymierzyli w niego nagie klingi. Dowódca ich, pucki starosta, imć pan Jakub Wejher we własnej osobie, krzyknął z siodła do zaskoczonego kowala:

— Chłopie szalony, wiesz ty, na kogoś ważył się podnieść bezbożną rękę?

— Dalibóg, nie — odrzekł Czort.

— Na najmiłościwszego pana naszego — zawołali dragoni. — Na króla Władysława. Dasz za to, łotrzyku, głowę.

Koziróg pobladł nieco.

— Raz kozie śmierć — mruknął posepnie i zaraz splunął ze złością. — Tfu, do licha. Znów ta koza mi się przyplątała. Wszystko przez nią. Gdyby mnie król jegomość nie przy-równał do pacanowskich partaczy, co jeno kozy kuć potrafią, nie popadłbym w te tarapaty.

Zaśmiał się Waza serdecznie.

— Rezolut z ciebie — poklepał kuźnika po muskularnym ramieniu. — Podobasz mi się. Potrzeba nam takich śmiałków. Chcesz pójść w nasze służby? No, podnieś głowę. Nie sromaj się już zapalczywego postępu. Daruję ci winę. Powiadaj: potrafisz kuć kotwice do króle-wskich okrętów?

Koziróg kułakiem uderzył w szerokie piersi jak obuchem w kowadło.

*Niech czart mnie porwie w piekła czeluście,  
wstydzę się jakby kozioł w kapuście,  
żem rękę podniósł na dobrodzieja,  
wždy w sercu moim żywię nadzieja,  
iż mi nie będzie wstyd mej roboty,  
jegomościulku, królu mój złoty,*



*dam ci ja radę każdej robocie,  
wykowam kotwy królewskiej flocie.*

Król uśmiechnął się po raz trzeci. Skinieniem ręki nakazał dragonom pochować rapiery.

— Zabierzemy tego osiłka na mierzeję — rzekł do starosty. — Osadzimy go w porto-wej kuźni przy szańcach budowanej tam warowni, która imieniem brata mego Kazimierza nazwana zostanie. Będiesz jedynym kowalem na całym Międzymorzu — zwrócił twarz ku Pioterkowi. — Jeno wprzód, służko miły, musisz podkuć mego ogiera.

Pioterk skłonił się w pas. Podkuł Władysławowego bachmata, siadł na jedną z kobył luzem wiedzionych i pojechał za królewską świtą przez lasy Rekowa do Pucka. Przenocowali w nadmorskim zamku obok przystani i fary pod wezwaniem Pioterkowego patrona. Nazajutrz ruszyli dalej. Minęli Swarzewo, Wielką Wieś i znaleźli się na helskich wyspach.

Kowal rozglądał się na wsze strony. Było też tutaj na co patrzeć. Zaludniły się niedawne pustkowia. Biły wysokie kafary. Furmani pokrzykiwali na konie, pchali wozy pni zrąbanych w Darżlubskiej Puszczy. Chłopi kopali fosy, umacniali faszyną brzegi przesmyków łączących morze z zatoką. Puszkarze zataczali armaty na wieloboczne szańce Władysławowa, wzniesiono nad Lasową Depką. W Kazimierzowie cieśle stawiali blokhauzy. Inżynierowie w aksomitach i forbotach pokazywali przybyłemu władcy mapy, plany, rysunki. Oprowadzali go po budowie. Mimo nawału zajęć nie zapomniał jednak król Władysław o nowym służebniku.

— Oto nowa twa sadyba — wskazał mu kuźnię, zbudowaną w cieniu najeżonych działami wałów fortu Kazimierza, tuż przy celnej komorze na Komórkowym Haku. — Pokaż, co potrafisz.

Stanął Koziróg przy kowadle. Zadymiła królewska kuźnica. Zahuczał młot. Rozległa się śpiewka buńczuczna:

*Jestem sobie kowal króla jegomości,  
kto żyw mi urzędu tego pozazdrości,  
będę walił młotem, będę dymał w miechy,  
piosnki śpiewać będę z okrutnej uciechy,  
bo niechaj mnie żywcem wszyscy porwą diabli,*

*jeśli młot kowalski gorszy jest od szabli,  
jeśli dobry kowal mniej wart od szlachcica,  
jeśli mu nie miłsza niżli dwór — kuźnica,  
słuchajcie, dragoni, cieśle, okrętnicy,  
jako kowal kuje w królewskiej kuźnicy,  
jak w kowadło bije raz z lewa, raz z prawa  
pierwszy morski kowal króla Władysława.*

Król, zlustrowawszy bałtyckie forty, odjechał niebawem z Międzymorza, ale Pioterk zwijał się dalej z równą gorliwością, jak wtenczas, gdy pańskie oczy przypatrywały się jego trudowi. Co świtu zakasywał rękawy koszuli. Obwiązany skórzanym fartuchem, dwoił się i troił dymając w miechy, wałąc młotem. W złotorudym deszczu iskier, w kirze dymisk, w cze-rwonym blasku ognia pracował jak wcielony diabeł.

— Buch, buch, buch — grzmiał młot.

— Kowal zuch — oddzwaniało kowadło.

Nie brakowało mu roboty. Okuwał koła dział i wozów. Naprawiał rydle, bosaki, siekie-ry. Gradem ciosów kształtował haki, łańcuchy, kotwy dla statków, stojących w przystani na zatoce koło przesmyku, który rybacy poczęli od pobliskiego warsztatu Pioterka nazywać Kuźnicą. Sławny stał się od miasta Helu po Wielką Wieś. Kaszubi przyprowadzali doń synów, prosząc, by ich wyuczył kowalskiego fachu, na co chętnie przystawał, bo jednemu człekowi, choćby był osiłkiem równym Samsonowi a robota paliła mu się w rękach, nie sposób było nadażyć z wykonywaniem obstalunków komendanta warowni i kapitanów wodnej armady.

Zaskarbił sobie szybko względy oficerów i celników z komory. Polubili go marynarze i dragoni, których czerwoną barwę z dumą nosił, jako jeden z kazimierzowskiej załogi. Dobrze się wśród niej czuł. Uderzeniami młota wtórował śpiewkom szyldwachów na okopach i żołnierzy, wymaszerowujących z fortu na codzienne patrole.

*Tam, kędy Polski kraniec,  
strzeżemy mokrych granic,  
w zawiei, w nawałnicy  
królewscy my strażnicy;*

*wytrwale i uparcie  
stoimy tu na warcie,  
zawsze służyć gotowi  
ojczyźnie i królowi.*

W cekhauzie, w komorze, w porcie — wszędzie był jak w domu. Z daleka poznawał wszystkie okręty króla jegomości: *Czarnego Orła, Proroka Samuela, Wielkie Słońce, Charitas, Białego Orła, Gwiazdę, Strzelca, Fortunę, Świętego Piotra*. Oczy mu się śmiały, kiedy nawy te szły pod pełnymi żaglami przez zatokę, by rzucić kotwice w przystani Kazi-mierzowa. Radował się, gdy grały trąbki na capstrzyk, gdy warczały bębny podczas apelu, gdy z bastionów biły armaty, zmuszając każdy płynący od Sundu statek, aby salutem bandery złożył hołd Władysławowi, uznał władanie Rzeczypospolitej na Bałtyku.

Po robocie popijał z radości w cekhauzie z dragonami, a że gębę miał po dawnemu nie-wyparzoną, zdarzało mu się przy tym wyśpiewywać bezbożne piosenki pijackie, jak chociaż-by ta, podrwiwająca z niebieskiego klucznika:

*Niechaj mnie zaraz wszyscy diabli chwycą  
tutaj nad morzem pod moją kuźnicą,  
niechaj mnie w supły spętają powróseł,  
jeśli Piotr nie spał w Ogrójcu jak suseł!  
A czemu chrapnął? Bo kuflów bez liku  
wychylił sobie przedtem w wieczerniku.  
Kamraci mili, idźmyż w jego ślady,  
bies by się w piekle zbiesił bez biesiady!*

Komendant Jarosław Janie, zjechawszy kiedyś z Władysławowa do sąsiadów, stanął niespodziewanie w progu cekhauzu i posłyszał tę frantówkę. Był zeń jednak człek krotochwi-lny, a sam także nie wylewał za kołnierz wina, gorzałki i piwa. Toteż nie oburzył się na kowa-la. Pokręcił jeno prawicą sitarskie wąsy, lewicę na gardzie rapiera położył, butem cholewia-stym tupnął i zanucił krztuszając się tłumionym śmiechem:

*Kowalu, kowalu,  
trzymaj się kowadła,*

*żebyś nie wyleciał  
kominem do diabła,  
bo czart zza komina  
już na ciebie zerka,  
a nam żal by było  
tęgiego majsterka.*

Gorszą przeprawę miał Pioterk z przeorem wejherowskich reformatów, surowym ojcem Grzegorzem, który często opuszczał swój klasztor, aby odwiedzić załogi helskich warowni, i dzięki temu dobrze znał Koziroga. Spotkawszy w czerwcu podczas puckiego odpustu pijane-go kowala ryczącego pod kościołem Świętego Piotra swawolną śpiewkę, sługa Boży zatrzęsł głową w mniszym kapturze. Trep drewniany z nogi zdjął. Zagroził nim, jak pięścią, niepoprawnemu pijanicy:

— Różaniec byś lepiej odmówił, grzeszny pachółku, zamiast kusić piekło takimi beze-ceństwami. Zawróć ze złej drogi. Pokutę póki czas uczyn, bo nie przekroczysz niebieskiej bramy.

Kowal puścił wszakże to napomnienie mimo uszu. Na przestrożę odpowiedział zakon-nikowi nową przyśpiewką, naprędce skleconą:

*Uchylona niebios brama,  
kto chce jeno, ten ją mija,  
bo Piotr klucznik wciąż popija  
w szynku ojca Abrahama.*

Przeor uszy ze zgrozą przesłonił dłońmi.

— Czeka cię płacz i zgrzytanie zębów — jęknął. — Bluźnisz, a diabeł nie śpi.

Diabeł nie spał rzeczywiście. W rozmaitych przebraniach wałęsał się dokoła puckiego zamku, namawiał mieszczki do strojenia się i strzelania oczkami, towarzyszył żołnierzom w patrolach wzdłuż brzegu. Z początkiem października podkusił władysławowskich dragonów, by przyłączyli się do chłopstwa rabującego okręt darłowski, rozbity koło Wielkiej Wsi, a gdy sołtys wielżeński zawołał, że łup ten należy do starosty, szyderczo odkrzyknął mu z ciżby:

— Kpie, to tyś pewnie sam tym starostą?

W czerwcu opętał porucznika Niczkę Wejhera z puckiej załogi

nienawiścią do jego niedawnego druha, kapitana Krzysztofa Reja. Daremnie usiłował komendant Janie pogodzić zwaśnionych. Na próżno po przyjacielsku prosił porucznika:

— Braciszku Niczko, jeśli Rej trzyma dziś straż przy Młyńskiej Bramie, nie lżyj go, bo popadniesz w niełaskę obersztera.

— Nie lękam się ni obersztera, ni kapitana — zawołał młody oficer, wydarł się panu Jarosławowi, pobiegł ku bramie, dobywając już po drodze rapier i rozpinając kolet.

Na moście przy zamkowych młynach doszło do pojedynku, w którym kapitan Krzysztof zabił napastnika.

— Czartowska sprawka — mówili kazimierzowscy żołnierze. — Maści bies i we Włady-sławowie, i w Pucku, jeno nas nie waży się odwiedzić.

Wszakże zimą, podczas trzaskających mrozów, które ścięły lodem zatokę i morze, zjawiał się również w Kazimierzowie. O zmierzchu pewnej śnieżystej soboty Koziróg, kujący za-woźną kotwę dla nawy Strzelec, posłyszał wołanie zza wrót kuźni, z gęstych tumanów zady-mki:

— Kowalu, kowalu! Podkuj mi wierzchowca, bo ślizga się i potyka po tym przeklętym lodowisku.

Pioterk, przekonany, że to jakiś dragon z pułku starosty Jakuba przeprowił się po lodzie z Pucka i prosi o przysługę, wyszedł przed kuźnię.

— Ki diabeł? — zasumował się ujrzawszy niespodziewaną postać.

W śnieżycy czekał go bowiem chuderlawy jeździec, siedzący okrakiem na czarnym koźle. Gębę miał ciemnożółtą, nos jastrzębi, jedno oko zielone, drugie — piwne. Trząsał się z zimna. Przekrzywił głowę w czapce z pstrym piórem koguta. Palcami niecierpliwie skubał kozią bródkę.

— Bierz się, druha, żywo do roboty — błagał dzwoniąc żółtawymi zębami. — Podkuj mi tego rumaka. Inaczej nie zdążę przybyć w porę na szczyt Blokuli, gdzie czekają mnie najurodziwsze więdźmy z całej Szwecji.

— Ach ty, chmyzie, kuternogo, piekielny pokurczu — huknął Koziróg dotknięty do żywego. — Kpisz czy o drogę pytasz? Mnie, królewskiego kowala, ośmielasz się prosić o pod-kucie tego śmierdzącego capa? Jedź do Pacanowa. Tam pono kozy kują. Ja zaś

mogę ci jeno taką dać nauczkę, iż zaraz i więdźmy, i szwedzka Blokula ze łba ci wywietrzeją.

Chwycił biesa za brodę. Diabeł krzyknął. Piętami uderzył o boki kozła. Cap natych-miast dał susa w śnieżycę. Znikł w białych tumanach, okupując śpieszną ucieczką stratę ko-źlej brody,

— Toś ty taki, Czorcie? — uszu kowala dobiegł wrzask niewidzialnego już diabła. — Mniemałem, że piekło ma w tobie sprzymierzeńca, bo ciągle się na nie zaklinasz. Omyliłem się. Dopiekłeś piekła, ale poczekaj. Przekonasz się, że bies Uriasz nie pozwoli się bezkarnie znieważać. Antesserowi powiem, co mnie tu spotkało. Belzebubowi się samemu poskarżę. Trafisz w nasze pazury. Przez całą wieczność będziesz nam w piekle kozy kuć za darmaka.

Zaśmiał się kowal na te pogróżki. Rzucił diabelskie kłaki na śnieg. Splunął siarczyście i wrócił do przerwanej roboty, mamrocząc pod nosem:

— Niech mnie piekło porwie, jeślim nie napędził pietra temu diaskowi. Uciekł jak zmyty.

Po chwili śpiewał już niefrasobliwie:

*Jestem sobie kowal króla jegomości,  
kto żyw mi urzędu owego zazdrości,  
tego młotem walę, tego dymam w miechy,  
piosenki sobie śpiewam z okrutnej uciechy,  
statkom kowam kotwy, sań okuwam płozy,  
lecz nigdy diabelskiej nie podkuję kozy,  
że nie łżę, dowiodłem i zawsze dowiodę:  
wróć, biesie, a wyrwę znów koźlą ci brodę,  
wróć tu jeno, biesie, zimą albo wiosną,  
jak ci kozie kłaki na brodzie odrosną.*

Zapomniał, że nie należy wywoływać wilka z lasu. Na wiosnę, ledwie przyszła odwilż, woda pociemniała, a lód trzymał się jeszcze tylko na przecinającej Wik od Kuźnicy po Przebieg smudze Mewiej Ławicy, gdzie rajcowały hałaśliwe sejmy mew, ktoś zapukał nocą do kowalowej chałupy. Zaspany Pioterk wyrzwał przez szybki okna. W gęstej mgłę ciemniał nieznajomy marynarz. Wołał, że jest szturmanem z królewskiego brygu *Charitas*, że przysyła go kapitan, bo zaszła potrzeba dokonania jakiejś spiesznej naprawy i bez kowala nie mogą

sobie dać rady.

— Pośpiesz się, majstrze miły — nalegał przestępując z nogi na nogę. — Szalupa czeka.

Koziróg wiedząc, iż czas jest burzliwy i wiele statków rozbija się u wybrzeży Helu, odział się szybko. Zawiesił na ramię torbę parcianą z kowalskimi narzędziami, włożył do kieszeni garść wielkich ćwieków. Wyszedł z domostwa. Na szajcach okrzykiwały się warty, gdy zaś wsiadali do szalupy czekającej u brzegu Lasowej Depki, w warowni zaczęto właśnie otrąbywać północ.

— Godzina duchów — burknął Czort.

Jego towarzysz nie odezwał się ani słowem, podobnie jak czterech marynarzy, którzy w milczeniu pochylili się nad wiosłami. Umilkła trąbka. Ucichły hasła i odzewy.

Przygniatająca cisza zaległa przestworza. Wioślarze kołysali się niby cienie. Dobili wkrótce do burty okrętu zakotwiczonego na kazimierzowskiej redzie, ledwie widocznego w mlecznych oparach. Pioterk po linowej drabince wspiał się na pokład, gdy zaś tylko postawił na nim nogę, okrętnicy popędzani przez bosmana wciągnęli szalupę.

— Czemu to robicie? — zdziwił się kowal. — Za jaką godzinę albo dwie będziecie przecież musieli odwieźć mnie na ląd. Mordujecie się bez potrzeby. Czy nie lepiej było zosta-wić czółno na wodzie?

Bosman zamiast odpowiedzieć podniósł do ust srebrną świstawkę. Gwizdnął przeraźli-wie.

— Wybrać kotwę — zaszwargotał po szwedzku szturman. — Kurs na Islandię!

Zakipiało wszystko dokoła. Z rej spłynęły żaglowe płachty. Na wierzchołkach masztów rozwinęły się płomieniste flagi. Z luków i kasztelów buchnął zapach siarki, smoły, saletry. Okręt pomknął jak strzała. Poszybował w gęstych mgłach zaledwie dotykając kilem morza. Pruł skłębione dymiska, wodny kurz przestrzeni mrocznej i groźnej.

Nim Koziróg zdążył ochłonać co nieco z oszołomienia, już zaczęły się rozpraszać mro-ki, rzednąć dymne opary. W dali, zza horyzontu, wynurzyły się czarne skały samotnej wyspy. Mdłe światło nieba tęczowo łamało się w koronkach pyłu gejzerów i wodospadów, skaczą-cych po stopniach złomów zwietrzałego bazaltu ku kanionom przepaści. Wśród śniegowych pustkowi, pól zakrzepłej i spękanej

lawy, lodowców w szklistych hełmach, wądołów, przełęczy, kamienistych ugorów sterczała góra stożkowata, podniebna. Z jej okolonego lodowym kołnierzem wierzchołka krwawo strzelał wysoki płomień, bił jak z komina dym smolisty, cuchnący siarką, zionęły jęki, lamentsy, szlochy:

— Łaski, litości, miłosierdzia...

W chmurach ciemnego popiołu, w żółtych i ołowianych kurzawach, w gradzie brył pu-meksu latały biesy na brodatych kozłach. W szponach trzymały potępieńców płomienistowłosych. Dla pomnożenia udręki zanurzały grzeszników w lodowatej wodzie. Potem wzbijały się nad szczyt wulkanu, unosząc na poły zamarzniętych nieszczęśników. Miotły ich w ognistą czeluść. Wrzeszczały z piekielną radością:

*Porzućcie nadzieję.  
Hekla ogniem zięje,  
łupu nie wypuści  
odźwierna czeluści,  
furtianka przedpiekla —  
Hekla, Hekla, Hekla.*

— Hekla, Islandia, piekielne wrota, ech, sen mara, to wszystko — mruknał kowal i kichnął potężnie, jak puszcza z działa, bo siarczyste wyziewy zakreśliły mu w nosie.

Gdzieś w pobliżu trysnął cienki chichot. Pioterk spojrzął w tamtą stronę. Na dziobie korabia śmiał się pokraczny cień. Paluchami zluźnił węzeł grubej liny, a gdy kotwica chlusnęła w morze i nawa znieruchomiała, wyprostował zgarbione plecy, podniósł łeb, skoczył ku stojącemu pod masztem Kaszubie.

— Nie poznajesz mnie, Czorcie? — parsknął. — To ja, szturman Uriasz Chwytajdusza. Popadłeś w nasze pazury. Myślałeś, że wiozę cię na królewski bryg *Charitas*, a jam zwabił cię na *Ragnarök*, piekielny statek. Będiesz teraz kuł piekielne kozy, jakom ci zimą przepowiedział.

— Święty Piotrze! — jęknął stropiony kuźnik.

— Wzywaj go, wzywaj — szydził Chwytajdusza. — Mniemasz, że pomoże ci ten, z któregoś tyle razy szydził? Nie skrzywi dla ciebie palca patron twój. Przepadłeś, bratku. Kto za życia ognia pożyczka, w



piekle oddawać go musi.

Czartowscy okrętnicy zwinęli żagle, zeszli po wantach z rej, wrócili pod pokład, by przygotować okręt do wyładunku, a szturman Uriaszek nie przestawał triumfować. Podskaku-jąc na końskim kopycie, bił się dłońmi o boki, tańczył dokoła swego brańca, śmiał się z niego, brał go na fundusz:

*Przyszła koza do woza,  
krucho z tobą, oj, krucho,  
długo wodę dzban nosił,  
wždy urwało się ucho,  
wždy się ucho urwało,  
ja ci go nie przykleję,  
jest wóz, nie ma przewozu,  
wszelką porzuć nadzieję.*

Na Koziroga podziały te drwiny tak, jakby mu kto na otumaniony łeb chlusnął cebrem wody.

— Tfu — splunął z obrzydzeniem. — Jeno z tej beczki nie zaczynaj. Wara ci kpić z mego nazwiska, piekielny paskudo! Dam ci ja za tę kozę u woza! Obaczymy zaraz, komu się ucho dziś oberwie.

W oka mgnieniu sięgnął do torby po młot, do kieszeni po ćwieki.

— Trach, trach — zagrzmał obuch.

— Auuuu, boli — zawył diabeł przygwożdżony niespodziewanie za ucho do grotma-sztu.

— Widzisz, gniewniku? — pogroził mu kowal. — Nie mów hop, póki nie przesko-czysz.

Podeszwą buciska tupnął w pokład i zakończył krótką perorę takimi rymami:

*W kamień uderzyła kosa,  
nie szarp się, bo stracisz ucho,  
lepszy ćwiek mój, kocmołuchu,  
niżli haczyk twego nosa.*

Ale Chwytajdusza nadal się miotał, skrzeczał płaczliwie, darł wniebo- czy raczej wpie-kłogłósy:

— Gwałtu rety! Bieżajcie, kamraty, na pomoc! Załogo Ragnarök,

szturman wasz w opałach się znalazł. Mości kapitanie Antesserze, zbudź się. Rozkaż schwytać i ukarać tego opryszka. Po raz wtóry mnie pohańbił. Oj, boli, boli! Straciłem brodę, teraz ucho stracę. Ratunku!

Obudził się Antesser. Głowę kudłatą w szwedzkim kapeluszu wychylił z kajuty rufowe-go kasztelu. Jastrzębim nosem pokręcił i zaklął po szwedzku, bo nadbałtyckie diabły tym się wówczas porozumiewały językiem:

— Na wszystkie wiedźmy w Blokuli! Na czerep kobyli, na którym muzykus Chimek podczas sabatu im przygrywa. Cóż to za wrzawa na pokładzie? Czy nie wiecie, iż... Auuu...

— Trach! — huknął równocześnie młot kowala i czarny kapitan został przygwożdżony do drzwi dunety tak samo błyskawicznie, jak jego chudy szturman.

Obaj teraz jęczeli, lamentowali, klęli na dwa głosy. Antesser basem, Uriasz dyszka-ntem:

— Gwałtu rety, gwałtu rety! Maim, Lubim, Menim, Senim, Zaim, Sulim. Bywaj tu, Wąsalo, Chamie, Razmusie, Pałasz, Chimku! Wróg na śródokręciu. Łapcie go, chwytajcie! W imię czterech piekielnych sztormów! W imię Hekli — furtianki wrót piekła. W imię Belze-buba Wspaniałego!

Uchyliła się kłapa luku. Przyzwane biesy wyjrzały spod pokładu. Zobaczyły klęskę przygwożdżonych zwierzchników. Przeraziły się młota i ćwieka w rękach rozeźlonego kuźni-ka.

— Podejdźcie bliżej, kudłaci braciszkwowie — grzmiał tymczasem Kaszuba. — Starczy i dla was gwoździ w mej kieszeni. No, który na ochotnika?

Skurczyły się z trwogi, wycofały pod pokład, jakby ogłuchły na prośby dowództwa. Kowal natychmiast zabił ćwiekami na amen drewnianą pokrywę luku i uwięził ich w kadłubie pękatej nawy. Podniosły tam taki gwałt, że usłyszał go Belzebub w samym środku piekła. Porwał się z ognistego tronu. Przebiegł komnaty, ogromne jak las kolumn-stalagmitów. Wyleciał z otchłani kominem Hekli. Otoczony świtą nietoperzy, zatrzepotał skrzydłem króle-wskiego płaszcza nad rejami masztów, nad płomieniami bander piekielnej orlogi.

— Ahoj, wy tam na *Ragnarök* — ryknął z góry. — Co ma znaczyć to piekło u wrót przedpiekła? Zdajcie mi sprawę! Rozkazuję

wam natychmiast stawić się w pieczarze mego najwyższego trybunału.

— Nie możemy, miłościwy królu — jęli biadolić obaj piekielni żeglarze. — Nie sposób nam wykonać twego rozkazu. Kowal za uszy przygwoździł nas do nawy. Całą załogę w kozi róg zapędził.

— Kto?

— Kowal króla Władysława. Pioterk Koziróg z kazimierzowskiej kuźnicy. Ten, którego nam wczoraj porwać żywcem z mierzei dozwolono.

— Gdzież on?

— Tam, na forkasztelu stoi, niecnota.

Królewski kuźnik w kozuchu baranim, w czerwim dragońskiego koletu, z torbą prze-wieszoną przez ramię, stanął butnie koło bukszprytu, jak zdobywca tego statku. Rękę pod-niósł, młotem groźnie wywijając, wyśpiewywał głośno, wyzywając całe piekło na bój:

*Jestem sobie kowal króla Władysława,  
chcecie sprawy ze mną, niech będzie rozprawa,  
lecz z serca wam radzę: uciekajcie lepiej,  
bo zawsze źle bywa z tym, co mnie zaczepi,  
bo zawsze źle bywa z tym, co mnie zahaczy;  
więc z serca wam radzę: poddajcie tył raczej;  
precz łapy ode mnie, precz za furtę Hekli,  
byście sobie tutaj palców nie przypiekli.*

Obrócił się ku niemu władca w płomienistej koronie. Prześwidrował go ślepiami. Machnął berłem z puszczela:

— Pokaleczyłeś dwóch piekielnych szlachciców, namiestników mych na Szwecję i Bałtyk. Zapłacisz za to, śmiałku. W jednej chwili przywrócę tu porządek. Schwytać cię każę, pod straż wziąć, bez zwłoki dostawić do otchłani. Pochłonie cię na wieki piekło. Wachta, do mnie.

A Koziróg jakby nigdy nic dalej śpiewa:

*Kpię ze szwedzkich diabłów, kpię z piekielnej  
szlachty,  
cóż mi wasze straże i psie wasze wachty?  
Niechaj się odważą pójść ze mną na udry,*

*a rogów im przytrę, przetrzępię im pludry,  
młotem pokrzyżuję im podstępny chytre,  
pludry im przetrzępię i rogów im przytrę;  
póki młot mam w dłoni, a dłoń nie osłabła,  
nim piekło mnie połknie, wprzód ja zjem diabła.*

Belzebub ślepiami błysnął, ogniem bluznął z paszczęki. Chciał się opuścić na galarę okrętu, gdy jednak dotknął cizmą bukszprytu, kowal tak machnął młotem, że podmuch omal nie stracił korony z królewskiej głowy.

— Ej ty, smoku ogoniasty — krzyknął pokazując czartowskiemu monarsze ówiek na wyciągniętej dłoni. — Zbliź się jeno do mnie. Zda ci się ów ówieczek na zausznicę? Przyjmiesz go w podarku od kowala spod kazimierzowskich szańców?

Belzebub, po nauczce, jaką Pioterk dał jego żeglarzom, wolał nie skorzystać z zaproszenia. Odleciał do podziemnego państwa na naradę z czterema piekielnymi gubernatorami. Nie znaleźli jednak widać sposobu na rozzuchwalonego Kaszubę, bo niebawem król piekielników pojawił się znowu.

— Gadaj — zazgrzytał kłami w bezsilnej wściekłości — czego chcesz za oddanie mego statku wraz z brańcami?

Zastanowił się kowal.

— Puszczę cię wolno do domu — kusił diabelski monarcha. — Torbę twoją złotem napęlić każę.

— Jakże mnie puścisz, skoro mnie nie trzymasz? — wzruszył ramionami Koziróg. — A złota twego nie chcę. Kowal ze wszystkich kruszców najbardziej żelazo ceni, żelaza zaś mam pod dostatkiem w mojej kuźnicy.

— Jakiego tedy żadasz okupu?

— Przynieś mi glejt gwarantujący...

— Że cało na Międzymorze wrócisz?

— Nie. To mi gwarantuje mój młot. Potrzeba mi glejtu nie od ciebie, jeno od klucznika Piotra, którego uraziłem wesołymi śpiewkami, czego teraz srodze żałuję. Muszę mieć zapewnienie na piśmie, opatrzonym Piotrową pieczęcią, że mnie po śmierci niebieski furtian bez wstrętów za bramę raję puści. Inaczej nie ruszę się stąd.

— Ostatnie to twoje słowa?

Pioterk podrzucił ówieki na dłoni:

— Mam jeszcze te ostre słówka. Mogę ci je szepnąć na ucho, jeśli ucha ku mnie łaskawie nakłonisz.

Skrzywił się Belzebub.

— Spróbuję spełnić twą prośbę — obiecał kwaśno.

Uderzył skrzydłem płaszcza, wzbił się w niebo, zniknął za chmurami z oczu Koziroga, Antessera, Uriasza.

Długo nie wracał. Kaszuba zagapił się na dymiący komin Hekli i poczuł głód. Pomyślał, że w Kazimierzowie już pewnie forteczny kucharz śniadanie warzy dla załogi, dymy snują się z kuchni za szanćami, z kambuzów naw zakotwiczonych w przystani. Przełknął ślinkę. Zniecierpliwiał się i znudził.

— Jakoś nie spieszno waszemu panu uwolnić was, nieboraki — rzucił czartom.

Ich cierpliwość również się wyczerpała. Antesser uprosił piekielnych łaziebników, by przestali kapać potępieńców w morzu i poszybowali za obłoki, zobaczyć, co tam się święci. Przystali na prośbę kamrata. Na błoniastych skrzydłach jęli latać między niebem a wodą. Przynosili wiadomości z za chmur, spod wierzei raj:

— Nic z tego chyba nie będzie.

— Król nasz zakołatał w gwiazdziste wrota, klucznik wyjrzał z niebios, wszelako dowiedziawszy się o co chodzi, z gniewem zatrzaskał bramę.

— Rzekł, iż ani mu się śni dawać glejt dla pijanicy, który prześmiewał się zeń zawsze i nawet dnia jego odpustu w Pucku nie uszanował.

Westchnął szturman, zaniepokoił się kapitan:

— A co na to pan nasz miłościwy?

— Siadł na progu — odpowiadały biesy, trzymając się w bezpiecznej odległości od kuźnika. — Zaklął się na siedem bram piekła, że nie odejdzie, póki glejtu dla kowala nie otrzyma. Strach, co tam się dzieje. Pobożne dusze lękają się przystąpić do wrót rajskich. Klucznik piorunuje, brodę targa, kluczami wygraża. Mówię wam: piekło się w niebie zrobiło.

Głuche grzmoty, dobiegające z za obłoków na widnokregu, potwierdzały te relacje. Huki to przycichały, to znów narastały burzą, aż nagle rozległ się przeciągły zgrzyt, trzask straszliwy, ogłuszający łomot. Chmury rozdarła błyskawica. Belzebub zziajany i spocony stanął obok Pioterka. Wcisnął mu w garść rulon pergaminu, opatrzony

czerwoną pieczęcią.

— Bierz — zacharczał. — Bierz ten dokument czym prędzej, bo palce mi piecze. Masz to, czegoś żądał. Jesteś zadowolony, pacholku uparty?

Kowal króla Władysława spojrział na pieczęć. Ujrawszy na niej Piotrowy klucz, taki sam jak ten, który widnieje w herbie miasta Helu, skinął głową:

— Jesteśmy kwita. Nie poszło wam ze mną tak łatwo, jak z porucznikiem Niczką Wej-herem, który w sidła wasze popadł i teraz pewnie na dnie piekła skwierczy. Przekonaliście się, że kowal więcej wart od szlachcica.

Schował pergamin do torby. Chwycił cęgi, by wyciągnąć ćwieki przygważdżające sztu-rmana Chwytajduszę i kapitana Antessera. Wyszarpnął je z taką siłą, że zatoczył się, upadł i... obudził na swoim posłaniu w chałupie przy fortecznej kuźni.

— Sen mara — mruknął.

Dźwignął się z łóżka, bo za oknem celnicy wciągali już chorągiew z białym orłem na maszt koło komory na haku, a z pokładów Wielkiego Słońca, Strzelca, Proroka Samuela, Gwiazdy, Świętego Piotra, słowem — wszystkich naw stojących w przystani, dochodziły werble bębnow i głosy tręb grających pobudkę królewskim załogom:

*Trata, trata, tratata,  
dzień, jak mewa skrzydlata,  
nad ciemne wzbił się morze.  
Trata! Złocą się zorze.  
Trata! Wstańcie, strażnicy,  
w zawiei, w nawałnicy,  
zawsze służyć gotowi  
ojczyźnie i królowi.*

Pieterk umył się, by do reszty otrzeźwieć. Nałożył szatki. Sięgnął po torbę, zwisającą z kołka przy drzwiach. Jakież było jego zdumienie, kiedy zauważył sterczący z niej rulon i pieczęć, która dyndała na jedwabnym sznurku.

— Glejt od świętego Piotra — krzyknął z radością i wybiegł z domu, aby pokazać niezwykły dokument puszkarzom, dragonom,

oficerom.

Oglądali go na wsze strony komendant Janie, kapitan Rej, ojciec Grzegorz, starosta Wejher. Kiwali nad nim głowami kapitanowie, celnicy i znakomici goście odwiedzający warownię. Od tej pory na wybrzeżach Międzymorza przestał pojawiać się piekielny korab *Ragnarök*. Antesser wolał omijać te strony, Chwytajdusza także nie śmiał przyplýwać szalupą na brzeg, podmawiać puckie mieszczki, by stroiły swoje córki dla łatwiejszego zwodzenia królewskich oficerów, kusić żołnierzy do ograbiania statków, które wchodziły w strąd, siać niezgodę między wojowniczymi druhami.

A królewski kowal? Żył przez wiele jeszcze lat, jako że jego patron odwlekał snadź na wszelkie sposoby termin powołania kłopotliwego Kaszuby do niebieskiej chwały. Nie narze-kał na to Pioterk Koziróg, lękał się jeno, aby nie stanąć przed klucznikiem z pustymi rękami, dlatego wałąc młotem o kowadło w nadmorskiej kuźnicy, śpiewał zawsze, by śpiewką wbić w pamięć wiernych czeladników swój testament:

*Młot i glejt po śmierci włóćcie w truchło moje,  
młotem zakołaczę w niebieskie podwoje,  
klucznikowi glejt dam z pieczęcią Piotrową,  
by za próg mnie puścił pomny na swe słowo.  
Z ostatniej mej woli, bracia, się nie śmiejcie,  
cała ma nadzieja w młocie tym i w glejcie,  
bo jeśli po skonie mieć będę je w rękach,  
to niech król czartowski ze wściekłości pęka,  
niech zgrzyta Antesser razem z Chwytajduszą,  
niechaj biesy morze i ziemię poruszą,  
nie poniesie w piekło mnie piekielna nawa,  
w niebie będzie kowal króla Władysława!*

## **ROSOWA BRYZGA**

*Morska panna w koronie  
z modrych fal się wynurza,  
biało świecą jej dłonie,*

*ryba w dłoniach lśni duża,  
dar to morskiej królowny,  
urodziwej jak ranek,  
którą wzruszył płacz rzewny  
najbiedniejszej z ustczanek.*

Jest nad Bałtykiem miasteczko z bajki. Gdzie go szukać? Nad ujściem Słupi. Tam, opo-dal morskiej latarni, bieleją szachulcowe kamieniczki, przypominające domki z pierników. Co wieczór rozjarzają się serduszka w ich okiennicach złotym światłem. Co rano wzlatują nad kominy błękitne ptaki dymów.

W takim właśnie domku, tuż koło przystani jeżącej się masztami smolnych żaglowców, mieszkała przed wielu laty dobra staruszka Marusza Skoczkowa. Żyła samotnie, bo mąż jej umarł, a syn Gwido, sternik kupieckiego okrętu Wieloryb, popłynął w daleki rejs. Tęsknie wyczekiwała jego powrotu.

Inni ustczanie, prócz tych, co pracowali w celnej komorze, porcie czy stoczni słupskich kupców, ruszali się z domów, kramów, warsztatów tylko wtedy, kiedy jakiś statek stanął na portowej redzie i uderzył w dzwon. Biegli wtenczas hurmem na bolwark przystani, chwyтали rzuconą z pokładu linę i holowali okręt na wyznaczone miejsce postoju, za co później szyper musiał im postawić beczkę lub półbeczek piwa. Marusza nie czekała na głos okrętowego dzwonu.

Co dzień, ledwie ugotowała strawę, zamiotła izbę, podlała czerwone pelargonie w doni-czkach na oknie, wychodziła z domku na brzeg morza. Co dnia stukot jej drewnianych tre-pków budził usteckich mieszczan.

— Marusza dopiero wstała — mówili przewracając się na drugi bok. — Możemy jeszcze z godzinę podrzemać.

Skoczkowa zaś, otulona chustą, mijiała domy, spichrze, budynek celnej komory. Stawała pod sosną przy ujściu rzeki albo też wspinała się na Lędowskie Wydmy. Przykładała poma-rszczoną dłoń do brwi. Patrzała w dal, ku modremu widnokręgowi, w nadziei, że lada chwila wynurzą się wierzchołki masztów, reje i żagle wyczekiwanego korabia.

— Gwido, Gwido... — powtarzała szeptem w nieskończoność



imię jedyne go syna, jakby pragnąc przywołać go z morza.

Smagał ją wiatr, targał siwe kosmyki jej włosów, wymykające się spod rębowanego czepca. Oczy zachodziły jej łzami i krwią.

— Nie patrzcie tak wciąż na Bałtyk, bo oczy sobie wypatrzycie — żartował portowy klucznik.

— Nie zobaczycie waszego Gwidona, kiedy na koniec do domu powróci — wtórowali mu celnicy z komory portowej.

A dzieci biegały za nią i pokrzykiwały:

*Falę wciąż po fali  
toń Bałtyku toczy,  
nie patrz na nie, wdowo,  
bo wypatrzysz oczy,  
wyżre ci źrenice  
wiejba z morza słońca,  
nie ujrzysz powrotu  
sternika Gwidona.*

Któż mógł przypuszczać, że spełnią się te złowróżbne przepowiednie? Wdowa wypatrzyła sobie źrenice. Któregoś ranka nie zobaczyła już słońca, wschodzącego z głębin w purpurze i złocie zórz. Oślepla i nastala dla niej wieczna noc. Nie przestała jednak wychodzić na strąd. Kijem szukała drogi, rozpytując napotkanych marynarzy, korabników, przekupki, celników, ba, wójta samego:

— Nie wszedł do portu *Wieloryb* Prosperusa Niemca?

— Nie widzieliście, dobrzy żeglarze, kędyś w zamorskich przystaniach mego syna Gwidona Skoczka?

— Nie macie może dla mnie listu od sternika z brygu *Wieloryb*?

Nie mogła doczekać się pożądanej odpowiedzi. Różne okręty rzucały na usteckiej redzie kotwice. Różni szyprowie wywieszali flagi, dając w ten sposób mieszczanom znak, by łodziami dowieźli im żywność lub beczki słodkiej wody. Niejeden korab wrócił z daleka z bogatym ładunkiem. Niejedną cumę założono na pale, sterczące z rzeki. *Wieloryb* wszakże nie zjawiał się, chociaż dawno minąłznaczony termin jego powrotu do przystani przy ujściu Słupi.

— Nie — odpowiadali staruszce ustczenie albo ustczanki, wciągające w zastępstwie małżonków na holowniczej linii nowy statek do portu. — To nie *Wieloryb*, jeno *Prorok Jonasz*.

— Nie — przeczyli celni pisarze. — To nie dla szypra *Wieloryba*, jeno dla jednego kupca ze Sztokholmu wypisujemy kwit na oclony towar.

Wydała wreszcie Skoczkowa ostatni szeląg ze szkatułki, którą syn wręczył jej przed odjazdem. Poszła więc po zapomogę do właściciela *Wieloryba*. Bogaty ów słupczanin, Prosper Niemiec, odpędził wszakże wdowę od drzwi wzgardliwą radą:

— Idź żebrać pod kościół!

Nie skorzystała z niej niewidoma mieszcza. Wolałaby umrzeć z głodu niż wyciągnąć rękę po jałmużnę. Wychudła jak cień, słaniała się z osłabienia, lecz po dawnemu wlokła się każdego ranka o kiju nad Bałtyk.

— Może dziś wróci Gwido... — pocieszała się, szepcząc sama do siebie słowa ostatniej nadziei. — Może przyplynie, nim umrę? Chciałabym pogładzić jego włosy, ucałować oczy, jego źrenicami na świat popatrzeć.

Siły opuszczały ją. Nie skarżyła się nigdy ludziom, lecz któregoś świtu rozplakała się rzewnie na brzegu. Powierzyła swój nieukojonny ból falom, wiatrowi, bławej dali:

*Nocka po nocy,  
dzień po dniu idą,  
trzy przeszły lata,  
nie wrócił Gwido.  
Czyś go porwała,  
głębino sina?  
Czy nie doczekam  
powrotu syna?  
Czy nie nadpływa  
z dali żaglowiec?  
Wietrze, nim umrę,  
zdradź mi to, powiedz...*

Ledwie skończyła, owionął ją rzeźwy oddech. Usłyszała głos miły, dziewczęcy, śpie-wny jak muzyka fal muśniętych powiewem rannej bryzy:

*Nie trać nadziei,*

*Maruszo-wdowo,  
masz przyjaciółkę  
— Bryzgę Rosową,  
otrzyjże srebrną  
z powiek twych rosę,  
co świt ci w darze  
rybę przyniosę.*

Nieznajoma dobrodziejka stanęła obok niewidomej. Włożyła jej w ręce wielkiego łoso-sia. Dłonią pogładziła zwiewnie jej siwe włosy i rozwiała się bez śladu.

— Dzięki ci, Rosowa Bryzgo, stokrotne dzięki — wyszeptwała wdowa, wzruszona dobrocią tej dziewczyny, której zobaczyć nie mogła, choć czuła jej obecność.

Przestał Maruszę od tego dnia nękać głód. Każdego brzasku dobra Bryzga całowała jej ślepe oczy. Muskała miękko palcami jej twarz pomarszczoną jak zwiędłe jabłko i, nim portowy klucznik zdjął łańcuch zamykający wejście do przystani, nim otwarto celną komorę, zanim dymy zaczęły wzlatywać z kominów miasteczka, a kościelny dzwonnik zadzwonił na Anioł Pański, znikąca wręczywszy poprzednio staruszce w upominku wielką, srebrnołuską rybę.

Powtarzało się to przez wiele dni bez najmniejszej zmiany. Wdowa sprzedawała łososa na targu, czasem zaś oddawała go piekarzowi lub rzeźnikowi w zamian za pożywienie. Za-częto znów o niej mówić w mieście. Kupiec Prosper, który miał z ramienia słupek panów portowych dozorować wójta Ustki, patrzeć na palce pisarzom-przysiężnikom, by nikt z mieszczan nie uchylał się od obowiązków, by ani łaszt pszenicy czy żelaza, ani miech wełny czy chmielu nie przeszedł przez port bez cła, do niedawna jeszcze, gdy tylko wspomniano mu nieśmiało, że należałoby dać głodującej Skoczkowej jakieś wsparcie, odpowiadał obojętnie: „Nie chcę słyszeć o niej!” Teraz jął się zastanawiać, czyby nie ukarać Maruszy grzywną pięciu złotych za to, że nie staje z innymi ustczanami do holowania statków.

— Uwolniono ją przecież od tego obowiązku, gdy utraciła wzrok — ośmielił się wtrącić wójt.

— I źle uczyniono — odparł kupiec. — Ma snadź jakieś ukryte pieniądze, skoro dotychczas z głodu nie umarła! Niechaj więc najmie

zastępcę albo zapłaci karę.

Nim wszakże doszło do tej niesprawiedliwości, panna morska, dając Maruszy jak zwykłe o świcie srebrny podarunek, powiedziała do niej przyjaźnie:

*Bryzgi Rosowej  
posłuchaj rady:  
Jutro, nim z morza  
brzask wstanie blady,  
przetrzyj źrenice  
rybią wątrobą;  
mija niedola,  
szczęście przed tobą!*

Wdowa zrobiła wszystko tak, jak jej morska panna poradziła. Przed trzecim paniem kurów przetarła zagasłe oczy wątrobą darowanej poprzedniego dnia ryby. Ręce drżały staru-szce ze wzruszenia, kiedy, wykonawszy ten zabieg, otulała się spłóviałą chustą, zamykała za sobą drzwi piernikowego domku.

Pustą uliczką, codzienną swą drogą, którą znała już na pamięć, podreptała ku ujściu Słupi. Stała na strądzie obok latarni portowej, zawieszanej na wysokim słupie, w pobliżu czółen przycumowanych do bolwarku.

— Mija niedola, szczęście przed tobą — pluskotały drobne fale o wysokie paliska, wbite w dno rzeki.

Drgnęła Skoczkowa. Wydało się jej, iż powoli rozprasza się otaczający ją mrok, że w dali zaczyna się nieśmiało wychylać z ciemnego morza blady świt. Nie wierzyła oczom, ale światłość rosła, rozjarzała się różowo i złoto łunami nadchodzącego zza Bałtyku ranka.

— Widzę! — krzyknęła nagle wdowa. — O Rosowa Bryzgo, przyjaciółko, dobrodziej-ko moja! Widzę! Okręt żaglowy wynurzył się zza widnokregu... Czy to?...

Łzy nie pozwoliły jej dokończyć zdania.

Rozstąpiła się toń. Różanolica, złotowłosa panna morska w bursztynowej koronie świtu wypłynęła z przebudzonej głębiny. Powiało po morzu rzeźwą bryzą, szemrzącą śpiewnie, melodyjnie, w gałęziach sosen na wydmach brzegu:

*Zgadłaś, Maruszo,  
to bryg „Wieloryb”,  
którego do tej  
czekałaś pory.  
otrzyj łez rosę  
ze siwych oczek,  
powraca syn twój,  
okrętник Skoczek...*

Nawet czarodziejskie pióro nie zdołałoby opisać radości, z jaką wdowa powitała jedy-naka, gdy ustczanie na głos dzwonu przyholowali *Wieloryba* do przystani, ani uścisku serdecznego, w który Gwido chwycił siwą swą matkę, ani zdumienia wszystkich mieszczan i mieszczanek, z jakim słuchali opowieści wdowy o dobrej królownie bałtyckiej, Gostkowej córce.

Na pamiątkę niezwykłego zdarzenia umieścili jej wizerunek wraz z korabiem Prospera w miejskim godle nad drzwiami ratusza, a wójt polecił, za zgodą portowych panów, wypisać pod herbową tarczą kunsztownymi literami następujące słowa:

*Spójrz na herb tego miasta.  
Jest w nim okręt żaglowy  
i jest ryba grzywiasta  
w dłoniach Bryzgi Rosowej,  
— dar bałtyckiej królowny,  
urodziwej jak ranek,  
którą wzruszył płacz rzewny  
najbiedniejszej z ustczanek.*

## **DZIWNA PRZYGODA TRZEBIATOWSKIEGO SZYLDWACHA**

*Nad naszą Regą w czerwonej wieży  
wieżowy strażnik siadł do wieczerzy  
i oto misę kaszy gorącej strącił  
z tej wieży łokciem niechcący,  
chlusnęła kasza ukropem z góry  
na wroga, co się podkradł pod mury,  
pierzchł wróg do Gryfic spod wieży naszej,  
stróż mu gorącej nawarzył kaszy.  
No i dlatego od dnia onego  
Kaszaną zwiemy wieżę nad Regą.*

W latach, kiedy zdarzyło się to, co mam zamiar wam opowiedzieć, już mało kto znał w Trzebiatowie tę piosenkę, pochodzącą z czasów Wielkiego Bogusława, gdy trzebiatowianie toczyli z gryficzanami zacięte boje o wolny spław na Redze. Oba miasta podupadły i nie wysyłały już ładownych towarów statków za morze. Wymarli pomorscy książęta. Na targach, w ratuszowych piwnicach, w kościołach zamienionych na luterskie kirchy obcy zapanował język. Do tych, co umieli jeszcze zanucić po polsku śpiewkę o Kaszanej Wieży, należał przede wszystkim Gotlob Kaschewitz, miejski szyldwach.

Urząd ów przechodził w jego rodzie z ojca na syna wraz z podaniem o praszczurze — trzebiatowskim strażniku, który przypadkiem strąciwszy z baszty misę gorącej kaszy, wykrył i przestraszył skradających się do szturmów gryficzan. Nikt go odtąd inaczej nie nazywał, jak: Kasza. Potomków jego zaś zapisano w księgach magistrackich i parafialnych jako Kaszewi-ców, co później, kiedy Brandenburgia zagrabiła tę połąć Pomorza, Prusacy przeinaczyli na Kaschewitz, podobnie jak imię Bogumił przekręcili po swojemu na Gotlob.

— Cóż to się, mój Bogusiu, na błazna wystroił? — zaśmiałby się pewnie stary Kasza, ujrzawszy prawnika we fryderycjańskiej czapie, wysokiej jak infuła, w cudacznym, modrym kabacie, przepasanym patrontaszami, w żółtych pluderkach i białych kamaszach. — Tfu, do stu czartów! Czy to z ciebie białogłowa, że sobie warkoczyk trefisz?

Gotlobowi wszakże wcale nie było do śmiechu. Nawet uśmiechnąć się nie miał ochoty. Pierwszy król Prus Fryderyk Wilhelm, za którego rządów żyć mu wypadło, budował swe państwo na modłę ponurych koszar. Sierżant w koronie musztrował osobiście błękitnych drągali-gwardzistów, obijał laską obywateli spacerujących po ulicach Berlina, własnego syna trzymał w areszcie i szafotem go straszył. Ćmiąc cuchnącą fajkę, obmyślał coraz to nowe rozporządzenia. Zabraniał urządzania redut, maskarad, przedstawień, gdyż operę, komedię i balet uważał za dzieła szatana. Żandarmom i celnikom polecał odzierać ludzi na placach z zagranicznych jedwabii.

— Aż dziw, że też jeszcze oddychać nam wolno — krzywili się Pomorzanie, słuchając coraz to nowych zakazów, obwieszczanych przy warkocie bębna. — Bodaj to wróciły złote czasy Wielkiego Bogusława!

Rzewnie wspominali księcia, dobrodusznego olbrzyma, który za jednym zamachem zjadał tuczną gęś czy potężną szynkę, wrogów w ryzach trzymał, a dla poddanych ojcem był, nie ojczymem.

— Kiedy gryficzanie skarżyli się, że muszą skłaniać maszty przed naszą służą, rzekł im: „Toć i rycerze pochylają kopie w miejskich bramach” — opowiadał zagrzebany w starych księgach trzebiatowski bakałarz Krępiel, Gotlobowy wuj. — A jak łaskawie wybaczył koszalinianom to, iż niby zbója na trakcie koło Chełmu go pojмали? Wspaniałomyślny był zeń pan! Wielki i ciałem, i duchem! Nie taki, jak król pruski.

Jego siostrzan — szyldwach — również chętnie wracał myślami w przeszłość, przemierzając tam i z powrotem uliczkę przed ratuszem czy stojąc z gwerem na ramieniu u którejś z bram Trzebiatowa. Zwłaszcza w długie noce zimowe zwidywały mu się sprawy, o których słyszał od wuja — okręty trzebiatowskich kupców wracające z dalekich wypraw w ujście Regi, karawany wozów pokrytych skórzanymi fartuchami, duńskie mnichy z pobliskiego, otoczonego lasami i grzędami Białoboka, strojne orszaki księżąt, nocni stróże w ciepłych kożuchach, nawołujący śpiewnie:

*Hej, panowie gospodarze,  
jużci pierwsza na zegarze,  
pierwsza liczba uczy wraz,  
iż Bóg jeden stworzył nas.*

*Hej, panowie gospodarze,  
trzecia bije na zegarze,  
trzy osoby w bóstwie są,  
Trójcę wielbmyż, bracia, z czcią.*

Raz, w Sylwestra to było, kiedy wszyscy chyba trzebiatowianie w ciepłych, jasnych izbach dokoła mis pączków i waz płonącego ponczu oczekiwali nadejścia Nowego Roku, Kaszewic stał na warcie u furty pod Kaszaną Wieżą. W dole płynęła Rega, wolna od lodu, rozszeptana, mroczna. Nagie drzewa skrzypiały, jak ongi maszty statków pochylane przed tutejszą służą. Wiatr dał śniegiem, chichotał niczym stary strażnik wieżowy, szydzący z gryfickich szyprów:

— Znacie, szszoldry, hasssło nasze; nikt nam pluć nie będzie w kaszszszę!

Szyldwach przełożył gwer na drugie ramię. Wtulił się w niszę furty. Ukrył się przed śnieżycą. Przymrużył klejące się powieki, by pomarzyć o tym, co minęło. Wtem usłyszał pluskot wiosła. W pierwszej chwili wydało mu się, że ktoś przeniósł go w czas praszczura Kaszy, że sąsiedzi z Gryfic zbrojno podpływają pod mury, by przypuścić do nich po nocy niespodziewany szturm. Rękawem otarł z rzęs lepkie płatki śniegu i... zdębiał. Przysiagłby, że Regą przepływa smolne czółno, pacholkiwie chylą się nad wiosłami, biała mniszka wyrywa się z ramion rycerza w szerniałej kolczudze, woła żałościwie, błagalnie:

— Wybaw mnie, wybaw...

Po kamiennych schodkach zbiegł na brzeg rzeki.

— Werda? — krzyknął.

Odpowiedział mu tylko plusk wody, poszum zimowego wiatru i szcęk ratuszowego zegara, który właśnie zaczął wybijać północ, obwieszczając narodziny Nowego Roku.

— Zdrzemnąłem się pewnie? — zawstydził się, że uległ złudzeniu. — Sen mara, i tyle.

Na ratuszu słówka nie pisnął o swym przywidzeniu. Odwiedził natomiast wuja, mie-szkającego koło ogromnej fary w izdebce pełnej ksiąg, i zagadnął niby to od niechcienia:

— Były kiedyś w Trzebiatowie zakonnice?

— A były — rozgadał się stary. — Zanim zbuntowały się białe mnichy z Białoboku, nim panowie szlachta w naszej kaplicy Św.



Gertrudy, tej koło Gryfickiej Bramy, uchwalili porzucić dawną wiarę dla nowej, niemieckiej, stał tutaj sławny klasztor. Ogród Panny Marii. Fundowała go księżna Anastazja Bogusławowa, córka Mieszka Starego, nieszczęśliwa pani.

— Czemu, wuju, nazywacie ją nieszczęśliwą?

— Bo ciężkie życie miała. Ona, dumna wnuka Krzywoustego, musiała po klęsce po-morskiej floty popłynąć na okręt duńskiego króla i hołd mu złożyć, a potem cierpieć to, że jej małżonek przed innym władcą miecz nosi. Rychło owdowiała. Syn jej Kazimierz pomarł w drodze do Palestyny. Po śmierci drugiego, Bogusława, zamieniła ulubiony zamek Gryfitów w Trzebiatowie na klasztor dla szesnastu szlachetnie urodzonych panien.

Zamyślił się Kaszewic, a Krępiel rad, że nadarza mu się rzadka sposobność mówić po polsku, rozwodził się dalej o surowej norbertańskiej regule trzebiatowskich mniszek, którym nie wolno było myć twarzy ani podnosić oczu na mężczyzn.

— Nawet kapelan jeno przez gęstą kratę spowiadał je i nauki im głosił. W twardym sypiały odzieniu, naprawiały habity braciom z Białoboku, biczowały się, pościły, leżały krzy-żem. A wszystko po to, aby opamiętał się Barnim, wnuk białej ksieni, za którego zgodą białoboccy mnisi osadzali Niemców w borach nad Regą, Radwą, Parsętą, aby Pan pomieszał szyki Brandenburczyków, sięgających coraz chciwiej po ziemie pomorskie.

Opowieść starego bakałarza głęboko wryła się Gotlobowi w pamięć. Pamiętał ją dobrze nawet jeszcze po roku, kiedy wypadło mu trzymać wartę pod opustoszałym pałacem Wielkie-go Elektora, zbudowanym na pogorzeli trzebiatowskiego zamczyska. Skąpy król grenadierów nie dbał o ojcową rezydencję, dopuścił do jej ruiny. W komnatach, ogołoconych ze sprzętów, obrazów, zwierciadeł, rozwieszały sieci pająki, gnieździły się myszy, nietoperze i puszczyki. Ze ścian zwisały strzepy obić, tynk opadał wielkimi płatami, butwiały posadzki.

— Czego tu pilnować? — szyldwach z niechęcią patrzył na okna zabite lada jak deska-mi, porysowane mury, dachy dziurawe, uginające się pod kożuchem śniegu. — Nic tu nie ma prócz zacieków, pleśni, stęchlizny.

Z niecierpliwością wyczekiwał zmiany warty. Dla zabicia czasu, wlokącego się jak śli-mak, spróbował przypomnieć sobie zwrotkę

pieśni dawnych stróżów miejskich, którą zwiastowali północ. Słyszał ją w dzieciństwie od swego dziada, lecz teraz nie mógł sobie przypomnieć jej słów. Początek znał dobrze:

*Hej, panowie gospodarze,  
już dwunasta na zegarze...*

Ale dalej? Jak brzmiał dalszy ciąg? Czy mowa była w nim o dwunastu apostołach?

*Pan dwunastu uczniów miał,  
którym rząd dusz naszych dał...*

Czy też raczej przypominano o północy dwie tablice Mojżeszowe z góry Synaj:

*Tyleż to przykazań nam  
na tablicach wyrył Pan...*

Nad kruszejącymi gzymsami i kominami przepływał księżyc. Zginał na jakiś czas w granatowych obłokach, a kiedy znów się wynurzył siejąc zielenią poświaty, Kaszewic nie poznał otoczenia. Przepadł pałac. Rosnące przy nim drzewa zmieniły się w zimową puszcę, rozbrzmiewającą stukotem toporów. Drwale rąbali bór. Trzebili nad rzeką, na skraju wyso- czyzny — granicy nadmorskich dolin — wielką polanę, kładli podwaliny grodu. Książę w szkarłatnej sukni z konia przypatrywał się robocie, cieślom wydawał rozkazy. Piętrzyły się zręby ścian, gontowe dachy, wieża wysoka. Potem znowu zgasła księżycowa poświata i mrok wszystko pochłonał. Ale tylko na chwilę, bo miesiąc, wypłynawszy z natłoku chmur, nowy wyłowił widok. Pachołkowie dzwon wciągali na wieżę modrzewiową, zwieńczoną już krzy-żem. Biskup z gorejącą świecą w prawicy stał u drzwi na oścież otwartych. Witał staruchę — ksienię — wspartą jedną dłonią na krzywuli, drugą zaś na ramieniu młodej, czarnookiej mniszki. Błogosławił piętnaście postępujących za nimi panien w białych habitach z grubej wełny, w czarnych kwefach:

— Błogosławion, który przybywa w imię Pańskie.

Zatrzasnęła się furta za białymi mniszkami, lecz szyldwach dalej

je widział, jakby niewidzialna dłoń rozsunęła grube bale klasztornych ścian. Oto dzwon budzi je wśród nocy. Idą długim szeregiem do kaplicy, by śpiewać jutrznię. Rozdzielają chleb i chudą polewkę ubogim, tłoczącym się przed bramą. Haftują ornaty, naprawiają habity, kłując sobie palce igłami. Oto ksieni przez kratę lokutarza rozmawia z księciem, przybyłym w odwiedziny z orszakiem rycerzy, pośród których jeden w kolczudze czarnej podobny zda się do tamtego z czółna na Redze.

— Złą, wnuku mój, krocysz drogą — przestrzega.

— Bogobojnie przecież żyję — broni się książę. — Jak mnich, czas trawię na modłach po klasztorach. Dobrym zwań mnie poddani.

— Niemcy jeno. Nasi nie będą cię mieć w takiej czci, jak ojca twego Bogusława Wtóre-go, który bronił ich przed Sasami, za co też pielgrzymują do jego grobu w szczecińskiej farze.

Mówi ksieni, karcąco dłoń podnosi, nie widzi, że czarnookiej mniszce, stojącej za jej plecami, czarny rycerz rękawicą żelazną znak daje, wskazując ukradkiem wirydarz za oknem rozmównicy. Potem gasną światła w klasztorze. W jednej tylko celi tli się kaganek. Czarno-oka mniszka ściele twarde łoże, z klęcznika pod czarnym krucyfiksem, na którym zwisa wy-rzeźbiona z kości słoniowej figurka ukrzyżowanego, pomaga się dźwignąć staruszce o licach pomarszczonych i żółtych jak gromniczny wosk. Do snu ją układa, u posłania klęka. Ksieni dłoń węzłastą kładzie na jej schylonej głowie.

— Nie pozieraj, Nastka, na mężczyznę, czy habit, czy kolczugę, czy siermięgę nosi — napomina łagodnie. — Z pomorskiego rodu pochodzisz. Ofiarowałaś żywot swój niebu, by ziemi naszej szczęście. Nie zapomnij o tych ślubach.

— Nie opuszczę was, pani — obiecuje klasztornica, ale gdy księżna powieki ciężkie zwiera, zrywa się z klęczek.

Kożuszek owczy narzuca na habit. Kaganek chwytą, na dzwonnice bieży, trzy razy światelkiem znak daje komuś, czekającemu za furta, w ciemnościach. Rzy czarny koń u fosy. Wiatr budzi się nagle, huczy w czarnych konarach drzew, śnieżnym miota tumanem, chicho-cze szyderczo:

*Hejże, nocni gospodarze,  
północ bliska na zegarze,  
dorzucajcie w ogień drwa,*

*ślub złamała mniszka zła!  
Hejże, nocni gospodarze,  
niechaj drwa zaskwierczą w żarze,  
niechaj się posypią skry,  
drogę wskażą mniszce złej!*

Biała postać zjawia się na dziedzińcu przed szyldwachem. Ramiona łamie. Błaga gło-sem znajomym, żalonym jękiem tamtej z łodzi czarnej na rzece:

— Wybaw mnie, wybaw od kary...

— Ktoś ty? — Pyta Kaszewic.

— Jam siostra Nastka, pokutnica nieszczęśliwa. Za podszeptem rycerza Fulkona z klasztoru uszłam w noworoczną noc. Pokutuję od wieków za to, że uczynkiem tym przy-spieszyła skon dobrodziejki mej — ksieni. Zawiodłam ją. Na łożu śmierci dwujęzyczną mnie żmiją nazwała. Cierpię, bom własne szczęście nad szczęście ziemi mej przeniosła. Chceszli mnie wybawić, przyjdź za rok do Szarego Głazu przed miejską bramą, ucałuj oplatającą go żmiję...

Zegar na ratuszu jął wybijać północ. We wzmagającej się śnieżycy zadudniły kopyta. Na czarnym koniu przy cwałował rycerz w szerniałej kolczudze.

— Łódź czeka na Redze — krzyknął, pochylił się z siodła, porwał mniszkę i chichocząc przepadł w tumanie.

Zegar bił jeszcze w dali. Z ostatnim jego uderzeniem przycichła wirująca zawierucha. Księżyc wychylił się zza chmury, murszejący pałac Wielkiego Elektora ociekał seledynami mdłego światła. W mieście zahuczały wystrzały na wiwat. Ocknął się Kaszewic.

— Znów mi dziwny sen w darze przyniósł sylwestrowy wieczór — wciąż jeszcze oszo-łomiony widziadłami, sam do siebie szepnął.  
— Szczęście, że się zbudziłam, nim nadszedł kamrat, co zluzować mnie ma.

Nie miał jednak zupełnej pewności, czy był to tylko sen. Nazajutrz więc odwiedził wuja. Stary na jego prośbę długo wertował szpargały, lecz znalazł jedynie skąpą wzmiankę, iż roku pańskiego 1240 księżna Anastazja Piastówna zmarła w swej trzebiatowskiej fundacji i tutaj też została pogrzebana.

— A o chrześnicy księżny, siostrze Nastce, która uciekła z klauzury, niczego w kronikach nie zapisano? — zapytał szyldwach.

— Księgi o tym milczą — bakałarz Krepiel położył rękę na pożółkłym tomie. — Wsze-lako słyszałem, jako dziecko jeszcze, ni to baśń, ni podanie, że jeden z niemieckich rycerzy, jakich wielu było na Barnimowym dworze, porwał ongiś mniszkę z naszego Ogrodu Panny Marii i uwiózł do puszczańskiego gródka w Nowej Marchii. Tam dopiero ujrzała prawdziwą twarz umiłowanego. Zbójem był! Grasował po leśnych traktach. Łupił i mordował podró-żnych kupców. Daremnie prosiła, by porzucił krwawe rzemiosło. Uwięził ją, a kiedy uciekła, pragnąc wrócić do klasztoru, dognał ją konno i mieczem przebił.

Przez cały rok nie zaznał Gotlob Kaszewic spokoju. Im bliżej było do oznaczonej nocy, tym częściej się zastanawiał:

„Iść czy nie iść?”

Czy poszedł? W późnej starości, kiedy w krzywym domku przy Gryfickiej Bramie dopytywały go o to wnuczeta, kiwając osiwiąłą głową zaręczał, że tak, że w sylwestrowy wie-czór, krótko przed północą, opatrzył gwer, opiął się patrontaszami i ruszył za miasto do Szare-go Głazu, który miał być — jak powiadano — ostatnim z kamieni podwalin trzebiatowskiego klasztoru księżnej Anastazji. Podmuchy wichrzyska targały go za harcap, jakby chciały go porwać w noc, ale szedł dalej śmiało, powtarzając sobie dla dodania odwagi ulubione powie-dzonko starego stróży z Kaszanej Wieży:

— Znajcie, szołdry, hasło nasze, nikt nie będzie pluć nam w kaszę!

Doszedł do wielkiego głazu. Ukląkł, gotów wyzwolić pokutnicę. Gdy jednak przed oczyma błysnął mu rozdwojony język zygzakowatej żmii, z sykiem wijącej się dokoła kamie-nia, nie zdołał przemóc lęku i odrazy. Uciekł, nim przebrzmiała dwunasta, a wtenczas powie-trze przeszył bolesny jęk, zachichotały w śnieżycy i wicherze skrzekliwe głosy:

*Hejże, nocni gospodarze,  
północ bije na zegarze,  
ślub złamała mniszka; zła,  
rok przeminął, klątwa trwa.  
Hejże, nocni gospodarze,  
klątwa trwa, nie koniec karze,  
dmijże, wicherze, z piekiel wiej,*

*tnij, bij, siecz cień mniszki złej!*

## **DLACZEGO NA HELU NIE MA BOCIANÓW**

*Bocian, bocian  
z morza leci,  
w dziobie niesie  
dobre dzieci,  
a od lądu  
leci wrona,  
dziecko niesie  
złe, jak ona.*

Czego jak czego, ale ptactwa nie brak na helskich wydmuchach. Po Małym Morzu pływają żółtozielone tracze, dwuczube perkozy, czarne markaczki. W błotnistym lesie, w szumnej sośninie gnieźdzą się czajki, słomki, czaple, myszołowy. Nad wydmami szybują mewy, północne łabędzie przelatują ku Puckowi, na Wik. Ba, nawet wróble zadomowiły się tutaj przed wielu laty. Poczerniały jak kopciuszki od dymów wędzarni, utyły na rybich odpa-dkach i czują się jak u ojca Noego w bezpiecznym korabiu.

Tylko bociany z daleka omijają piaski mierzei. Głowią się uczeni, dlaczego tak się dzieje. Przecież sporo żab skacze tu po pażycach i jastarnickich mokradłach, trafiają się jaszczurki, miedziane wężyki-gniewosze. Nie brak żerowisk bocianich, ale bocianów brak. Rozmyślają tedy mądrzy ludzie, skąd się wzięły na Międzymorzu takie nazwy, jak Bocianica, Bocianie Gniazdo, Bociania Górka? Zastanawiają się już od dawna, ale odpowiedzi na to pytanie dać nie potrafią. A to dlatego, że snadź nie słyszeli o Rozalii z Boru, białce maszopa Dawida Muży.

I. Jak Rozalia Dawidowi posłuszeństwo ślubowała i co z tego wynikło

Rozalia, powszechnie zwana Kreką, żyła w tych latach, kiedy borzanie, należący od wieków do helskiej parafii, porzucili luterną wiarę i zaczęli co niedzielę chodzić do kościółka Panny Marii, wzniesionego w sąsiedniej Jastarni przez wojewodzinę Urszulę Przebendo-wską. W tej to świątyni ze smolnego drzewa, pod wietrzną chorągiewką skrzypiącą na dzwonnicy, ślubowała nasza Rozalia wierność i posłuszeństwo swojemu Dawidowi. Ślubowała, ale bo to słowo niewieście wiele jest warte? Biada temu, kto wierzy białce. Zwłaszcza takiej, jak Dawidowa. Nie na darmo powiadały o niej wszystkie sąsiadki z Boru i rybaczek z Jastarni:

— Zła z niej białka.

— Wiadomo. Zimą się urodziła. Dobrych ludzi bocian wiosną albo latem z morza przy-nosi i rzuca przez komin do checz. Ją przyniosła z lądu wrona. Zła czarna kreka uciekając przed sztormem na niemiecki nieszpór do Helu po drodze rzuciła małą Rozalkę w fartuch jej matki.

— Jo, jo. Tak musiało być. Przecież poczciwy bocian nie wzięłyby w dziób takiego lichego dziewczęcia.

Wierzyły święcie, że dobrzy rybacy i rybaczek pochodzą od żab-ludzików, chwytanych przez bociany ciepłą porą na morzu, a źli rodzą się z lądowych robaków, które w chłodne dni przynoszą na półwysep skrzekliwe wrony i miotają białkom w kliny fartuchów. O tym, że Rozalia zła była jak osa, śpiewano nawet w świętym Wejherowie na Kalwarii podczas bytowskich targów i na gdańskim Feszmarku:

*Powiała mewa mewie,  
wieprz do świni kwiknął w chlewie,  
czarna koza zamęczała,  
zagała gaska biała,  
bocian w locie zaklekotał,  
bure kocy miauknął z płota,  
kurek zapiał, pies zaszczał,  
że najgorszą z białek — Kreka,  
jak zakracze Kreka w Borze,  
całe głuchnie Międzymorze,  
jak zakracze w Borze Kreka,  
to sam kusy Purtk ucieka,  
to z Rybaków zmyka diasek,*

*aż się kurzy za nim piasek.*

Dla nikogo nie miała ta niepoczciwa borzanka dobrego słowa. Gdzie się tylko zjawiała, tam zaraz rozpętywało się piekło. Z trepem w dłoni przepędzała dzieci sprzed swej checzy. W każdej białce widziała czarownicę, którą należy spławić w zatoce. W każdym chłopie — pija-ka i zgrzechę, jeśli zgoła nie samego diabła. Najczęściej oczywiście obrywało się jej mężowi.

— Ty poganinie! — wrzeszczała przy lada sposobności. — Ty zawojowany Terku! Bodajbym prędzej nogę złamała, niż z tobą poszłam do ołtarza. Bodaj cię diabli porwali i do twych pogańskich krajów nazad zanieśli.

Nie bez przyczyny z takiej właśnie beczki czerpała swe obelgi. Wiedzano na Mierzei, że Dawid, chłop z kośćcami poczciwy i szczerzy katolik, jest wnukiem Turka, że Mużowie wiodą ród od bisurmańskiego murzy, tęgiego, ale przecież pogańskiego wojaka, którego król Sobieski pod Wiedniem czy Parkanami wziął do niewoli i tutaj nad Bałtykiem osadził.

— Dziad jego z kopą pono białek w tureckich krajach radę sobie dawał, a on z jedną do ładu dojść nie może — prześmiewano się z maszopa i przezywano go „Zawojowanym Terkiem”.

Nie dziwota, że Terk, skoro mu pogański rodowód wypomniano, brał nogi za pas. Bez słowa uciekał z checzy i jeno w głębi ducha zżymał się na żonę: „Zaraza to, nie białka”.

W pierwszych latach małżeństwa biegł nad Małe Morze, by pomodlić się pod stojącą tam drewnianą figurą świętej Rozalii, która — jak wiadomo — chroni pobożnych ludzi od zarazy, albo pod spróchniały krzyż cmentarzyska nad Wikiem, gdzie spoczęły kości jego ochrzczonego dziada. Chodził na odpusty Matki Boskiej Węgorzowej w Jastarni i Szkaple-rznej w Swarzewie. Fundował na wejherowskiej Kalwarii świece woskowe w intencji odmiany złego losu. Kiedy jednak nic to nie pomogło, zaczął po każdym połowie wałęsać się po strądownym zoloju, wydmach, lesie albo przesiadywać w rybackich szynkowniach, już to w helskiej Lwiej Jamie, już to u Szelty w Pucku, już to u Kąkola przy jastarnickim kościółku, koło Krzyżowej Drogi.

— Gdzieżeś był, zgrzecho? — witał go jazgot zsiniałej ze złości Rozalii, kiedy wieczorem powracał do domu.



-Na strądzie, białko miła — odpowiadał pokornie. — Szukałem bit. Wypatrywałem w prochu kawałków bursztynu, by sprzedać je w Gdańsku i kupić ci korale, jakich nie ma i sama sołtysowa z Helu.

— Łżesz. Wróciłeś przecie z pustymi rękami.

— Bo norda nic na strąd nie wyrzuciła.

— W szynku na pewno siedziałeś.

— Byłem aż za Krowią Górką. Nóg nie czuję, tak się starałem, żeby co do checzy przyalać. Wszystko na próżno. Daj mi wytchnąć przy ciepłym piecku.

— Jeszcze czego. Chcesz się na przypiecku, pacierz mrużyć po turecku? Małoś to się, poganinie, po pijanemu na słomianych nogach przez cały wieczór księżycowi kłaniał? Tęskno ci do pogańskich krajów? Poczekaj, prędzej czy później diabli cię tam poniosą. Wspomnisz moje słowa.

## II. Jak Dawid Terk przy Bocianiej Górcie spotkał przyjaciela

Takie to bywały wieczory w Dawidowej checzy. Ludzie omijali ją z daleka. Nigdy nie schodziły się tu rybaczki, by zimą prząść na kołowrotkach konopie przywieszane z Gdańska albo skubać pierze. Nigdy nie przekraczali jej progu znajomi maszopi, aby wiązać kleszcz-kami sieci wielkiego niewodu. Nigdy nie zachodzili tu w szczodry Wieczór Trzech Króli poprzebierani szczerocze z życzeniami na Nowy Rok.

— Ta twoja Kreka ujada jak Wielkie Morze — odżegnywali się nawet najtężsi i naj-odważniejsi z rybaków, gdy Dawid zapraszał ich do siebie.

— Dawno już szukam lekarstwa na jej złość — przytakiwał biedny Terk.

— Bioj te, chłopie, do plebana po jaką radę — podsuwali mu po przyjacielsku, dobrą, jak im się zdawało, myśl.

— Byłem u trzech — machnął ręką. — W Jastarni, Swarzewie, Pucku. Wysłuchać mnie, wysłuchali, ale nic nie pomogli.

— Tedy idź do naszego szkolnego — poradził mu raz szyper Ambroży Buszk. — To mądry chłop. Może on co mądrego ci z tej szkolnej biblii wyczyta.

Była w borskiej szkole stara biblia z czasów, kiedy jeszcze co kilka niedziel odwiedzał borzan helski pastor, by im prawić luterskie kazania. Niestety, szkolny pośliniwszy paluch długo i cierpliwie wertował na prośbę Muzy jej poźółkłe kartki, lecz żadnej recepty na niedole małżeńskiego pożycia nie zdołał dla nieszczęśliwego maszopa znaleźć.

— Holofernes nieulekły poszedł spać z białką i bez głowy się obudził o świtanu — powiedział wreszcie przecierając zapocone okulary. — Mocarnego Samsona słaba niewiasta do zguby przywiodła. Nawet najmądrzejszy z mądrych, Salomon, Dawidów syn, nie znał leku na niewieścią złość.

— Cóż mam tedy począć? — pociągał nosem Terk.

— Jedna jest rada.

— Jaka?

— Stara jak świat: na frasenk dobry trenk.

Cóż Dawidowi pozostało? Skorzystał z tej rady i razem z kamratami, zafrasowanymi jego kłopotem, szukał pilnie pociechy na dnie kufli.

— Dobra rada nie jest zła — mawiał trącając szklanicą o szklanicę druhów z maszope-rii.

Ktoregoś wieczoru popijali tak w Helu, dokąd czółna ich zapędził jesienny sztorm. Ale w stojącej opodal starego, ceglanego kościoła gospodzie, nad której dźwierzami widniała ko-lorowa figurka proroka Daniela pośród dwóch lwisk, nie znaleźli zacisznej przystani. Helanie krzywo patrzyli na borzan, odkąd ci przestali bywać w ich zborze. Od lat. przygadywali sąsia-dom, że spotka ich za to kara. Tymczasem tej wiosny, jak na złość, nie w Helu, lecz właśnie w pobliżu Boru, na wysokiej sośnie przy Bocianie Górze, zagnieździł się bocian, wróżący szczęście ludziom.

Tym razem okazali się bardziej kaśliwi niż zwykle, a na bociani argument, przeczący ich przepowiedniom, odpowiadali złośliwymi uśmiechami. Nieswojo poczuli się Kaszubi wśród helskich, podobnych do zbójów brodaczy, pod wybrzuszonym pułapem, w półmroku karczmy, którego nie mogła rozproszyć zawieszona u sosrębu tranowa latarnia. Aby dodać sobie otuchy, brzęknęli kuflami bajerszu i zaśpiewali:

*Borzon z Bogiem żyje w zgodzie,*

*tedy piwo mu nie szkodzi,  
helan z diabłem trzyma w złości,  
trunk mu idzie w łeb i kości,  
krzywo się helany śmieją,  
doch im śmiech ten nie pomoże,  
leci bocian nad mierzeją na  
swe gniazdo w naszym Borze.*

Brodacze na to ryknęli śmiechem. Pochylili ku sobie głowy. Szwargotali między sobą. Krztusząc się piwem, parszając i rechocząc, wytykali sąsiadów palcami.

— Te helskie purtki coś złego przeciw nam knują — zatroskał się Dawid.

— Bodaj ich kurk kopnął — szyper wyciągnął tabakierę i poczęstował kompanów tabaką. — Chceme le są, dresze, zażec.

Kichnęli tak, że zadzwoniły butle na półkach czarnego szynkwasu i zadygotał knot latarni. Za oknami szumiały sosny, klaskał pochłust wysokich fal.

— Nie ma na co czekać — orzekł Ambroży. — Ten sztorm potrwa kilka dni. Wracamy do dom.

Zabrali się do odwrotu. Trzasnęli drzwiami i ruszyli brzegiem zatoki ku Borowi. Muza brnął przez piachy ostatni, bo wcale mu się do checzy nie śpieszyło. Podochoceni maszopi zostawili go daleko w tyle. Las dawno przesłonił płonący kocioł, zawieszony na wysokim żurawiu u krańca półwyspu, latarnię przed szynkownią, żółte okna helskich domostw. Było ciemno. Huczało morze. Jęczały gałęzie drzew, targanych wicherzyskiem. Piach skrzypiał i piszczał pod skorznięmi, jak pokutująca dusza. Szeleściły wydmuchrzyce.

Terk podniósł kołnierz wępsa. Mocniej nacisnął mucę uszată. Kroczył coraz wolniej. Pod zaczerwieniałym z chłodu nosem mamrotał smętnie:

*Oj Dawidzie, oj Dawidzie,  
wielki sztorm z północy idzie,  
ale gorszy sztorm cię czeka,  
gdy cię twoja ujrzy Kreka,  
skoro próg przekroczysz checzy,  
niech cię święci mają w pieczy,*

*wszędę pono źle na świecie,  
wždy najgorzej doma przecie,  
o kamracie mój, Ambroży,  
ty wiesz, że mi tam najgorzej,  
bo od diabła mi ma żona,  
nie od Boga przeznaczona.*

Wtem stanął jak wryty. Przeraził się bardziej, niż gdyby usłyszał skrzek Rozalii. Do uszu jego bowiem dotarł taki głos, że włosy mu dęba stanęły.

— Maryja, Józef — szepnął. — Wieszczy zębami kłapie.

Rozejrzał się dokoła. Miesiąc wychylił na moment zza chmur łysinę, jakby pomóc chciał wnukowi bisurmańskiego murzy, który półksiężycowi się kłaniał. Przed Dawidem załopotał cień dziwaczny, niewyraźny.

— Czarny chłop bez głowy — jęknął maszop i chciał już rzucić się do ucieczki, by uniknąć spotkania ze straszonym widmem, wałęsającym się nocami po bałtyckich strądach, ale w ostatniej chwili porzucił ten zamiar.

Ledwie się w głos nie roześmiał z przeżytego strachu. Zjawa miała nie tylko głowę, lecz i nos dłuższy, mocniej czerwony niż nochał Szelty, puckiego kramarza. Takim nosem mogła się pochlubić tylko jedna ze znajomych Muzy postaci.

— Bocian — zawołał. — Nasz borski bocian z sosny przy Bocianie Górcie.

Tu zauważył, że długonogi sąsiad bezradnie macha skrzydłem. Podbiegł do niego. Przy-klęknął na piachu.

— Cóż to ci się stało? — zapytał.

Spostrzegłszy w księżycowej smudze krew barwiącą biały piasek, przypomniał sobie krzywe uśmiechy helan, ich szwargot, złośliwe rechoty i gesty.

— Ej, da dioble — zaklął. — Postrzeliły cię te purtki. Pomnę, że helski sołtys mrużył oko, jakby ze strzelby w górę mierzył, i powtarzał kumotrom swym: „Pif, paf! Pif, paf!”

Bocian zaklekotał żałośnie, jakby potwierdzając domysł rybaka i skarżąc się na zawiść nieludzkich helan.

— Zazdrościli nam szczęścia — pokiwał głową Terk. — Poczekaj le, drehu. Coś mi pękło w głowie — uśmiechnął się, gdyż

błysła mu nieoczekiwana myśl. — Szczęścia... Jo. Znalazłem radę na me zmartwienie. Wezmę cię, ptaszku, do mej checzy. Nie bój się. Ranę ci opatrzę. Nakarmię cię, wygrzeję przy piecku. Może razem z tobą zamieszka u nas szczęście?

Wziął rannego na ręce i ruszył przed siebie. Im bardziej zbliżał się do wsi, tym mocniej uginały się pod nim nogi. Z bijącym sercem wszedł do chałupy.

Zamknijmy za nim drzwi. Nie podsłuchujmy, jak go przywitała najmilsza z żonek. Niech wystarczy to, że Pusza Selim, jastarnicki dzwonnik, zaczął na trwogę bić w sygnaturkę smolnego kościółka, bo mu się wydało, iż sztorm spotęźniał i lada chwila porozrywa, jak to już ongi bywało, mierzeję na oddzielne wyspy albo że jakiś okręt miotany burzą z dział bije wzywając ratunku.

— Zbudzta sę, maszopi — krzyczał kościelny służka i szarpał sznur co sił w garściach. — Zbudzta sę, ledze.

Pobudzili się rybacy. Z latarniami wybiegli w noc, na wybrzeże. Stwierdzili, iż żaden statek nie tonie, a fala maleje, chociaż obie rozdzielone granicznym rowem wioski trzęsą się od straszego huku w posadach.

— Nie od morza ten sztorm, jeno od Dawidowej checzy — rzekł karczmarz Kąkol. — Możemy wrócić do łózek.

Posłuchali, przyznali mu słuszność i zawrócili do wsi.

### III. Jak to było bocianowi w gościnie u Dawidowej Kreki

Od tej nocy jastarnicy nie lękali się już lada czego, mimo że raz po raz u Mużów zrywały się burze głośniejsze niż Bartłomiejowe Wichry, niż jesienne Sztormy Wszystkich Świętych. Po każdej z takich nocnych kanonad Terk wychodził z chaty z obwiązaną głową. Na jego widok weseli jastarnicy nucili w karczmie u Kąkola frantówkę ucieszoną:

*Nasza Kreka kie by burza.*

*„Daj mi gęby” — rzekł jej Muża.*

*Biedny Terk nasz. Biedny Dawid.*

*Chodzi teraz w chusty zawit.*

*Czemu bolą dziś go zęby?  
W gębę dostał zamiast gęby.  
Na łbie, Terku, nosisz zawój,  
lepiej z Kreką się nie prawuj,  
ale umknij, choćby balią,  
het za morze przed Rozalią.*

Przez cały rok cierpiał Muża takie udręki. Białka piekliła się niemal co dnia:

— Bioj te, Terku zawojowany, do piekła z tym twoim ptakiem! Garnek mi dziś rozbił na drobne skorupy. Jak sani go nie wygnasz, to ja łeb mu ukręcę!

— Bocianowi nie wolno uczynić niżadnej przesprawy — ostrzegął Dawid.

— Jemu wolno mnie krzywdzić, a mnie jego nie? Niby dlaczego?

— Bocian świat z plugastwa czyści.

— Licho czyści, skoro ty, poganinie, jeszcze po świecie chodzisz. Łeb mu ukręcę, bo złym okiem na mnie patrzy. Dawno już bym to zrobiła, jeno że dziobem broni do siebie przy-stępu. Decht jak żołnierz pałaszem. Diabeł w nim siedzi.

— Nie diabeł, nie diabeł...

— Jeno chto? Anioł Pański?

— Człowiek — podniósł palec Kaszuba. — Nie wiesz to, białko kochana, że bociany to też ludzie, tyle że z ciepłych krajów?

— Skąd? — zakrakała Kreka.

— Znad Czerwonego Morza.

Białka wsparła się pod boki.

— Wejta le, jaki mądry. Jak króla Salomona buksy. Myślałby ten, co cię nie zna, żeś wszystkie rozumy pojadł.

— Nie ja, nie ja, jeno szyper nasz Ambroży Buszk. On to gada, że jak bocian przyleci w swoje strony i zanurzy dziób w Czerwonym Morzu, to zaraz w człowieka się przemienia. A na wiosnę, skoro umyje się w źródle jednej takiej afrykańskiej rzeki, znowu w ptasie obrasta pióra i do nas tutaj na skrzydłach wraca.

— Buszk jest czarownik, a czarownikom nie wierzę.

— Buszkowa to samo powiada.

— Bo i ona jest czarownicą.

Mimo wszystko Terk postawił na swoim. Nie dał kamratowi

zrobić krzywdy. Bocian zadomowił się na dobre w checzy Mużów. Rozalia musiała tym razem ustąpić i tylko wten-czas, kiedy małżonek wypływał na połów, próbowała ścierką wypędzić niemiłego gościa z izby, pomstowała na niego okrutnie, chowała za piec jego miskę z jadłem. Ptak stroszył pióra, otwierał dziób, klekotał.

— Bocian krzyczy, będzie deszcz — plotkowały sąsiadki nasłuchując krakania i klekotu obojga przeciwników.

— Nie dziw to przecie, że Kreka z bocianem w zgodzie żyć nie potrafi.

— Ciekawe, które z nich wygra?

Czekano z napięciem, jak się ta wojna domowa zakończy. Sądono powszechnie, że bocian zostanie wypędzony. Muża jednak dzielnie opierał się sztormom, deszczom, gradom, które spadały na jego głowę po każdym powrocie z morza.

— Pokazał nasz Terk, że to on, a nie jego białka buksy nosi — klepali z uznaniem Dawida po barkach maszopi podczas tegorocznych zeszywin.

— Twoje zdrowie, sąsiedzie — podnosił szklanicę Ambroży Buszk. — Już niedługo twej krzyżowej drogi. Przyjdzie łykwiat, lód popuści. Ruszymy z laskornem na łososie. Lato minie raz dwa, a jesienią twój gość odleci i będziesz miał spokój w checzy.

Muża schylał oszronioną głowę i nic nie mówił. Mimo pochwał i pociech coraz bardziej wydłużała mu się pocziwa gęba. W głębi duszy niemiła była mu myśl, że przyjdzie chwila, w której będzie się musiał rozstać ze skrzydlatym przyjacielem. Z każdym tygodniem, z każdym dniem bardziej się do niego przywiązywał. Nie przyniósł mu po prawdzie szczęścia, ale jakże się rozumieli. Z jakim współczuciem patrzył bociek na rybaka, jak smutnie kiwał łbem, kiedy Rozalia zaczynała odprawiać codzienne gorzkie żale. Można było nieomal przy-siąć, że klekoce cicho, pocieszająco, nie ptasią, lecz ludzką mową:

*Kle, kle, kle,  
źle ci, źle,  
źle twe noce,  
źle twe dnie;  
kle, kle, kle,  
klek, klek, klek,*

*na złość białki  
mam ja lek...*

Wtedy Kaszuba gładził jego prawe, przestrzelone skrzydło i odpowiadał mu szeptem, by Kreka nie słyszała:

— Nie ma, drehu mój, niżadnego leku na niewieścią złość. Jo, jo... Takie to nasze życie. Tak to z nama jest.

Rozalię coraz bardziej drażniła komitywa Dawida z ptakiem. Toteż na wiosnę obaj zaczęli wymykać się z checzy. Wolne chwile spędzali za podwórkiem, w szopce z przepoło-wionej łodzi, wśród starych wiosł, sieci, kob. Później, gdy całkiem się ociepliło, wałęsali się razem po pażycach i mokradłach, po Westowym Oku, wydmach, Uświnie, Bocianiej Górcie.

Wczesną jesienią wyleczony bocian odleciał na południe. Rybak spłakał się jak bóbr, patrząc na pożegnalne kręgi, które ptak zatoczył przed odlotem nad checzą. Pocieszało go tylko to, że może teraz jego białka przycichnie i rzadziej niż dotychczas będzie mu zatruwała życie skrzekliwym krakaniem. Gdzież tam. Wszystko zostało po dawnemu.

— Żal ci, Terku zawojowany, że twój pogański braciszek odleciał w bisurmańskie strony, a ty zostałeś tutaj i musisz żyć po naszemu? — ujadła.

Nie mógł tego dłużej znosić. Rozalia bowiem trafiała w sedno. Naprawdę czuł się opu-szczony. Zdawało mu się, że stracił rodzonego brata. Szyderstwa żony doskwierały mu do żywego. Skorzystał więc z tego, że po jednym z udanych połowów kilku borzan postanowiło zawieźć morzem ryby na Feszmark do Gdańska. Zabrał się z nimi, by choć dzień lub dwa wytchnąć z dala od jazgotu połowicy.

Kiedy maszopi zepchnęli czółna na głęboką wodę i jęli wciągać żagle, stojąca na strą-dzie Kreka zaskrzeczała:

— Wybierasz się do pogańskich krajów za swym diabelskim bratem?

— Cóż to, białko kochana, gadasz ? — odkrzyknął Muża. — Toć wiesz, że do Gdańska bieżę, rebe przedać.

— Żebyś jeno mi się tam nie ważył słuchać bicia gdańskich dzwonów. Jeżle dasz się im skusić i choć jeden grosz marnie na trenk utracisz, zgiń, przepadnij, a mnie się na oczy więcej nie pokazuj, bo tak cię przywitam, że twój bisurmański stark w trumnie się obróci — groziła.



— Gdzieżbym tam gdańskich dzwonów słuchał — odzęgnywał się skwapliwie Kaszu-ba, a głos jego cichł w dali. — Bywaj zdrowa, białko... Ciebie jeno od lat słucham i nikogo więcej. Starczy mi twój głos za wszystkie dzwony Gdańska...

#### IV. Jak gdańskie dzwony zwiodyły pocziwego Mużę na manowce

Gdańskie dzwony. Maszopi z Międzymorza doskonale rozumieli ich mowę. Kiedy tylko dobili do portu i u stóp okrągłej wieży — Kolpiem, czyli Łabędziem, zwanej — sprzedali pyskatym przekupkom przywiezione ryby, zaraz posłyszeli ratuszowy dzwon, który właśnie jał z powagą nawoływać dostojnym, burmistrzowskim basem:

*Bum, bum,  
pij rum,  
bum, bum,  
pij rum.*

Niezwłocznie zawtórowały mu inne dzwony: Dei Gratia z fary Panny Marii, Jan Chrzciciel z Świętojańskiej kirchy, Piotr i Paweł z kościoła na Przedmieściu, Barbara z Dolnego Miasta. Zbudziły się w ceglanych gniazdach spiżowe ptaki. Rozkołysały się na wysokich wieżach świątyń. Kusiły, jakby im za to płacili gdańscy szynkarze:

*Bambam, bambam, bambam,  
wstąpijże waść na miody  
o tam, o tam, o tam,  
w otwarte drzwi gospody.  
Bambam, bambam, bambam,  
łyknijże sobie wasze  
machandla, miodu dzban,  
wódeczki złotej flaszę...*

A małych sygnaturek również nie zabrakło w tym chórze. Wesołe trzpiotki terkotały srebrnymi głosikami. Zawracały Kaszubów z

prostej drogi. Śpiewnie, melodyjnie, przekornie powtarzały im nad uchem wciąż jedno i to samo:

*Belebelebele, belebelebele,  
pić trzeba w szynkowni, modlić się w kościele,  
belebelebele, belebelebuli,  
wychyl Pod Łososiem kielich krambambuli,  
gdańską krambambulę — trunek co się zowie —  
pili Pod Łososiem polscy starostowie,  
belebelebele, choć tyś rybak prosty,  
przecież masz mocniejszą głowę od starosty,  
krambambulę pij więc, a nie miody pszczele,  
belebelebele, belebelebele...*

Dali się skusić zacni borzanie, a z nimi nasz Muza. Przywiązali czółna do palów mostu przy Maślanej Bramie i wszystko poszło jak po maśle. Nie pytając przechodniów o drogę, trafili bez trudu na ulicę Szeroką, gdzie opodal pociemniałych baszt Żurawia z dawna słynęła szynkownia Pod Łososiem. Że zaś chorągiewka, wykuta w kształt żurawia i skrzypiąca na szczytnicy starego dźwigu, przypomniała Dawidowi utraconego przyjaciela, przeto nieszczęśliwy Terk postanowił utopić robaka żalu.

Mimo obietnicy danej białce topił go z uporem w znakomitej krambambuli, ale nie zdołał utopić smutku.

— Pływa jak koba — żalił się kamratom.

Borzanie ze zrozumieniem kiwali głowami, a kiedy do sieni weszli uliczni muzykanci i zagrali rybacką melodię na skrzypkach, basach, dudach, Ambroży Buszk zaintonował:

*Wile, wile, wita,  
nasze morze,  
wile, wile, wita,  
szczur w komorze,  
wile, wile, wita,  
gryzie zboże,  
każdy w domu swego  
szczura ma...*

Z okienka w wykuszu nad szynkwasem wyrzała zciekawiona szynkareczka, ale zaraz cofnęła główkę, bo krąg maszopów, otaczający największy ze stołów, podjął śpiewkę, aby zakończyć ją w sposób zgoła niemiły dla płci nadobnej:

*Wile, wile, wita,  
dmucha bryza,  
każdy szczura ma,  
co mu dogryza,  
wile, wile, wita,  
mój ty Boże,  
lepszy w domu szczur niż  
białka zła.*

Dawid do łez się rozczulił. Wspominał bociana, co go pocieszał w niedoli. Skarżyć się począł na niegodziwą białkę:

— Wieta le, dresze, co? Nie mogę już dłużej znieść takiego życia. Jak pomyślę, że jutro znów obaczę i usłyszę moją Krekę, to chęć mnie zbiera uciec choćby na koniec świata.

Na to odwrócił się ku rybakom popijający przy szynkwasio człek w czarnym, wyświechtanym stroju, pofałdowanych pończochach z bawełny, w koślawych trzewikach z metalowymi sprzączkami.

— Na koniec świata? — wtrącił się do rozmowy. — A to świetnie się składa. Znam jednego kapitana, Holendra, który wybiera się w daleki rejs. Szuka on marynarza, żeby mieć pełną załogę na swym brygu. Mogę się wam postarać o musterunek.

Mocno podchmielony Terk dźwignął się z zydlu. Pieniądze za ryby przepił do ostatnie-go grosza. Z pustą kieszenią wolał się w domu nie pokazywać.

— Sama mi rzekła, że mogę nie wracać do checzy — tłumaczył po wyjściu z szynkowni kamratom, którzy hurmem odprowadzali go nad Motławę.

Przy nadrzecznych pomostach stało wiele naw, z żaglami zwiniętymi w zwoje tak grube, że mógłby się w nich ukryć okrętowy chłopak. Na burtach u trapów widniały czarne tablice, na których szprowie kredą wypisywali cel najbliższej podróży:

„Daj Boże do Szczecina”  
„Daj Boże do Królewca”

„Daj Boże do Kopenhagi”

„Daj Boże do Rygi”.

Czarny gdańszczanin w białych pończochach wyminął wszakże wszystkie te statki i przez Zielony Most poprowadził Kaszubów na Wyspę Spichrzów, gdzie koło spichlerza „Szara Gęś” zobaczyli brzuchaty bryg holenderski.

— *Judyta* — mruknął.

Dawid podrapał się za uchem.

„Zwie się, jak ta żydowska białka, przez którą Holofernes obudził się bez głowy — przeszło mu przez myśl. — Zły to dla mnie znak”.

Za późno jednak było już na odwrót. Zresztą okręt prezentował się niezgorzej. Burty miał pociągnięte świeżą warstwą smoły. Pokład lśnił czystością. Na rejach powiewała z wiatrem susząca się w słońcu bielizna i czerwone, wełniane pończochy okrętników. Kapitana nie było. Powiedziano im, że szuka na własną rękę ochotnika pośród mieszkarzy pijących w mrocznych tawernach przy uliczce Powroźników. Wkrótce zjawił się jednak.

— *Donder en Blikxen* — sapał gramoląc się na trap. — Nie udało mi się znaleźć nikogo chętnego do żeglugi. Gdańszczanie boją się jesiennych sztormów. Co za miasto! U nas w Amsterdamie zaraz z dziesięciu by się zgłosiło, a tu ani jednego...

Ujrzawszy Terka rozpogodził się w jednej chwili. Zabrał go do kajuty. Postawił w kącie parasol. Położył na koi kancjonał w ciemnej oprawie. Odsłonił łysinę zdejmując z głowy czarny, filcowy kapelusz, rozszerzający się ku górze. Uśmiech rozjaśnił czerwoną gębę gru-basa z obrosłym siwymi kłakami podbródkiem, a dokładnie wygoloną górną wargą. Odziany był w modry frak z błyszczącymi guzikami i brunatne pludry. Siadł do stołu, chwycił gęsie pióro, zanurzył je w kałamarzu.

— Spadłeś mi, człowiecze, jak z nieba — zatarł ręce wpisawszy imię nowego marynarza do okrętowej księgi. — Masz tu zaliczkę. Poślij ją swojej małżonce, bo nieprędko ją zoba-czysz.

— Trzy, cztery, pięć, sześć, dziesięć, dwanaście — rachował Kaszuba złote guldery wykładane na stół z kapitańskiej szkatuły. — Szczodrzyście, panie szyprze.

— *Donder en Blikxen!* Płacę tyle, ile się należy. Idziemy w daleki rejs.

— Im dłużej doma się nie pokażę, tym dla mnie lepiej. Te detki

zaś poślę przez druhów mej białce. Może ją ułagodzą i serdeczniej mnie przywita, kiedy znowu przyżeglujemy na Bałtyk.

— Nierychło to nastąpi. Donder en Blikсен! Rzekłem ci przecież, że czeka nas długa żegluga.

— Do Amsterdamu ? — przypomniał sobie maszop napis na tablicy przy trapie.

— Najpierw tam — odparł Holender — potem do Londynu.

— A stamtąd?

— Jeden tylko diabeł to chyba wie. Czas jest wojenny. Sir Nelson wojuje z Francuzami. Kto nie zawaha się wziąć udziału w tej grze, ten, Donder en Blikсен, łącno może zdobyć fortunę.

— Chto w pleciony ul dmuchnie, temu czasem pysk spuchnie.

To przysłowie nie przypadło do smaku obrotnemu szyprowi *Judyty*. Ściągnął nawisłe brwi.

— Tchórz cię oblatuje? Blikсен en Donderslag. Boisz się, że przyjdzie ci wachać proch? Słuchać armatniej kanonady?

— Od dnia ślubu dzień w dzień jej słucham — westchnął borzon.

— Bieda temu domowi, gdzie krowa dobodzie wołowi. Wolę huk dział od głosu mej białki. Popłynę z wami tym statkiem choćby tam, gdzie pieprz rośnie.

Holender wyciągnął rękę, szeroką jak łopata do szuflowania zboża.

— Takiego śmiałka mi potrzeba. Uderzmy na zgodę dłonią o dłoń. Donder en Blikсен! Fortuna skrzydlata jest pono, ale i memu brygowi nie brak żaglowych skrzydeł. Dościgniemy ją, jakem Rochus Maas z Preetstreet.

*Judyta* gotowa już była do drogi. Towar załadowano, luk zamknięto. Maszop więc, potwierdziwszy podaniem prawicy umowę z szyprem, wyszedł na pokład, dał Buszkowi pieniądze dla Rozalii, pożegnał się z rybakami. Potem zdjęto cumy. Mostowi dozorczy podnie-śli zwodzony Most Zielony. Statek ruszył z leniwym prądem w dół rzeki. Minał Ołowiankę, Polski Hak, Ostrów, Mewi Szaniec. Za wieżą Wisłoujścia zakołysały nim fale Gdańskiej Zatoki. Wiatr wydał żagle. Zachichotał w olinowaniach masztów.

Lekko się zrobiło Terkowi na duszy. Tak lekko i wesoło, że gdy już przy księżycu pruli wzdłuż mierzei, a podmuch przyniósł z Boru pianie szyperskiego koguta, świeżo upieczony okrętnik stojąc na rufie zaśpiewał sobie piosenkę, zapamiętaną z kawalerskich jeszcze lat:

*Wiatr na wydmach w Borze wieje,  
tam me dziewczę rutkę sieje,  
rutkę sieje przy miesiącu  
chłopca swego żalująca,  
oczko łzawi, serce płacze,  
że jej miły z inną skacze, skacze,  
skacze on z denegą,  
córką morza zielonego,  
nie chce wrócić do swej checzy,  
bo na checzy kreka skrzeczy,  
spłosz, dziewczyno, ptaka złego,  
a obaczysz znów miłego...*

## V. Jak przed Terkiem otworzyły się Afrykańskie Wrota piekła

Morska podróż dłużyła się naszemu Kaszubie. Byli już od kilkunastu dni w drodze, kie-dy bosman, który podobnie jak Dawid pochodził z Pomorza i znał kaszubską gadkę, wrzasnął:

— Rewe, rewe!

— Co? — zdumiał się Muża. — Dwie niedziele prawie płyniemy, a dopłynęliśmy dopiero do Rewy koło Szperku?

— Nie wiesz, chłopie, co to rewiny? — zaśmiał się bosman. — Rewiny u żagli masz mocniej zaciągnąć. Ho, ho! Ile to mil dzieli nas od Rewy. Niedługo zawiniemy do Amsterda-mu.

Niebawem zobaczyli ten port, lecz długo w nim nie pobyli. Szyper Maas, choć gruby i ociężały, potrafił koło swych interesów kręcić się jak fryga. Stał przy Rokin, pod giełdą, sprzedał machlerzom nadwiślańskie zboże i zaraz ruszył z nowym ładunkiem do Londynu. Na mglistej Tamizie, opodal czterech wieżyczek zamku Tower, ledwie widocznych w skisłym mleku oparów, stali również tylko parę dni, ot, tyle, że bosman zdążył pokazać ziomkowi zadymione szynki: Pod Trzema Beczkami przy Charing Cross, Pod Delfinem przy ulicy Bisku-piej, Pod Dzwonem przy opactwie Św. Piotra w Westminsterze.

— Gdańskie dzwony i szklanice piękniej dzwonią niżli te tu w

tym zapowietrzonym Łądzinie — narzekał markotny borzon.

Wydawało mu się bowiem, że dzwony angielskiej stolicy, przytłumione złą pogodą, gadają z angielska po kaszubsku:

*Bil, bil, bil, bil,  
ben, ben, ben, ben,  
bin, bin, bin, bin,  
bęć, bęc, bęc, bęc,  
nie marnuj chwil,  
bo głupi ten,  
chto wciąż na dżin  
wielką ma chęc.*

Nie smakowały mu tutejsze trunki, nie podobali mu się ludzie, z którymi nie mógł się dogadać. Najbardziej wszakże sarkał na gęste i żółte jak grochówka mgły, które płynęły ulica-mi, osnuwały mosty, gmachy, wieże.

— Czy słońce nigdy tu nie świeci? — zapytał bosmana w chmurny ranek, gdy szyper załatwił wszystkie sprawy, załadował bryg po brzegi mocno okutymi beczkami i kazał podno-sić kotwice.

— Będziesz, rybaku, miał jeszcze słońca aż za wiele — odburknął Pomorzanie. — Niech jeno miniemy Diabli Hok, przepłyniemy szczęśliwie koło Krowiego Rogu i wejdziemy w Afrykańskie Wrota przy Smoczym Piku, a gorąc siódmą skórę z ciebie złupi.

Chciał Dawid dalej pytać o te dziwaczne nazwy, lecz bosman zły był dziś jak osa, a do tego pilnował steru, sam pilnowany z kolei bacznym spojrzeniem kapitana. Dopiero wieczorem, skoro szyper wszedł do kajuty, by po uszy pograć się w rachunkach i handlowych księgach, stary marynarz powierzył sterowe koło jednemu z majtków.

— Piekło chyba podkusiło Starego, że zgodził się wziąć taki ładunek — warczał później popijając grog w kubryku. — Lepiej byłoby samego diabła wieźć w ładowni!

— A co takiego wieziemy? — zaciekawił się Terk.

— Proch i kule dla Nelsona.

— Nelsona? Coś mi się zdaje, że już słyszałem o tym człeku... Nie, zmyliłem się chyba. Znam wszystkich borzonów, wielu wielżonów,

ale Nelson... Co to za jeden? Chrześcijanin?

— Admirał. Jednooki Anglik. Z Francuzami na morzu wojuje, a osobliwie dybie na generała Bonapartego, który popłynął pono tej wiosny do Egiptu.

— Bonaparte... — powtórzył maszop.

— O nim też nie słyszałeś? — zdziwił się marynarz. — Świat tam u was na Rebokach deskami pewnie zabity. Bo przecież i w gdańskich szynkowniach już o nim niemieckie okręt-niki śpiewają.

Łyknął grogu raz, drugi, głowę otarł rękawem. Poweselał trochę. Przypomniawszy sobie zasłyszana śpiewkę:

*Trąbić — krzyknął do trębaczy  
Napoleon Bonaparte  
i sam trąbić z nimi zaczął,  
i wytrąbił wódki kwartę;  
tego trąbią dziś Francuzy,  
jak to zwykle przed wojenką,  
ale gdy się sypną guzy,  
trąbić będą całkiem cienko.*

Długo trwało, nim Terk po raz wtóry usłyszał to obce nazwisko. Przebyli kanał La Manche, przez który ocean „jak z rękawa \*” sypał sztormami. Wyhuśtała ich Biskajska Zatoka. Przy Diablim Hoku, skalistym zębie, przez cudzoziemskich żeglarzy nazywanym „Koniec Ziemi”, o włos się znaleźli od mokrej śmierci. Jeszcze zawzięciej wypadło im się borykać z ogromnymi falami, które pieniście rozbijały się o Przylądek Św. Wincentego. Na jego czerwonych urwiskach białął warowny klasztor białych mniszek z wieżą morskiej latarni, a w dole sterczała z pian skała Krowiego Rogu, na który nadziało się wielu żeglarzy.

— Dobrze, iż w dzień mijamy ten hak — powiedział bosman.

— Czemu? — nie pojął Muża.

— Bo nocą czasem te mniszki-bieśnice gaszą latarnię, a kiedy się jaki statek rozbije, wyławiają rozbitków, wždy pono tylko młodych. Starych, takich jak ja, na powrót spychają ze skał w morze, jako że z nich pociechy sobie nie obiecują.

— Co za świat, co za ludzie! Nasze żarnowieckie panny nigdy by się chyba takich beze-



\* Francuskie słowo *la manche* oznacza „rękaw”.  
ceństw nie dopuściły.

— Kto z wielu pieców chleb jadł, kto bywał w krajach lata i zimy, tego nic już na świecie nie zdziwi.

Kraje lata były coraz bliżej. Słońce zaczynało doskwierać coraz mocniej. Terk odechnął, kiedy *Judyta* minęła wreszcie Afrykańskie Wrota. Rzucili kotwice w przystani gibraltarskiej pod wysoką skałą Smoczego Piku. Skakały po niej ogoniaste małpy, podobne do diabłów z „Sądu Ostatecznego”, którego wizerunek wisiał w babnicy jastarnickiego kościoła.

— Ojciec Dionizy — wspomniał sobie borzon dominikanina, plebana z Jastarni. — Toć to nie Afrykańskie Wrota, jeno piekielna brama!

Nie zastali tutaj, niestety, floty jednookiego i kulawego admirała. Musieli pośpieszyć w ślad za nim na Śródziemne Morze. Zamiast jednak Anglików spotkali koło Malty fregaty malowane w czarno-białe pasy. Na masztach ich i rufach powiewały trójkolorowe bandery.

— Blikken en Donderslag — zaklął szyper Maas. — Francuzi. Okręt tego przekłętą małego kaprala, Napoleona Bonaparte! Rozwinąć wszystkie żagle! Może uda nam się ujść.

Załopotały żagle. Zaświstał gwizdek bosmana. Marynarze wspięli się na wanty.

— Sygnalizują, żebyśmy stanęli — zameldował bosman.

— Niech sygnalizują do sądneho dnia — tupnął Holender. — Dwa rumby w lewo. Donder en Blikken!

— Żebyście tego w złą godzinę nie rzekli. O, już błysło, a my płyniemy jak na beczce prochu.

— Milcz, do stu czartów, bo cierpliwość stracę.

— Widzi mi się, żeście nie cierpliwość stracili, jeno głowę.

— Blikken en Donderslag! Nie wydam im mojej *Judyty*, choćbym miał...

— Łeb przez nią jak Holofernes utracić — dokończył Muża, zatykając uszy, bo działa Francuzów huczały coraz bliżej.

Nieprzyjaciel bez trudu doścignął pękaty statek. Jedna z kul przebiła pokład, wpadła do ładowni. Buchnęły prochy. Szyper Rochus stracił głowę po raz drugi i ostatni. Bryg wyleciał w powietrze, jak łosoś ugodzony karkulicą. Z załogi mało kto ocalał.

— Maryja, Jozef — krzyknął Dawid znalazłszy się niespodziewanie w zbełtanym morzu. — Retejta mnie, wszetcy święci!

W pierwszej chwili byłby przysiągł, że to nie nagromadzona pod pokładem amunicja huknęła, tylko Kreka, zjawiwszy się cudownym sposobem, zgromiła Holendrów, co jej małżonkowi pomogli uciec od małżeńskiej szczęśliwości. Dlatego też, kiedy ochłonął nieco ze strachu i uczeplił się złomka rei, westchnął z ulgą:

— Bogu dzięki, że jeno taki spotkał mnie przypadek! Mogło być gorzej.

Gdyby, nieborak, wiedział, co go jeszcze czeka, może by nie chwalił dnia przed wieczo-rem. Niewiele zresztą brakło, a zaraz skończyłyby się jego kłopoty. Zagapił się bowiem na długi sznur bocianów ciągnących nad morzem ku Afryce i nie zauważył, że w pobliżu wy-nurzają się rekiny. Wyglodniałe żarłaczki otwierały już zębate paszcze, obiecując sobie sma-czny kąsek. Na szczęście uniosła go fala. Zakrzusił się Kaszuba. Zaczął bić rękoma jak cepa-mi. Francuzi, spuściwszy szalupę, w ostatnim momencie zdołali wyłowić rozbitka. Szturman wywindował go po linowej drabince na pokład fregaty i zameldował kapitanowi:

— Schwytaliśmy jednego jeńca. Reszta poszła chyba na dno razem z tym przeklętym brygiem.

Wygolony oficer odjął od oka lunetę. Wziął na spytki brańca, ociekającego wodą. Ten wszakże stał przed nim, jak niemowa, i patrzył w dal, gdzie znikwały odlatujące bociany. Mrugał powiekami. Ocierał mokrą twarz. Nie odpowiadał na pytania zadawane w różnych językach, bo żadnego z nich ani w ząb nie rozumiał.

— Przygłupek jakiś — orzekł wreszcie kapitan. — Weźcie go do aresztu!

Sprowadzono tedy naszego Terka na dno liniowca. Zamknięto go w ciemnej komorze. Wiele dni przesiedział w zgniłym zaduchu, zastanawiając się, czego odeń chcą ci dziwni ludzie.

„Cóżem im zawinił?” — drapał się w głowę i liczył dochodzące z góry klangi okręto-wego dzwonu.

Nawoływał on podobnie, jak ten na gdańskim ratuszu:

*Bum, bum, pij rum.*

Ale rumu nie było tutaj pod ręką. Nie było też złotej wódki, machandla czy krabam-buli, którą delectowali się Pod Łososiem polscy starostowie. Więzień miał do dyspozycji jedynie dzban skisłej wody, jedyne zaś jego towarzysztwo stanowiły popiskujące szczury. Wspominał tedy nieraz piosnkę z gdańskiej szynkowni, dostosowując ją do nowych okoliczności:

*Wile, wile, wita,  
oj nieboże,  
po coś się na wielkie  
puścił morze,  
siedzisz teraz w ciemnej  
tu komorze,  
bieda ci dogryza  
niby szczur.  
Wile, wile, wita,  
piszczą szczury,  
czy mi wyjść się uda  
z tej tu dziury,  
czy na nasze wrócę  
Międzymorze,  
czy obaczę jeszcze  
helski Bór?*

Raz na dzień tylko ciemności rozpraszał migotliwie blask blaszanej latarni. Marynarz, który z nią się zjawiał, przynosił jeńcowi wodę i czerstwe suchary.

— Gdzie mnie wieziecie? — dopytywał go Dawid za każdym razem. — Czemu trzy-macie mnie w tym smrodzie i brudzie?

Majtek z kolczykiem w uchu nie odpowiadał ani słowem. Aż któregoś dnia szarpnął Kaszubę za ramię i po stromej schodni wyprowadził go z cuchnącego, szczurzego mroku na pokład.

## VI. Jak się Dawidowi wiodło na piekielnym dnie

Słońce tak oślepiło Mużę, że przymknął powieki. Otworzywszy je

po dłuższym czasie, sądził, że śni na jawie. Okręt stał pod żółtą twierdzą na półwyspie. Dalej widniało na płaskim brzegu portowe miasto. Sto ośmioskrzydłych wiatraków machało nad nim łapami. Domy bez dachów białeły w rozszarżonym blasku. Ze strzelistych wieżyc, na których błyskały złote pół-księżycy, płynęły jękliwe zawodzenia:

— La illah il Allach, wo Mahommed rasul Allach...

Po wodach portu, między kadłubami statków, uwijały się łodzie z żaglami na ukośnych rejach. Na grobli półnagie brudasy popędzały muły zaprzężone do dwukótek, warczały bębny, maszerowali żołnierze.

— Aleksandria, Aleksandria — wołali marynarze złącząc z wantów.

Z pasiastych fregat wyładowywano w pośpiechu działa, konie, beczki prochu. Oficero-wie ze szpadami u boku popędzali tragarzy. Wkrótce i Dawida z innymi jeńcami zapędzono do tej roboty. Spływając siódmym potem dźwigał do arsenału skrzynie, antałki, pękate miechy i półzywy ze zmęczenia powtarzał:

— Maryja, Jozef, gdzie to ja trafił?

Obce miasto przerażało go. Bazary cuchnęły zaduchem gnijącego mięsa, cebulą, kramy pachniały sandałowym lub różanym olejkiem. Po cienistych zaułkach, jak kaszubskie mory, snuły się biały w czarnych sukniach. Na ich bosych nogach brzękały bransolety z miedzi. Twarze ich zasłaniały ciemne welony. Na głowach niosły kosze, misy, gliniane dzbany. Przed lepiankami siedzieli w wapiennej kurzawie golibrody i znachorzy, którzy przypiekali działy innym siedzącym przed nimi postaciom rozpalonym żelazem, po czym ogromnymi cęgami wrywali nieszczęśnikom zęby.

— Jeminak, szimlak, dahrak, riglak, gembak — darli się w wąskich zakamarkach poganiacze objuczonych osłów.

Jacyś kędzierzawi ludzie, na węgiel zda się spaleni przez słońce, prowadzili ogromne, dwuogoniaste potwory. Inni, w długich, śmiertelnych koszulach, w płaszczach z brązowego samodziału, z głowami okręconymi ręcznikami, jechali na garbatych zwierzętach, plujących z pogardą na każdego, kto stanął im w drodze. Truchlał Kaszuba na widok pokracznych straszyleł. Żegnał się krzyżem.

— Ej da, dioble — szeptał. — Wstąpił jem do piekła, choc nie po drodze mi było. Spełniła się klątwa mej biały. Diachle mnie porwali i

zanieśli w pogańskie kraje, gdzie nie-wierni Terce do księżyca się modlą.

Wszystko tu było odmienne od tego, co znał, obce, straszne. Przed bramami leżeli, jak łazarze, błagający o bakszysze żebracy. W gmatwaninie brudnych uliczek, między rozprażonymi do białości ścianami biły się małe diablęta. Za zakratowanymi oknami wykuszy błyskały tajemnicze oczy. Przekupnie zachwalali wrzaskliwie owoce nieznanne, dziwaczne ryby i stwo-ry morskie, jakich nigdy nie wyłowili z Bałtyku kaszubscy maszopi. W różnojęzycznym gwarze nie można się było doszukać zrozumiałych dźwięków. Pocziwego borzona wprawiała w osłupienie węże tańczące przy muzyce piszczałek, chudzielcy łykający miecze i płomienie. Z lękiem patrzył na ruiny starych budowli, zwalone kolumny, zwietrzałe głazy, na których wygrzewały się jaszczurki i skorpiony.

Nocami daremnie wypatrywał na niebiosach znajomej Gwiazdy Nordowej. Zamiast kościelnych dzwonów słyszał, trzykrotnie rozlegające się z galeryjek kamiennych iglic, nawoływania przeciągłe, żałośliwe jak skarga potępionego:

*La illah il Allach,  
la illah il Allach,  
byłeś, Terku, w sztormach,  
w srogich byłeś falach,  
ale nie zaznałeś  
nigdy takiej trwogi,  
jaka tobą trzęsie  
w tej krainie srogiej,  
w której do księżyca,  
jak psy, wyją Terce,  
na proch tu żar słońca  
spali twoje serce,  
a wichry gorący  
po szerokim świecie  
popiół twój rozwieje,  
kości twe rozmiecie.*

Te zaśpiewy pod sierpem księżyca, wylegającym się leniwie, ostatecznie utwierdzały biednego Mużę w przekonaniu, iż żywcem

dostał się do piekielnej krainy.

— Przepadłem na wieki — wzdychał. — Nie zobaczę już moich stron. Nie tracę się szklanicą z dobrymi druhami. Nie usłyszę gdańskich dzwonów.

Uginał się pod krzyżem męki nieszczęśliwy potomek bisurmańskiego murzy. Za garść ryżu, rybi ochłap, trochę zieleniny trudził się jak wół w jarzmie. Drżały pod nim nogi. Na czoło, mimo siarczystych upałów, występowały mu krople zimnego potu. Kędyś z dali ham-sin, syn piekieł, wiatr gorący jak płomień, przynosił huk armat, łomot tarabanów, głos trąbek. W kurzawie ciągnęły karawany, cwałowały szwadrony szwoleżerów. Do szpitali zwożono rannych pokłutych spisami, poszarpanych kulami.

Mijały w pustynnym pyle skwarne dni, płynęły noce osnute duszną parą. Na koniec nasz borzon stracił rachubę czasu. Przyodzievek jego zmienił się w łachmany, z nóg spadły mu buty, twarz ogorzała od słońca, obrosła zmierzwionym włosom. Wysechł na wiór. Ale kiedy została zeń tylko skóra i kości, gdy pewny był, że lada dzień pożegna zły świat, wszy-stko się nagle odmieniło.

— Maryja, Jozef — jęknął Terk pewnego ranka. — Znów idzie karawana! Znów będą gonić do roboty!

Czuł, że sił mu brak, że padnie chyba, kiedy przyjdzie mu te wielkie skrzynie ładować na okręt. Musiano przywieźć je z daleka, bo piaszczysty kurz pokrywał siwym kożuchem czarny, okrągły kapelusz i zielony mundur oficera dowodzącego konwojem, a także sierść wielbłądów i kołyszące się na ich grzbietach ogromne pakunki.

„A to co znów za cudaki? — pomyślał Kaszuba przyglądając się niezwykłym ludziom, którzy zjawili się wraz z żołnierzami eskorty i tubylcami wiodącymi juczne zwierzęta. — Rozczochrani, w okularach na nosach, każdy z bindą krzywo zawiązaną pod grdyką! Łapska-mi śmiesznie machają, żeby ostrożnie wyładowywać skrzynie. Chyba skarby króla Salomona mają w tych pakach?”

Nie stało czasu na dłuższe rozważania. Wąsaty sierżant płazem szabli ponaglił jeńca do wyładunku.

— Czego mnie bijeta, panie wojok? — stęknął rybak i nadstawił plecy pod skrzynię zdejmowaną właśnie z najbliższego wielbłąda.

Wyteżył siły do ostatka, by podolać ciężarowi, lecz wycieńczony nieludzko, potknął się na wyslizganych głazach nabrzeża pod fortem. Upuścił pakę. Rozbiła się w drzazgi na porto-wej grobli. Posypały się

z niej osobliwe zaiste skarby: minerały, grudy skrzepłego mułu, zasuszone robaki, zwoje, odłamki kamiennych tablic, pokrytych dziwnymi znakami. Rozczo-chrańcy o półprzytomnych oczach podnieśli lament, jakby ich żywcem odzierano ze skóry.

— Monsieur le proffeseur... Monsieur le proffeseur.

Oficerek, jak Lucyfer, jął przeklinać niefortunnego tragarza. Posypały się na schyloną głowę Kaszuby klątwy, wyzwiska, groźby. Dawidowi zbieleły usta.

— Tero już ze mną kuńc — ostry ból przeszył mu mózg. — Obwieszą mnie na rei albo przywiążą mi do nóg armatnią kulę i w morze mnie rzuca. W godzinie śmierci — wyszeptał rozdygotanymi wargami — bądź, Panie, miłościw grzesznej duszy mojej.

Był przygotowany na najgorsze. Tymczasem z gromady roztargnionych, żywo gestyku-lujących okularników wystąpił chudy dragal, odziany w czarny surdut, białą kamizelkę, brunatne buksy i buty do konnej jazdy. Na głowie miał czerwony fez, na ramionach arabską opończę. Prawą rękę nosił na temblaku. Podnosząc laskowate nogi zbliżył się do nędzarza.

— Wy, człowiecze, jesta z Boru? — zaklekotał przez nos długi, spiczasty, zaczerwie-niony.

Zdrętwiał Muża.

„Maryja, Jozef — westchnął w duchu. — Szekowni jak wół do karety, a naszą katolicką gadką gada w tym niechrześcijańskim kraju? Co to za jeden? Diabeł chyba! Jeno diachli gadają wszystkimi językami. Czego ten purtk ode mnie chce?”

Oczy stanęły mu w słup, język skołczał. Nie mógł wyjąkać jednego słowa.

— Jest a z Boru? — nalegał obcy. — Rzeknijta le: tak czy nie?

Dawid skinał posiwiałym łbem.

— Dawid Muża, Terkiem zwany? — dopytywał dalej tamten.

— Jo — po raz drugi skinał głową zapytany. — Terkiem mnie zowią, doch jestem dobry katolik i żeby nie moja białka...

— Jo, jo — przerwał mu długonogi cudak ze współczuciem. — Wasza białka zła i dola też nie lepsza. Takie to już jest to wasze życie. Wiedno pod wozem. Le to sę chutko odmieni. Bądź, chłopie, dobrej myśli. Nie opuszczę cię w biedzie.

Pogadał z oficerem i uczonymi. Cieszył się widocznie wśród nich wielkim szacunkiem, bo z uwagą słuchali, co do nich mówi. Kręcili

głowami, przecierali chusteczkami szkła okularów, przyglądali się obdartemu niewolnikowi. Po chwili uwolniono jeńca. Długonogi wyba-wiciel zabrał go do miasta, zaprowadził do łaźni i balwierni, w pstrokatych bazarach kupił mu buty i nową przyodziewę. Potem obmytego z brudu, ostrzyżonego, wygolonego i wystrojonego, jak na wesele, chudzinę zaprosił do gwarnej oberży, gdzie farmazoni w zielonych zawojach, w koszulach, w sandałach zdeptanych popijali czarną jak piekło kawę, palili długie faję, których dym bulgotał w naczyniach z wodą, przebierali w palcach różańce z sandałowego drzewa.

Terk najadł się i napił za wszystkie czasy. Otarł usta. Opowiedział o swych przygodach.

— Zdrzeta le, drehu — zaklekotał długonogi wysłuchawszy cierpliwie opowieści. — Bóg radzi o swej czeladzi. W samą porę przyjechałem tu z tymi francuskimi wanogami aż znad Czerwonego Morza, żeby spłacić mój dług.

— Jaki dług? — zdziwił się borzon. — Toć to przecie ja jestem waszym, ponie, dłużnikiem.

Nieznajomy dobroczyńca uśmiechnął się tylko.

— Już ja lepiej wiem, kto co komu winien. Jeśli zechcesz, do śmierci będziesz mógł ze mną zostać. Majątek mam wielki. Wszystkim podzielę się z tobą, braciszku, sprawiedliwie. Życ będziesz, jak w raju za piecem. Ptasiego mleka ci nie zabraknie. Zamieszkas w pałacu. Siedem żon ci kupię.

Z balkonów wieżyczek przy moszejach, spod błyszczących półksiężyców, popłynęło wieczorne wołanie muezinów:

*La illah il Allach,  
la illah il Allach,  
źle ci było, Terku,  
w tych zamorskich dalach,  
za to teraz kąski  
najlepsze wybieraj:  
żon będziesz miał siedem  
i wspaniałe seraj,  
i jako plew złota,  
i sługi, i stroje,  
z piekła w raj się zmieni*



*odtąd życie twoje,  
drzwi tego ci raju  
siedem żon otworzy,  
sam wszakże gadałeś,  
iż doma najgorzej...*

Farmazoni w zawojach natychmiast poklękali na ziemi, twarze zwrócili ku wschodowi, zaczęli wybijać pokłony porzuciwszy kawę, nargile, różańce.

— Siedem żon... — powtórzył Dawid i pokręcił głową.

— No, chłopie, ceż te głową krącesz? — zagadnął długonogi. — Rzeknij słowo. Jedno, Terku, słowo: zgoda.

— Nie, dobry ponie — zdecydował się Muża po namyśle. — Tam, w moich stronach, Terkiem mnie zowią. To je prawda. Ale serce we mnie kaszubskie, a dla Kaszeby pośród onych czornych diachli i białych odmieńców, co w tych zachłaśnicach wyglądają jak wskrzeszeni z grobu łazarze, niżodnego nie ma życia. Jo musza na Reboki wrócec. W kaszebskim piochu kosce moje położec. Tu mnie decht piekło, nie raj czeka.

— Piekło? Gorsze niżli to, w które ci twoja Kreka checz przemieniła?

— Rozalia lichą jest białą. W każdej sąsiadce czarownicę, a w każdym chłopie diabła widzi. Doch na to nie ma rady. Śmierć i żona od nieba przeznaczona. Będę tedy do śmierci ten krzyż mój nieść. Lepsze to, niżli tutaj, gdzie Terce księżycowi się kłaniają, zgubić kaszub-ską duszę.

— Ha, skoro tak chcesz, niech się stanie twoja wola — klekotliwie zgodził się nieznajo-my. — Dziś w nocy tym samym okrętem, na który ładowałeś nasze skrzynie, popłyniesz do domu.

Wrócili do portu, gdzie pośród czółen i czarnych feluk kończono śpiesznie załadunek dwóch weneckich fregatek. Weszli na pokład statku *Muiron*. Uczony wdał się w rozmowę z małym, długowłosym, otulonym w szeroki płaszcz jenerałem w kapeluszu z trójkolorową kokardą, naciśniętym na czoło. Ulokował niespodziewanego pasażera pod pokładem, a kiedy już miano zdejmować cumy, wręczył Dawidowi trzy podarunki pożegnalne.

— Ten mieszk talarów przyda ci się w podróży — objaśniał. — Tę czerwoną wstążkę powieś na maszcie, jak jeno wyjdziecie w

morze. Póki ona powiewać będzie nad fregatą, nic złego się wam nie przytrafi podczas rejsu.

— A to lusterko na co? — zaciekawił się rybak.

— Po szczęśliwym powrocie — usłyszał w odpowiedzi — dasz je razem ze wstążką swej białce. Może udobrucha ją ten podarunek, bo jest bardzo osobliwy. Powiesz jej tak...

Tu nauczył Terka krótkiego wierszyka.

— Nie zapomnisz tego zaklęcia? — upewnił się jeszcze.

— Nie — zaręczył borzon. — Uczynię wszystko, jak mi radzicie. Bóg wam zapłać, dobrodzieju mój. Bóg wam zapłać.

Długonogi lewą ręką, jako że prawą nosił na temblaku, uściśnął sękatą dłoń Kaszuby, życząc mu wszystkiego najlepszego, i zszedł po trapie na ląd.

— Pamiętaj — przypominał niknąć w cieniu murów starej warowni na półwyspie.

Dawid machnął na pożegnanie czerwoną wstęgą. Marynarze wygasili latarnie na ma-sztach, dziobie, rufie. Ściągnęli trap i Muiron wyszedł z portu w noc.

## VII. Jak Kreka czarownicę ujrzała w zaklętym lusterku

Może dlatego, że czerwona wstęga powiewała na maszcie *Muironu*, udało się obu we-neckim fregatom, wiozącym małego kaprała, przetrwać burze szalejące koło przylądka Bon, przemknąć między okrętami Nelsona, które patrolowały po Śródziemnym Morzu, jak chciwe łupu rekiny, dobić po sześciu tygodniach niebezpiecznej żeglugi do brzegów Korsyki. Stam-tąd generał ruszył do Paryża, a nasz Terk do Gdańska. Dzięki złotym pieniądzom dobrego pana z Czarnego Łądu bez przeszkód przejechał Muża na przelaj Europę i usłyszał znowu spizową pieśń gdańskich dzwonów. Ratusz powitał go znajomą melodią:

*Bum, bum,  
pij rum,  
bum, bum,  
pij rum.*

Po nim odezwały się dzwony z wież Panny Marii, Katarzynki, Mikołaja, Barbary Jana, Bartłomieja, Piotra i Pawła, Brygidy, Jakuba. Popłynęły ich głosy nad szczytnicami, dachami, dymiącymi kominami kamienic, nad wierzchołkami czerwonych baszt, nad czarnymi krzyżami masztowych rej:

*Bambam, bambam, bambam,  
wstąpijże waść na miody  
o tam, o tam, o tam,  
w otwarte drzwi gospody.  
Bambam, bambam, bambam,  
łyknijże sobie wasze  
machandla, miodu dzban,  
wódeczki złotej flaszę.*

I sygnaturki, siedzące okrakiem na grzbietach kościelnych daszysk, nie omieszkwały wtrącić do chóru swoich srebrnych trzech groszy. Zadźwięczały jak szkło, gdy druhowie przy karczemnym stole, na maszopskiej zabawie czy też w czas rybackich zeszywin, kuflami się trąca:

*Belebelebele, belebelebele,  
pić trzeba w szynkowni, modlić się w kościele,  
belebelebele, bulibulibuli,  
wychyl Pod Łososiem kielich krambambuli,  
gdańską krambambulę — trunek co się zowie —  
pili Pod Łososiem polscy starostowie,  
belebelebele, choć tyś rybak prosty,  
przecież masz mocniejszą głowę od starosty,  
krambambulę pij więc, a nie miody pszczele,  
belebelebele, belebelebele...*

Tym razem jednak Dawid, nauczony doświadczeniem, nie uległ ich dźwięcznej poku-sie. Wcisnął na uszy okrętniczą mucę, jął rozpytywać mieszkarzy i przekupki z Feszmarku, czy przy Rybackim Pobrzeżu nie cumuje jakie czółno z Międzymorza. Tak się szczęśliwie złożyło, że kramarz z Lwiej Jamy, przybywszy wczoraj barką po

jopejskie piwo, zabierał się właśnie do powrotu. Popłynął z nim borski maszop. Po kilku godzinach dobili do helskiej przystani i jeszcze przed wieczorem „Zawojowany Terk” puścił się brzegiem Małego Morza do domu. Szedł rażno przed siebie.

Zatrzymał się dopiero na chwilę koło Bocianicy, gdzie przed dwoma laty spotkał rannego bociana.

— Czy on i ten dobry pon z Czarnego Łądu to nie jedno? — nagła myśl zapaliła mu się we łbie jak świeca.

Plasnął się dłonią w czoło, ale świeca w głowie już zgasła, pomaszerował przeto dalej i wkrótce zobaczył żółtawe światło w oknie swojej checzy. Zajrzał do niej przez szybkę. W izbie płonęła na stole tranowa lampka. Rozalia klęczała przy kominku i dmuchała w ogień pod trójnogiem. Po chwili dźwignęła się z klęczek, by gotowane na wieczereżę bulwy zalać śledziową laka. Zaczepnęła jej chochlą z beczułki, stojącej w kącie przy piecu. Dawid cicho uchylił drzwi.

— Wieszczy — wrzasnęła białka, ujrawszy na progu postać małżonka. — Zgiń, prze-padnij, maro piekielna!

Przekonana, że Dawid pomarł kędyś w świecie, wzięła go za ducha. Kto wie, czy gdyby miała zamiast chochli łopatę w dłoni, nie odcięłaby mu głowy, wiedziała bowiem, że jedynie w ten sposób można poskromić nieboszczyka, który nie zna w grobie spokoju. Zabrakło jej wszakże pod ręką stosownego narzędzia. Muża mógł więc podjąć próbę przekonania zadzie-rzystej kobiety, że nie zjawą jest, jeno człkiem z krwi i kości.

— To ja, twój chłop — powiedział. — Nie poznajesz mnie, białko miła?

— Żyjesz? — wybełkotała.

— Toć widzisz na własne oczy. A jeżle oczom nie wierzysz, tedy możesz, jak niewie-rny Tomasz, ręką mnie dotknąć.

Uwierzyła i bez zwłoki rozpoczęła odmawiać starą, domową litanie:

— Dotknąć? Czekaż le, Terku zawojowany! Jak ja cę dotknę, to ci świeczki w oczach staną! Zapomniałeś, coś mi przed jastarnickim ołtarzem ślubował? Przysiągłeś przecie, że mnie aż do śmierci nie opuścisz. Czemu zostawiłeś mnie tedy na pośmiewisko tych naszych sąsiadek — czarownic z piekła rodem, co wiedno mi szkodę czyniły i czynią? Zachciało ci się po świecie wanożyć. Jak cę maznę przez ten twój pogański pysk...

— Zobacz lepiej, com ci przywiózł z dalekiej drogi — przerwał wyciągając podarki z węzłka. — O, tą czerwoną wstążką-blewiązką czepc sobie przystrój... Jo, tak je dobrze. Wyglądasz jak sama wojewodzina Przebendowska. A teraz spojrzuj w lusterko.

Oczy jej błysły na widok zamorskich podarków, ale z przekory skrzywia się pogardliwie:

— Meslisz, że takiego szkiełka potrzeba mi do szczęścia?

Na to rybak chrząknął i, tak jak go nauczył w skwarnej Aleksandrii długonogi profesor, oświadczył z okrutną powagą:

*Nie zwyczajne jest to szkiełko,  
lecz cudowne zwierciadelko,  
srebrne lustro nad lustrami,  
kłamstwo nigdy go nie plami,  
prawda świeci w nim jak zorza,  
spójrz w lusterko to zza morza,  
zwróć w nie, białko, swe źrenice,  
a zobaczysz czarownicę,  
borską wiedźmę z piekła rodem,  
co złość sieje i niezgodę.*

Kreka w czepcu przystrojonym szkarłatną blewiązką, sięgnęła po zwierciadło.

— Ceż te, wanogo, nie powiesz?

— Prawdę — zapewnił maszop. — Spojrzuj w to cudowne szkiełko, a zobaczysz czaro-wnicę, co ci życie zatruwa.

— Pewnie Buszkową, białkę naszego szypra. Jo, wiem, że nie kogo inszego, jeno ją. Daj mi to zwierciadelko.

Spojrzała. Zatrzepotała wypłowiałymi rzęsami.

— Toć to ja, nie Buszkowa — krzyknęła, najpierw błędąc jak płótno na blece, a potem czerwieniejąc z wielkiego gniewu. — Żeby cę piorun wyciął w ten twój głupi łeb, Terku zawojowany. Żeby wszetcy diachli...

Byłby się miał z pyszna biedny Dawid za ten niefortunny podarunek. Wtem jednak stało się coś całkiem nieoczekiwanego i trudnego do pojęcia: czerwona wstęga zmieniła się w płomień, który jak wąż otoczył brudnawy czepiec. Zasycał, liznął rzadkie włosy Rozalii, objął je ogniem.

— Na Boga żewego — krzyknęła puszczając z rąk zwierciadło, które z trzaskiem rozbiło się w tysiąc części u jej stóp na podłodze wysypanej żółtym piaskiem. — Jo sę pole! Chłopie kochany, ratuj mnie, ratuj! Jo sę pole!

— Decht jak czarownica — mruknął półgłosem Muza, lecz zaraz dodał głośno: — Nie opuszczę cię, białko moja, w biedzie! W biedzie poznasz prawdziwego przyjaciela.

Co tchu chwycił oburącz beczułkę. Chlusnął śledziową laka na gorejącą głowę żony, od której wrzasku dygotały ściany checzy. Ugasił pożogę w jednej chwili.

Kreka po raz pierwszy w życiu zapomniała języka w gębie. Jak białka Lota z Sodomy w słup soli zmieniona, stała bez ruchu na środku izby, a śledziowa laka spływała strużkami po jej policzkach, po karku, po sukniach.

Maszop patrzył na nią w milczeniu, dopóki nie odezwał się jastarnicki dzwon.

— Dzwonia? — zdziwił się. — Toć na Anioł Pański za późno? A... — odgadł. — To krzyk twój ludzi pobudził.

Oprzytomniała Rozalia. Sapnęła. Z zaczerwienionych jej oczu pociekły łzy rześiste. Popłakując cicho, zaczęła rąbkiem pasiastego fartucha wycierać twarz zalaną słonymi struga-mi laki. Tymczasem za oknami chrzęściły już po piasku drewniaki borzan. Skrzypnęły drzwi. Rybacy zatłoczyli izbę i dalejże witać kamrata.

— Toś ty, chłopie, wrócił — radował się szyper Ambroży Buszk biorąc Dawida w ramiona. — A dzwonnik Pusza, i my wszetce myśleli, że to u Kreki się pali.

Rozsiedli się na ławie, skrzyni, zydlach i słuchali długo w noc tego, co im Muza powia-dał o Łądzinie, Diabelskim Haku, mniszkach z przylądka przy Krowim Rogu, ogoniastych diabłach strzegących Afrykańskich Wrót koło Smoczego Piku, jednookim admirale, grubym szyprze *Judyty*... A kiedy opisał swe przygody na skwarnym ładzie za morzami, borski szko-łny wyciągnął tabakierkę.

— Ten dobry pon — zawyrokował częstując maszopów tabaką z wielkiego rożka — to gwesno nicht inny nie był, jeno nasz bocian z Bocianiej Górki, co to mu te kwekry-helany skrzydło przestrzelili i co potem zimował u was w checzy. On ciebie, Dawidzie, za wszetko dobre nagroził, a na Rozalii pomścił się za swoje krzywdy. Pomnijta tedy, że nie wolno krzywdzić bocianów...

— Ani ludzi — mruknął Ambroży półgębkiem, patrząc spod oka na gospodynię.

— Jo, jo — przytaknęła zapłakana Kreka. — To je prawda! Święta prawda.

Zrozumiała zarówno ognistą przestrożę, jak i cichą przymówkę mądrego sąsiada.

Poprawiła się od tej pory. Nigdy już nie nazywała rybaków diabłami ani rybaczek czarownicami. Dla swojego małżonka stała się słodka jak miód, a na żadne z bożych stworzeń nie ważyła się skrzywić palca.

— Poprawiła się — przyznawali zgodnym chórem borzanie i jastarnicy. — Zmieniła się do niepoznaki.

— Decht insza z niej białka — potakiwały sąsiadki. — Dobra, nabożna, sprawiedliwa. Taka, że nicht ze świeczką lepszej nie znajdzie na całym Międzymorzu.

Cóż z tego, skoro bociany widać się o tej przemianie nie dowiedziały, bo nadal omijają helskie wydmy, szumiące zielenią sosen, i żaden z nich aż po dzień dzisiejszy nie chce się zagnieździć na złotej mierzei.

## **STOLEMOWIE**

*Tam gdzie wieje wiatr od morza,  
kędy wiedzie trakt od Gdańska,  
przy figurze wśród rozdroża  
stała Karczma Świętojańska;  
raz zagościł w niej generał  
— znacie chyba go? — Dąbrowski.*



*Siadł i ręką głowę wspierał,  
posrebrzoną szronem troski,  
i przy złotym słuchał miodzie  
dziwnych baśni o stolemach  
w starej gdyńskiej tej gospodzie,  
której już od dawna nie ma.*

Nim nad Gdyńską Zatoką wyrosło białokamienne miasto, zanim klangor żurawi porto-wych wypłoszył bociany z gniazd na ostatnich strzechach rybackiej wioszczyzny u stóp kępy Redłowa, tam gdzie od Królewskiego Traktu odgałęziała się droga wiodąca przez piachy w stronę kościółka na gołogórach Oksywia, stała gospoda siwego Jona Radka. Nazywano ją Świętojańską Karczmą od wzniesionej na rozdrożu figury Jana Chrzciciela, stoczonego na poły przez korniki, poczerńiałego w deszczach i śnieżycach.

Niegorzej się wiodło siwemu Jonowi. Rybacy idąc po sieci do Pucka, gburzy jadąc na odpust do Oliwy czy na Dominikowy Jarmark do Gdańska zawsze wstępowali na kufelek Pod Świętego Jana. Tak samo czynili okrętnicy z Rewy, kupcy bursztynu, wędrowni krawcy z żółtymi wstęgami u kapeluszy. Przywykł karczmarz do goszczenia rozmaitych podróżnych i obieżyświatów. Któregoś wszakże dnia zjawili się u niego goście zgoła niespodziewani.

Zafurkotały na gościńcu chorągiewki ułanów cwałujących dokoła poszóstnej karety, w której siedział blady człowieczek w czarnym pierogu, białej kamizeli i w zielonej kapocie. Zadudniły kroki maszerującej piechoty w mundurach siwych od kurzu, w czapach z białymi orłami. Żołnierze szli i szli z pieśnią o Tej, co nie zginęła.

— Nasi! — rozpląkała się Radkowa, spieszenie jednak otarła łzy, bo nadjechał jakiś oficer i zapowiedział, że za chwilę stanie tu na popas sam generał Dąbrowski.

Jon powitał go chlebem i solą, wprowadził do gospody, usadowił na zaszczytnym miej-scu. Zwijał się, jakby lat mu ubyło. Częstował generała i jego żołnierzy jajecznicą, solonymi śledziami, rybną polewką. Wynosił ze spiżarni półcie słoniny, wędzone łososie i węgorsze. Toczył z beczek pucki bajersz. Wznosił zdrowie Napoleona. Pił za pomyślność Dąbrowskiego i wiarusów, co świat przemierzali, by wygnać z Gdańska pruskiego biesa. W końcu zaś, gdy zabrakło

toastów, rozochocony już tego, huknął jak z armaty:

— Chceme le sę wepic za miłą sąsiadkę Ewę!

Zdziwił żołnierzy ten toast. Osuszyli jednak szklanice. Dopiero gdy Radk nalał je znów i huknął, aby teraz wypić za „Adama — zgodnego sąsiada”, zaczęli dopytywać:

— Jakaż to Ewa? Co za Adam?

Wtedy podprowadził ich do okna, za którego kwadratowymi szybkami widniały na polu dwa wielkie głazy.

— Ten pierwszy czerwony — wskazał złom gruboziarnistego granitu — to Adam. A drugi, o ten, co tam trochę dalej koło gdańskiego gościńca szarzeje, nosi imię Ewy.

Chwalił tych kamiennych sąsiadów. Powiadał, że chociaż jego ród sąsiaduje z nimi od siedmiu bez mała wieków, odkąd jeno pan z Rusocina ofiarował Kartuzom Gdynię, a ci jęli przysyłać Pańską Drogą przez Witomino wozy po rybę, zasadzili sady na stokach Redłowa, zbudowali młyny na Chylonce i tę przydrożną karczmę, osadzeni w niej Radkowie ani razu nie popadli w spór z czerwonym Adamem i szarą Ewą.

— Złego słowa nigdy nam nie rzekli — uśmiechał się do legionistów, gładząc siwe kłaki porastające na rybacką modłę jego podbródek. — A do naszej karczmy przynęcili nieje-dnego człeka ciekawego ich historii. Bo też historia to niezwyčajna i warto jej posłuchać.

Co rzekłszy wyjął z kieszeni rożek, poczęstował gości tabaką. Gdy zaś zażyli, kichnęli, rozsiedli się wygodnie na ławach i zydlach, zapalił długą faję z wiśniowego drzewa, kucnął na pniaku pod bielonym piecem, podrzucił dREW do komina i zaczął opowieść.

## I. Wojna stolemów

Kaszubski brzeg nie zawsze wyglądał tak, jak dzisiaj. Za dawnych czasów tutaj, gdzie gburzy orzą piaszczystą rolę, a pastuchy pasą krowy, szumiało morze. Jeszcze teraz ludzie kopiący torf w dolinie Chylonki znajdują pod nim warstwę piasku — dawne morskie dno. Złe to były wieki. Z dalekich, nieznaných stron przywędrowali stolemowie, osiedlili się wśród kaszubskich jezior, w tucholskich

głuchoborach, na Elbląskiej Wyżynie i Mierzei Wiślanej, na wyspach, jakimi wtedy były kępy Redłowa, Kamiennej Góry, Oksywia czy Rozewia. Uja-rzmili rybaków, chłopów, bartników, kazali im pracować na siebie w pocie czoła, ba, zdarzało się, że do wozów swych zaprzęgali po stu i więcej ludzi, niby konie. Musieli biedni Kaszubi ciągnąć piach na sypanie grobli, kamienie na budowę grodów, pnie drzew na mosty i przysta-nie.

Długo trwała ta niedola. W końcu jednak olbrzymi pobili się między sobą i rozgorzała okrutna wojna, której początek dali podobno dwaj stolemowie znad Wiślanego Zalewu. Starszy, Łysk, mieszkał na mierzei, młodszy, rudowłosy Tołk — tam, gdzie potem zbudowa-no Tolkmicko. Mieli oni jedną tylko kamienną siekierę i pożyczali jej sobie nawzajem.

— Hej, bracie — wołał Łysk — rzuć mi topór.

I już siekiera furcząc w powietrzu, jak burza przelatywała nad wodą.

— Bracie Łysku — nawoływał potem Tołk. — Oddaj, coś pożyczyl! Muszę zrąbać kilka kadyńskich dębów.

I znów jęczało powietrze, a krzemienne ostrze wbijało się głęboko w ziemię u stóp olbrzyma. Ale któregoś rana posprzeczali się braciszkwowie. Łysk zażądał siekiery, a Tołk nie chciał jej oddać. Wtedy rozwścieczony olbrzym z mierzei chwycił wielki kamień i cisnął go, by ugodzić brata, lecz głaz wymknął mu się z rąk. Chlusnął w Zalew tuż koło brzegu, gdzie po dziś dzień sterczy z wody.

— Toś ty taki — ryknął Tołk obryzgany od stóp do głów zimną kipiela. — Poczekaj, wyrodny bracie! Zapłacisz mi za to.

Porwał siekierę, zamachnął się wściekle, cisnął z całej mocy. Łysk, ugodzony nią w cie-mię, padł nieżywy na ziemię, a krew jego tak użyźniła jałowe piaski, że dotychczas czerwie-nieją w lasach mierzei ogromne ławice borówek. Wieść o bratobójstwie rozeszła się szeroko. Okszyn z Oksywia, Gołun znad wdzydzkich jezior, Wierzchuta z Białej Góry pogrzebali Łyska i usypali mu z piasku wysoką mogiłę, Łysicą zwaną, a potem ruszyli na Tołka i jego sprzymierzeńców.

„Krew za krew” — było ich hasłem, rozbrzmiewającym przeciągle i groźnie jak grzmot nad kniejami, rozlewiskami, ostrowami.

Ogromni wojownicy wyrywali dęby z korzeniami, ciskali na

siebie skały, brodzili po pas w moczarach i zatokach, ścigali się zaciekle z jednego krańca swej dziedziny na drugi, aż wyginęli niemal wszyscy, a Tołk, przerażony widokiem spustoszeń, jakich stał się przyczyną, uciekł za morze. Nie miał już od tej chwili spokoju. Włóczył się z kraju do kraju, nigdzie nie zagrzewał miejsca. Chciał osiąść gdziekolwiek i odpocząć. Ożenił się nawet podobno na skalistej Północy z jakąś skandynawską olbrzymką i syna doczekał, ale ledwie usłyszał jego kwilenie w skandynawskiej pieczarze, niepokój sumienia pogał go znów na tułaczkę.

— Tułacz idzie — krzyczeli ludzie, słysząc z daleka dudnienie ziemi pod jego stopami, i kryli się, gdzie tylko kto mógł.

Martwiło go, że budzi taki strach. Starał się odpokutować dawną winę, a że nie zdołał tego uczynić za życia, pokutuje również po śmierci. Nieraz podobno wynurzając się z mgły ostrzegał tolkmickich rybaków przed sztormem, a kiedyś zimą, gdy mróz skuł Zalew szklistą pokrywą, pojawił się zdunowi, który saniami zaprzężonymi w dwa rosłe konie jechał po lodzie z Suchacza do Łysicy.

— Stój — krzyknął wyrósłszy przed nim niespodziewanie z białej śnieżycy. Podniósł z przestroga palec i rozwiął się bez śladu.

Zdrętwiał suchacki zdun. Zatrzymał zaprzęg, zapalił łuczywo, zlaźł z sań i przekonał się, że pokutujący stołem dobrze mu się przysłużył. O kilka kroków przed końmi dymiła wielka przerwa w lodowej tafli.

— Dziękuję ci, Tułaczu — zawołał z wdzięcznością. — Ocaliłeś mnie od śmierci. Powiedz, jak ci się odwdzięczyć? Czy mogę uczynić coś dla ciebie?

Ale ze skłębionej mgły odpowiedziało mu jedynie ciężkie, głębokie westchnienie.

## II. Dwa głązy

— Sam mi opowiadał o tej przygodzie, tu w mojej karczmie, gdy zatrzymał się jadąc na targ do Lęborka — zaręczał karczmarz Radk. — Ciekawe zdarzenie?

— Ciekawe — przyznali żołnierze. — Jeno nie pojmujemy, co z nim mają wspólnego te dwa kamienie przy twej gospodzie. Ów Adam

i Ewa, o których obiecałeś nam powiedzieć.

— Poczekajcie — jeszcze nie koniec — uciszył ich Kaszuba. —  
Będzie i o nich mowa!

Nalał wiarusom piwa, nabił na nowo fajkę, zaciągnął się dymem i po chwili podjął wątek gdyńskiej legendy.

Tym razem mówił o czasach, które nastąpiły po wielkiej wojnie stolemów. Olbrzymo-wie bądź wywędrowali, bądź wyginęli. Jedynym śladem ich panowania były zagubione w pu-szczach głązy, zaścielające dawne pobojowiska, bory spustoszone, butwiejące dęby, powyry-wane z korzeniami, i na poły rozwalone zamczysko, które ongi Okszyn wznosił z wielkich kamieni nad Babim Dołem, na oksywskiej wyspie. Nadkruszył je zęb wicherzystych szto-rmów, trawa porosła zręby wyniosłej wieży, w opustoszałych zaś komnatach, rozbrzmiewają-cych kiedyś gwarem Okszynowej drużyny, snuła się ostatnia z jego rodu stolimka — Gdynia.

Nie była ona już tak ogromna, jak przodkowie, ale ani urody, ani siły jej nie brakło. Potrafiła miotać głazami daleko i celnie! Nie raz, nie dwa odpędzała w ten sposób okręty pół-nocnych najeźdźców, którzy próbowali wylądować na brzegach jej dziedziny, nigdy jednak nie czyniła krzywdy swym poddanym. Kaszubi bezpiecznie czuli się w checzach zbudowa-nych w cieniu granitowego zamku. Przynosili królownie Gdyni dziesięciny z połowów i plo-nów, sławili w piosenkach jej dobroć, moc, piękno, sprawiedliwość.

*Pędzi wiatr na Bałtyku  
w chmurze białej grzywy,  
a nieśże go, koniku,  
nieś, Bałtyku siwy,  
nieś w sztormistej zadymce,  
w mew skrzydlatych pokrzyku  
pieśń o dobrej stolimce,  
Gdyni urodziwej...*

Poniósł wiatr pieśń kaszubską za morza, na Północ, gdzie z urwistych skał spadały w mroczne fiordy potoki kaskadami srebra. Usłyszał ją siedzący przed jaskinią młody olbrzym Róg, ostatni z rodu Tołka-Tułacza, równie jak Gdynia osamotniony. Podniósł się z omszałego głązu, wziął maczugę dębową, zawiesił na szyi mgłowy

róg i ruszył w stronę, skąd wicherzyste podmuchy przygnały mu wieść pożądaną.

— Tedy są jeszcze na świecie stolimki — powtarzał raz po raz brnąc przez fiordy, jeziora, zatoki, przebywając wielkimi krokami bory i pustkowia.

Niebawem stanął na Oksywiu i przed kamienną bramą uderzył w róg. Zadygotały mury, spłoszyły się mewy siedzące na wieży, wyszła na próg Gdynia — królowna w szaromodrym ruchnie.

— Czego chcesz ? — zapytała ujrawszy rudego wielkoluda w czerwonym kabacie.

Róg odjął róg od ust, wsparł się na maczudze.

— Chcę — powiedział — byś białką mą została.

— Czemu właśnie twoją? Wcale mi się nie widzisz urodziwy.

— Ale silniejszego ode mnie w całym świecie nie znajdziesz.

— Takiś tego pewny? — zaśmiała się, aż zęby jej błysnęły jak muszle na morskim dnie. — Możeś i ode mnie silniejszy?

Nadał się olbrzym.

— Pewnie — huknął i wywinął maczugą młyńca z taką siłą, że zafurczało powietrze.

— Chcesz, to możemy się popробować?

— Ano, twoja wola!

Wyszła Gdynia przed zamczysko, wskazała dwa kamienie leżące w pobliżu bramy.

— Ten czerwony twój, a modry mój — powiada. — Bierz go. Obaczymy, kto dalej dorzuci.

Róg nie dał sobie tego dwa razy powtarzać. Rzucił maczugę, popluł w dłonie, chwycił oburącz głaz, okręcił się na pięcie raz, drugi, trzeci. Cisnął. Kamień przeleciał nad wodami, nad Górą Kamienną. Spadł na brzegu Redłowskiej Kępy.

— A co? — sapnął miotacz z okrutną pasją. — Sama teraz przyznać musisz, że mocarz ze mnie nad mocarze. Będziesz, Gdynio, moją żoną, bo któż by mi dorównać zdołał?

— Jeszcześ nie wygrał — poskromiła jego pychę. — Poczekaj, aż ja rzucę.

Chwyciła modrawy kamień i cisnęła go z takim rozmachem, że padł dalej na południe niż głaz Roga.

— No i co teraz powiesz? — zatriumfowała. — Ujrzałeś na własne oczy, że są silniejsi od ciebie?

Zafrasował się Rudy.

— Nie smuć się — zaczęła go pocieszać. — I tak bym za ciebie nie poszła. Obiecałam rodzicom moim, że poślubię jedynie tego, kto odszuka złotą jabłoń, przyniesie mi złote jabłko z gałęzi jej zerwane.

— Złote jabłko? — zdumiał się Róg. — Na cóż ci ono?

— To nie wiesz, że olbrzymom zagłada pisana? — zdziwiła się z kolei dziedziczka Oksywia. — Przemija nasz czas. Malejemy z każdym pokoleniem. Król Okszyn, dziad mój, taki był wielki, że pono przeniósł kiedyś z gór nad Żarnowieckim Jeziorem oracza z sochą i całym zaprzęgiem w jednym palcu swojej rękawicy, a puścił go na wolność dopiero, gdy mu babka przypomniała, iż ten maleńki człek nas, stołmów, żywi. Mój ojciec swemu ojcu ledwie do pasa sięgał, chociaż ja mniejsza się przy nim wydawałam niż jałowiec przy sośnie...

— I z naszym rodem nie inaczej się stało — westchnął potomek Tołka-Tułacza. — Kłątwa jakaś na nas ciąży i nie ma na nią rady.

— Jest — zaprzeczyła. — Matka moja umierając wyznała mi, iż mogę ocalić nasz ród od zagłady, jeśli wyjdę za tego, kto w ślubnym podarku przyniesie mi złote jabłko. Ślubowałam jej, że tak uczynię, i ślubu dochowam. Jeśli przyjdiesz do mnie z takim darem, dam ci w zamian moją rękę. Inaczej próżne twe starania.

Róg podrapał się w rude kudły.

— Zgoda — mruknął. — Niech i tak będzie. Już ja ci to jabłko choćby na końcu świata znajdę i podaruję.

Skłonił się, wziął maczugę i podpierając się nią odszedł spod zamczyska na skarpie oksywskiej wyspy. Brodził zalewem, płosząc ptaki i ryby, pod nosem zaś mamrotał piosnkę, której nauczył go wiatr pomorski, szumiący nad jego jaskinią:

*Pędzi wiatr po Bałtyku  
w chmurze białej grzywy,  
a nieśże, go, koniku,  
nieś, Bałtyku siwy,  
nieś w sztormistej zadymce  
w mew skrzydlatych pokrzyku  
pieśń o dobrej stolimce,  
Gdyni urodziwej...*

### III. Złote jabłko

Zmierzch zapadł w Świętojańskiej Karczynie. Karczmarz zapalił świecę w okrętowej latarni zawieszanej u pocerniałego sosrębu powały, podsycił chrustem płomienie pełzające w czeluści kominka. Żołnierze w milczeniu pociągali piwo z zielonych szklanic. Jenerał dopił swój kufel do dna, pokiwał siwiejącą głową.

— Tedy tak to było... Pojmuję już. Jeden głąz nazwaliście Ewą na cześć stolimki Gdyni, a drugi Adamem, na pamiątkę pokonanego olbrzyma. Piękna zaiste para, boć się chyba ko-niec końcem pożenili, jak Adam z Ewą. Zgadłem, co?

Ale Radk zaprzeczył:

— Inaczej się, mości jenerale, to wszystko skończyło, niż myślicie.

Po czym jał dopytywać legunów, czy ciągnąc Królewskim Traktem zauważyli młyny nad rzeczką Kaczą, wijącą się w dolinie u zbocza Redłowskiej Kępy ku morzu.

— Widzieliśmy, a jakże — przytaknęli. — Brzeg tam nad podziw piękny! Szumią młyńskie koła, szumią sosny i buki na urwisku nadmorskim. Jakże się zwie ten zakątek?

— Orłowo — odparł Kaszuba. — A zwiemy je Orłowem dlatego, iż w zamierzchłych czasach, o których wam wspomniałem, zdarzyła się właśnie tam, u ujścia Kaczej, która wten-czas była jeszcze wielką i rwącą rzeką, niezwykła rzecz.

I znów rozsnuła się w gospodzie, jak nić z wrzeciona, stara klechda, padło imię nowego bohatera, rybitwy Pierwocha. Ten Pierwoch pierwszy zamieszkał w Smętkowej Dolinie wy-spy Redłowa.

Co dnia o świcie spychał czólno z głębokiego wawozu na morze, by wyjąć ryby z zasta-wionych wieczorem sieci. Któregoś dnia wiosłował jak zwykle przed wschodem słońca i nucił ulubioną pieśń:

*Swobodą zwie się  
życie rybaka,  
wolne mam serce  
morskiego ptaka,*



*wiatr gna me czólno,  
słońce mi świeci,  
a ryby same  
wchodzą do sieci.*

Bryza poranna leniwie rozpędzała opary nocy. Zbudziły się mewy drzemiące na wo-dzie. Na widnokregu ukazał się czerwony skrawek zorzy. Pierwoch złożył wiosła, wciągnął żagiel na maszt. Popatrzał w stronę zamku, ciemniejącego na omglonych urwiskach Oksywia. Spojrzał na kamienną siedzibę dobrej królowny Gdyni i posmutniał. Posmutniała też jego śpiewka, załamała się skargą:

*Bracia me — orły  
i mewy — siostry,  
oścień mi serce  
przebija ostry  
i niewolnikiem  
wolnego czyni  
uroda naszej  
królowny Gdyni.*

Chciał śpiewać dalej, lecz pieśń przerwał mu chrapliwy głos. Podniósł głowę, przyłożył rękę do oczu. Krzyk rozpaczliwy to drapieźnie rozdzierał ciszę brzasku, to cichł niespodzie-wanie, by wkrótce znowu zatargać przestworzem. Rybak czym prędzej skierował łódź w ta-mtą stronę. Przedarł się przez dymne zasłony mgły i ujrzał wielkiego orła-bielika, zmagające-go się z ogromną rybą. Królewski ptak wbił tak głęboko szpony w jej grzbiet, pokryty zielenkaworudym pancerzem, że nie mógł już ich wyrwać. Bił w nieprzyjaciela złotym, haczyko-watym dziobem, trzepotał brunatnopiórymi skrzydłami, rozcapierzał biały, klinowaty ogon, ale słabł wyraźnie i od czasu do czasu znikał pod wodą, ciągnięty w głębinę przez miotają-cego się jesiotra. W ostatniej niemal chwili Pierwoch ciosem wiosła ogłuszył rybę i pomógł orłowi wydostać się z pułapki.

— Nie minie cię za to nagroda — przemówił ptak ludzkim głosem, siadłszy na rei masztu. — Jestem włodyką morskiego ptactwa. Panem obłocznego królestwa. Jeśli będziesz potrzebował

kiedykolwiek mej pomocy, wezwij mnie, a przybędę na twoje wezwanie, chociaż-by z jak najdalszych stron.

Trzykrotnie skinął płowobiaławą głową i odleciał w chmury. Pierwoch zaś ochłonawszy ze zdumienia, wydobył sieci, zwinął żagiel, zawrócił czółno ku Redłowu.

— Przesłyszałem się chyba — szeptał patrząc w zamyśleniu na puste niebo. — Gdzież-by tam ptak ludzkim gadał głosem.

Dobił do brzegu, wciągnął łódź w gardziel jaru, rozwiesił sieci na drągach, by wyschły do wieczora, i zabrał się do wyładowywania ryb. Kładł je do wiklinowej karzni, gdy nagle padł na strąd wielki cień.

— Ledwo weszło słońce, a już je przesłaniają chmury — mruknął, odwrócił się ku morzu i przetarł oczy.

Śmiałek był zeń nad śmiałki i chłop na schwał, barczysty, krzepki, wysoki, ale przecież struchlał ujrawszy stolema wyższego niż Jastrzębia Góra na Rozewiu.

Olbrzym w kaftanie wyblakłym, w podkasanych po kolana portkach wynurzył się zza Kacewskiego Haku, gdzie mył w wodzie stopy, obolałe podczas długiej wędrówki. Stanął przed rybakiem, rzucił na piach podarte skorżnie i krzyknął:

*Jestem Róg, stolem Róg,  
najsilniejszych zwalam z nóg,  
kto popadnie w moje ręce,  
temu kark natychmiast skrećę,  
lecz mi dziś potrzeba sług.  
Powiedz: chcesz być moim sługą?  
Nie namyślaj się zbyt długo,  
bo żartować nie zwykł Róg.*

Pierwoch rzeczywiście nie zwlekał z odpowiedzią.

— Wolny ze mnie rybitwa — zawołał. — Nikogo panem swym nie uznaję, choćby mi śmiercią grożono. Nikomu nie będę z własnej woli służyć.

— Co? — pokręcił olbrzym głową. — Odważasz mi się sprzeciwiać? Nie chcesz zdać się po dobroci na moją łaskę i niełaskę?

— Nie.

— Junak z ciebie. Pół świata przeszedłem wypatrując złotej jabłoni, a takiego, jak ty, nie spotkałem. Zróbmy tedy tak: pójdziemy za pasy, a kto kogo przemoże, ten panem pokona-nego zostanie.

I nie czekając na zgodę Pierwocha, chwycił go w żylaste dłonie. Bronił się Kaszuba, jak mógł, nie zdołał się wszakże oprzeć mocy stolema. Nie minęły dwa pacierze, a Róg powalił go na piasek.

— Od tej chwili — zawyrokował z triumfem — jesteś moim służką i musisz być posłuszny moim rozkazom. Pójdiesz, gdzie ci każę.

Westchnął smutnie Pierwoch, dźwigając się z ziemi. Nie w smak mu było iść w służbę rudego wielkoluda. Zwiesił głowę, ale podniósł ją zaraz wspomniawszy królową z zamczy-ska na Oksywiu. Miałby stąd odejść, nie ujrzeć już więcej Gdyni urodziwej? Nigdy.

— Wykupię się — zaproponował. — Szczodrze zapłacę ci za moje wyzwoliny. Dam ci dwa albo trzy miechy jantaru, bo jesień blisko i jeno patrzeć, jak nadejdą złote nordy.

— I za siedem miechów nie uwolnię cię od służby — zachnął się Róg. — Ba, choćbyś i siedem razy po siedem złożył ich u moich stóp, nic ci to nie pomoże.

Odwrócił z gniewem głowę od rybaka ku Oksywiu, gdzie z kominów granitowego grodu zaczynał snuć się błękitny dym. „Snadź piękna stolimka już wstała i służebne warzą jej śniadanie — pomyślał i zachmurzył się mocniej jeszcze. — Jak tu stanąć przed nią z pustymi rękoma? Jak przyznać się do klęski?”

Siadł na skraju wąwozu, podparł głowę kułakiem i duma. A Pierwoch nie przestaje nalegać:

— Zrobię wszystko, byle odzyskać wolność.

— Wszystko? — powtórzył Róg i zaświtała mu nagła myśl w łbie kołtuniastym. — Przynieś mi tedy złote jabłko, a nie tylko zwrócę ci wolność, ale jeszcze złotem nagrodzę. Przystajesz na ten warunek?

Kaszuba, nie mając wiele do stracenia, kiwnął głową bez chwili zwłoki.

— Powiedz jeno, gdzie tego jabłka szukać?

Stolem podrapał się w ciemię.

— Ba, żebym to wiedział, nie posyłałbym ciebie. Bobrowałem po lasach, wspinałem się na góry, rozglądałem na cztery strony świata, wypatrując złotej jabłoni, alem jej nigdzie nie ujrzał. Idź, gdzie cię oczy poniosą, przepytuj napotkanych, a może uda ci się to, co mnie się nie powiodło, choć zdarłem do cna skorżnie w mojej wędrówce. Ruszaj, ja z Kamiennej Góry wyglądać będę twego powrotu.

Odszedł uderzywszy na znak zawarcia układu dłonią o rękę

Pierwocha, Kaszuba zaś siadł na progu swojej chaty, zbudowanej z grubych pni pod bukiem siwym, gałęzistym, zatroskał się, zamyslił głęboko, jak wykonać trudne zadanie, odzyskać utraconą swobodę. Duma, дума, nic wymyślić nie może. Wreszcie nucić poczyna:

*Bracia me — orły  
i mewy — siostry,  
oścień mi serce  
przebija ostry.  
Stolema Roga  
stałem się służką,  
nie wiem, gdzie znajdę  
złote jabłuszko.*

Nie skończył, a już zaszumiały wielkie skrzydła. Nadleciał orzeł-bielik, zakołował nad głową rybaka, ozwał się z góry, znad zielonych gałęzi buka:

— Nie smuć się, Pierwochu. Mewa-żółtonóżka doniosła mi o twym zmartwieniu. Zwołałem ptasi sejm na Górze Jastrzębiej i wiem już, gdzie szukać złotej jabłoni.

Zniżył lot, porwał Kaszubę w czarne szpony, uniósł go pod białe obłoki. Przelecieli nad skalistą bramą Bałtyku, nad krajem psiogłowców, ponad królestwem północnych wojownic. Dotarli do granicy dnia i nocy.

— Dokąd mnie niesiesz ? — zapytał Pierwoch, gdy ogarnęły ich gęste mroki.

— Na kraj świata — odpowiedział królewski ptak. — Na wyspę górzystą, gdzie przed wiekami kwitł zaczarowany ogród, nim poschły drzewa, nim wyginęły jaszczury, gryfy, jednorożce, wszelakie zwierzęta w nim żyjące. Spójrz: oto ona!

Blask bursztynowej zorzy zapełzał po widnokregu. Rozproszył ciemności. Oświetlił półkolisty garb ostrowia, na którego szczycie rosła samotna jabłoń. Konary jej ugiwały się pod ciężarem złotych owoców. Orzeł poszybował ku rosochatemu drzewu. Spłynął z przestworzy, wypuścił z pazurów Kaszubę. Pierwoch wyciągnął ramię po jabłko pałające żółtawą poświatą. Ale w tym momencie wąż, który skrętami cielska oplatał pień jabłoni, spojrzawszy na śmiałka ślepiami błyszczącymi jak dwa karbunkuły, otworzył paszczkę, wysunął jęzor,

rozdzielony na dwoje, i syknął tak przeraźliwie, że rybakowi zastygła krew w żyłach.

— A to gadzina — krzyknął, odskoczył, cofnął rękę niby oblany ukropem. — Ani sposobu przy takim stróżu przystąpić do jabłonki.

— Rękawica — krzyknął orzeł znad rosochatej korony. — Wsuń dłoń w żelazną rękawicę zawieszoną na gałęzi! Jeśli potrafisz uczynić to tak, że ni jeden liść nie zdrzży, zwyciężyłeś.

Pierwoch wsunął ostrożnie prawicę w łuski z rdzawego żelaza. Nie zdrzała jabłoń. Wąż cofnął łeb, zamknął paszczę, przymrużył ślepią. Zdawało się, że zasnął.

— Udało ci się — zawołał król morskich ptaków. — Nie trać czasu! Rwij! Rwij, druhu miły.

Kaszuba zerwał jedno ze złotych jabłek, orzeł pochwycił go i odniósł na wybrzeże.

— Jabłko dasz stolemowi, lecz rękawicy nie oddawaj nikomu — przestrzegł druha, opuszczając się na krawędź Kamiennej Góry.

Róg spał na ostrowiu, głośno pochrapując.

— Wstawaj — zbudził go Pierwoch i wyciągnął zza pazuchy zdobycz. — Przywiozłem okup! Nie będę twym służką!

Stołem ziewnął, otworzył oczy, zerwał się na równe nogi, wyjął jabłko z dłoni rybaka i zaraz pobiegł wielkimi krokami przez rozlewiska ku Oksywiu, wzniecając każdym stąpnięciem fontanny zieleni i srebra.

#### IV. Adam i Ewa

— No, więc jednak na moje wyszło — odezwał się jenerał. — Znam i ja takich olbrzymów, co cudzymi rękoma wyciągają kasztany z ognia. Kaszuba zdobył jabłko, ale z królową ożenił się stołem. Tak to już na świecie bywa.

— Nie zawsze, mości jenerale — odparł Jon Radk. — Na szczęście, czasem i ten zyskuje nagrodę, kto na nią zasłużył. Tak się też szczęśliwie i wtedy stało. Raczcie posłuchać:

Kiedy Pierwoch ujrzał, że Róg staje pod grodem na Oksywiu, gdy usłyszał, że w róg uderza, ścisnęło mu się serce.

— Po toś mnie tedy, orle-druhu, na kraj świata nosił, by ten

wielkolud zdobył rękę naszej Gdyni — westchnął ciężko i piosnką swoją poskarżył się na niedolę:

*Bracia me — orły,  
mewy — me siostry,  
serce mi oścień  
przebija ostry,  
nie wiem, co począć  
i co uczynić,  
by Róg za żonę  
nie pojął Gdyni.*

Nie opuścił go i tym razem wypróbowany przyjaciel. Nim przebrzmiała śpiewna skarga, nadleciał ptasi król. Poniósł Pierwocha nad rozlewiskami ku Oksywiu, gdzie właśnie stolimka urodziwa wyszedłszy z bramy zamczyska i wzięwszy w dłoń złote jabłko zapytała rudego olbrzyma:

— Sam je zerwałeś?

— Pewnie — nadał się pychą. — Własnymi rękami zdobyłem dla ciebie ten skarb.

— Tak powiadasz? Pokaż mi tedy rękawicę.

— Jaką rękawicę?

— Żelazną! Wiem od matki mojej, że śmiałek, co zerwać chce złote jabłko, nie dokona tego, jeśli wpiery nie posiadzie rękawicy z żelaznych łusek. Gdzie ona?

— Tutaj — krzyknął rybak niesiony przez orła-bielika. — Tu, na mej prawicy.

Królewski ptak osadził go na ostrowiu, zakołował nad zamkową wieżą, a odlatując w łopocie pierzastych skrzydeł zawołał:

— Śmiało ruszaj na stolema, druhu mój. Kto ma żelazną rękawicę, tego nikt nie poko-na! Zwyciężysz kłamcę! Powalisz oszusta.

Co było dalej, nietrudno zgadnąć. Zawrzała walka. Zbiegł się oksywski ludek zwabiony rykiem rozwścieczonego wielkoluda. Rataje porzucili sochy, drwale — topory, rybacy — sie-ci, by się przypatrzeć zapasom, od których ziemia się trzęsła, drżał w posadach gród z ciosów granitowych, dygotały sosny na urwiskach kęp.

— Niech żyje Pierwoch — krzyknęli, gdy Kaszuba, zbrojny w

rękawicę, pokonał gniewnego przeciwnika, zepchnął go ze stromego zbocza Oksywia w morze spienione.

Ociekający strugami wody olbrzym, płonąc ze wstydu, podźwignął się natychmiast, otrząsnął po zimnej kąpieli. Nie oglądając się za siebie, uciekł na Północ, ścigany przez mewy-śmieszki, szyderczo chichoczące nad jego rudym łbem. Kaszubi zaś wieniec z dębowego listowia upletli dla zwycięzcy, łagiew złotego miodu mu do rąk dali i na Okszynowej tarczy ponieśli go w triumfie do swej pani.

— Króluj nam, druhu orłowy — huczały okrzyki. — Rządź Oksywiem i wszystkimi wyspami wespół z naszą królową.

Zarumieniła się Gdynia. Podała rękę Pierwochowi. Poprowadziła go na zamek, do komnat ogromnych, pod modrzewiowe stropy wsparte na słupach z granitu. Zastawiono stoły jadłem i napitkiem. Zapłonęły żelazne kagańce, błysnęły czerwonymi płomieniami pochodnie smolne. Zagrali grajkowie na pięciostrunnych gęślikach, zadęli w rogi i długie ligawy. Poszła wnuka króla Okszyzna w weselny płas z dzielnym rybitwą. Rozbrzmiał kamienny gród śpiewem rozochoconych biesiadników:

*Pędzi wiatr po Bałtyku  
w chmurze białej grzywy,  
a nieśże go, koniku,  
nieś, Bałtyku siwy,  
nieś przez sztormy, zadymki,  
w mew skrzydlatych pokrzyku  
pieśń o ślubie stolimki,  
Gdyni urodziwej.*

Tak opowiadał przed laty szynkarz Jon generałowi Dąbrowskiemu na popasie w Świę-tojańskiej Karczmie. Słuchał go wódz Legionów, słuchali żołnierze-tułacze. Trzaskał ogień na kominku, piwo pieniało się w zielonkawych szklanicach, gdzieś w dali trąbki i bębny wzywały do odmarszu, a Radk w zaplamionym fartuchu, skrzyżowawszy na piersiach krzepkie ramiona, kończył z dumą:

— O tych dziejach powiadał mi mój dziad, on zaś od swego dziada słyszał wszystko to, co wam powtórzyłem. Wiele się u nas

zmieniło od owego wieku stolemów. Zalewy wyschły. Rozpadł się kamienny gród na Oksywiu, z którego głazów zbudował potem książę Świętopełk tamtejszy kościół Św. Michała. Ale zostały na dawnym miejscu te dwa kamienie, za radą oksywskiego plebana nazwane Adamem i Ewą, jako że są pamiątką z czasów naszych prarodziców. No i zostaliśmy my — Kaszubi. Zapuściliśmy korzenie w nadbałtycki piach jak gdyński dąb, co niegdyś królowi Sobieskiemu, a dziś pono waszemu cesarzowi cienia korony swej użyczył. Przetrwaliśmy tutaj wieki. Nie ma takiej siły, co by nas stąd ruszyła, bo w żyłach naszych płynie krew stolimki, matki Gdyni, i tęgiego rybitwy kaszubskiego, ojca Pierwo-cha.

## STARY MUR

*Pieje kur rdzawopióry,  
północ Łebie obwieszcza,  
przez miesięczne wydm góry  
gna karooca złowieszcza,  
wicher konie zacina,*



*o most koła łomocą,  
to Czerwona Reina  
czarną pędzi karocą.*

Ze Starej Łeby jeno herb pozostał: morświn z czarnym krzyżem na grzbiecie. Rajcowie, pieczętujący nim dokumenty nowej osady, zapomnieli o mieście zatopionym przez sypką powódź. Zapomniano o Krącku-Krąceszku, Bałdrzychu Judaszku, Czerwonej Reinie. Jedynie w skwirze mew i zawodzeniu suchowiejów można było usłyszeć lament dawnych łebian, opuszczających rodzinne domostwa.

Przez jakiś czas rybacy i rzemieślnicy, którzy osiedlili się u nowego ujścia rzeki, przychodzili jeszcze na ruiny umarłego grodu, sterczące z białych fal. Zabierali stąd cegły, kamienie, belki. Łomotały koła ładownych wozów po moście wzniesionym nad nurtem Łeby. Kwiczały konie grzęznące w piachu. Potem przez kilka wieków mało kto odwiedzał bezludne wybrzeże.

Patrowały po nim czerwodziobe ostrigojady o białoczarnym upierzeniu, skakały biegusy i obroźne sieweczki. Wiatr przesuwiał lotne piachy. Fałdował je w garby. Sypał mogiłne kopce nad zwaliskami. Zacierał ostatnie ślady zaginionego portu. Piaszczystym cementem niepodzielnie zawładnęły drapieżne trzyszcze. W ciepłe wieczory nad wydymami, na których zbrocza wspinały się turzyce i sosny, latały wałkarze z białymi planikami na brunatnych pokrywach.

Dopiero w zeszłym stuleciu po gwałtownej burzy utworzyła się wśród lasu i nagich wzgórz kotlina, wynurzyły się z jej dna szczątki fary Św. Mikołaja. Stary Mur — jak niebawem nazwano tę ruinę — przyciągał ciekawych. Przychodzili, patrzeli na pociemniałe głązy, na cegły porośnięte pleśnią, na ślady gotyckich łuków. Zaglądali do otworu czerniejącego w podwalinach zwalonej wieży, prowadzącego do głębokich śladów podziemi.

Ział stęchlizną. Kamienie, rzucone w jego czeluść, toczyły się z hukiem po ceglanych schodach, głucho uderzały o skrzynie z żelaza czy też może o ołowiane truchła, budząc echa pod sklepieniami kościelnych krypt. Z głębi, z nieprzeniknionej ciemności, dochodziły dziwaczne, niepokojące odgłosy. Ni to trzaski, ni jęki, ni podzwanie łańcuchów, ni skrzekliwe pianie koguta.

— Strach pomyśleć, co w tych lochach kryć się może — szeptały

białki i odciągały dzieci od Starego Muru. — Pamiętajcie, byście same nie ważyły się tu przybiegać.

Mieszczanie zaś wracając za most, do cichego miasteczka, wstępowali po drodze Pod Utopione Dzwony, do portowej karczmy Beniamina Czołpy, w którego rodzie z pokolenia na pokolenie przechodziła wieść o pysznej kupcowej, co sprowadziła zgubę na nadmorski gród. W Beniaminowych wspominkach odżyły zapomniane dzieje, odezwały się dzwony targane wichurą, imiona ludzi dawno pogrzebanych. Niejeden wieczór przegwarzono przy kuflach piwa w szynkowni, za której oknami chwiały się maszty barek i łodzi zakotwiczonych na rzece. Rozważano zagładę dumnej Łeby, grzech Czerwonej Reiny, przekleństwo ciężące nad kopulastymi wydmami.

— Lepiej tam nie zaglądać — kiwał głową Beniamin, grzejąc plecy przy kaflowym piecu. — Przekonali się o tym już nasi ojce. Chcieli oni pono za radą plebana Pomuchła przewieźć stamtąd farne dzwony, by zawiesić je na dzwonnicy naszej Świętomikołajskiej kapliczki. Załadowali je na wóz w sześć par wołów zaprzężony. Koła lgnęły w piachu, żłobiły głębokie koleiny. Trza było wołom pomagać. Pchać wóz, drągami go podnosić. Ale nie opłacała się skórka za wyprawkę. Kiedy okrutnie zziajani wjechali na most, załamały się dyle. Runął w nurt zaprzęg. Spiżowe kołaty przepadły w głębinie.

— Jeno dzieciom w niedzielę urodzonym przytrafia się niekiedy posłyszeć ich dzwone-nie z dna rzeki — dorzucała swoje trzy grosze karczmarka Agata Czołpina.

— Nikomu jeszcze odwiedziny u pani Judaszkowej nie wyszły na zdrowie. Pamiętajcie wędrownego krawca Frydrycha Gromola?

— Znęciły go powiastki o skarbach kupcowej — marszczył czoło burmistrz Nowej Łeby. — Poszedł nocą pod Stary Mur. Zlazł do dziury i ślad po nim zaginął. Zandary pruskie-go króla do dziś go szukają, ale do farnych lochów żaden z nich zapuścić się nie ośmiela.

— Nie bez kozery powiada przysłowie: śmiałków psi gryzą — wtrącił Czołpa spod pieca.

— A chciwy dwa razy traci — brzękała Czołpina szklanicami na szynkwasię pełnym butelek. — Ten, kogo złoto przynęci, od piekła się nie wykręci.

Najwierniejszy z bywalców Beniaminowej szynkowni, łebski rybak Anzelm Mucha, słuchał tych przestrog, ale zgoła nie brał ich do

serca.

— Na kogo srogi uweźmie się los, ten złamie palec ucierając nos — uśmiechał się pod wąsem. — Mogła ta bieśnica Gromolowi kark skrócić, ale mnie — gromowemu rybakowi rady nie da.

Nie był zeń zły człowiek, marzył wszakże o tym, by mu pieczone gołąbki same wpadały do gąbki. Lekkomysłny, niefrasobliwy, leniwy, wolał, chociaż sił mu nie brakło, przesiadywać w karczmie albo obijać się po miasteczku niż wyciągać z morza ciężkie sieci. Toteż naj-częściej strawą jego były nie gołąbki, lecz pokrzywy gotowane w osolonej wodzie, kapusta, śledź z bulwami. Kieska zawsze niemal świeciła pustką, w dziurawych kieszeniach jego kapoty pieniądź nie gościł. Łebianie śmiali się z próżniaka, który beczynnie wałęsał się uliczkami:

*Sama czasem mucha  
wpadnie psu do brzucha,  
a nasz Mucha w złości  
psu kąska zazdrości,  
chciwie łyka ślinkę,  
chciałby podjąć krzynkę,  
chciałby popić, ale  
nie w smak mu to wcale,  
że zarobić trzeba  
na kawałek chleba,  
pączki, jajecznicę  
i grogu szklanice.*

Gniewały rybaka te drwiny, lecz do roboty się nie kwapił. W swym nadmorskim domu, gdzie wdzierający się dziurami wiatr rozwiewał popiół wygasłego pieca, nie mógł wysiedzieć. Włóczył się więc bez celu. Z rękoma w dziurawych kieszeniach, czytał obwieszczenia na ratuszu. Omijając z daleka zbór, gdzie nieraz pastor z ambony gromił go po niemiecku, zaglądał do szynkowni albo w porcie nad Łebą wygrzewał się w słońcu, rozparty na pustych beczkach. Kamraci, wracający z połowu barkami ciężkimi od złowionych ryb, zaczepiali go żartobliwie:

*Bierz się, Mucho, do roboty,  
choć ci na to brak ochoty,*

*w skorzniu mokro, w gębie sucho,  
do roboty bierz się, Mucho,  
będziesz pić za kwartą kwartę,  
pić, jak skorznie twe podarte.*

Machał ręką, jakby odpędzając natrętne muchy bzykające mu koło uszu. Z zarozumiałą miną odparowywał zaczepki:

*Jest ci ze mnie gbur jak mur,  
choć w kieszeni mam sto dziur,  
choć podarte skorznie mam,  
nie zazdroszczę nigdy wam,  
żyję sobie niby król,  
więc, kamracie, gębę stul,  
śmierdzi mi rybacka sieć,  
bez niej złoto będę mieć,  
jedną, dwie, trzy, siedem fur,  
bo jest ze mnie gbur jak mur.*

Nie były to próżne przechwałki. Nie mówił Anzelm na wiatr. Czeluść w Starym Murze korciła i wabiła go od dawna. Skarby Czerwonej Reiny nie dawały mu spokoju. Rozmyślał dniami i nocami, jak się do nich dostać, a samemu przy tym nie ponieść szkody. Żadna jednak chytra myśl nie przychodziła mu do głowy. Koniec końcem, gdy bieda mocno dała mu się we znaki i nie miał już czym zapłacić za piwo w Beniaminowej szynkowni, opatrzył któregoś wieczoru rybacką latarnię z łojówką, zabrał duży miech, hubkę, krzesiwo, sękatą karkulicę, zapiął pod szyję na wszystkie guzy kapotę wiatrem podszytą i przed północą ruszył na wyprawę.

Dopóki kroczył przez miasteczko, między domostwami z pruskiego muru, ocienionymi koronami starych lip, dopóki towarzyszyło mu poszczekiwanie psów, światła okien i gwar buchający z nadrzecznej gospody, nie tracił animuszu. Skoro jednak minął most i znalazł się na lewym brzegu Łeby, zaraz poczuł niepokój. Piach piszczał mu pod skorznięmi jak przy-deptana mysz. Sosny szumiały złowieszczo, przestrzegająco:

*Zawróć z drogi, bo chyba*

*wiesz, kto na wydmach mieszka?  
To przekłeta siedziba  
biesa Krącka-Krąceszka.  
Wara ci od pieniędzy  
Reski złej i Bałdrzycha.  
Zawróć z drogi czym prędzej,  
śpiącego nie budź licha!  
Zostaw przekłete złoto,  
nie idź po skarb złowrogi.  
Zawróć z drogi, niecnoto,  
niecnoto, zawróć z drogi!*

Nie zawrócił. Mocniej tylko nacisnął na uszy kaszubską mucę i szedł dalej, podpierając się karkulicą. Korzenie sterczące z piasku chwyciły go za stopy, gałęzie przydrożnych drzew szarpały rękawy i poły jego kapoty. Zimny pot wystąpił mu na czoło. Aby więc dodać sobie otuchy, zaczął podśpiewywać buńczucznie:

*Bogata łebianka  
siadła na baranka,  
jechała przez wrota  
— zgubiła miech złota,  
gnała przez moczary  
— sypała talary,  
a wedle mej chaty  
posiała dukaty,  
ja pozbieram wszystko,  
bo mi przecie blisko,  
i stanie się ze mnie,  
łebianin bogaty.*

Kędyś, jakby spod ziemi, rozległ się przenikliwy, szyderczy chichot. Ktoś śmiał się złośliwie. Przedrzeźniał butną śpiewkę nocnego wędrowca. Ale i to nie odstraszyło Kaszuby.

— Morze szumi albo wiatr w gałęziach szeleści — mruknął i zboczył z drożyny w las.

Wkrótce odnalazł kotlinę pośród wydm. Zatrzymał się pod Starym Murem. Księżyc osrebrzył zapleśniałe cegły, nietrudno więc

było odnaleźć czarny otwór w podwalinach zwa-lonej dzwoniący. Anzelm ukląkł przy nim. Skrzeszał ogień, zapalił świeczkę w latarni. Chwy-cił ją w lewą rękę, w prawej ścisnął mocniej karkulicę. Zakołysały się sosny na wydmach, zahuczały groźnie:

*Słuchaj, słuchaj przestrogi:  
czyha na rybę matnia.  
Zawróć, zawróć z złej drogi,  
chwila to już ostatnia.  
Śpiącego nie budź licha,  
zostaw przeklęte złoto.  
Na rybę matnia czyha.  
Zawróć z drogi, niecnoto.*

Mucha zawahał się na mgnienie oka. Potem wszakże wywinął młyńca karkulicą, zaśmiał się niefrasobliwie:

*Albom to nie gbur jak mur?  
Bać się mam tych szcurzych dziur?  
Naładuję złota w miech,  
bom jest przecie chłop za trzech.*

Zginając kark zniknął w czeluści. Przyświecając sobie latarnią zaczął zstępować po schodach, wydeptanych, wąskich, spadzistych jak drabina, której koniec tonął w gęstej ciemności. Zgarbiony cień towarzyszył mu w tej karkołomnej drodze, snuł się po ceglanej ścianie, zielonkawej od pleśni. Knot świecy skwierczał i kopcił, rzucał migotliwe błyski na głązy wmurowane w fundamenty, na niskie sklepienie, obwieszane pajęczynami. Piach i zeschłe igliwie skrzypiało pod podeszwami poszukiwacza skarbów:

*Runiesz z góry,  
runiesz z góry  
prosto w czarta  
kły, pazury...*

Splunął Kaszuba dla odwrócenia uroku.

— Albom to nie gbur jak mur? — mruknął i w tej samej chwili

pośliznął się na wykruszonym stopniu.

Machnął ramionami, by odzyskać równowagę. Nic to już jednak nie pomogło. Runął na złamanie karku. Potoczył się po schodach. Wypuścił z ręki latarnię. Rozbiła się i zgasła, tak że Anzelm wylądował na dnie lochu w zupełnych ciemnościach.

— Do diabła — klął rozcierając potłuczone kolana i łokcie. — Ledwie szyi nie skręcił.

Podniósł się, znów przyklęknął, wyciągnął ręce. Chciał odszukać zgubioną latarnię, hubkę, krzesiwo. Na próżno wszakże pełzał na klęczkach, wodził dłońmi wokół siebie. Nie odnalazł zguby. Palce jego dotykały to jakichś zimnych blach trumien czy skrzyń, to wilgotnego muru. Otaczała go ciemność i zaduch stęchlizny. Z całego dobytku pozostał mu jedynie miech. Zabrał się do odwrotu, nie mógł jednak trafić na schody. Zdawało mu się, że raczej oddala się od wyjścia. Zjeżyły mu się włosy, spocił się z trwogi.

— Do stu biesów — zaklął. — Tego brakło. Zginę tutaj jak ów krawczyk zatracony.

Wtem ujrzał przed sobą czerwone światełko, usłyszał przytłumiony, skrzekliwy głos, podobny do piania ochryplego kura:

*Chodź, chodź tędy! Śpiesz, śpiesz tędy.  
Giną w lochach tych przybłądy.  
Zginął krawczyk, tchórz, włóczykij,  
zwiodły go mych piór płomyki,  
lecz żeś ty ni tchórz, ni szelma,  
więc skarb czeka na Anzelma,  
więc pokażę Musze drogę,  
zdobyć złoto mu pomogę.*

Im dłużej Kaszuba przypatrywał się tajemniczemu światłu, tym wyraźniej rozróżniał chwiejny płomień koguciego grzebienia, iskry rdzawej ostrogi, roztrzepotane ogniki piór ogo-na i skrzydeł. Płomienisty ptak podskakiwał, kręcił się jak wrzeczono i bezustannie posuwał naprzód, wskazując Musze, którądy ma iść, zachęcając go do wytrwania:

*Za mną, za mną, człeku miły,  
po talary śpiesz co siły,*

*śpiesz co siły po dukaty,  
będzie z ciebie pan bogaty,  
będzie z ciebie pan nad pany,  
za łby chwycą się łebiany,  
nie oglądaj się za siebie,  
jutro królem będziesz w Łebie.*

Rybak, urzeczony tymi obietnicami, co sił w nogach spieszył za czerwonym przewodnikiem. Brnął w piachu i zakrzepłym mule, zalegającym dna krypt, lochów, podziemnych ganków. Potykał się na kamieniach, zbutwiałych belkach i deskach, szczątkach ludzkich kości. Ocierał się o oślizłe ściany, płoszył nietoperze wiszące u arkad niskich sklepień, aż dotarł do jakiejś piwnicy. Ognisty ptak zniknął, rozpląnął się bez śladu, ciemność więc rozpraszała jedynie mdła, złotozielona poświata bijąca z wielu otwartych skrzyń i beczek, które stały w lochu. Pośrodku na pękatym miechu siedziała pani w purpurowej szacie. Blade jej lica otaczała bramka z pereł. Wielkie, ciemne oczy zapłonęły jak dwa rozżarzone węgle, gdy tylko rybak stanął na progu skarbczyka.

— Czerwona Reina — wyszeptał i zatoczył się jak pijany, zdało mu się bowiem, że spojrzenie upiorzycy przenika go na wskroś.

— Ktoś ty? — zapytała.

— Mucha, Anzelm Mucha, ry... — zająknął się, przełknął ślinę. — Rybak ubogi z Nowej Łeby. Przyszedłem prosić cię, można pani, byś wsparła mnie w biedzie, pozwoliła wziąć małą, maleńką częśćkę ogromnego twego skarbu.

Gestem upierścienionej dłoni wskazała lekceważąco kufry i kufy pełne złota.

*Skarb mi stoi w gardle ością,  
jeśli chcesz, to cały zabierz,  
lecz gdy skalasz się litością,  
drogo tę opłacisz grabież,  
bo gdy ludzki los cię wzruszy  
i uczynisz co dobrego,  
już cię od utraty duszy  
żadne moce nie ustrzegą.*



Jednym uchem słuchał tego, co mówiła. Pożądliwość przykuła jego źrenice do beczek. Skoro jeno pojał, że Czerwona Mieszczka pozwala mu czerpać ze swego skarbcza, ile zechce, rzucił się na kolana i jał obu garściami ładować monety do miecha. Nappełnił go szybko, zawiązał i skłoniwszy się nisko, dziękczynnie dumnej Reśce, zarzucił brzemień na plecy. Wór ciężki był, lecz jemu wydawał się lekki. Bez trudu wyniósł go z podziemi i ruszył w powrotną drogę. Radował się, jakby go kto na sto koni wsadził.

Szedł, biegł leśną drożyną i z uciechy, że wszystko gładko mu poszło, że szczęśliwie z sutą zdobyczą wraca z niebezpiecznej wyprawy, śpiewał na całe gardło:

*Lepiej niżli w raju,  
lepiej niżli w niebie  
będę sobie teraz  
żył w kaszubskiej Łebie.  
Zebrałem talarów  
jak grzybów po deszczu,  
tyle mam ich w miechu,  
że mi krzyże trzeszczą,  
nazbierałem złota  
jak grzybów po słocie,  
jadać teraz będę,  
niby król, na złocie.*

Nie oglądał się na Stary Mur, na wydmy otaczające kotlinę. Nie dbał, że puszczyk z głębi lasu przedrzeźnia jego śpiewkę, pohukując, śmiejąc się i szydząc z radości Anzelma w jego rodzimej, kaszubskiej gwarze:

*Kaszeba  
zjodł grzeba,  
zjodł dwóch  
i spuchł,  
zjodł trzech  
i zdechł...*

Zresztą niebawem zostawił las za sobą. Przeszedł most, minął

rybackie sieci schnące na brzegu Łeby. Otworzył drzwi swojego domku, rzucił miech na podłogę i zaczął przy płomyku świecy rachować łup. Złote monety zaścieliły ławę pod piecem, stół, skrzynię, zydelki. Brzask uderzył w szyby, dopalił się ogarek, a wciąż daleko było do końca rachunku. Mucha przestał więc liczyć, napełnił kabzę złotem, resztę skarbu zamknął w skrzyni, zatarł ręce, zaśmiał się z triumfem:

*Bogatszego człeka  
nie znajdziesz i w Gdańsku,  
szczęsny los mnie czeka,  
żyć zacznę po pańsku.  
Hej, pohulam sobie  
i Łeba pohula,  
uzna w mej osobie  
rybackiego króla.*

Bez zwłoki też przystąpił do spełniania swych marzeń. Kupił sobie wspaniałą strój: zielony kaftan ze złotymi guzami, buksy z najprzedniejszego czarnego aksamitu, buty lakie-rowane, srebrne ostrogi, laskę z hebanu z błyszczącą jak słońce gałką. Trudno go było po-znać, gdy w tym przyodziewku kroczył przez miasteczko. Nikt już zeń nie szydził. Wszyscy kłaniali mu się w pas, bo chociaż nie wspierał biedaków, na hulanki złota nie szczędził. W Beniaminowej karczmie fundował każdemu, kto się nawinął. Rzucił pieniędzmi na prawo i lewo. Kazał grajkom grać, a szynkarzowi i szynkarce bez ustanku napełniać szklanice. Sam zaś stawał pośrodku izby, patrzył na pijanych kompanów, śpiewał z kuflem w garści:

*Jest ci ze mnie gbur jak mur,  
nie mam już w kieszeni dziur,  
za to złota tyle mam,  
że fundować mogę wam!  
Grajże, trąbo, skrzypku, graj,  
to mi życie, to mi raj,  
pijcie, chłopcy, aż do dna,  
do białego pijcie dnia,  
mam w kieszeniach złota w bród,*

*stać na piwo mnie i miód,  
nie mruż, Czółpo, gębę stul,  
ja tu rządę — Łeby król!*

Wesołe były rządy Anzelma Muchy. Wesołe, ale niedługie. Pewnej nocy, gdy po kilku-dniowej hulance twardo spał w swoim domu, zbudziło go natarczywe łomotanie w okiennice. Ociężale podniósł się z puchowych piernatów, podszedł do okna.

— Kto tam? — ziewnął.

— Otwieraj, dobry człowieku — usłyszał odpowiedź. — Otwieraj duchem, bo od twego pośpiechu życie ludzkie zawisło!

— Poczekajcie, jeno się ogarnę.

— Byle niedługo.

— Zaraz, zaraz!

Przyodział się w pośpiechu, odemknął drzwi. Przed domem stała czarna karoca zaprzężona w cztery kare konie, a furman w trójkątnym kapeluszu, spod którego opadał pudrowany harcap na pelerynki płaszcza, przyozdobionego srebrnymi guzikami, niecierpliwie tupał to jednym, to drugim palonym butem.

— Zbłądziłem w tych waszych pustkowiach i wertepach — powiedział kłaniając się Kaszubie. — Ledwie kół nie połamał. Pani mi zasłała. Omdlała i do przytomności nie sposób jej przywrócić. Lękam się, by nie umarła.

Popatrzał Anzelm na karetę. Za okienkiem jej drzwiczek, zdobnych jakimś herbem, ujrzał zarys kobiecej postaci. Kaptur ciemnej opończy ocieniał jej śmiertelnie bladą twarz.

— Cóż ja tu poradzę? — rozłożył ręce. — Medyka by trza, nie mnie o pomoc prosić.

— Właśnie, medyka — przytaknął furman. — Dobrze mówisz, człowieku! Jeno gdzie go szukać? Gdzie tu mieszka w okolicy najbliższy lekarz?

— Chyba w Lęborku.

— Wskażesz nam drogę?

— Jedź tędy, o, koło zboru, a potem skręć na lęborski trakt, ku Garczegórzcu!

Woźnica skrzywił haczykowaty nos.

— Boję się, że znów pobłądę, skoro jeno wyjadę z miasta. A tu każda chwila droga. Pojedź z nami! Nie pożałujesz fatygi. Pani moja

bogata. Szczodrze ci się odwdzięczy za przy-sługę.

— Sam mam złota dość — mruknął Mucha, ale przecież litował się nad chorą podróżną. — Nie stoję o zapłatę. Pojadę z wami, bo żal mi tej pani.

— To i lepiej — skłonił się ponownie stangret i otworzył drzwiczki powozu.

Ledwie rybak wsiadł do środka, furman z hukiem zatrzasnął drzwi. Skoczył na kozioł. Strzelił z bata. Czarne ogiery parsknęły ogniem z rozdętych nozdrzy. Skrzesały podkowami snopy czerwonych iskier. Ruszyły z kopyta, aż wicher zaświstał, zaszumiały drzewa. Anze-Imowi wydało się, że w tym rosnącym szumie iglastych koron, łomocie grud, wichrowym świcie słyszy pohukiwanie puszczyka z łebskiego lasu przy Starym Murze, szydzącego po kaszubsku:

*Kaszeba  
zjodł grzeba,  
zjodł dwóch  
i spuchł,  
zjodł trzech  
i zdechł...*

Zaniepokoił się tym nie na żarty. Poruszył się, odwrócił twarz ku sąsiadce i struchlał. Spod ciemnego kaptura spojrzwały nań oczy upiorzycy, rozjarzone złowieszczym uśmiechem. Poznał Czerwoną Mieszczkę.

— Reina!

Zabrzmiały mu w uszach jej słowa, wyrzeczone pod ziemią, w piwnicy pełnej skarbów:

*Bo gdy ludzki los cię wzruszy,  
gdy uczynisz co dobrego,  
już cię od zraty duszy  
żadne moce nie ustrzegą.*

Chciał się przeżegnać, lecz Reśka ścisnęła mu prawicę palcami zimnymi jak lód. Chciał odmówić modlitwę, lecz nie zdołał przypomnieć sobie ani słowa. Poczul, że krew zastyga mu w żyłach,

mróz ścina serce. Zdrętwiał ze strachu. A karetą pędziła w noc. Parskały kare ogie-ry. Furman śmigał batem nad ich rozwianymi grzywami. Chichotał, zanosił się diabelskim śmiechem, trzepotał rękawami płaszcza, piał ochryple, skrzekliwie:

*Wiśta, z kopyta,  
piekielne konie,  
gnajcie po bagnach  
i po wygonie,  
pędźcie nad polem,  
nad ścianą boru,  
ku bramie piekła  
— Złemu Jezioru.  
W Złego Jeziora  
cwałujcie stronę,  
konie piekielne,  
wichry szalone!*

Nigdy nie dowiedzieli się, co się stało z rybackim królem Anzelmem Muchą. Przepadł ciemną nocą, zostawiając nie domknięte domostwo i skrzynię w połowie napelnioną złotem. Daremnie konni żandarmi pruskiego króla szukali zaginionego po całej okolicy. Na próżno najteżsi łebscy głowacze, radząc przed ratuszem lub w Beniaminowej szynkowni Pod Utopio-nymi Dzwony, starali się wyjaśnić jego zaginięcie.

Wprawdzie jakiś chłop z Łebienia opowiadał kiedyś u Czołpów, że idąc owej nocy łęborskim gościńcem, ujrzał karocę zaprzęzoną w cztery czarne konie, lecącą nad mgłami przez powietrze. Powiadał, że pojazd ten runął koło Garczegórza w Złe Jezioro, przez które — jak wiadomo — wydostają się z piekła czarty napastujące nocami przechodniów na pobliskim trakcie. Zapewniał też, że w ostatniej chwili, gdy ciemna toń zamykała się już nad zaprzęgiem i kolasą, z kozła zerwał się czerwonopióry kogut. Zatrzepotał, załopotał i piejąc chrapliwie poszybował w stronę łebskich wydm.

Bez trudu domyślono się, że kurem tym był Krąck-Krąceszek. Nikt wszakże nie potrafił odgadnąć, czy pojawienie się wicherzystego biesa miało coś wspólnego ze sprawą zniknięcia Anzelma. Na wszelki wypadek zostawione przezeń dukaty postanowiono, jako diabelskie

złoto, rzucić do bagna.

Burmistrz i ławnicy Nowej Łeby poszli w towarzystwie woźnego do domu Muchy. Otworzyli skrzynię opieczętowaną zaraz po zaginięciu rybaka miejską pieczęcią z morświ-nem i krzyżem. Przetarli oczy. Niczyja ręka nie naruszyła czerwonej pieczęci, lecz Anzelmo-wa skrzynia pusta była, jak wymiółł.

## **MIECZ I RYBY**

*O sennym jeszcze brzasku  
mew biała fanfara  
nad zatokę się wzbila  
w sztormowym porywie,  
aż spojrział i wstrząsając  
grzywą dymów szarą  
jął dźwigać się ze strądu  
czujny lew — Oksywie...*

Długo zastanawiano się, jaki herb nadać młodemu miastu, które na szumne zaklęcia biało-czerwonych bander i wołanie okrętowych syren wynurzyło się z torfiastych mokradeł doliny Chylonki, z gliniastych zboczy Oksywia, z grząskich piasków pod Kamienną Górą. Było w narodzinach Gdyni coś z baśni, choć odmiennej od tych powiastek, które tutaj zimo-wymi wieczorami, kiedy u końca krótkiego pomostu przystani strażnik zapalał naftową lata-rnię, snuły

rybaczki przy warkocie kołowrotek i poświstach nordy.

Baśń stała u kołyski starej, mało komu znanej Gdyni, wymienionej w dokumentach po raz pierwszy w roku 1253 wśród wsi należących do oksywskiej parafii. Baśń była jej piastu-nką, a potem wierną towarzyszką w drodze przez stulecia. Opowiedziałem wam już podanie o stolemce z Oksywia. Potomek tej olbrzymki i rybaka Pierwocha panował podobno jako pogański włodyka kaszubskich rybaków — łowiących w zatoce łososie, płastugi, pomuchle. Siedział w kamiennym grodzie na oblanej zewsząd wodami oksywskiej wyspie. Mieczem odpierał najazdy morskich zbójów.

Od poddanych przyjmował daninę w rybach. Kłaniał się Swarożycowi, Gostkowi, Poświstowi i ani myślał uznawać innych panów aż do dnia, kiedy Jacek Odrowąż stanął nad wodami zalewów. Podniósł rękę, odepchnął fale, suchą stopą przedostał się na kepe, która z niedostępnego ostrowia zmieniła się w przylądek, zapukał do wrót grodu.

Przerażony włodyka pokłonił się królowi królów, niewiele to jednak wpłynęło na suro-we życie tutejszych Kaszubów. Łowili, jak poprzednio, ryby, chociaż raz inny zdarzył się im połów. Za czasów Świętopelka miał gdyński wójt wyłowić z zatoki rozbitka-biskupa, wysła-nego z Rzymu na duński dwór. Poseł nie zastał króla w ogarniętej zarazą stolicy. Popłynął w ślad za nim na Gotland, ale burza zapędziwszy korab w pomorskie strony, rozbiła go na Zato-ce w drzazgi. Przez dziesięć lat obracał dostojny Rzymianin żarna w gdyńskim młynie, zanim nie wybawił go z niewoli jadący do Gdańska Jaromir, biskup z Kamienia. Zniesiono wtedy okrutne prawo o rozbitkach.

A ileż mógłby opowiedzieć stary dąb, rosnący jeszcze przed wojną na ulicy Portowej, o Krzyżakach, o kartuzach sprowadzonych z Czech, o rybakach wożących ryby do ich klasztoru wzniesionego wśród kaszubskich jezior. Pamiętał miecz Piotra Dunina, wsławiony świeciń-skim zwycięstwem, i cyrkiel Jana Pleitnera, mądrego sługi króla Władysława Wazy, który zamierzał tu właśnie stworzyć przystań dla polskiej floty. W cieniu korony odwiecznego drzewa mieli odpoczywać książę Derby, późniejszy król Anglii Henryk IV, który, wylądowa-wszy pod Rozewiem, tędy z tysiącem zbrojnych podążał do Gdańska, i nasz, ukochany przez Kaszubów, Jan Sobieski, i mały cesarz Francuzów, Napoleon. Opodał zaś, w rybackiej szyn-

kowni Pod Starym Dębem, Tona z Wielkim Rożkiem, nieodrodny syn oksywskiej stolemki, olbrzym, co to żelazne kajdanki rwał jak nici, bił pięścią w stół, aż płoszyły się konie żandarmów w pruskich pikelhaubach i powtarzał słowa, które później rozbrzmiewały echem w Wersalu:

— Pomorza nam ani kusy Purtk nie odbierze.

W sąsiedztwie królewskiego dębu rodziła się legenda nowej Gdyni, przeczutej przez Żeromskiego, a zamienianej w stal, beton i granit przez inżyniera Wendę, twórcę planów wielkiego portu. Tędy chodzili na ogromną budowę robotnicy z kilofami na ramionach. Tędy w żelaznym gradzie wrzeźnia wycofywali się na spowite dymami Oksywie, ściskając w dłoniach karabiny i kosy, obrońcy złotego strądu.

Miecz i ryby — znak bohaterstwa i morskiego trudu — oto jakie godło obrała sobie Gdynia.

Chociaż Niemcy zrąbali stary dąb na Portowej i zburzyli ceglany domek Żeromskiego na Świętojańskiej, zapominając jedynie zniszczyć na oksywskim cmentarzu nagrobka Tony Abrahama, ostatniego z kaszubskich olbrzymów, nie udało im się wypędzić z miasta polskiej baśni. Do dziś pozostała mu wierna.

Kiedy zaszedłem po wojnie do gdyńskiej stoczni, spotkałem tam... kusego Purtk. Diabeł ten jednak nie służył już obcym panom. Jako przynosząca szczęście maskotka, żeliwny stalagmit, w zadymionej giserni pomagał stoczniowym giserom, a zwłaszcza ich staremu majstrowi Grzebieniowi, odlewać okrętowe śruby.

Ale nie tylko kaszubski bies został przez młodą Gdynię zaprzęgnięty do roboty. Nie ominął ten los również morskich panien z Gdyńskiej Zatoki. Gdy innym razem odwiedziłem nurków, pracujących przy wydobywaniu wraka niemieckiego pancernika, który zagradzał wejście do portu, jeden z podwodnych budowniczych, zdjawszy po powrocie z dna metalowy hełm, powiedział mi z żartobliwym przymrużeniem oka:

— Koledzy dziwią się, że pracuję za dwóch, a ja wcale sobie ręk po łokcie nie urabiam. Ot, zwyczajnie, tam na dnie mam narzeczoną-syrenkę i ona pomaga mi w robocie.

Ta pracowita, zakochana syrenka, narzeczona gdyńskiego nurka, to najmłodsza z postaci występujących w naszych morskich bajkach o stolemach, rybakach, pogańskich włódykach, rozbitkach,



kaszubskich osiłkach i czartach. Najnowsze, lecz na pewno nie ostatnie ogniwo w bursztynowym naszyjniku Gdyni, która...

*Mewioskrzydła jak bajka,  
życiem rozświetniona,  
z rokiem każdym, z dniem każdym  
pięknieje i rośnie,  
wyciąga falochronów kamienne ramiona  
i morze do swej piersi  
przygarnia zazdrośnie.*

## SŁOWNICZEK

- a l e m b i k (z łac.) — przyrząd do destylacji  
a m b i t (z łac.) — krużganek okalający budynki klasztorne  
a m b r a z u r a (z franc.) — otwór strzelniczy  
a r o m a t a r i u s z (z łac.) — aptekarz  
a s t r o l a b i u m (z łac.) — przyrząd do wyznaczania położenia ciał  
niebieskich, używany do XVIII w.  
b a b n i c a — kruchta, przedsionek kościoła  
b a j e r s z (z niem.) — mocne piwo, ulubiony trunek dawnych

## Kaszubów

- b a k s z y s z (z turec.) — napiwek, jałmużna
- b a l w i e r n i a (z niem.) — zakład golibrody, fryzjera
- b a n k i e r z — bankier
- b a r k a s (z hiszp.) — duża, wiosłowa łódź okrętowa
- b e r d y s z (z łac.) — broń podobna do halabardy (długi kij zakończony siekierką)
- b i o j t e (kaszub.) — biegaj, pobiegnij
- b i t y — przedmioty wyrzucone przez morze na brzeg
- b l e k a — łąka, na której bieli się płótno
- b o l w a r k (z niem.) — bulwar (w znaczeniu obronnego szańca)
- b o ż a m ę k a — figurka ukrzyżowanego Chrystusa
- b u k s y (kaszub.) — spodnie
- b u k s z p r y t (z niem.) — pochyłe drzewce omasztowania, wystające przed dziób statku
- b u r d y n — spisa
- c e k h a u z (z niem.) — zbrojownia
- c e k l a r z (z niem.) — pacholek miejski
- c h e c z a (kaszub.) — chata
- c h u t k o (kaszub.) — szybko, zaraz
- c i e r p i ę g a — szubienica
- d e c h t (kaszub.) — całkowicie, zupełnie
- d e n e g a (kaszub.) — fala
- d o c h (kaszub.) — jednak, wszakże
- D o n d e r e n B l i k s e n — grzmoty i błyskawice (przekleństwo holenderskie)
- d r e h (kaszub.) — druh
- d r i a k w i e (z niem.) — maści kojące
- d y s c y p u ł (z łac.) — uczeń
- f e l u k a (z arab.) — nieduży żaglowiec arabski
- f o l u s z (z holend.) — maszyna do zbijania (pilśniowania) sukna; również nazwa zakładu, w którym wyrabiano sukna
- f o r b o t y (z hiszp.) — koronki
- f o r k a s z t e l (z holend.) — na dawnych okrętach: pomieszczenie dla załogi na dziobie statku
- F r e j a — bogini miłości w mitologii germańskiej
- g a l a r d a (z franc.) — żywy, skoczny taniec towarzyski z epoki renesansu

g a w r a — legowisko niedźwiedzia  
g b u r — na Pomorzu: bogaty gospodarz  
g e l d k i s t a (z niem.) — skrzynia na pieniądze  
g i l d a (z niem.) — związek kupców, broniący interesów i przywilejów swoich członków  
g m e r k (z niem.) — znak rodowy mieszczan w dawnej Polsce  
g o r m i s t r z — mistrz od niewodu, kierownik połowu  
g ó r n i c a — izba na piętrze w słowiańskich budowlach  
g o z d (kaszub.) — las  
g r z ę p y (kaszub.) — kępy, pagórki  
g w e r (z niem.) — broń  
g w e s n o (kaszub.) — oczywiście  
h a m e r n i a (z niem.) — kuźnia  
h a n z e a c i — członkowie Hanzy (Hanza — związek miast niemieckich, skupiający w swoich rękach handel morski na morzach północnych. Hanza stanowiła w średniowieczu pierwszorzędną siłę gospodarczą, polityczną i wojskową)  
h a r c a p (z niem.) — warkocz noszony przez mężczyzn; w dawnych wiekach obowiązkowe uczesanie w armiach europejskich  
H i p o k r a t e s (460—377 przed n.e.) — najwybitniejszy lekarz starożytności, nazywany „ojcem medycyny”  
H o l o f e r n e s — wódz Nabuchodonozora (władcy państwa nowobabilońskiego z VI w. przed n.e.), zamordowany przez Judytę  
j a d r o d o p u s z y — gęstsza część sieci rybackiej  
j a k a (kaszub.) — kabat, kaftan  
j a n t a r — bursztyn  
J o n a s z — postać biblijna, jeden z proroków Starego Testamentu. Żył w VIII w. przed n.e. w asyryjskim mieście Niniwa nad Tygrysem; opowiadał o swej podróży morskiej, w czasie której został połknięty przez olbrzymią rybę, a następnie wyrzucony na brzeg  
k a f a r (z niem.) — przyrząd do wbijania pali za pomocą bijaka  
k a m p a n i l a (z włos.) — dzwonnica  
k a n c j o n a ł (z łac.) — śpiewak kościelny  
k a r b u n k u ł (z łac.) — dawna nazwa rubinu  
k a r k u l i c a (kaszub.) — kij rybackiego szypra, oznaka jego władzy i godności  
k a r ł o — krzesło  
k a r z n i e (kaszub.) — kosze na ryby

k a s z o r — mała siatka na długim drągu, służąca do wybierania ryb  
k ą t y n a a l b o k ą c i n a — świątynia pogańska  
k l a u z u r a (z łac.) — część klasztoru zamknięta dla osób świeckich  
k l e p s y d r a — przyrząd do mierzenia czasu, złożony z dwóch  
szklanych naczyń, połączonych wąskim kanalikiem, przez który  
przesącza się woda lub przesypuje piasek. Całkowite opróżnienie  
jednego z naczyń następuje w ściśle oznaczonym czasie  
k l i f — urwisty, wysoki brzeg morza

## SPIS RZECZY

O Złotym Strądzie	002
Jarosławiecka klechda	005
Dzwon z wolińskiego ratusza	
011	

Toń Umarłych	017
Piraci znad Długiego Rowu	030
Polnica, Świdniczka, Uniesta	
034	
Jak zginął ostatni kasztelan Stargardu	
041	
Osuch i Urzma	045
Kamień Praczki	059
Skąd się wzięły włoskie mureny w jeziorze Miedwie	
067	
Wszemiła	071
Kot we worku	078
Wełniste mielizny	088
Kto zbudował trzy wieże kołobrzesckiej kolegiaty	
093	
Morski kruk	099
Tańczący diabeł z łebskich wydm	105
Kluczyk Salomona	112
Werble dobosza Mrzygłoda	120
Przyłodek Ognistej Gwiazdy	127
Kowal króla Władysława	137
Rosowa Bryzga	149
Dziwna przygoda trzebiatowskiego szyldwacha	
153	
Dlaczego na Helu nie ma bocianów	
158	
Stolemowie	180
Stary Mur	190
Miecz i ryby	199
Słowniczek	201